







1901. A. 345.

1438

23+6.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

ВСПОМНЕНИЯ К ПОДРОБЪ.

20.212

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

PRZEZ

D^{ra} T. TRIPPLINA.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

Tom I.

(zawierający 1^{go} wydania tom I^{szy} i II^{gi}).

DANIA. — NORWEGIA.

PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

1853.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55

tel. 22 69-78-773



Wa5165127

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

Warszawa, d. 20 Maja (1 Czerwca) 1852 r.

Cenzor,

F. Sobieszczański.



20212 [u]

PRZEDMOWA

DO

WYDANIA DRUGIEGO.

Lat temu ośm, zachęcony namową przyjaciół, skreśliłem nieśmiałym, od władania ojczystą mową odwykłym piórem, kilka obrazów przeszłości, spędzonej opodal od zagród rodzinnych. Na co się przydać mogą utwory twego miernego talentu w kraju, w którym znamienici autorowie rzadko dostępują wziętości? pytałem już wtenczas sam siebie i często składałem pióro; na me zaś pamiętniki, spisane w tylu obcych krajach, rozpaczliwem spoglądałem okiem. Ale już wtenczas, po długotrwałej walce z losem, przywykłem do pracy, pokochałem samotność, a czasu nie raz wyjątkowo miałem wiele wolnego. Pomimowolnie do prac mych wracałem, nocce całe nad nimi trawiłem z coraz wzrastającą rokoszą; i narreszcie widząc samego siebie z takim szczerym zapałem piszącego, wpadłem na dwie myśli, które mnie już nigdy nie opuściły i które mnie ciągle do wytrwania w przedsięwzięciu pobudzały. Sumiennie tu objawię te myśli, chociaż nie mają wcale zasługi nowości. Pierwszą była: że co się robi z wielkim mozołem a jednak chętnie, to prawie zawsze coś warte; a druga, że opis rozwoju umysłowego w człowieku, który w najtrudniejszych okolicznościach życia umiał istnieć i kształcić

się własnymi siłami, nie może być bez pewnego powabu dla narodu nie lubiącego dostępować wykształcenia umysłowego z wielkiem wysileniem.

Wystąpiłem się bez ogródki, tak jak mam zwyczaj się wystawiać, choćbym miał za tę może zbyt szczerą szczerość ściągnąć na się srogie gniewy optymistów.

Te mnie dwie myśli zagrzewały do pracy i dziś jeszcze zagrzewać nie przestają.

I cel méj pracy zasługiwał na pewne poszanowanie: objawiłem go jasno w przedmowie poprzedzającej pierwsze wydanie mych Wspomnień. Chciałem odwrócić młodzież, nie lubiącą, nie umiejącą pracować, od nieszczęsnej manii szukania wykształcenia w powiewie zagranicznym, szukania losu opodal od rodziny; chciałem nie jednemu zaślepionemu słońcem zachodu pokazać jego plamy, ocenieniem bezstronnem ducha narodów i ducha czasu zniweczyć zwodnicze nadzieje ludzi budujących przyszłość świata na czémś inném, jak na wartości jednostek w skład społeczeństwa wchodzących.

Wypadki późniejsze usprawiedliwiły aż za nadto mą niewiarę w wpływ pomimowolny a cywilizujący powietrza zachodniego. Z większą tedy niż kiedykolwiek wiarą przemawiam o skuteczności pracy, jedyną może prawdą żywotną nabytą przezemnie za granicą, a tak łatwą do pojęcia i tutaj u nas.

Dobrem przyjęciem pierwszych mych utworów, publiczność ośmieliła mnie do spisania reszty mych Wspomnień; nakładca nalega o wygotowanie drugiej, autor zaś uszczęśliwiony tém nieprzewidzianem powodzeniem, nie szczędzi pracy, aby dowieść, że umiał uszanować rady sumiennych recenzyj.

W tém miejscu winienem odpowiedzieć na niektóre niesprawiedliwie mi robione zarzuty.

Skromnym tytułem danym méj książce, pragnąłem się zabezpieczyć od zbyt wysokich wymagań ze strony czytelników, starałem się zapowiedzieć, że książka moja nie będzie zawierała wszystkich szczegółów, które rozrzucone po wielu księgach

specyjalnie poświęconych charakterystyce krajów i narodów, a i tak zaledwie dać mogących ich obraz zupełny. Geografia, topografia, archeologia, historia, filozofia, religia, etnografia, ekonomia polityczna, geologia, naturalistyka kraju, przedmioty tak ważne a rozpadające się znów na pomniejsze gałęzie, należą do wielkiego mnóstwa książek naukowo pisanych. Nazywałem me dziełko *Wspomnieniami z podróży*, a nie *Podróżami*, umyślnie dlatego, żeby czytelnik był uprzedzonym, że tylko to w niém znajdzie, co pod moje oczy podpadło, com pojął i w mej pamięci zatrzymał. Nie raz w opisie krajów i narodów w drobniejsze się wdawałem szczegóły, ale tylko dlatego, że mi były wprzód z historyi, z maszyneryi politycznej i socyalnej, słowem, z całego swego ustroju mniej znaniemi, a zatem i w szczegółach więcej osobliwemi, i że tém samém uwagę mają w wyższym stopniu obudzały. Zresztą w przedmowie do pierwszego wydania wyraźnie wyznałem, że me położenie wyjątkowe, nie we wszystkich krajach dozwoliło mi pójść za gorącym życzeniem zwiedzenia wszystkich osobliwości systematycznie. Nie należałem do rzędu podróżników, przebiegających kraje z intencją opisania ich, ale do liczby ludzi pędzonych burzą losu z miejsca na miejsce, lecz dbałych przedewszystkiém o korzyść intelektualną, jaką człowiek ciągle czujny i pracowity odnieść może z każdej zmiany miejsca i położenia. I w tém właściwie jest moja zasługa, że ciągle zatrudniony powinnościami powołania bardzo trudnego, i bezustannie walcząc z przeciwnościami, potrafiłem jednakże, bez zaniedbania głównego celu życia, tyle uchwycić z charakterystyki każdego kraju i narodu, ile prawdziwie wystarczy i najwięcej wymagającemu na wystawienie sobie ich obrazu, i żem ten obraz oddał w kolorach dość żywych, zdolnych wyjednać sobie pewne prawo obywatelstwa w wyobraźni *nie zbyt tępej* czytelnika.

Wspomnienia z podróży nie miałyby żadnego uroku oryginalności, natychmiastowości umysłowej, z natchnienia au-

tora spłodzonej, żeby przepelnione były szczegółami numerycznymi, jakie tylko statystyka zawierać może bez chybienia swego celu. Sto jest książek, które wam najdoskonalej opowiedzą historycę i wymalują geograficę i topograficę każdego zakątka ziemi;— ale ja takiej książki właśnie pisać nie chciałem, nie dlatego, że bym nie był zdolnym podróżować żółtym krokiem od bruzdy do bruzdy, ale dlatego, że nie potrzebowałem w ten nudny sposób postępować, aby poznać kształt kraju i geniusz ludów go zamieszkujących. A łatwo przecież poznać, że te dwa przedmioty głównie mnie zajmowały, że w nich szukałem i często znajdowałem pociechę tak mi potrzebną do zniesienia długich i smutnych chwil tułactwa. Każdy kraj był moim kościołem, każda piękna okolica moim ołtarzem, przed którym w pokorze i uniesieniu, z rozrzewnieniem serca przepelnionego wdzięcznością dla Stwórcy, giąłem kolana. Jeżeli myśl religijna nigdy mnie nie odstępowała w mém dziele, to przypiszcież głębokiemu wrażeniu, które na mnie wywarła postać téj naszej lubej ziemi, a nie wartość jéj piędzi; a jeżeli drga w mych słowach jakieś żadną burzą losu niezwalzone życie, to przypiszcież temu, że ludzie i ludy pokochał, tak jak astronom kocha swe gwiazdy, naturalista swe zwierzęta i panienka swe kwiatki. Inaczéj też być nie mogło. Z powołania mego tak często odpowiedzialny za życie i za zdrowie mych bliźnich, więcéj miałem jak kto inny sposobności poznania ich przyrody fizycznój, umysłowój i moralnój. Uszanowałem ludzi, dzięki usługom im wyświadczonym. Iluż to nie widziałem znoszących najokropniejsze bóle z anielską cierpliwością, a może najuroczystsze chwile mego życia spędziłem obok tych, którzy z pełnój wiedzy czekającego ich przejścia, witali śmierć jako pierwszą chwilę lepszego, nigdy nie kończącego się życia. Nieprzebrane téż źródło myśli, pojęć i uczuć zawarte jest w owych subtelných odcieniach, któremi się ludzie różnią od ludzi, a które tylko człowiekowi przywykłemu długim zwyczajem do ich rozróżniania podpa-

dadają pod zmysły. Jako filozof, starałem się wysledzić w ludziach ducha owęj normy, według której mimowolnie rozumieją i działają pewne stowarzyszenia ludzkie; jako psycholog, dociekałem, czy pewne właściwości duszy lub umysłu nie pociągają za sobą konieczności innych, lub ich nie wyłączają; jako fizyognomista, upatrywałem w pewnym podobieństwie ruchów, giestów i wyrazów twarzy, skutki powinowactwa umysłowego łączącego ludzi, stowarzyszenia i ludy; jako fizyolog, zadałem sobie obrachowywać wpływ otaczającej materji wywierany na kształt, na zdrowie, na temperament i na usposobienie umysłowe ludzi; jako filantrop, badałem z ciągle napiętą uwagą przyczyny szczęścia lub nieszczęścia mych bliźnich; jako moralista, przyczyny ich dobrych lub złych przymiotów; jako humorysta, szukałem i znajdowałem niewyczerpane źródła dobrego humoru w niewinnych śmiesznościach, nieodłączalnych od pewnych narodowości, od pewnych od klimatu zależących usposobień; a jako lekarz, chętnie służyłem wszystkim, a najchętniej ubogim, bo ci najwdzięczniejsi. Punktem środkowym, z kąd wychodziły me badania, ogniskiem, w którym się kojarzyły, był człowiek. Przez niego tylko i dla niego zwracałem uwagę na wszystko czém się otoczył: na domy, ogrody, drogi i kanały, na instytucye, na prawa i zakłady naukowe, na wszystko czém ich obdarzył, lub czego im odmówił Stwórca, czém im natura dopomogła do wydoskonalenia się, czém ich więzi przyroda w trudnych do przebycia granicach. Dlatego też tak często i tak chętnie zatrudniam się opisem tych ludzi i towarzystw, pomiędzy któremi strawiłem najpiękniejszą i tak długą część mego życia; starannie odkopuję ślady, jakie w mym umyśle pozostawili; błogą cieszę się wiarą, że ten sposób badania świata, któremu ja przypisuję zdobytą przezemnie znajomość, jest najłatwiejszy, najpoważniejszy, a zarazem najkorzystniejszy.

Czy miue można sumiennie winić o jednostronność w metodzie badania przezemnie użytój, tego doprawdy nie wiem;

może ona być daleko mniej systematyczną jak inne sposoby zapatrywania się na świat, ale nie wyłącza żadnego mechanizmu umysłowego, żadnego rozbioru filozoficznego, nie pomija żadnego przedmiotu wpłynąć mogącego na los ludzkości lub szczęście jednostki, i tę przed wszystkimi innymi metodami ma zaletę, że jest dla wszystkich dostępną, że umysł czytelnika mimowolnie z sobą porywa i robi go, że tak powiem, współnikiem myśli autora. Zresztą zarzucać komuś brak systematu w opisie swych wrażeń, to doprawdy rzecz aż zanadto potworna! Do tego stopnia człowiek nigdy nie jest panem swych kroków, swych przemijających usposobień, okoliczności w których żyje, żeby mógł ovladnąć, opanować swą wrażliwość i usystematyzować naprzód, obrachować i uporządkować przyczyny swych wrażeń. Taki człowiek byłby najnudniejszą ze znanych mi maszyn, ale nie istotą wolą i rozumem obdarzoną.

Ale to najlepsze, że niektórzy krytycy, lubiący może zganić książkę dlatego tylko, żeby sami siebie choć z nazwiska dali poznać, śmieli mnie potępić za łatwość mego stylu, za me ciągle ubieganie się o jasność myśli.

Znam ja dokładnie wszystkie sprężyny myśli i działań ludzkości; wiem, że istnieją na tej pięknej ziemi chmary istot, do burzenia tylko, do niweczenia zdolnych, lubiących psuć i kłaść to, co bliźni z wielkim wysileniem postawi i wybuduje. Przewidziałem już oddawna możliwość podobnych zarzutów, i w przedmowie méj, poprzedzającej dzieło me pod tytułem: *Anglia dziś, i dziesięć lat temu*, wyrzekłem: że każda myśl i najtrudniejsza spłodzona w głowie ludzkiej, może być przez inne głowy dokładnie pojętą, byleby była jasno wyrażoną. Powiedziałem dalej, że ubieganie się moje o jasność stylu nie dowodzi wcale nieufności méj w pojętność moich czytelników, lecz raczej wiarę w sumienność méj myśli. Wiem doskonale, że istnieją pigmejczyki umysłowe, nie pokładający żadnej wiary w trafność własnego sądu, niezdolni uwierzyć w dobroć

tego co łatwo pojmują, dlatego właśnie, że to w stanie byli pojąć. Takich ludzi nie oczarują memi utworami, bo ich oczarować może tylko styl napuszony, który ich odurzy i którego oni pojąć nie są w stanie, lub taki autor, który spekuluje na ich niewiarę w dobroć własnego sądu. Nieszczęściem to jest naszym, niedolą na cały kraj niekorzystnie wpływającą, że pomiędzy klasą ludzi wyższą majątkiem i polorem światowym, znajduje się wielkie mnóstwo podobnych karłów umysłowych, obranych ze zdania, żadną sumienną nauką nie ukształconych, i tę jedynie odwagę posiadających, która się objawia potępieniem pracy i mozołu swych ziomeków. Byłoby tylko żółć sercowa krytyki niesumienną mieszała się z limfą mózgową takich istot, zaraz oni się ośmielą i głos podniosą, a nie wiem, czy istnieje coś więcej zuchwałego jak tchórz umysłowy, jak nieuk wiedzący, że znajdzie poparcie w liczbie podobnych sobie i w złości człowieka mędrszego. Hołdować smakowi takich ludzi, żeby ich liczba nawet do legionów dochodziła, byłoby prawdziwą nikczemnością, wyrzeczeniem się własnej godności. I nadal tedy memu stylowi żadnych nie będę nakładał więzów, i nadal tedy użyję dla odmalowania myśli takich wyrażen, jakie mi jasność pojęcia pod pióro poda; od przyjętego przez pseudo-filozoficznych matwaczy stylu, nic a nic nie przyjmę, wzgardzę urokami tak miłymi czytelnikom z czytania żadnych korzyści odnieść nieumiejącym, i myśl mam wyrażać będę jasno i dobitnie tym prostym językiem, którym człowiek sumienny trafia do serca poczciwych ludzi.

Tyle o stylu.— Teraz o przedmiocie daleko ważniejszym: o sposobach, jakimi przeprowadzam me dążności. Bo, że nie bez dążności pisana ma książka, to z każdego prawie jej frazesu jasno wyziera.

Dziękuję me poświęcone całkiem tryumfowi pracy, honoru i religii, a dowody me nigdy nie czerpane w wierze bezwzględnej w filozofię lub politykę.

Człowiek się ceni nie tyle w miarę swych zdolności, ile raczej w miarę usilności, łożonej na ich zdobycie. Oto moja dewiza, powtarzać jej nie mogę za nadto często. Nie wyczytałem jej w żadnej książce, ale przez całe życie widziałem ją sprawdzaną we wszystkiem, co rodzajowi ludzkiemu przynosi zacność i szczęście. Kto pracuje, ten się ceni; kto się ceni, ten pojnie względy winne własnemu honorowi i honorowi swych bliźnich; a kto bliźnich poważa, ten ich i pokocha, i znajdzie klucz do najdroższych nam i najpotrzebniejszych tajników religii.

Nie wszystkim się podoba ma dążność, nie dla wszystkich jasna ma dewiza. Nie jeden wykrzyknie z oburzeniem: »Jako? pracą chcesz uzacniać ród ludzki? pracą? na którą skazani zostaliśmy dopiero po naszym upadku?—pracą, w której ród ludzki codziennie bydlęcej i traci część swęj dawnęj szlachetności? a ty pracą chcesz przywrócić świetność rodzajowi ludzkiemu i nią odrodzić społeczeństwo zbótwiałe? to zaprawdę dzika pretensya!»

Inny znów nie potępi w ogóle pracy, jako rzeczy wprost szkodliwej całej ludzkości; ale zarzuci mi, że nie wszystkie rodzaje pracy są szlachetne i dobrym ludziom korzyść przynoszące.

Trzeci twierdzi; że wyrażenie *praca* jest zanadto bezwzględne; że i ten pracować sądzi, kto oddając się ciągle dumań i rozpamiętywaniu, ducha w sobie wyrabia i serce kształci; że i ten pracuje, kto nie wstając z łubego łóżka, chłonie w siebie wszystkie systemata filozoficzne, polityczne i socyalne, i wstaje na to z łóżka, żeby na obiadach i w salonach wykładał ludzkości zdobytą wiedzę.

Wszystkie te zarzuty mają w sobie coś sprawiedliwego. Praca zanadto uciążliwa, zanadto mechaniczna, szkodzi człowiekowi, praca niepoczciwa szkodzi ludzkości; praca teoretyczna, zaczynająca się na czytaniu, a kończąca na prawieniu, jest zupełnie płonna.

Nie o takiej mówię pracy: każdy dobrej chęci człowiek pojąć to powinien; mówię o pracy mniej więcej zastosowanej do sił, do okoliczności, do potrzeb człowieka, o pracy honorowej, i wymagam, żeby ona była praktyczną, wynikami jakimiś widzialnemi wieńczoną, nawet skoro jej się oddaje człowiek zdolny pojąć myśli filozoficzne prześcigające pojęcia obecnego czasu. Człowiek dobrej chęci znajdzie we wszystkim stosowną miarę. Minęły czasy, w których sofizmatem zrzęcznie zacytowanym można się było uchylić od uznania prawdy w oczy bijącej; nikt już nie wierzy w wasze definicje, w wasze paradoksy, któremi przez czas tak długi świat durzyliście, o! ludzie niby wyższego ducha!

Nie każdy ma sposobność pracować,—zarzucą mi teraz nie tylko zapamiętali przyjaciele gnusności i ślepoty umysłowej, ale nawet owi dobrzy ludzie, których dobrą wolę wiąże limfa charakteru; a tych mamy całe legiony w naszym społeczeństwie.

Dziś, w stanie rzeczy tak rozburzonym, pracę powinniście uważać nie tylko za środek, ale nawet za *ceł*; pokochać winniście wywieranie usilności nie tylko dlatego, że one was wykształci, uszlachetni, uczyni, zbogaci są w stanie, ale nawet dlatego, że one was odciągają od nudów, od melancholii, od mizantropii, od ciągłego spożywania materji, od rozpusty. Pracę powinniście polubić, choćby tylko dla jej ujemnych przymiotów; a raz pokochawszy ją, raz zwalczysz gnusność, mdłość waszej natury, znajdziecie niezawodnie pole spożytkowania zdobytego przyzwyczajenia się do pracy. W murach więziennych znaleźli inni sposób kształcenia się i tworzenia arcydzieł sztuki, a wy, żyjący pod tak pięknym niebem, na tak żyznej ziemi, pomiędzy ludźmi, którym nie braknie owych pomimowolnych darów cywilizacyi: *wykształconego smaku, najrozmaitszych potrzeb życia wykwiłtne*; o, wy, otoczeni tak bogatemi zasobami dla czynu i usilności, wy śmiecie utrzymywać, że wam zbywa na sposobach kształcenia się i wywierania usilności.

Przedewszystki^{em} pokochajcie samotność, bo w hucznym zgiełku, w jakim pełza i niknie wartość waszego życia, zatracacie jej wiedzę i nawet mudów nekających was zabić nie zdolacie. Pokochajcie samotność; urządźcie się w waszych zagrodach w ten sposób, żebyście choć godzin kilka na dzień mogli strawić wygodnie w uroczyst^{ym} porozumieniu się z waszą duszą. Badajcież sumiennie jej potrzeby, nie jako ludzie kłócający się z natchnieniem pomimowoln^{ym} wasz^{ej} lepszej natury, lecz jako ludzie wierzący głęboko, że jest w wasz^{ej} duszy coś Boskiego, wyjawiającego się kiedy niekiedy cichą, ale dla serca donośną mową. Dokuczają wam samotność, boście zupełnie odwykli szukać w niej uroku przedstawiania sami z sobą; odwykliście od walki z najmniejszą dolegliwością moralną lub fizyczną. Ale w cz^{ym}że się istota do postępu przeznaczona doskonali, jeżeli nie w poświęceniu grubych instynktów materyalnych dla słabych, a tak uroczych roskoszy spirytualnych. Poddając się bez żadnego oporu gnusności, gustom materyalnym, ścigając za zgiełkiem przygłuszyć mogącym odzywający się głos twego sumienia, zatracasz życia wartość.

Tak pracuj, a przekonasz się, że praca twoja nie będzie płoną.

Ale spostrzegam, że już może za nadto długo przemawiam o potrzebie i skuteczności pracy, że wykładam jej katechizm, tak jak gdybym żył w towarzystwie wyzut^{ym} z wyraźnej wiedzy głównych sprężyn społecz^{nych}. Tak jest niestety! a nie inaczej. Zatraciliśmy wiedzę głównego warunku istności towarzystwa, zatraciliśmy wiarę w skuteczność ciągłej pracy, dzięki systematom, któremi nas zalewano od lat tyłu, dzięki teoryom galwanizującym czucie, egzaltującym wyobraźnię, podburzającym umysł, a niweczącym w nas resztki wiary w zimny, prosty rozum ludzki. Gdzie czucie, wyobraźnia, umysłu ruchliwość o tyle po nad rozum i ciała zdolność wygórują, że ich działalność przytłumią, tam doprawdy wiara w siły osobiste wędznąć i zniknąć koniecznie

musi. Tego też dopięli celu owi nowożytni religianci, moralści, filozofowie, politycy i poeci, karmiąc utworami swoich teoryj towarzystwo cierpiące, prędkich rezultatów chciwe, do ciągłej usilnej pracy niezdolne. »Uwierz w cuda, wyrabiaj w sobie ducha, i załóż ręce!« wołali wysłannicy wszystkich teoryj,—»a uszczęśliwimy cię pomimo twój woli, świat odrodzisz, potęgę duchową w sobie wzbudzisz, którą tak wygórujesz nad resztę ludzi, jak roślina górą nad kamieniem i ptak górą nad rośliną.«— W politykę uwierzono, tak jak w ów płyn galwaniczny, w którym się chcąc niechcąc tworzą starożytne medale. I uwierzono—i uwierzono tym obietnicom, ręce założono i cudu czekano i nauczono się chwalić próżniactwo, a potępiać pracę. Świat zaś poszedł nieubłagannie swoim torem, i choć się zachwiał na chwilę w swych podstawach tam, gdzie w nowożytnych teoryj rozwój uwierzono, nie zachwiał się tam, gdzie skuteczność pracy od dawna uwielbiano. Anglia się nie zachwiała, Norwegia stała nieporuszona jak jej skały. Hiszpania nawet od stulecia wojną kołatana, nie dała się zachwiać w swój równowadze. A w krajach, w których dla wiary w cuda porzucono wiarę w pracę, wyrodziło się pokolenie targane najbujniejszymi żądzami, a tak mdłe i słabe w siły, że się ani bić nie umiało za swe zasady. Oto są skutki tak nazwanych szczytnych myśli, odwodzących ludzi od sumiennój pracy; i widok tych zgubnych, a przewidzianych przezemnie wyników, nakłania mnie do przemawiania o pracy w tak elementarny sposób, w jakim bym przemawiał do dzieci gadać zaczynających, o potrzebie pacierza. Nie nowe wynajduję rzeczy, ale i najstarszych prawd wiedza może się zatracić w niektórych zakątkach ziemi, tak jak się była zatraciła w Europie starodawna cywilizacya Greków i Rzymian. Przywracać więżość temu, co ziemi naszej świetność dało, jest zawsze zasługą. Znam historię świata i w długich moich wędrówkach widziałem na stu krajach jój odbicie: ale nigdzie nie wyszedłem ani atomu jakiejś siły

mogącej zastąpić pracę, a zostawiającej po sobie ludziom jakie pożyteczne lub miłe wyniki.

Dość o pracy, teraz o jej rodzonym bracie: o honorze.

Powiedzieliśmy i dość często powtarzać tego nie możemy, że człowiek ceni siebie samego raczej w stosunku pracy, jaką wywarł na zdobycie zdolności, jak w stosunku posiadania samych tych zdolności, lub szczęścia, lub wziętości, lub zaszczytów. I to jest prawdą, bardzo pocieszającą prawdą, bo ludziom, nie obdarzonym wyjątkową łatwością zdobywania zdolności, pozostawia przecież obszerne pole do nabycia osobistego szczęścia i zadowolenia, obdarzenia się błogiem uczuciem osobistej godności.

Kto się długo sam z sobą pasował i własnej pracy zawdzięczył, jeżeli nie szczęście, to przynajmniej własne poszanowanie, kto we własną uwierzył zacność, ten uszanuje i za cność swego bliźniego, żadnej nie będzie szukał korzyści w szkodzeniu mu, żadnej nie znajdzie rozkoszy w uchybieniu mu, jednem słowem, ten będzie uczciwym człowiekiem. Długo bawiłem w jednym z najuboższych zakątków świata, na ziemi tak małą żyznością obdarzonej, jak może żadna inna w Europie. Tam, na tym skalistym, morzem oblanym gruncie, ludzie tylko ciężkim mazołem, krwawą, częstokroć życiu niebezpieczną pracą, zarobić mogą na swe wyżywienie. A jednak ta ich praca nie zgnębiła, nie stępiła nie zbestwiła w niczem. Szlachetna duma wyziera z ich ocz, maluje się w swobodnych ruchach. A jaka grzeczność w tych ludziach! małe chłopaczki spotykając się czy to na ulicach, czy na drogach pełzających po ubogim skalistym gruncie, witają się ze sobą zdejmując czapki, nie z tą grzecznością firykwatą naszych małych ludzi dobrze wychowanych, ale z serdecznością prawdziwie rozrzewniającą.

Mówię o Norwegii, o tym kraju tak ubogim, prostym, a sercu memu tak miłym. Mówię o Norwegczykach, których

zaledwie trzecią część wyżywić zdołają plony tak przez nich ukochanej, a twardej krajiny.

Tam umieją się szanować ludzie. Tam także rzadko znajdziesz wiarołomstwo, oszukaństwo i niesłowność. Człowiek tam w mierze szacunku mu przynależnego, znajdzie miarę szacunku winnego swym bliźnim; nie zawodzi ich ani obietnicą, której dotrzymać nie chce, ani słowem honoru na wiatr danem. Miły mu jest czas, bo to drogi dar Boga; uznaje też, że on i bliźniemu jego ważnym być musi. A ileż go się to zniweczy tego drogiego czasu w innych krajach brzydką niesłownością, w której tonie codziennie tyle pracy, tyle usilności ludzkiej! Tam w Norwegii człowiek umie się upomnieć o krzywdę mu wyrządzoną niesłownością i nie przepuści nikomu wiarołomstwa. W innych krajach słowność tak jest rzadką, że nigdy na nią z pewnością liczyć nie można, dobra wiara tak zachwiana, że tylko jako fenomen istnieje; natomiast pobłażanie tak ogólne, że nikt ani myśli upomnieć się o krzywdę wyrządzoną mu wiarołomstwem. Mówią, że to pobłażanie ogólne, w którym niknie cała sprężystość czynu ludzkiego, jest pięknym dowodem ogólnego braterstwa, jakiegoś dobroci serca, skorzej do wybaczenia. Wolałbym, żeby to braterstwo było jeszcze cokolwiek piękniejszym i objawiało się nie owym rozlazłym darowaniem krzywdy. Nie! nie tak, — niesłowność jest dowodem małego szacunku, który niesiemy bliźniemu, wzgardy naszej dla czasu, z którego korzystać nie umiemy, niewiary naszej w miłość i skuteczność pracy ludzkiej.

Pracą się uzdalnia człowiek, uczciwością uszlachetnia, a religią uszczęśliwia, gdy swe powinności wypełnił. Religia! jak piękne słowo! religia jest to, co nas do siebie wiąże, co umysły nasze łączy w imieniu wspólnego Ojca, to, co nam w tożsamości początku i końca ziemskiego obiecuje przyszłość szczęśliwszą. Słowo tak pięknie odpowiadające swemu świętemu znaczeniu! Czemuż uczucie wzbudzone tém słowem tak jest różne? Jednemu, słowo religia nasuwa nienawiść przeciw

tym co inaczej wierzą, innemu dumę jakąś względem tych co niedosyć wierzą, jeszcze innemu wzgardę dla owych, co utrzymują że wcale nie wierzą. A przecież wielu jest takich, co radziby, żeby wszyscy uwierzyli w to, co ich szczęśliwemi robi. I dla tego ja też w ciągu całej tej książki tak często przemawiam o religii, i mam prawo do tego, bo najmędrsi i najlepsi ludzie, których w ciągu méj długiej poznałem wędrowki, wierzyli i w wierze czerpali swą dobroć, mądrość, szczęście i ulgę,—a ja głównie ludzi mam na celu, nie pomniki. Definacya, jaką w ciągu całego dziełka daję o religii, bezstronność i rzewność, z jakimi przemawiam o niej, powinny były przekonać każdego, że w powszechny wierzę kościół, oparty na pierwotnych przez Chrystusa nauczanych, przez jego uczniów upowszechnionych prawdach. A jednak posądżają mnie niektórzy recenzenci o duch jakiś sekciarski, świadcząc się lekceważeniem, z jakim nieraz traktuję niektóre obrządki religijne, lub też postępowanie niektórych sług kościoła. Jeden nawet radził, żebym zupełnie w mém dziele zaniechał kwestyi religijnej dlatego tylko że ta kwestya jest drażliwą, że nagana rzucaną tu i owdzie na obrządki nie zgadzające się z duchem przezemnie pojętej religii, mogą ją zachwiać całą w jakim czytelniku, dla którego świętość źle pojętej całości jest warunkiem wiary.

Dogmatu żadnego nie tykam, nie rościłbym sobie do tego żadnego prawa, wiem bowiem, do jakiej przemawiam publiczności, i w niczem nie uchybię jej wierze; ale przepelnione mając serce najczystsze uczuciem religii, spoglądać nie mogłem obojętnie na te wszystkie nadużycia, które świętość jej powagi nie raz i nie w jednym miejscu przyémiewają; jęczyć musiałem z bólu na widok nietolerancyi, rozdwojeń, rozdrobnień, egzaltacyj religijnych z manią graniczących, wkradających się tu i owdzie, wraz z nieubłaganym duchem sekciarskim; rzewnie musiałem żałować, że moralność i godność sług kościoła, niezawsze odpowiada świętości ich powołania. Wyłuszcza-

jąc powody, dla których tu i owdzie kościoł tracić musi na powadze, nie zaniedbałem nigdy wynosić jego świętości i przekonywać czytelnika, że tym błędom, a nie religii przypisać należy słabnięcie wiary w wielu ludziach. Czy takim postępowaniem uchybić mogłem świętości religii i względem winnym wierze mych ziomek? Nie! w to nigdy nie uwierzę, nie wystawię sobie nigdy, żeby i u nas wiara do tego stopnia osłabła aby lada nagana rzucona na jej sługi, mogła ją zachwiać. Nie uwierzę nigdy, żeby u nas religia była karcianą budową, której się dotknąć nie można bez zburzenia. Z wieloma zacnymi przestawałem księżmi i wielką ich liczbę wymieniam w tém dziełku. Uniesienie, z jakim o nich wspominam, miła, niezatarta pamiątka, jaką mi pozostawili, powinny służyć za dowód szczerości i czystości mych zamiarów. Nie bez intencji zapewniam, że najoświeceni ludzie, których poznałem, ożywieni byli silną wiarą w Boga, który pewno nie na to nam wlał tęsknotę do życia wiecznego, aby nas zawieść w najmilszej nam nadziei; wielu bowiem ludzi słabej wiary i krótkiego rozumu nie raz ta błędna myśl przenika i kłopotci, że wiatr w wiecznobyt nie zgadza się z rozumem filozofów i uczonych. Ostatecznych tajemnic religii rozumem ludzkim nie odgadniemy; wiara powinna być cnotą, a zatem więcej jak przekonaniem, i dlatego istność Boga i wiecznobytu naszego nie przestanie nigdy być nierozwiązalnym problemem dla czystego zimnego rozumu.

Gdzież są dowody przekonać mnie mogące o targanie się na katolicyzm? Nie w jednym miejscu powiedziałem, że wolny rozbiór dogmatyki religijnej, że samowolne tłumaczenie pisma świętego, doprowadzić musi każdą religię do rozdrożeń i rozdrobnień, a ludzi wierzących do fanatyzmu i egzaltacji, jakich w mém życiu miałem sposobność oplakiwać smutne skutki w niejednym kraju. Tém samym uznaję potrzebę jedności i głowy kościoła, gdyż tylko w jedności rękojmnia bytu, a w głowie kościoła władza hamująca rozbujalność myśli i uczuć reli-

gijnych. Kwestya celibatu przezemnie traktowana, najwięcej zraziła jednego z wielce mi szanownych recenzentów. Ale to nie kwestya żywotna dogmatyczna katolicyzmu, i nigdy na to nie zezwolę, aby za taką uważaną była. Znam doskonale pierwotnego katolicyzmu tak świetnego i silnego zasady; on nie nakazywał swym kapłanom bezżeństwa; znam i słowa samego Chrystusa wyrzeczone w téj materji.

Nie przeczę, że celibat zupełny ciała i duszy, obrany własną wolą, daje człowiekowi nowe siły i potęgę jego duchową podwaja; wielbię taki tryumf odniesiony nad ciałem, ale utrzymuję, że tylko ludzie wyjątkowi zdolni są zupełnie odnieść zwycięstwo cielesne i duchowe.

I w tém pojęciu celibatu, w tém uczuciu leży klucz do zagadki zawartéj w mém dziełku, a którą nie każdy z recenzentów odgadnąć umiał, a którą jeden nawet za kontradykę poczytał.

W inném znów miejscu unoszę się nad poświęceniem kapłana protestanckiego, który dla dobra swéj trzody, wyrzekł się samowolnie małżeństwa, i tego wielbię sumiennosc, jakiegokolwiek go do tego poświęcenia skłoniły powody. Czego jedni zaniechać nie chcieli w imieniu sumienia, tego sobie drugi w témże samém imieniu odmówił. Pięknym to jest dowodem szacunku dla przysięgi i miłości względem ludzkości; sprzeczności żadnej w tém nie widzę.

Jedna rzecz powinna być świętszą i większą nad wszystkie inne, porywające nas swym wirem, chłonna, lub wywyższająca, a tą jest właśnie dla mnie religia. Jéj prawdy rozbiegając nigdy się nie pytam o potrzeby wyjątkowe lub przemieszające jakiegoś czasu, kraju, lub społeczeństwa, lecz jedynie tylko na duch chrystianizmu zwracam uwagę i na tym jedynym kamieniu probierczym badam jéj dobroci.

Ale dlatego nie uważam religii za abstrakcyę wpłynąć nie mogącą potężnie i silnie na nasze postanowienie, na nasze szczęście, lub na losy świata. Bynajmniej! kto się rządzi reli-

gią i umysłu swego nie galwanizuje bigoteryą, nie zatopi w duchu sekciarstwa, ten uzna, jak błogie z niej wypływają skutki. Czerpie z niej miłość do wszystkiego, co jest pięknem, dobrem i potęgą duchową wielkiem; czerpie z niej pogardę dla wszystkiego co jest brzydkim, złem,—czerpie z niej braterską litość dla wszystkiego, co jest małym w duchu i słabym. Religia w ten sposób pojęta, łagodzi serce, umysł wywyższa i świetne wyda plony, widoczne dla każdego oka, pocieszające dla każdego człowieka wierzącego w postęp, w większe szczęście, w większą doskonałość rodu ludzkiego. Skokami polityki do niej nie dojdziemy, wolną pracą niechybnie, gdy rozwojem wszechstronnym, jednostajnym wszystkich naszych władz duchownych i fizycznych, postępować będziemy naprzód. Bóg tworząc nas na swój obraz i podobieństwo, pewno nie chciał odpłacać sobie tego stworzenia naszym szczęściem; tę prawdę pojmijmy, a wątpić nie będziemy, że celem każdego życia jest szczęście, a szczęścia warunkiem doskonałość.

Tyle o dążności mego dzieła; słów jeszcze kilka o sposobach, któremi je przeprowadzam.

Świat dla ludzi, a nie ludzie dla świata, oto w bardzo krótkich, a wyraźnych słowach, cały mój systemat odmalowany. W mych wspomnieniach zajmuję się prawie wyłącznie tém, co człowieka najwięcej, najbliżej dotyka, co na jego byt najdotkliwszy, lub najmilszy wpływ wyrzucić może. Ale też niczego w tym względzie nie pomijam. Religia, moralność, filozofia i polityka, literatura i sztuki, położenie geograficzne i geologiczne kraju, klimat i wegetacya, wszystko znalazło we mnie ciekawego badacza, sumiennego sprawozdawcę. Jednego nie pominąłem systematu filozoficznego i politycznego godnego uwagi i znajomości w mém dziele; z tego względu może ono być istotnie uważanem za *compendium*, z którego nie jeden czytelnik nie obznajmiony *ex professo* z głównymi sprężynami bytu i oświaty ziemi, zrażający się dziełami ciężko

o nich traktującymi, czerpać może wiedzę wystarczającą na zachętę do dalszego kształcenia się.

Otoż w téj długiéj przedmowie razem z odpowiedzią na recenzye, i program prawie zupełny mego dzieła. Lekko ono na pozór pisane, ale zaprawdę sumiennie obmyślane, z wielkiem, nie do uwierzenia wielkiem wysileniem uczuć spisane.

Wówczas, kiedyście wy wszyscy drodzy memu sercu czytelnicy, na zabawach czas trwonili, w spoczynku nowych sił do zabaw szukali, ja sam, przez dwa lata mego życia, po 19-letniém tułactwie pracowałem i czuwałem, me wspomnienia z rozrzuconych, rozmazanych szpargałów w pocie czoła odkopywałem, i resztę sił, z któremi Bóg mi dał wrócić do mego kraju, wyrwałem na skreślenie tego, co się tak głęboko w mém sercu odbiło.

Nic już nie jest w stanie wynagrodzić mnie za mą pracę, jak urzeczywistnienie téj lubéj, w sercu czule pielęgnowanej nadziei, że się znajdą tacy, którzy choć iskierkę wiary w mych dziełach pałającej zachwycą; że ludzie, którzy przeszli przez tyle zawodów, poznają, że tylko w sile, mądrości i religii jednostek leży prawdziwa rękojmia szczęścia ludzi.

Takimi nadziejami, takim życzeniem wskrós przejęty, wyprawiam w świat tę drugą, znacznie zubożoną edycyę mych wspomnień. Oby była przyjętą jak pierwsza, oby przyległa do serc zdolnych uczuć przyjaźni i poświęcenie!

KONIEC PRZEDMOWY DO 2-ÉJ EDYCJI.

DANIA.

DINIA

ROZDZIAŁ I.

KRÓLEWIEC.—KOLEDZY UNIWERSYTECCY.—AURORA.—WSZECH-
NICA.—CEL PODRÓŻY.—ANGLIA I ANGLICY.—UZBROJENIE MORAL-
NE.—TURYSI ZWYKLI.—GODŁO.—USPOSOBIENIE UMYSŁOWE.—
ZATOKA FRYSKA.—PRZYGODA.—KSIĄŻĘ LUBECKI.—PIŁAWA.—
DOM PAŃSTWA HAY.—

Na małym duńskim kupieckim statku, pierwszych dni listopada opuściłem miasto Królewiec, dążąc do Anglii. Już od dni kilku oczekiwaliśmy pomyślnego wiatru dla wypłynięcia z wód rzeki Pregel na zwierciadło zatoki Fryskiej. Zerwał się bardzo raźnie jednej nocy, i głos duńskiego botsmana oznajmił mi, że już czas puścić się w daleką podróż.

Błogosławieństwo na drogę otrzymałem od dziewiętnastoletniej babki, Litwinki rodem. Już jej nigdy więcej nie oglądałem, chociaż lat kilka jeszcze żyła i zawsze się czule losem wnuka swego, zapędzonego tak daleko, zajmowała.

I was także drogich sercu memu kolegów uniwersyteckich: Mściwujewski, Tettfeiler, bracia Kurnatowscy, Alfredzie Bentkowski, Staniszewski, oglądać nie miałem. Kosa śmierci srogo władała pomiędzy niezlicznym gronem mych przyjaciół uniwersyteckich, z którymi najpiękniejsze chwile życia spędziłem w gościnnym i uczonym Królewcu. Nie wiem czemu to przypisać, ale koledzy moi wcześniejsi ze szkół Kaliskich i Pińczowskich daleko lepiej przetrwali na tym świecie; znalazłem ich prawie wszystkich przy zdrowiu, wróciwszy po dziewiętnastoletniej nieobecności do zagród rodzinnych. Bogu niech będą i za to dzięki! bo gdzie życie tam i nadzieja.

Już jestem na pokładzie »Aurory«, tak się bowiem zwał nasz mały żaglowy statek kupiecki. Już od bulwaru odepchnięty; świeży powiew wiatru wsparty pędem rzeki, zbliżał nas szybko do ujścia w zatokę. Wieże Królewca znika

ły mi z oczu wyższe po niższych, aż nareszcie wszystkie poznikały; rzewna żałość ogarnęła me serce. Jeszcze raz przebiegłem myślą dzieje pięciu lat przepędzonych w tych gościnnych murach, na ławkach tej pocziwój wszechnicy, szlachetnej matki mego rozumu; tuliłem się do słodkich wspomnień ubiegłego szczęścia, już bowiem wówczas przeczuwałem, że czekające mnie burze życia nie pozwolą mi i myślą nawet wracać często do nich.

Dążyłem do Anglii, do tego kraju, przyciągającego młodzieńca ogromem swego życia, swój działalności, tak potężnej, tak pełnej i tak płodnej w okazałe wyniki.

Nikt nie pochwalał mej podróży, każdy malował mi Anglię jako kraj drogi, klimat angielski jako nieznosny, Anglików jako nieubłaganych samolubów i sędziów względem ludzi współubiegających się z nimi za posiadaniem życia, nauki i szczęścia.

Wierzyłem, bo i sami Anglicy poznani przezemnie w Królewcu nie inaczej o swój ojczyźnie i o sobie mówili, ale na nieszczeście byłem wówczas w wieku, w którym niebezpieczeństwa w równym prawie stopniu wabią jak przestraszają. Pragnąłem zmierzyć me siły z siłami najwytrwalszych ludzi; pałałem żądzą przekonania siebie samego, że i na brzegach Proсны rodzą się ludzie zdolni pójść w zawody z mieszkańcami Albionu; od dawna gotowałem się na tę próbę, od dawna zbroiłem się w potrzebne mi siły fizyczne i duchowe. Tygodnie, miesiące całe trawiłem w bezustannej pracy; o chlebie i wodzie, bez fajki i cygara, w pokoju umyślnie nie ogrzany, w ubiorze lekkim, wystawiając się na wszystkie słoty i niepogody, odmawiając sobie wszystkiego, co mi przyjemność sprawić mogło, przepędzając codzień godzinę w sali fechtunku, lub na placu gimnastycznym martwiłem ciało, duchowym tylko żyłem zasobem; w chwilach wolnych od szpitalnych zatrudnień, od kursów i nauk, uczyłem się obcych języków, *dla wytchnięcia* po pracach ważniejszych, i odniosłem zwycięztwo nad sobą; siły fizyczne w dzieciństwie nader słabe, do tak wysokiego stopnia wywyczyłem,—zdrowie dotychczas wątłe, wstrzemięźliwością tak dalece umocowałem, żem się ani pracy, ani biedy, ani niewygód, ani siły złego człowieka nie lękał.

Taką spartańską metodą gotowałem się do walki z żywiołami i z życiem wielkiego świata; tak sposobilem się do

korzystania z podróży po dalekich krajach. Za nic bowiem w świecie nie chciałem wstępować w ślady naszych podróżników, którzy już od dwóch wieków bardzo pilnie pograniczne objeżdżają kraje, a nic dobrego* z nich nie przywożą, chyba speiszettel i kilka fałszywych zębów z Niemiec, parę brzytw z Anglii i fraczek nowomodny lub receptę z Francji.

Już wówczas godłem mojem było: „Dla miłości Boga ludziom dawaj jaknajwięcej; od ludzi czerpaj, jak najmniej!“ Panowaniem nad sobą chciałem zdobyć prawo do niezawisłości, a na niezawisłości, jako na najszlachetniejszej podstawie, opierałem nadzieję przyszłego szczęścia. Biedny, cierpiący, słaby, znalazł zawsze u mnie serdeczną litość, bom był z serca wskrós chrześcianinem; ale człowiek z własnej winy pozostający w cierpieniu i znikczemieniu, człowiek szafujący pięknymi uczuciami w słowach, a niezdolny do żadnego poświęcenia, człowiek, który za pomocą paradoków i sofizmatów usiłuje wygadać nam potrzebę pracy, wszyscy ci ludzie wstręt we mnie wzbudzali niezwalczony; przewidywałem już wówczas najwyraźniej, że ci szarlatani zyskają na czas jakiś głos w świecie, i że my padniemy raz jeszcze ofiarami szalbierstwa i łatwowierności. Dla podobnych istot nie było współczucia w mém sercu; chociażby byli najrzęczniejszemi, zawsze postrzegłem ambicję osobistą i fałsz wyzierający z ich oczu. Nie wiele też miałem tak zwanego braterskiego pobłażania względem ludzi utrzymujących się w nieczułości charakteru, w niepełności życia, w odrętwiałości umysłowej. Zawsze mi się bowiem zdawało, że siły ludzkie niewyczerpalne są w młodości, że im trudniejsze czasy, tém większe powinny być w powietrzu, w położeniu, w konieczności, pobudki do wzbudzenia oddziaływań.

Do dziś dnia przy tych samych dotrwałem zasadach; uniosłem je jędrne i zdrowe z pośrodku tylu klęsk dotkliwych, z pośrodku burz miotających przez tak długi czas mém życiem; przeżyły one wiarę w niejedno przekonana nie zdobywane wielką pracą rozumu, niepłoną w wyniki zdolne opłacić choć najlichszy procent krwi za nią wylaną.

Tak! z pośrodku klęsk i burz wyniosłem miłość dla ludzi umiejących walczyć przeciw cząstce zwierzęcej swęj przyrody; a wstręt przeciw ludziom poddającym się bez

walki i wysileni chuci ciała, owemu bałwanowi ziemskiemu stokroć brzydszemu od wszystkich innych tyranów.

Czy i dziś te zasady wystarczają mi do szczęścia? zapyta może nie jeden. Na szczęście godne mnie i mych szlachetnych bliźnich wystarczają, nie dbam o inne szczęście, nie chcę wierzyć, aby człowiek, ostatni i najdoskonalszy utwór boski, miał być przeznaczonym na to tylko, co zwierzęciu jedyną sprawią rokosz: na spożywanie materji, na wydzieranie jej innym. A jeżeli są chwile, w których wolałbym być cokolwiek więcej podobnym do ogółu, w których zazdrościć innym powabów życia, tak dawno i tak szczerze wzgardzonych przemnie; wówczas przywodzę na myśl tryumfy w młodych latach odniesione, korzę się przed Bogiem i błagam go o wytrwałość i nadal.

Tyle o mém usposobieniu umysłowém, kiedy młody, teoretycznie tylko doświadczony, wybierałem się na świat, w którym żadnej pomocy, *nie zapracowanej* ciężkim znojem, nie miałem ani nadziei, ani prawa, ani nawet chęci znaleźć. Może za nadto wiele o sobie samym mówiłem, niech mi to czytelnik wybaczy: ale stan umysłowy wędrowca powinien być znanym jego nieodstępnemu towarzyszowi, a takim chcę aby był dla mnie czytelnik.

Dążę na Aurorze do Anglii, już mijamy wioskę położoną prawie przy ujściu Pregla do Fryskiej zatoki. Sto razy tu byłem w ciągu mego pięcioletniego pobytu w Królewcu, pieszo, konno, w powozie, w dorożce, sankami i na łyżwach po zmarzłym Preglu; tu się bowiem co niedziela, co święto i w powszednie dnie, zbiera towarzystwo królewieckie, tu nie jednego odśpiewaliśmy *Landesvater* w liczнім gronie kolegów; tu niejeden spór akademicki ukończył się na niewinne rapiry i mniej niewinne butelki.

Żegnaj cię tedy, żegnaj zapewne na zawsze, miła widownio mego młodzieńczego życia. Żegnaj was podwoje Kanta, któreście tyle zbłąkanych do waszego szlachetnego serca przytuliły, i z macierzyńską tkliwością czuwały nad rozwojem waszych przybranych dzieci; kto się schronił pod twe potężne skrzydła Albertyno, wszechnico królewiecka, temu już nie dokuczyc nie mogło: ani prześladowania, ani brak, ani choroba; cudzoziemca ocalałaś, nieuka poprawiłaś, niedowiarka nawróciłaś; choremu zdrowie, słabemu siły przywróciłaś! Niech ci będzie cześć i chwała o matko mego rozumu!

Strzeż twém światłem i nadal i na wieki tego pocziwego grodu, otwierającego cudzoziemcom tak chętnie swe serce.

I krewni moi w tém mieście zostający, tak czule mnie kochający, bądźcie zdrowi! Wy koledzy wszyscy się ztąd rozproszycie, ale szanujcie urok chwil tu spędzonych, nie wyrzekajcie się nigdy przyjaźni tu zawartych: bo to ślub zaprzysiężony w najlepszym wieku życia.

Porywa Aurorę prąd rzeki i unosi na fale zatoki. Zaledwie zatoką zwać się mogą te zlewki z rzek kilku, pomieszane tylko przy samém ujściu z wodami Bałtyku. Wody ich już nie słodkie, jeszcze nie słone, tylko jakąś zgnilizną cuchnącą; łoża ich nie głębokie, w niektórych miejscach tak małą, że koryta do żeglugi zdadne cechują beczkami na kotwicy leżącymi, i to nie jest dostatecznym dla statków idących głębiej jak sześć lub siedm stóp. Często na ławach wału lada nawałnicą zaniesione osiadają statki, tak nam się nie raz zdarzyło, gdyśmy po niej krążyli z Piławy do Królewca. Taki nas też i obecnie los spotkał, pomimo uwagi starego kapitana; na raz jeden Aurora uwięzła w mule, nadaremnie wiatr dmuchał w rozdęte żagle, już pękać zaczęła, trzeba je zwinąć.

Pierwsza przygoda! niezabraknie bowiem przygód w ciągu tych podróży; nie byłbym ich opisywał, gdyby się były odbyły tak monotennie i płonnie, jak się odbywają podróże naszych turystów, jeżdżących dla pozbycia się ciężko przez lud zapracowanych pieniędzy, dla jedzenia ostryg w Ostendzie, plumpuddingu w Londynie i truflii w Paryżu.

Aurora osiadła nieruchomie na gruncie zatoki. Wyszadzono łódzie i zaprząwszy je do leniwego statku, usiłowano go wyciągnąć z błotnistej łoża; próżnemi były wszystkie zabiegi. Już się kapitan chciał udawać do innego nudnego i kosztownego środka: do przełożenia części ładunku na kilka yachtów, które się do nas przybłąkały zwabione naszym nieszcześciem; wtém z daleka na falach zatoki ukazał się dym wężykowatym biegiem, sięgający obłoków. Z szybkością wiewiórki stary kapitan drapie się na szczyt masztu, spoziera w stronę gdzie się dym unosi, chustką znak daje i krzyczy, żeby natychmiast z działka sygnałowego wypalić i wywiesić długą czerwoną banderę trwogi na najwyższy szczyt masztu.

Grzmi działko, pławi się w powietrzu flamma czerwona, przybliża się ku nam długi wąż dymu nieba sięgający, dąży spiesznie. To „*Księżę Lubecki*”, parostatek niegdyś kupiony z rozkazu ministra księcia Lubeckiego z innym jeszcze mniejszym i przeznaczony do żeglugi po Wiśle; szkoda tylko, że ładny i kosztowny statek okazał się zagłębokim na koryto Wisły, do Malborga nawet dojść nie chciał! Innemu było dane mężowi, świetne i jedyne miejsce w poczcie naszych magnatów zajmującemu, zgłębić przyrodę naszej rodzinnej rzeki, i dowieść świata, że po Wiśle można płynąć parostatkami od Gdańska aż do Krakowa, a Dunajcem w nią wpadającym aż do Tarnowa.

Z dziesięć lat nie wiadano, co robić z parostatkami polskim gnijącym w wodach Gdańska; aż nareszcie towarzystwo akcyonaryuszów, które przedsięwzięło oczyścić koryto płynne (Fahrwasser) zatoki Fryskiej, kupiło nasz paropływ za 5,000 talarów, to jest za szóstą część jego pierwotnej wartości, i zdegradowało go na tak zwany Bagger-schiff, to jest, statek muł wynoszący, z zachowaniem jednakże dostojnego nazwiska.

Zaprząga się tedy „*Księżę Lubecki*” do naszej „*Aurory*” i wyprowadza ją z błota, a jako szlachetny i pochodzenia swego nie wyrzekający się okręt, oddaje te usługi gratis i oddala się z plaen. Pozostało oczywiście coś polskiego temu poezciwemu statkowi.

Wieczorem zawijamy do portu Piławy i zarzucamy tu kotwicę. Wsiadłem na ląd z kapitanem, którego interesa zniewoliły do przenocowania w mieście. Udałem się do apteki, dla zakupu niektórych lekarstw zapomnianych w Królewcu a potrzebnych do skompletowania mej apteczki okrętowej. Miałem szczęście spotkać tam doktora Hay, mego dawnego towarzysza nauk w Albertynie; z taką uprzejmością mnie zapraszał, abym ostanią noc mego pobytu na stałym lądzie przepędził w domu jego ojca, konsula angielskiego i bardzo poważnego negocyanta, że nie śmiałem odmówić. Dobrego, czulego przyjęcia doświadczyłem w kółku familijném pana Hay; opatrzone mnie dobrimi radami, listami rekomendacyjnymi i całym antalkiem wybornych jabłek na drogę; jedno, drugie i trzecie przydały mi się bardzo, jak to później zobaczymy.

Pan Hay i cała jego rodzina, należeli do sekty pietystów; u nich pobożność jest nie tylko środkiem do zniesienia życia, ale także i celem jego. Nie hucznie tedy przepędziliśmy wieczór, lecz w rozumnych, tkliwych a religijnych rozmowach. Jakaś błoga spokojność, jakieś pokrzepiające zaufanie wstąpiło w me serce; nim się rozeszliśmy, gospodarz wezwał nas wszystkich abyśmy ukłękli i z nim razem zmówili paciierz: „Boże! świeć twém świętém obliczem nad istotą wyrwaną w tak młodym wieku z koła rodziny, z kraju, z pod opieki ludzi, którzy go dziecięciami znali. Umysł jego rozwijaj, aby uznał wczesnie i póki jeszcze rzeźwe siły, że ty tylko Boże zastępów i łaski jesteś jedyném źródłem mądrości i sprawiedliwości na tym świecie i na tamym. Otwórz serce jego, aby miłe promienie twój dobroci znalazły doń łatwą drogę, aby w nim nigdy nie brakło miłości, nawet wtedy, gdy niewdzięczność ludzka, zawody i zmartwienia ostudzać zaczęły zapal młodzieńczy. Uzbrój duszę jego w siły wielkie, bo kto swoich opuszcza i nie wie kiedy do nich wróci, ten nieraz zatęskni do widowni młodości i na wielkie wystawiony boleści!”

Tak zakończył swą modlitwę konsul angielski i życzył mi z rozczuleniem wraz swą liczną rodziną dobrej nocy.

Długo jeszcze przechadzałem się samotny i w myślach pograżony po mym pokoju. Gotowałem się do zaciętego boju z przyszłością; odgadywałem cały szereg trudności, jakie będę musiał zwalczać, i raz jeszcze zmierzyłem me siły, rozwinąłem w myśli zastępy moje, z którymi trzeba działać zaczepnie i odpornie. Nie bardzo źle odbyła się ta rewia. Znam główne języki europejskie, innych mam początki; jestem w prawdzie świeżym tylko doktorem medycyny, ale w chirurgii wywodziłem się już praktycznie, dzięki operacyom, wykonywanym w klinice, dzięki praktyce pojedynkowej uniwersyteckiej; do pracy tak jestem nazwyczajony, że bez niej ani bym pojął szczęścia na ziemi; zdrowie me silne, wiara w Boga wielka. Wprawdzie też i duma nie mała, rzekłem do siebie, ale jej żywiołów nie czerpię w wyższości umysłu, wychowania lub rodu, tylko w całości honoru i czystości sumienia; ta duma bronić mnie będzie od skazy.

Jednak ani urok rzeczy nieznanych, ani potrzeba sprawdzenia swych zdolności, ani owe marzenia ciekawości, które miłością nauki zwiemy, nie potrafią w chwili opuszczenia

miejsce ukochanych dać nam zapomnieć, że rozstanie jest największym nieszczęściem dla serca tkliwego. Któż się nie obawia po długim rozłączeniu, znaleźć na ziemi rodzinnej żalobę, oziębłość, a może i zapomnienie?

I znów mnie przeszły smutne myśli, i oko łzą zaszło. Jeszcze raz rzuciłem się na kolana z własnego natchnienia i ręce wyciągnąłem ku niebu, błagając Gorzewnie o pomoc. „Tak jak jestem pewnym o Boże! że mnie nie płocha ciekawość pędzi, ani też chęć bogactw wiedzie; tak jak jestem przekonany, że z każdej nauki i z każdego nieszczęścia chcę korzystać dla mego wykształcenia; tak jak jestem pewnym, że wiele mogę znieść biedy, boleści i zmartwień bez szemrania przeciw twój świętej woli — tak ty mnie racz wspierać twą łaską i siłą: pozwól, abym dopiął celu i z czystym sercem, z bogatym plonem naukowym wrócił do kraju i świadczył mu dobre usługi.”

Tak błagałem. Księżyc wszedł świetny i pełny z po za drzew czarnych i zdawał się uśmiechać do mnie. „Oto ślub z niebem zawarty, pomyślałem sobie w duszy; niczego się nie lękam i spać mogę spokojnie!”

Nazajutrz rano udałem się w towarzystwie całej rodziny pana Hay na pokład okrętu, właśnie gdy podnoszono kotwicę, i czułem pożegnaniem zapieczętowałem długi szereg miłych wrażeń doznanych na gościnnych Bałtyku brzegach.

R O Z D Z I A Ł II.

ODJAZD Z PIŁAWY. — CHOROBA MORSKA. — NIWELLATOR SPOLE-
CZENSTWA. — CHOROBA LEKARSTWEM. — STERNIK. — SZTUKA ŻE-
GLAJSKA. — MANIPULACYE NAUTYCZNE. — WYSZUKANIE ZGUBIONEJ
SZEROKOŚCI LUB DŁUGOŚCI GEOGRAFICZNEJ. — PRZYGODY CZEPIAJĄ
SIĘ LUDZI ŻYWYCH I ODWAŻNYCH A NIE ŚLIMAKÓW. — WYSEPKA
KRISTIANSOE. — WYSPA BORNHOLM. — KĄPIELE NA OKRĘCIE POD-
CZAS CISZY MORSKIEJ. — ZUND. — WYSPA AMACK. — PRZYSTAŃ
KOPENHAGI. — ROZMOWA Z OFICEREM WOJSKA LĄDOWEGO DUN-
SKIEGO. —

Wzdęły się żagle pomyslnym a silnym wiatrem, fale co-
raz większe, coraz zieleniejsze ścigają za nami i unoszą lekką
Aurorę na zapienionych grzbietach, w otwarte morze. Je-
szcze któryś z przyjaciół wszedł na szczyt wysmukłej, białej
latarni morskiej panującej nad Piławą i przesyła powiewem
chustki ostatnie pożegnanie. Raz wlepiam oczy w znikające
brzegi, raz je rzucam z roskoszą na mgławą powierzchnię
zielonego żywiołu; walczą we mnie dwojakie uczucia: żal mi
tych, których opuszczam, i cieszę się do tych, których zobaczę.
Aż tu na raz. — Boże kochany! cóż to za nieznośne uczucie
mnie ogarnia? w głowie mi się kręci, dręczą mnie nudności
coraz wzrastające; zimny pot występuje na czoło, myśli ze-
brać nie mogę, ani ustać na śliskim pokładzie, na którym
padają ogromne płyty piany morskiej, a czasem i fala wcho-
dzi nieproszona. Co to jest, to okropne uczucie? walczę
z sobą, usiłuję zbierać rozprężone myśli, opanować siebie
samego; — nie sposób; — nie już nie może odwrócić méj uwa-
gi od przykrój rzeczywistości. Niezdolny do złożenia myśli,
chęć czerpać w cudzych myślach pomoc. Byron mnie nie o-
puszczał: szukam miejsca, w którym Child Harold żegna brze-
gi swój ojczyzny. Obrzydliwém mi się teraz wydało to po-
żegnanie, chociaż je nie raz z takim uniesieniem czytałem;
książka wypada z ręki: podnoszę ją, otwieram, i napadam na
stronnicę, na której Don Juan na okręcie, opuszczając kraj
i kochankę, rozwodzi swe ciężkie żale, przerywane wybucha-

mi zbuntowanego żołądka. Ah! teraz pojmuję, co mi jest: to choroba morska. Sternik widząc mnie wybladłego, radzi pokorne poddanie się losowi, a ulgi szukać w spoczynku.— Wówczas wierzyłem jeszcze w skuteczność lekarstwa przeciw morskogo daleko więcej przynajmniej jak dzisiaj;—więc uciekam się do soda—powders, bonbons de Malte, —bibułę napojoną rumem Jamaickim kładę na piersi. Nic nie pomogło, owszem stan mój jeszcze się pogorsza. Złorzecząc sodzie, Malcie, Byronowi i morzu samemu, zawlókłem się do kajuty, gdzie zdala od widoku ludzi, poddałem się bez żadnej kapitulacji na łaskę i niełaskę wszystkim kaprysom choroby morskiej.

Męczarnie wytrzymałem; choleryk pasujący się z śmiercią więcej cierpieć nie może; rozpacz mnie ogarnęła wraz z jakimiś nienawistnymi uczuciami przeciw całej ludzkości. Zarygłowałem drzwi kajuty, żeby mnie żaden człowiek w tym opłakanym stanie nie widział,—lękałem się wyraźnym przeczućm zniechęcić na wieki człowieka, którego fizyognomia połączyłaby się w mej pamięci z tą bolesną fantasmagoryą wyobraźni rozkiełznanej do najwyższego stopnia.

Nie wiem ile godzin cierpiałem; wiem tylko, że pomimo burzliwości morza, rozkołysania okrętu i skutku onegoż na mózg i nerwy żołądka, pomimo bólu głowy, usnąłem wreszcie snem twardym jak kamień; a gdym wrócił na pokład, księżyc jaśniał już w złotej pełni, wiatr dął silnie, ale mniej mიაł okrętem.

Brawo! panie Doktorze! brawo! zawoła na mnie sternik, okryty od głowy do kolan koszulą ze skóry krowy morskiej, nie dopuszczającej wilgoci do ciała. „Tęgo pan walczyłeś przeciw chorobie morskiej, poddałeś się dopiero po długim oporze i nie chciałeś mieć świadków swęj klęski.—To dobrze! — To pięknie!”

„Devil on the the seasickness!” odrzekłem.

„Owszem, owszem, panie Doktorze. Choroba morska to wielki niwellator społeczeństwa: nikt się jej nie oprze, ani bogaty, ani biedny, ani pan, ani dama, ani dostojny, ani człowiek z ludu. A przytęm pan Doktor jako lekarz powinien mieć pewne poważanie dla choroby morskiej: przecięż to podobno dobry środek przeciw suchotom płucowym.”—Nie wiedziałem o tęm dotychczas—odrzekłem w owęj chwili, ale późnięj poznałem w Drontheim doktora angielskiego,

który. dlatego tylko tułał się od roku po oceanie północnym, zawsze prawie wzburzonem, i najstarszych majtków częstokroć w chorobę morską wprawiającym, że ją uważał (te chorobę mówię) za antydot przeciw suchotom.

Tak rozumował Dr. Spider:—,Choroba morska sprawia ciągle nudności, i nie pozwala chorym ani jeść, ani pić. Organizm zwierzęcy tak jest usposobionym, że gdy mu nie przybywa żywności z zewnątrz, wówczas absorbuje, to jest wciąga w siebie tkanki i substancje organiczne w skład ciała wchodzące, a organizmowi mniej potrzebne, jako to: tłuszcz wysielający muszkuły, trzewia i t. d. Tak niedźwiedź, podczas zimowego odrętwienia, traci tłuszcz wysielający jego łapy, tak delikatnie smakujące gdy są upieczone. Gdzie tłuszczu nie ma, siła żywotna zwierzęca kontentuje się nawet utworami chorobliwymi zalegającymi jakie organa; to jest, przerabia je tajemniczą kuchnią chemii organicznej w krew, i żywi nią ciało. — A że suchot przyczyną są tuberkuły w miąższości płuc osiadłe, a zatem owe tuberkuły w części przynajmniej resorbują się, w krew wsiąkają, podczas głodu, na który się umyślnie skazuje, używający dobrodziejstw ciągłej morskiej choroby. Celu mego dopiąłem o tyle, że mi kaszel ustał wraz z gorączką poczynającą mię trawić. Zresztą, może też powietrze napełnione subtelnymi atomami wody słonej, wpływa korzystnie na organa oddechania służące; dość, że oczywiście doznaję ulgi i nie myślę ustawać w mych wycieczkach morskich nawet podczas zimy.” Tak rozumował Dr. Spider, i zimową porą puścił się z Drontheim do wysp Orknejskich.

Nie byłem wówczas jeszcze w stanie sprawdzić, czy koldze angielskiemu ubyły tuberkuły płucowe, gdyż sama perkussya zwodniczą nie raz jest rzeczą, a w auskultacyi, pod ten czas dopiero w fakultetach francuzkich praktycznie nauczanej, dostatecznie wyćwiczony nie byłem. Ale to wyznać muszę, że Dr. Spider wyglądał jak prawdziwy *spider*, to jest pajak: nogi i ramiona miał cienkie jak pałeczki od bębna; skóry zaś na twarzy tak mu przybrakło, że mu jej nie dostaowało na zamknięcie gęby, kiedy chciał oczy zamrużyć. Wyglądał prawdziwie jak szkielet w pargamin obsyty. Postanowiłem sobie nie zalecać kuracyi morskiej moim pacjentom na suchoty chorującym; wolę ich wysyłać do wód za-

granicznych, żeby sobie w ciepłym klimacie ożywiani nadzieją prędkiego wyzdrowienia wegitowali.

Ale wróćmy do naszego sternika.—Był to człowiek młody, zaledwie dwadzieścia trzy lata liczący, a już postać i twarz jego znamionowała owa spokojna duma i pewność, jakiej się najczęściej nabywa po długich walkach z oceanem. Już też lat czternaście zostawał w twardém rzemiośle żeglarza; wzrósł w niém od dziecka, w służbie marynarki kupieckiej Stanów Zjednoczonych Ameryki strawił lat siedm, i dosłużył się porucznikostwa. Wpływ instytucyj kraju tego wywarł na duszę i umysł młodego człowieka owe piętno uczucia własnej godności, które tak do twarzy ludziom, nie czerpiącym go ani w wysokości urodzenia, ani w bogactwie, tylko w wykształceniu,—lecz w wykształceniu duszy, nie w owém wygięciu manier, napstrzeniu pamięci i wyłamaniu sumienia, które *dobrem wychowaniem* zwykliśmy nazywać.

—„Czy ci się Bałtyk nie wydaje za ciasnym polem działania, Poruczniku, kiedy przywykłeś podróżować po oceanie Atlantyckim i południowym?”—spytałem sternika.

—„Bałtyk, to dla mnie kaczce jezioro, mój panie Doktorze!” odpowie sternik, kurcząc wzgardliwie ramionami; —„ale cóż mam począć? po stracie ojca i dwóch starszych braci, jestem jedyną podporą bardzo podeszłej a chorój i ubogiej matki. Wróciłem do mej ojczyzny Danii, i służę pod rozkazami wuja, tego pod żaglami osiwiatego kapitana. Wolę na czas skrepować me skrzydła jak nadwierać sumienie.”

Z samym kapitanem mało się mogłem rozmawiać; mówił wszystkimi językami, a żadnym dobrze. Służył niegdyś na okręcie długich kursów, jeździł do Indyj zachodnich i wschodnich. Dziwną miał fizyognomię: z lewej strony zaledwie szron się ukazywał na jego głowie, gęstym, kędzierzawym włosem pokrytej, z drugiej zaś strony miał bieluteńki, chudy porost na głowie, brwiach, rzęsach i faworytach. Strudzony usnął raz na pokładzie, przebywając równik w samo południe. Zar słońca wypieklł mu siły żywotne w włosach: osiwiiał w parę godzin, tak jak niegdyś Marya Antonina w skutku zmartwienia jednej nocy.

Wiatr ciągle przyjazny a niezbyt silny, dał w żagle. Wszystkie można było napiętrzyć w trzech warstwach jedne nad drugimi na obu masztach naszego brygu i na bugszprycie; zacząłem się poznawać z szczegółami budowy i prowa-

dzeniu okrętu; obznajmiać z ludźmi których losy miałem dzielić przez dni kilka.

—»Bieźmy z szybkością dziesięciu mil morskich na godzinę«, rzecze mi sternik.

—»A z kądże to wiecie? zapytałem.

—»Oto, odpowie sternik, wyrzucamy od czasu do czasu sznur bieżny dla sprawdzenia biegu; sznur ten na jednym końcu ma deszczułkę i doń przytwierdzony ciężar ołowiany, nurzający się dość głęboko w wodzie, i przymuszający deszczułkę do pozostania mniej więcej w tym samym miejscu na powierzchni wody; potem puszczaemy sznur naznaczony węzłami od pręta do pręta długości; trzymając w ręku klepsydrę pół-minutową, liczymy węzły, raz, dwa, trzy, dziesięć, pięćdziesiąt, i zatrzymujemy jak piasek w klepsydrze ubiegnie; potem mnożymy ilość prętów przez sto dwadzieścia, i wiemy, ile okręt w godzinę, w pewnym przez bussolę oznaczonym kierunku ubiegnie, i jeszcze raz sprawdzamy dla większej pewności.«

Takim sposobem nauczyłem się w każdym prawie dniu czegoś nowego;—schodziłem do kajuty, gdy sternik lub kapitan spisywał w *Log Buchu*, to jest księdze okrętowej, wszystkie jaknajmniejsze zmiany zaszłe w kierunku i sile wiatru, w kierunku lub biegu statku, w sprawowaniu się majtków a nawet passażerów, i oni bowiem figurowali w *Log-Buchu*. Admiralicya kupiecka Danii przestrzega porządku na każdym statku kupieckim duńskim, z trudną do uwierzenia skwapliwością. Kapitan musi codziennie sprawdzać kwadrantem stopień szerokości i długości geograficzej pod jakim się znajduje. Trudne bardzo jest użycie kwadrantu, mianowicie gdy słońce chmurami zasłonięte, a okręt nawałnicą miotany; co łatwo sobie wystawić: idzie tu bowiem o oznaczenie wysokości słońca odcinkiem kątowym, biorąc poziom za podstawę, a sekundę na chronometrze oznaczoną za czas, w którym się spostrzeżenie robi; słońce czasem się tylko na chwilę jawi, wówczas należy zmierzyć kwadrantem jego wysokość, formującą z poziomem taki lub taki kąt.— Przy stopniu kąta danym, i przy stopniu czasu na chronometrze danym, nie trudno zdaje się obrachować stopień szerokości i długości miejsca, w którym się znajduje obserwator, — a jednak najwywécześniejsze oko myli się często. Kapitan winien codziennie choć raz zrobić tę obserwacyę

i natychmiast spisać jej wynik w księdze okrętowej, z której nie wymazywać nie wolno, numera zaś oblepić kawałkiem papieru;—i sternik także ze swjej strony winien zrobić tę obserwację i zapisać ją, nie znając rezultatu wynikłego z postrzeżeń kapitana. Któżby to mógł przewidzieć, że ludzie, na pozór tak surowi, muszą jednak być tak dobrymi matematykami. Ale tu idzie o życie załogi okrętowej, o całość ładunku. W krajach, gdzie życie i owoc pracy szanować umieją, dawno już obmyślano sposoby zachowania jednego i drugiego od szwanku. I to nazywa się *cywilizacją*, a nie co innego; bo wiele jest ludzi umiejących prawie o Bakonie i Kancie, a do czego pożytecznego najzupełniej niezdolnych.

Nudności mi dokuczały i apetyt odbierały, żywiłem się jedynie jabłkami i sucharem okrętowym; wiatr był zimny, przejmujący; deszcz czasem padał, bałwany morskie pluśkały na pokład i nieraz mnie dobrym śmigusem poczęstowały, a jednak nie schodziłem prawie nigdy z pokładu, mianowicie gdy porucznik trzymał wartę. Poczciwy to był żeglarz! on ze swoich wiadomości nie robił tajemnicy; chętnie odpowiadał na me pytania, chociaż niekiedy śmiał się z mej ciekawości. Nie jedną mi też opowiadał przygodę z własnego życia, bo wiele widział i wiele doświadczył, będąc jeszcze młodym. Zazdrościłem mu wówczas, nie przewidując, że i moje życie płodnym będzie w przygody. Czemu są ludzie nie doświadczający żadnych przygód godnych opowiadania, a inni znowu nigdzie zająć, nie zrobić nie potrafią, coby nie wywołało jakich niezwykłych wypadków? Dziś poznawszy świat i ludzi tak różnostronnie, jestem może w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Temperament, sposób zatrudnienia, okoliczności, głównie wpływ wywierają na życie ludzkie; a gdy wszystko troje łączy się w wysokiej mierze, wówczas konieczne niezwykle sytuacje wyradzać się muszą z tego skojarzenia. Limfatyk, człowiek tak mało uzdatniony, że nikomu nie jest potrzebnym, istota siedząca w swjej skorupie jak ślimak, jakże mogą doświadczyć czegoś niezwykłego? Nic go nie interesuje, nikomu niepotrzebny, nigdy go nie ma tam, gdzie się coś dzieje; cóż zajmującego może mu się wydarzyć? Zgrają się w karty, upiją się, wyklóca; może postrzelą (najczęściej na polowaniu przez niezręczność), z bryczki wypadną wracając z jarmarku lub imienin:—oto cała gratka wrażeń niezwyuczajnych. Pełnemi si-

łami żyjąca istota, tysiąc razy więcej w jednym dniu działa i czuje, niżli inna niczém nierozbudzona w stanie jest pomysleć w całym biegu życia.

Czwartego dnia, w porannej godzinie, ujrzelśmy się w bliskości małej wysepki skalistej. Szczupły kawałek ziemi, zabudowany kilkunastu chatkami rybackimi, chroniącemi się od nawałnic poza trzema olbrzymiemi skałami w trójkąt ustawionemi: oto obraz tej wysepki. Na najwyższej z tych skał, wyniesionej około czterysta stóp nad powierzchnią morza, sterczy wieża sygnałowa i cytadela bardzo starożytna i malownicza, a na bastyonie flaga z olbrzymami i białym krzyżem.

Tą wysepką jest Chrystyansöe, a te olbrzymy i ten krzyż, to proporzec duński! Witaj nam tedy pierwsza ziemię Danii! pierwsza poznana przezemnie z twych licznych posiadłości rozsianych po czterech częściach świata, pod biegunami i równikiem. Chrystyansöe jest jednym z dziesięciu placów obronnych Danii europejskiej; forteca i czerwoni żołnierze, wyglądający z daleka jak koszenillowe pajęczki na olbrzymim kaktusie, pilnują czego? pilnują pół miliona gęsi erdredenowych, własności królowej duńskiej, a gnieźdzących się nad urwiskami skał, w rozpadlinach i ciasnych jaskiniach, słowem, w miejscach najniebezpieczniejszych. Pobieranie puchu tych uprzywilejowanych gęsi grozi licznemi niebezpieczeństwami, ale daje królowej do 100,000 złp. rocznej intraty. Każda gęś przynosi pożytku za sześć groszy polskich. To też są szanowane, równie szanowane jak niegdyś ich siostry na Kapitolu: nie wolno ich pod żadnym pozorem ani zabijać, ani niepokoić, ani nawet obmawiać; często siadają szyldwachowi na szylderhauzie, a nawet na bagniet, a biedny żołnierz, choćby był najgłodniejszy, co się w Danii przytrafi, nie poważy się nawet pożądliwém okiem spojrzeć na gęś Jéj Królewskiej Mości,—a często tak jest tłustą, że czuje jéj ciężar.

W kilka godzin później stanęliśmy po nad brzegiem północno-wschodnim wyspy Bornholm. To już spora wyspa, do pięciu mil geograficznych ma długości, a półtrzeciej szerokości, przeszło 20,000 mieszkańców i kilka miasteczek dość porządnych. Nie szczyei się wprawdzie żadnemi malowniczymi okolicami, ale żyzna, dobre ziarno i pyszne owo-

ce wydaje; dostarcza przytém całej Danii marmuru, wapna, a mianowicie tak potrzebnego jój węgla kamiennego.

Okręt nasz posuwał się wolno, i nieopodal od brzegu; kilka łodzi rybackich zbliżyło się, i wkrótce pokład nasz zasłanym był wybornemi na półtora łokcia długimi łososiami, jeszcze większemi stokfiszami i różnemi innemi rybami; brzegi Bornholm obfitują w takowe. Przy płynęciu do nas także jakaś partya młodzieńców, znajdujących się w wiosce rybackiej; byli to kupcy, urzędnicy, oficer jeden duński i kilku młodych żeglarzy sposobiących się na kapitanów marynarki kupieckiej. Duch najlepszy międzytymi młodymi ludźmi, z których każdy był czémś użytecznym w towarzystwie, lub sposobił się na użytecznego. Długo Lubeka, potem Szwecya panowały nad tą wyspą; dlatego téż język jój mieszkańców skażony jest niemieczyzną, i raczej szwedzkim jak duńskim żywiołem przesiąkły. Ale Bornholmcyki nie przyjęli ducha wraz z językiem. Utrzymuje się tutaj jeszcze bardzo dobrze w pamięci rewolucya, w której wyspiarze nasi zrzucili z siebie panowanie szwedzkie. Od tego czasu, każdy mieszkaniec jest żołnierzem, sam strzeże kraju swego i praw swych gminnych.

Wiatr słabiał, wolno nam z oczu znikały brzegi Bornholmu. Lecz wkrótce słońce zachodzące krwawo za grubym całunem obłoków, i krzyki morskiego ptactwa zapowiadały zmianę. Po długim wahanii ustalił się wiatr w kierunku południowo-zachodnim, i dąć zaczął z coraz większą gwałtownością. Długo walczył nasz statek, lecz nareszcie musiał się poddać, i tém więcej ku północy biec, im silniej wiatr dął w żagle. Zbliżaliśmy się zatem ku Szwecyi, a nie ku Danii. W nocy wiatr przybrał gwałtowność burzy. Ściągnięto wszystkie żagle, prócz kierunkowego na przodzie, ster przymocowano w kierunku wiatru. Pędziliśmy naprzód, miotani jak bawidełko z szczytów fali w jój odmęty, z głębi nurtów na pieniając się grzbiety bałwanów. Ciężkie obłoki raz zasłaniały tarcz księżyca i pogrążały nas w grubiej, nieprzejrzystej ciemności, drugi raz pierzchając ku północy, urozmaiconemi warstwami odsłaniały wzdętą, ognistą tarcz planety. Wówczas wszystko około nas świeciło jak w bengalskim ogniu i odbijało księżyc, tysiącem obrazów, w ścianach rozlicznie i różnorodnie pochyłonych szalonego żywiołu. Sam ledwie zdołałem utrzymać się na śliskim pokła-

dzie bitym falą i pochylonym nieraz przepadziło w górę, lub w dno odmętów. Czasem nawet niezmierne bałwany na pół się łamały w powietrzu i przebiegały cały pomost od tyłu na przód, przewracając wszystko, co na drodze spotkały, zabierając z sobą wszystko, co nie było mocno przytwierdzone, ba! wstrząsając masztami, pochylając je z przerażającym trzaskiem. Wówczas chwyciłem się jednej z lin takełazy, bujającej w powietrzu, lub też drabiny masztowej. Nie raz potężny bałwan złamał się o falę powracającą tuż za tyłem okrętu, wał wodnisty wkroczył na pokład, przekroczył go z tyłu na przód i uniósł mnie na swym zimnym zapienionym kryształe. Przemokłem do ostatniej nitki, drżałem z zimna, a jednak swego niewygodnego stanowiska opuścić nie chciałem. Nigdy nie byłem świadkiem tak okazałej sceneryi; nigdy nie widziałem morza tak pięknie rozhukanego; urok niebezpieczeństwa jeszcze większego mej roskoszy dodawał wdzięku. Drwię z ciebie Bałtyku, krzychałem duszą i głosem, nie dbając o zdrowie, o suknie i o życie nawet!

Zachwyconego pysznym widokiem, pasącego się własnych dumnych uczuć czarem, łapie mnie sternik w swe ramiona, krzycząc co miał gardła: „A to pan nowy jakiś sposób kąpania się obmyśliłeś, i oceanowi walkę wypowiadasz. Ej, panie! nie wyzywaj gniewu Boga, takie nadzwyczajności na złe wychodzą, żartować nie można, ani z kaprysem morza, ani z humorem kobiety. Opowiem panu dziwne zdarzenie, którego Aurora przed kilku miesiącami tu na tém samém miejscu była świadkiem; tylko pan zejźdź do kajuty, zrzuć z siebie te przemokłe suknie, połóż się w łóżko, i za-grzyj tęgą szklanką groku.”

Poszedłem za radą sternika i według jego programatu wykonałem czynności; a leżąc w dość wygodném, choć bardzo mocno kołyszącém się łóżku, prosiłem o opowiedzenie przygody.

„Szło tu o kąpiel, tak jak i teraz, panie. Zeszłego sierpnia, niósła nasza Aurora całą rodzinę cudzoziemców z Rewal do Kopenhagi. Był tam ojciec, matka, dwie córki, dwóch synów najrozmaitszego wieku. Cisza zupełna już od dwóch dni trwająca, przykuła nasz okręt do tego mniej więcej miejsca, nad którym teraz bujamy jak wściekli. Upał był nieznośny, powierzchnia morza gładziuteńka jak zwierciadło. Upał, cisza, nudy, dokuczały naszym podróżnym

okropnie; nie wiedząc jak sobie poradzić, prosili kapitana o pozwolenie wykapania się w łódce stojącej na pokładzie, między dwoma masztami. Kapitan znękany naleganiami, zezwolił. Dalejże tedy wypróżniać łódź z postronków i tysiąca innych rzeczy, wymywać ją i napełniać wodą w morzu czerpaną. Nasi amatorowie kąpeli, mężczyźni i kobiety, poprosiwszy nas, żebyśmy sobie zeszli do kajuty, rozebrali się w mgnieniu oka i bez wielkiej ceremonii wskoczyli *en famille* z okrzykami najżywszej radości do łodzi.

— „Jakto! wszyscy razem, i do tego *in naturalibus*?” przerwałem sternikowi.

„Wszyscy razem, ale nie zupełnie *in naturalibus*, bo w słomianym kapeluszu, i w płóciennych inexpressyblach; dziwne ci państwo mieli wyobrażenie o wstydlivości. Murzyna, naszego kucharza, nie wstydzili się wcale, dlatego że go jako niewolnika uważali. Roskószuje tedy całe gniazdo w kąpeli już od dwóch godzin, a my w naszych kryjówekach nie widzimy, że się z południa ściągnęła nagle jakaś czarna potężna elektryczna chmura; na raz jeden zajęczał ów wicher, który często w lecie przerywa zdradziecką ciszę Bałtyku; uderzył on całą siłą w bok okrętu, nachylił go wraz z łodzią wodą przepelnioną; woda plusnęła na zewnątrz, i wyrzuciła całą rodzinę amatorów kąpeli na pokład po prostu, jak kluski z garuka mleka. Wrzeszczą jak opętani biedni cudzoziemcy, wylani na twarde pokłady, potłuczeni i ze strachu potruchleli. Wyskakujemy z kajuty, i widzimy jak ich Domingo podnosi i po jednym, dając pierwszeństwo damom, na plecach do kajuty znosi; małpa zaś nasza, przyjaciółka Dominga, i tak w nim rozkochana, że go we wszystkim za wzór brała, porwała na swe barki jedną z małych córek naszego obywatela z Rewal i wlokła ją do kajuty. Była to rzecz prawdziwie zastraszająca, widzieć owe dwa czarne potwory: murzyna i urangutanga, porywające i unoszące do wnętrza okrętu dwie panny z rozpuszczonemi włosami, wyglądające jak omdlałe Najady, ubrane w inexpressyble. Tak tedy lepiej nie żartować z żywiołami, bo to na nic się nie przyda, a często na złe wychodzi.”

Skończył sternik swą anegdotkę, zajrzał jeszcze raz na pokład, wrócił do kajuty, wśliznął się do swego ciasnego

łoża i niebawem chrapnął najzdrowszym snem w świecie. I ja poszedłem za jego przykładem.

Trwała burza przez dni trzy, lecz nie w jednej sile; w różnych kierunkach miotani, od brzegów Szwecyi do Pomorza, ztąd znów do brzegów Danii, wpłynęliśmy nareszcie pomyślnym wiatrem do ujścia Zundu w Bałtyckie morze. Szybkie przejście z burzy do spokojności, widok brzegów pięknie uprawnego łądu, rozweselił jednogłównością tęsknione oczy.

O pół mili od Kopenhagi, na lewym brzegu Zundu, leży wyspa Amack, niegdyś bagnista, błotna. Krystiern IV. król duński oddał ją w posiadłość wychodźcom holenderskim, przesładowanym w własnej ojczyźnie o religię, i od tego czasu wyspa stała się kwitnącą, urodzajną i obfitą w doskonałą włoszczyznę. Mieszkańcy terażniejsi, potomkowie dawnych przybyszów, dochowali wiernie swój język, a nawet i strój narodowy, dość brzydki i mało zastosowany do klimatu Danii.

Już się kołysze nasza Aurora w falach przystani kopenhagskiej, na tych wodach, w które niegdyś tyle bohaterskiej krwi spłynęło. Dumnym jest Duńczyk z tej przystani i słusznie: urok historii zdobi to miejsce, już tak hojnie uposażone przez naturę, i przez ręce ludzkie tak okazałe przybrane.

Zarzuciliśmy kotwicę w świetnym porcie, między wysoką z granitu wystawioną cytadelą, sterzącą pośród przezroczystych wód Zundu, a miastem rozpostartém amfiteatralnie na wysokich bulwarach, i jeszcze wyższych wzgórzach, formujących drugi plan krajobrazu. Tam na prawo brzegi Szwecyi, widać nawet w dalekiej odległości miasto Malmö. Na lewo brzeg Danii i jej pyszna stolica, świetna tytu zamkami, kościołami i wieżami. Przed nami groźna cytadella Kronenberg, tkwiąca jak olbrzymi posąg w środku wód Zundu; a na około mnóstwo statków powiewających najrozlicniejszemi banderami, tańczące, bieżące, spoczywające na pięknym przezroczystym żywiole. Trudno mi było oderwać oczy od tego niespołziewanie czarującego widoku. Doprawdy coś podobnie świetnego w życiu mojem nie widziałem; uwierzyłem nareszcie słowom sternika, utrzymującego stale i walecznie, że prócz portu miasta Palermo, piękniejszego jak Kopenhagski w Europie nie masz. Ile to rzeczy nowych dla mych oczu za nowością tęskniącemi? Na kotwicach,

kołysało się poważnie kilka tych gmachów ogromnych, zwanych okrętami liniowymi, gmachów, zbudowanych ręką ludzką, kawałek po kawałku, a noszących w sobie ludność całego miasteczka.

Wysiadam wreszcie na ląd w towarzystwie sternika. Udaję się do odwachu portowego dla legitymacyi. Oficer komenderujący odwachem długo się naradzał z urzędnikiem policyjnym danym mu do pomocy, nareszcie rzekł bardzo grzecznie, z głębokim westchnieniem: „Panie doktorze, paszport pański nie wizowany przez konsula duńskiego w Królewcu, nie daje ci prawa przepędzić noey na gruncie duńskim.”

„Tém lepiej, zawoła sternik, będzie nocował na okręcie, na wodach duńskich, gościnniejszych widać jak wasza ziemia!”

„Bo dopilnować ich trudniej, „odparł oficer, na którego licach wystąpił rumieniec czerwiejszy od jego munduru.

ROZDZIAŁ III.

POCZĄTKI KOPENHAGI.—KRÓL KRZYSZTOFER.—POŻARY.—HONOROWY ZŁODZIEJ.—THORWALDSEN.—MUZEUM THORWALDSENA.—GENIUSZ ŚMIERCI.—KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ.—JAN CHRZCICIEL.—ODKUPICIEL I JEGO APOSTOŁOWIE.—POGRZEB.—CMENTARZ CYWILNY, WOJSKOWY I MARYNARKI.—GROBOWIEC PÓLNOCNY.—BITWA POD KOPENHAGĄ DNIA 11. KWIETNIA 1801 ROKU.—WALECZNOŚĆ DUŃCZYKÓW.—PODSTĘP NELSONA.

Stolicy duńskiej początki wcale się nie kryją w pomroce wieków; nie wiele ona jest starszą od Berlina, ale pod każdym względem prześciga go pięknnością, nawet co do kościołów, i bogatszą jest w historyczne pomniki.

W jedenastym wieku, Kopenhaga była tylko małą wioską, zamieszkaną przez rybaków i kupców, i ztąd jej nazwisko, Kjöbenhavn, bowiem znaczy po duńsku to samo, co przystań kupiecka. Waldemar II. darował tę wioskę Absalonowi biskupowi Røskildy, a ten dla obrony chyżo wzrastającej osady, kazał wybudować warownię na wysepce, na której teraz wznosi się zamek Krystyanburg.

Szczęśliwie położona dla rybołówstwa i dla handlu, Kopenhaga zakwitła w bardzo krótkim czasie, i już w 1254. r. otrzymała prawa miejskie, a następcy Waldemara odebrali następcom Absalona dawną posiadłość. Pod królem Krzysztoferem Kopenhaga wzniesioną została do godności stolicy duńskiej, i odtąd poczynają się jej dzieje, jako wiele znaczące w historii świata i nauki.

W r. 1479. założono tu wszechnicę, dziś do 800 uczniów liczącą. Dobry król Krystyern IV. przyłożył się najwięcej do zbogacenia i upiększenia miasta: pomiędzy innemi gmachami, wystawił on ów ratusz, burzę, i pałac Rosenborg, jeden z najpiękniejszych gotyckich pomników, oraz wspomnianą już cytadelę Krystyanborg, zajmującą niegdyś prawie milę obwodu. Trzy okropne pożary (r. 1728., 1794. i 1807.) przy-

łożyły się do sprostowania ulic i uregulowania placów; ale też pochłoneły pomiędzy innymi pyszny Krystyanborg, którego wzniesienie kosztowało sześć milionów talarów. Mieściła się w nim cała królewska rodzina, bardzo liczna przed niedawnym czasem jeszcze; przeszło 700 dygnitarzy, służących i gwardyjaków dworskich. Ogień ten wybuchł w marcu r. 1794. o 4-jej godzinie po południu, z okropną wściekłością, i nie wiedzieć z jakiego miejsca. Wiele ludzi poginęło w pożarze, nim z gmachu ujszćzdołało. Już około północy cały gmach stał w ogniu i z tysiąca okien płomień buchał z niezwalczoną siłą. Miał to być widok nad wszelkie opisy okropny i piękny. Największa część kosztowności zawartych w zamku została uratowaną i rodzinie królewskiej przez biednych obdartych ludzi wróconą; co jasno dowodzi, jak szczerze Duńczycy kochali swego monarchę. Jeden majtek przyniósł swemu kapitanowi skrzyneczkę z dyamentami uratowaną z pożaru, z prośbą, aby ją kapitan doręczył Królowi. »Cóż to, do czarta, Hauberze, od kiedy stałeś się uczciwym człowiekiem?« zawołał zwierzchnik zdziwiony. »Oto panie kapitanie« odpowie z flegmą majtek, »daliśmy sobie słowo honoru, że dziś kraść nie będziemy.« A tak, i w złodziejach odezwie się sumienie w wyjątkowych okolicznościach.

Dziś, tylko część Krystyanburga odbudowano, reszta sterczy w groźnych okopconych zwaliskach, jako symbol dawnej potęgi duńskiej.

Ale z tém wszystkiém Kopenhagę zdobią jeszcze okazałe budowle, zamki królewskie i kościoły ozdobione cudnymi rzeźbami. Dłuto Thorwaldsena nadało wielu budynkom piętno artystowskie i wywarło więcej wpływu na umysły rodaków, niżli w innych krajach szereg długi bohaterów pozostawił śladu po sobie. Ci dali w puszczynie krótkotrwałe poczucie siły fizycznej,—on skromny artysta w pocie czoła pracując, zdołał potężnym swém dłutem wydzwignąć z chaotycznych przeczuć jasne wyobrażenia dobrego smaku i piękna. On cywilizował swój naród, przedstawiając dłutem swém wysoki stopień szlachetności, do jakiej wnieść się może geniusz narodowy. Szczęśliwy Thorwaldsen! On w zawoździe swoim jeszcze za życia znalazł to, za czém w innych krajach wielu ludzi znakomitych nadaremnie goni; znalazł powszechne uznanie swego talentu, objawiające się z takim zapałem, że hydra zazdrości, ten potwór wylęgły w sercu za-

rozumiałej mierności, szkodzić mu nigdy nie zdołała. Naród pyszni się utworami Thorwaldsena! Wszędzie je znajdujesz oddane gipsem lub marmurem na ulicach, w sklepach, u bogatych i biednych, u dostojnych i małych; każdy Duńczyk chce posiadać jakiś dowód talentu rodaka. Thorwaldsenowi nie brakło zachęty; dlatego też może wygórował do stopnia tak wysokiego, że stanął na równi z najpierwszymi mistrzami tej sztuki. Dania wystawiła dla przechowania utworów rzeźbiarskich Thorwaldsena osobne muzeum jego nazwiskiem oznaczone. Podwoje te były dla mnie światem jakimś nowym, nieprzeczuwanym nigdy. Jedna z płaskorzeźb przedstawia młodziana siedzącego na skale, oczu jego zawarte, w zwieszonej prawicy trzyma na dół obróconą gąsnię pochodnię, w lewej zaś ręce na kolanie spoczywającą, wianek śmiertelny. Anielski wyraz głębokiej smutności osiadł na obliczu i na tych uśmiechających się ustach. Czy nie czujesz w tym zgonie powiewu zmartwychwstania? Tak, ten młodzian, to geniusz śmierci; ja to odgadłem, oczu mych od tej rzeźby oderwać nie mogłem, i z zimnego marmuru w jednej chwili wyczytałem księgi całe nowych pojęć i uczuć rzewnych, świat cały zabrzmiał w mej duszy. Nie! nie! Śmierć nie jest końcem wszystkiego! powtórzyły echa mego ducha, i od tego czasu odzywają się te echa, gdy myśl znikomości serce me przeszyje. Thorwaldsen jest chrześcijańskim artystą, on znał i uczuł źródło, z którego płynie wszystka prawda i wszystkie piękno.

Całą księgę poświęciłbym opisowi cudotworów Thorwaldsena, gdybym jednemu przedmiotowi mógł oddać te stronnice; ale te wierne powierniki mych wrażeń urozmaicone być muszą, tak jak była rozmaita ma przeszłość. Tylko jeszcze kilka chwil szczęścia dłutowi Thorwaldsena winnego, niech to me nieudolne pióro odda jeśli może.

Idźmy do kościoła Matki Boskiej, jest on istną świątynią chwały duńskiego rzeźbiarza. Zaraz przy wstępie wita nas Jan Chrzyciel, stojący na szczycie opoki, ogłaszający nam poselstwo zbawienia. W lewej ręce jego laska pasterska, prawa wskazuje niebo. Czy może twarz najszlachetniejszego człowieka wyrażać więcej zachwycenia, jak wyraża ta głowa marmurowa? Potęga *słowa*, objawia się na postaciach otaczających kaznodzieję na puszczy; są tam starzy i dzieci, kobiety najrozmaitszych wieków i kształtów, wszystko po-

dobne do siebie jednym i tym samym wyrazem, wszystko zrównane pojęciem jednej wiecznej prawdy. Duch chrystyanizmu osiadł na tym cudnym kamieniu.

W wnętrzu kościoła zbliżył się do Tego, którego Jan Chrzciciel tęskniący zwiastował ludzkości. Nawa kościoła tworzy podługowaty czworobok, kończący się chórem półkolistym. W środku stoi na wzniesieniu nasz Odkupiciel, obok niego u stóp filarów, na prawo sześciu i na lewo sześciu apostołów. Każdego z nich poznasz od razu, jeżeli znasz główne rysy dziejów tych dzielnych mężów. Piotr trzyma klucze; Paweł miecz dzierży; Maciej spisuje ewangelię, anioł mu towarzyszy, u nóg jego leży worek, znamie dawnego celnika; Jakób starszy (syn Zebedeusza) w pielgrzymce tu zaszedł, bo kij trzyma w rękę; Tomasz w postaci zamysłonej, długo on wątpi, nim uwierzy, kompas w prawicy znaczy, że nie łatwo go przekonać; Filip na krzyżu wsparty; Jakób młodszy (syn Alfeusza) w bogobojnych zatopiony marzeniach, piękną ma nadzwyczaj twarz i do twarzy Chrystusa podobną, był bowiem jego bratem ciotecznym; Szymon gorliwy (Zelota) piłę ma, narzędzie swego męczeństwa; Bartłomiej zaś nóż, pod którym niegdyś słowo prawdy usprawiedliwił; Andrzej wspiera się na krzyżu, do którego go przybito; Jan oczy pełne boskiego ognia wlepił w niebo, a w rękę trzyma owe pióro, którym spisał objawienia, a orzeł u stóp jego spoziera na niego; Tadeusz do modlitwy ręce składa, pod pachą u niego topór co go zabił.

Jezus Chrystus zamartwychwstał! Tak go wyobraża geniusz rzeźbiarza. Na piersiach rana włócznią zadana, długa szata spadająca z ramienia lewego na ziemię; a w rysach tego oblicza niewypowiedzianej piękności meźkiej, tkwi miłość i przebaczenie, miłość bez granic dla tych ludzi, którzy na jego mękę patrzeli! którzy na jego śmierć zezwolili! którzy, Jego—grzechy świata okupującego, na tak okrutną karę skazali! Ręce jego wyciągnięte, uściskać cię chcą i błogostawić razem; usta jego mówią: Pokój niech będzie z wami! A to powitanie tętni potężnie w duszy widza, i pewno nie przebrzmi, jeśli sam swego szczęścia nogami deptać nie będzie i wiernym pozostanie życia swego najuroczystszym chwilom; lub też choć czasem wzniesie się z chaosu, objaw nieśmiertelnej duszy przytłumiającego, i w takich momentach błaga o nadzieję, że już doń nie wróci.

Tłumnie darły się do serca mego te uczucia, i w pamięci zapisał dłut Thorwaldsena jeszcze godne swych marmurów ślady. Ukorzyłem się przed Bogiem i przed geniuszem bliźniego, który Bogu tak wiernie, tak serdecznie służyć umiał, i po raz pierwszy w mém życiu pojąłem moc i godność prawdziwej sztuki.

Opuszczam kościół, i przed jego podwojami sam siebie pytam, gdzie me kroki zwrócę, bo już nie chciałem żadnej płochęj ciekawości zaspokojeniem niszczyć doznanego wrażenia. Wiedziałem, że mego usposobienia solennego profanować nie będę zwiedzaniem burs, ogrodów, rękodzielni, pałaców królewskich, lub też nawet zakładów naukowych, nawet dobroczynnych.

Wtém z ulicy przystępuje ku mnie orszak jakiś czarny, wolno, poważnie, cicho, uroczyście, i ośmiu czarno ubranych ludzi niesie na swych ramionach coś, co z pierwszego wejścia więcej podobne do monumentu żałobnego jak do trumny. A jednak była to trumna, nie wesola, nie karmazynowa trumna z festonami i złotemi frędzlami, wycięta z głowy do nóg według wzrostu i tuszy, elegancko, foremnie; tylko trumna czarna, monumentalna, białemi płaskorzeźbami, metamorfozy godła przedstawiającemi, ozdobiona. Dusza ma szukała harmonii: znalazła ją, bo wychodząc z kościoła, gdzie zmartwychwstałego widziałem, spotykam pogrzeb. Odprowadźmy tego nieznanego umarłego bliźniego na cmentarz, wszakże nas myśl śmierci nie przestrasza: w muzeum Thorwaldsena podziwialiśmy *geniusz śmierci* młodzieńca niezwykłego, a jaśniejącego łuną wieczności.

Jest coś nadzwyczaj rozrzewniającego w owęj miłości, z jaką człowiek pielęgnuje pamiątkę umarłych w hołdzie oddawanym istotom, które nam za to podziękować nie mogą. To piękny dowód zacności natury ludzkiej; powinienby on przeświadczyć owe roje materialistów, niedowiarków, mizantropów, trujących społeczeństwo swemi bezsercowemi płaskimi zasadami o potrzebie i rozumności tego wszystkiego, co oni nazywają przesadami i poezją, a co istotnie jest po prostu tylko wiarą w istność czegoś piękniejszego, jak to nasze ciało, to nasze ciało zawsze bardzo brzydkie i znikome, choćby było najforemniejsze i najzdrowsze. Ale co im tu prawie o spirytualizmie, owym istotom, które dlatego tylko wyrzekły się wiary w coś lepszego, żeby się mogły nasycić z tém

większą pychę pożądlivościami namiętnego ciała. Duszy lepszej wiedza zatoneła u nich w próżności serca i w dobrym apetycie; nie wiem czy tacy ludzie czują potrzebę pozostawienia po sobie prawa do cześci żyjących; najczęściej, zdaje mi się, nie dbają o to, bo pewnoby nie poświęcili jednej chwili zadowolenia dla jednego z tych serdecznych, głębokich, pomimowolnych westchnień, któremi ludzie dobrzy przesyłają powitanie duszy nieśmiertelnej zakopanego w ziemi, przetrwanego od robaków nieboszczyka.

Że materyaliści, niedowiarki lub mizantropy nie oddają żadnej cześci ludziom, których ciało już nie żyje między nami, to jeszcze może być pojętym; bo jedni wierzą tylko w ciało, drudzy w nic nie wierzą, a trzeci nie nie kochają. Ale że ludzie, że chrześciance, w tłumaczeniu dogmatów religijnych znajdują powód do odmawiania nieboszczykom cześci i modłów, to rzecz prawie nie do pojęcia, a jednak tak jest. Są narody, u których cmentarz jest tylko polem przeznaczonym do przetrwania ciał umarłych; są wyznania, których zasady nie dopuszczają, aby modły pozostałych przy życiu istot mogły wpłynąć na losy lubych nam istot usuniętych z widowni ziemskiej. Anglik na przykład, nie chcąc się ani na chwilę rozstać się z swym egoizmem, i minąć z zimną, nieubłaganie krótkowidzącą loiką, utrzymuje, że dusza ludzka, powołana przed tron niebieski, nie potrzebuje naszych wstawień, że sama wymowniej swe sprawy bronić będzie umiała, że zresztą, gdy mamy czas modlić się do Boga, lepiej zrobimy, jeżeli sami za siebie modlić się będziemy, bo i my bardzo grzeszni i łaski Bożej wielce potrzebujemy.

Tak istotnie rezonują Anglicy, mianowicie augielscy protestanci; ale Duńczycy, choć w wielu względach do Anglików zbliżeni, pod nie jednym względem wyżsiją od nich: więcej posiadają wszechstronnego wykształcenia i dobrego smaku, i przedewszystkiem nieskończenie więcej mają sercowości, serdeczności i uczucia. To też je objawiają w bardzo piękny sposób rozrzewniającą miłością, z jaką przechowują pamięć swych zmarłych. Cmentarz Kopenhagi jest jednym z najpiękniejszych świata; tyle w nim okazałych drzew, pysznych kwiatów, spacerów rozmaitych, ławek dla dumających i znudzonych; wszystko tu znajdziesz, co najwykwintniejszy ogród przedstawić może, ale znajdziesz także coś więcej. Po obu stronach szerokich alei ciągnie się szereg małych, zupełnie

dó siebie podobnych ogródków, odgraniczonych jeden od drugiego nisko strzyżonym płotem ligustru. W środku każdego z tych ogródków wznosi się mogiła grobowa bielutką jak śnieg piaskiem wysypana, a u głów mogił stoją kamienie grobowe najrozmaitszych kształtów, ale zawsze skromne i gustowne, dowodzące, ile dobrego smaku posiadają rodacy Thorwaldsena. Na około mogiły najcudniejsze kwiaty w ziemi i doniczkach; biała mogiła wykwita jak dziewczica pośród barw i woni kwiatów. Tak mało od siebie różne, a zupełnie w jednakowy sposób ogrodzone, ciągną się szeregi mogił w prawo i lewo od każdej alei, ocienionej klonami, akacyami, wierzbami płaczącymi, lipą i kasztanem. Ta jednostajność nie jest nudną, i owszem budzi jakieś poważne a spokojne, godne tych miejsc uczucie. Oh tak! w tém cichém monotonném ustroniu, z którego wyziera tyle tysięcy śnieżnych mogił, znajdziesz jakieś dziwne nieznanie ci życie; znajdziesz coś głębiej przenikającego, jak w pysznym cmentarzu ojca Lachaisa, lub w Liwurneńskim polu pokoju, zapelnioném kaplicami, napstrzoném statuami, napuszczoném napisami.

Wojsko i marynarka osobne posiadają cmentarze. Waleczni żeglarze duńscy spoczywają w miejscu podobném raczej do kwiecistego parku, jak do cmentarza. Wielkie przestrzenie gruntu pyszną okryte darnią. Tu i owdzie tylko kamień grobowy, a żadnych mogił. To część najdawniejsza cmentarza; znajdziesz na tych kamieniach nazwiska, od których dźwięku temu trzy wieku drżał jeszcze Albion, drżała Holandia, a Neptuncieszył się w odmęcie oceanu. W nowszej części cmentarza ujrzysz te same szeregi bielutkich mogił, jakie widziałeś na cmentarzu cywilnych. W samym środku stoi wysoki pomnik, któremu chętnie cześć złożysz. Wysoki to jak Krakusa kopiec, cały zarosły wysokimi świerkami, kręta ścieżka prowadzi na szczyt jego; a tu stoi pomnik surowej okazałości, od którego się dowiesz, że 1299 walecznych Duńczyków poległych w dniu 2. kwietnia 1801. r. w obronie kraju pod murami stolicy, leży tu pogrzebanych pod tym kopcem, oczekując zmartwychwstania. Oto prawdziwie mężki północny grobowiec, przejmujący jak woń naszej ziemi i trwały jak glob ziemski.

Zakończmy wrażenia dnia tego opisem pamiętnej walki, dającej Duńskiemu krajowi prawo zwania się naszym bratem.

Po wybuchu francuzkiej rewolucyi, Anglia i jej sprzymierzeńcy, prowadziła wojnę przeciw Francyi. Dania pozostała neutralna, i przez to jej handel wielkie zyskiwał korzyści, pod protekcją bowiem flagi neutralnej mogła do portów stron wojujących sprowadzać wszystkie towary, prócz broni i amunicyi. Ale Anglia już dzierżyła wówczas trójząb Neptuna, i zazdrosna na przywileje neutralności prawem narodowem uswięcone, poważyła się zabierać ładunek neutralnych okrętów. Ztąd powstało przymierze zbrojnej neutralności pomiędzy Rosssyą, Szwecyą i Danią, do którego później przystąpiła Portugalia i Prussy. Anglia chciała ogłodzić młodą Rzeczpospolitą francuzką, i blokadą obłożyła przystanie Francyi. Dania ufając swemu prawu, blokady tej uznać nie chciała i wspólnie z Szwecyą posyłała żywność Francyi na statkach eskortowanych marynarką wojenną. Flota angielska poważyła się sięgnąć zbrojną ręką po statki wojenne duńskie krążące po kanale Manszy. Cesarz Paweł, obruszony tym wtargnięciem gwałtu w prawo, zabrał okręty angielskie znajdujące się w portach swego państwa; toż samo zrobiła Szwecya i Dania. Anglia mścić się zaczęła na statkach rossyjskich, szwedzkich i duńskich, zabrała wyspy duńskie w Indyach Zachodnich, i wysłała przeciw Danii mocną flotę pod dowództwem Admirala Parker, głównie dowodzącego, i Nelsona, sławnego swym zwycięstwem pod Abukir. Dnia 23. marca flota ta wypłynęła do Zundu i tu czekała na wiatr pomyślny, aby nim objechać z daleka groźną w środku wód sterczącą fortecę Kronenborg. Zjawił się wiatr oczekiwany. Dwadzieścia okrętów bojowych, drugie tyle fregat, brygów, kutrów paleńców, ze wszystkiemi 81 statków angielskich, okrążyło ze strony Szwecyi przystań Kopenhagi. Szwecya nie przygotowana, ani jednym pociskiem floty tej nie przywitała. Dania także tego najścia nie spodziewała się wcale; mało miała w porcie statków pod żaglami, mniej jeszcze załogi. Tylko staremi statkami z masztów ogołoconemi, promami kanonierskimi na prędcie zrobionemi, odeprzeć mogła najeźdźników siły. Statki pozbawione masztów nieruchome były, tylko z jednej strony strzelać mogły. Pod żaglami znajdowały się tylko dwa okręty liniowe, jedna fregata, jeden bryg i 12 łodzi kanonierskich. Jednak rozpacz nie ogarnęła serc Duńczyków. Każdy gotów był do walki, rzucił zwykłe swe zatrudnienia i biegł bronić swój kraj. Akademicy uformowali

się w hufiec wojskowy 800 ludzi liczący. Zapał ciągle wzrastał w oczekiwaniu krwawego boju. Dnia 1. kwietnia nocną porą zbliżył się Nelson ze strony południowej o pół mili do statków nieruchomych duńskich. Dnia 2. kwietnia, o 10-téj rannéj godzinie, rozpoczął się ogień morderczy. Anglicy korzystając ze swych żagli, w kilka statków razem oblegli każdy orłóg duński i tak długo walczyli aż go w morze pograżyli; luzowali się nawet, by sobie wygodnie odetchnąć. Tak była nierówną owa okropna bitwa, a jednak w obliczu pewnej prawie śmierci i bez nadziei zwycięstwa walcząc, Duńczycy nie stąbili na duchu, bo honor ocalić chcieli, a ten się zawsze da ocalić z poświęceniem życia, gdy męstwo wytrwa aż do ostatniej chwili. Orłóg duński Provesten (kamień probierczy) miał dział 56, ale ich użyć mógł tylko połowę, to jest 28, i niemi odpowiadał na ogień zionący z 186 armat angielskich. Z załogi jego liczącej 515 ludzi, pozostało 10 nie rannych po walce pięciogodzinnej; nareszcie przedziurawiony jak przetak kulami nieprzyjaciół, zatonął, nie przestając dawać ognia. Inny statek Dannebrog, pod komendantem Fiszer, w powietrze został wysadzony; 336 ludzi straciło na nim życie. A jednak zapał Duńczyków nie stygł w widoku tylu strat i śmierci; Anglicy tyle ucierpieli mianowicie na okrętach dowodzonych przez Nelsona, że widząc to admirał Parker, zwątpił o zwycięstwie i dał sygnał do odwrotu. Nelson przechadzał się spokojnie po pokładzie swego okrętu zawałonym trupami i zgruchotanym masztem. Oficer podkomendny oznajmuje mu, że sygnał do odwrotu zatknięty na maszcie głównego Admirała; Nelson udaje, że nie słyszy i nie przestaje walczyć. Oficer jeszcze raz oznajmia, że sygnał do odwrotu zatknięty. Nelson przybliżył perspektywę do swego oka jeszcze pod Abukir wystrzelonego, i rzekł: — »Nie widzę sygnału do odwrotu, dostrzedz go nie mogę. Dalej—kazać mi przybić sygnał bojogwoździami do masztu, nikt go ztamtąd nie zdejmie, chyba ma lewa ręka.« A i lewą rękę miał ustrzeloną, sygnał więc pozostał i zwycięstwa się doczekał.

Kapitan angielski Rion, dowodzący fregatą Amazona, tą samą, która przerobiona na statek parowy przed kilku tygodniami spłonęła na morzu, tak się blisko podsunął do baterii morskiej Kronenborg, że mu w jednej chwili wszystkie maszty ustrzelono. « Brawo! krzyknie uradowany, teraz się co-

fnąć nie możemy, choćbyśmy chcieli!» I w tej chwili kula zmiotła go z pokładu wraz z sekretarzem i trzema ludźmi.

Sto było z każdej strony podobnych bohaterskich czynów, wyliczyć je trudno, chociaż je nie jeden w wiernej przechowuje pamięci. Siedmastoletni duński midszipman Willemow, jedyny pozostały oficer na promie kanonierskim 24 dział nosącym, korzystając z dymu zasłaniającego widnokrąg, zbliżył się tuż pod statek, na którym dowodził Nelson, i przez całe dwie godziny przeszywał go nielitościwemi strzałami. — Nelson nie mógł się pozbyć niewygodnego sąsiada, choć do niego kazał walić bezustannie. Willemow, widząc, że amunicya i ludzie prawie wypotrzebowani, cofnął się pod Kronenborg, trzymając nieprzyjaciela w należytem oddaleniu resztą dobrze wymierzonych strzałów. Nelson zachwycony był tą zastanawiającą walecznością młodego nieprzyjaciela, i potem, po bitwie, w czasie zawieszenia broni, odszukał Willemowa, aby mu wynurzyć swe serdeczne podziwienie.

Już prawie wszystkie statki duńskie ucichły, jedne na dnie morza leżą, drugie w powietrze wysadzone, dwa się dostały w ręce Nelsona, inne jeszcze wystrzelały amunicyę; nie podają się jednak Duńczycy, jeszcze walczą. Wtém przyплыł morza i nagły wiatr porывa kilka okrętów liniowych Nelsona i niesie je ku Kronenborgowi. Korzystają z tego kanonierzy, strzałem dobrze wymierzonym rażą Anglików, rwą się maszty, pięć okrętów angielskich w największym niebezpieczeństwie. Nelson widzi, że zwycięstwo zwraca się na stronę słabszych, i ucieka się do podstępny nie zupełnie zaszczytnego. Piśze, nie do naczelnego wodza siły zbrojnej duńskiej, lecz do Królewicza Regenta: że jeśli natychmiast ogień nie ustanie z Kronenborga, wówczas on, Nelson, każe spalić dwa okręty zabrane Duńczykom wraz z ich załogą po największej części ranną, a dochodzącą do 2500 ludzi. Królewicz, zamiast przesać list Fiszerowi, naczelnemu wodzowi znajdującemu krytyczne położenie Nelsona, dał się zastraszyć groźbą, i zawarł z pośpiechem zawieszenie broni. Dopiero gdy biała flaga pokoju powiewała i dym się rozszedł; postrzeżono, że fortelem tylko Nelson unikł zagłady: bo większa połowa jego okrętów osiadła na ławach piaszczystych, a kilka bliskich było zatonięcia. Duńczycy w dniu tym pamiętnym stracili 1299 ludzi, Anglicy zaś 943 według własnej rachuby.

Na drugi dzień Nelson złożył swe uszanowanie Królewiczo-
wi Regentowi Danii i w wyrazach najpochlebniejszych wynosi
męstwo Duńczyków. »Francuzi biją się dzielnie, ale jednej
godziny nie zniesliby ognia, jaki Duńczycy przez pięć godzin
wytrzymali«, zaręczał Nelson.

Dania liczyła na pomoc Rossyi i Szwecyi, i dlatego nie
spieszyła się z zawarciem pokoju. Ale flota rosyjska za-
marzała w porcie Rewel, a Szwecya struchlała. Dania musiała
zawrzeć zawieszenie broni na 14 tygodni, pod warunkami bar-
dzo dla niej zaszczytnymi.

Duńska ojczyzna pokazała się wdzięczną dla synów swych
broniących ją tak mężnie. Wiele pozostało wdów i sierot po
tym krwawym dniu; ale hojna, wspaniała pomoc wszędzie
łagodziła nieszczęście. W pierwszym dniu wielkanocnym ro-
ku 1801. (dnia 2. kwietnia), orszak poległych niesiony na bar-
kach całej ludności duńskiej, udał się na miejsce ostatniego
spoczynku na tej ziemi, do cmentarza marynarki. Działa
duńskie i angielskie żałobnymi salwami żegnały przyjaciół, co
tak serdecznie bronili, i nieprzyjaciół, co tak dzielnie bili, że
po zadanym ciosie pozostała sława.

Potężną mogiłę zasadzono świerkami, a szczyt jój, z które-
go widok na modry zbałwaniony plac boju, uwieczniono po-
mnikiem. Nie znikną tam nazwiska, jak znikają z kolumny
lipcowej; a z pod mogiły nie przeprowadzą się ciała bohaterów,
jak się sprowadziły ciała trybunów z pod Panteonu do
Mont-faucon.

Anglicy zaś, w sześć lat później, nie mogąc walką zwyciężyć
Danii, chcieli ją dobić okropnym bombardowaniem, trwają-
cym od 2. do 5. września 1807. roku. Trzysta pięć w niem
zgorzało domów, do 2000 ludzi poległo, cała flota zabrana
została! Tém wykroczeniem przeciw prawu narodów Anglia
pewno sławy swój nie powiększyła. Niezmierna klęska do-
znana przez Duńczyków, wryła się niezatartemi rysami w ich
pamięć; ale siłnie odebrała. Chlubne zwycięstwo odniesione
niedawnemi czasy nad Niemcami, jest tego dowodem. Dania
pobiła na tyłu placach boju pod Friedrichstadt i Rendsbur-
giem, całą ową sympatyą, jaką w Germańskiej młodzieży
wzniecić zdołała sprawa Szlezwig-holsztyńska, i dziś jeszcze
ma prawo uważać się za bohaterską krainę.

ROZDZIAŁ IV.

ARCHITEKTURA GMACHÓW KOPENHAGI.—RATUSZ.—KOŚCIÓŁ MARMUROWY.—AMALIENBORG.—NYBODER.—WIEŻA KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY.—FREDERICHSBORG.—PRZYTULEK POETY OEHLENSCHLAGERA.—KRISTYANSBORG.—GALERYA OBRAZÓW.—KSIĘGOZBIÓR.—OGRÓD BOTANICZNY.—HERMITAGE I JEJ KRYNICA.—OBELISK NA PAMIĄTKĘ ZNIESIENIA PODDAŃSTWA.—TEATR FRANCUSKI.—TEATR WIELKI.—FRANCUSZCZYŻNA.—WINO BORDEAUX.—KUPCY.—ZATRATA NARODOWOŚCI.—PIENIĄDZE.—RZETELNOŚĆ DUŃCZYKÓW.

Nie wiele się będę rozwodzić nad opisem okazałych gmachów, które Kopenhaga posiada. Architektura starożytniejszych jest gotycka florentyńska; nowszych zaś po największej części czysto włoska. W ogólności powiedzieć można bez przesady, że dobry smak Duńczyków objawia się w każdej budowlu, każdej ulicy, każdym zakładzie. Wyroby rzemieślników tutejszych zasługują nawet na podziwienie: tyle w nich jest trwałości i gustu. I Kopenhaga wywozi rok rocznie wiele mebli do Anglii. Każdy czeladnik wychodzący na majstra, podaje wyrób swój mistrzowski nie tylko pod sąd starszych cechu swego, ale także pod sąd Akademii sztuk pięknych. Jedni rozstrząsają, czy wyrób jest trwały; drudzy zaś kształt jego chwalą lub ganią.

Regularność, prostota i wygoda znamionują prawie wszystkie domy prywatne, najwięcej do pięciu lub sześciu piątr dochodzące. W 5,000 domach przeszło 120,000 ludności mieszki się; w niektórych do 16 rodzin żyje. W małym zatem obrębie skupiona jest ta stolica, choć zawiera w sobie zamki, pałace i gmachy i place wielkiej okazałości. Przy ulicy *Kiobmager gade* (kupieckiej) znajduje się kościół św. Trójcy z swą sławną okrągłą wieżą, którą Krystiern IV. w końcu XVI. wieku wystawić kazał. Drogą szeroką, wijącą się ślimakiem, a umieszczoną w środku niezmiernie grubych murów tej wieży, dostać się można aż na jej szczyty. Piotr Wielki i małżonka jego Katarzyna zajechali tam czterema

końmi. Pyszny z téj wysokości widok na miasto, morze i całą okolicę.

Ratusz z wieżą, przedstawiającą cztery olbrzymie smoki z splecionemi w górę ogonami, jest arcydziełem sztuki budowniczej.

Przy ulicy zwanéj Królewską, wystawiono w połowie zeszłego stulecia pyszny kościół z marmuru, ale go nie skończono, bo funduszków zabrakło. Dziś kościół ten jest tylko ruiną, ale okazałą, pyszną, tworzącą zadziwiający kontrast z dobrze utrzymanemi gmachami, które go otaczają.

Na wschód od marmurowego w gruzach leżącego kościoła, pomiędzy cytadelą i przystanią, wznosi się Amalienborg, mieszkanie Króla i jego rodziny. Wielki to gmach, złożony z czterech zupełnie do siebie podobnych pałaców, otaczających obszerny ośmioboczny plac; w środku stoi posąg olbrzymi konny, wyobrażający Fryderyka V.

Pięć groźnych baszt wieńczy cytadelę, wycierającą murami swemi po nad plantacye cudnéj piękności. Ze szczytu baszt widok zachwycający na błonia i gaje Zeelandyi, na brzegi Szwecyi, na baterye otoczone spienionemi falami, na przystań i las masztów w niéj się kołyszących; nareszcie na wyspę Hween, kędy się wznosi sławny Uranienborg, czyli zamek Uranii, wybudowany niegdyś dla astronoma Tycho de Brahe.

Ale co to za dziwna dzielnica miasta, ciągnąca się w części północno-wschodniej? To *Nyboder* (nowebudy), mnóstwo ulic równo odległych, zabudowanych domami jednopiętrowymi a zupełnie do siebie podobnemi. Tu zgiełk miasta ustał, tu się nie zabłąka karetka dworska z swemi czerwono ubranemi laufkami, ani też dandy harcujący folbluta. Przed domkami siedzą kobiety stare i młode, a dzieci swobodnie igrają na ulicy, pokrytej w części lnem schnącym na słońcu. Tu mieszkają tysiące ludzi jednéj klasy, jednego stanu, już od lat kilkuset i w ciągłym obcowaniu z sobą i ze swojemi przechowują te stare zwyczaje, tę starą jedyną poczciwość i siłę, na której się opiera byt Danii. To dzielnica marynarki wojennej, tworząca osobne miasto, w którym do 10,000 ludzi mieszka. Tu razem z majtkami, w porządniejszych domach mieszkają i oficerowie. Nazwiska ulic tych często śmieszne, z wyobraźni żeglarzy po wzięte, jako to: ulice Słonia, Delfinowa, Krokodylowa,

Tygrysia, Jeża, Różanna, Miętowa, plac Nadziei, Gwoździ-kowy, Smolny i-t. d.

Pół mili za bramą zachodnią miasta leży na wzgórzu pośród ogrodów, rozlicznych willi i szynkowni, pałac letni Królewski, w włoskim stylu wybudowany, nazwiskiem Frederiksborg. To ulubiony cel przechadzek dla mieszkańców Kopenhagi, a zawsze mnóstwo zabaw, balów, widowisk, panoram, hec, balonów i brzuchomówców! Ale dalej cokolwiek w gęszczy parku, w miejscu odosobnionem od reszty świata wysokim żywym płotem, mieszka ozdoba kraju, duński Schiller, poeta Adam Oehlenschlaeger. — Król dał mu w dożywocie tę pustelnię, z zewnątrz tak cichą i skromną, ale wewnątrz w czarujący sposób ogrodami, grotami, mnóstwem pięknych posągów, malowideł i pyszną biblioteką uposażoną. Tak umiał uczyć sławnego poetę dobry Król Fryderyk VI., który sam był jednym z najuczeńszych i najlepszych ludzi swego narodu.

Wróćmy do Kopenhagi jednym z tych pięknych omnibusów czekających na passażerów, a miejsca w każdym jest na ośmnaście osób: stoi takich ze dwadzieścia.

Jesteśmy w Krystiernborgu, w zamku królewskim, niedługo, przed pożarem, pięć razy większym jak teraz, ale dziś jeszcze więcej swym ogromem jak pięknnością znakomitym. Zamek ten w 12 obszernych salach zawiera królewską galerję obrazów. Podczas mego pobytu było tutaj 1,070 malowideł, pomiędzy niemi bardzo znakomite, ze stariej szkoły niemieckiej, flamandzkiej, holenderskiej i włoskiej. Zacytuje tutaj tylko *Jonasza-Salwatora Rozy*; *Kaina* i *Abla*, *Adama* i *Łucę* Łukasza Giordana; *Józefa*, *Karola Cignani*; dwa przepyszne portrety *Tintoretta* i *Rubensa*; bardzo ciekawe malowidło na drzewie wykonane w r. 1556. przez *Joachima Utewała*; *Chrystusa*, *Terburga*; *Jezusa w Emaus*, *Rembrandta*; kilka *Wouwermanów*, *Swanefettów*, *Verszuringów*, *Slingelandów*, — aby dać wyobrażenie o wartości tej galeryi. Jeden jest *Łukasz Cranach*, którego trudno zapomnąć. Przedstawia *Kupidyna* miód wykradającego i żądłem pszczoły ukaranego. Następujący pod nim napis łaciński:

Dum puer abicolo furatur mella Cupido
Furanti digitum cuspidis fixit apicis;
Sic etiam nobis brevis et peritura voluptas,
Quam petimus, tristi mixta dolore nocet.

Galerya Krystyanborgska, tém podobna do galeryi Luwru, że w sobie zawiera nie tylko arcydzieła mistrzów zesłych z świata, ale także malowidła żyjących artystów.—Przytoczymy tu, aby zyskać wyobrażenie o rzeczy, następujące nazwiska: Andersen, Blunk, Bauzen, Carmienne, Dahl, Ekersberg, Fabricius de Tengnagel, Tritsch, Gertner, Gur-lit, Haus, Hellesen, Holm, Jensen, Kloss, Kuchler, Land, Moeller, Mohr, Petzhold, Roed, Simonsen, Sohne, Soedring, Stroh, Toehming.

Księgozbiór królewski zawiera 350,000 ksiąg i 20,000 rękopismów; pomiędzy ostatniemi, pisma przywiezione przez sławnych podróżników z dalekich bardzo stron, przez Nebuhra, Raska i Toglensunga z Indyj wschodnich i z Meksyku.

Kopenhaga jest istotnie miastem, w którym z wielką miłością nauki są uprawiane; ileż to muzeów, bibliotek, zakładów naukowych, prócz uniwersytetu, szkoły politechnicznej, kadeckiej i marynarskiej! Muzeum numizmatów, medali i muszli, wielkiego podziwienia godne.

Ogród botaniczny jednak nie odpowiedział naszym oczekiwaniom; chociaż zawiera wszystko, co koniecznie potrzeba do nauczania się fizjologii roślinnej. Jako ciekawość pokazują tu grobowiec pod imieniem Jordano, darowanego przez papieża Piusa VI. królowi Krystyernowi III. Pięknem to jest miejsce spaceru, ale mniej pięknem jak park *Hermitage* zwany, odległy o dwie mile od Kopenhagi. Park ten musi być istotnie rajem w lecie, tyle w nim pagórków, jaskiń, drzew olbrzymich najrozmaitszego rodzaju, krętych ścieżek i dolin głębokich, tyle pięknych wieśniaczek z okolicznych wiosek, dam z Kopenhagi czytających książki, jest i cudowna krynica zwana źródłem Świętej Katarzyny, tę posiadająca własność, że jej wody leczą u kobiet niepłodność, a zarazem u mężczyzn niewierność. Tak mi zaręczono przynajmniej. Wód tych nie kosztowałem.

Obelisk postawiony na pamiątkę zniesienia poddaństwa własnem natchnieniem dobrego Króla Fryderyka VI. w początku bieżącego wieku dokonanego, wznosi się na drodze do Frederiksborg za bramą zachodnią miasta. Płaskorzeźba tego obelisku przedstawia Vindicyusza, który odkrywszy w Rzymie spisek na korzyść Tarkwiniusza, wyrzekł pa-

miętne słowa: »esclavus non solum est homo, sed etiam civis Romanus debet esse.« Nie daleko tego obelisku postawiono z desek teatr, w którym koczująca trupa francuzka przedstawia wodewile i cieszy się wielkiem współczuciem publiczności Kopenhagskiej, prawie tyle w francuzczyźnie zakochanej, ile i nasza niestety! A obok teatru, Monsieur Vincent Marmiton założył garkuchnię, nie mniejszej używającej wziętości jak wodewil.

Nie jedyny to teatr w Kopenhadze; w samém mieście jest murowana świątynia Melpomeny, z pozoru nie bardzo okazała, ale wewnątrz wcale gustownie i wygodnie urządzone, dobrą maszyneryą i pięknymi dekoracyami opatrzone. Grają w niej opery i dramaty, także prawie wyłącznie francuzkie na język duński przełożone, rzadko kiedy narodowe, a tak piękne sztuki Holberga, Ewalta, Oehlenschlaegera. Tak koncepta francuskie ogarniają całą ziemię, pną się aż po stopy Alp, Uralu, Bałkanu i Himalai. Nieszczęsna ta mania francuzczyzny czy też nie ustanie choć teraz, kiedy Francya całą swą sympatyę straciła? Zdaje się, że niebo i narody Francuzom nieprzychylnie od dawna jęj ulegają; i tak np. Anglicy ubierają się po francuzku, chociaż wiemy, z jakim gustem Turcy upijają się szampanem, Beduini zaczynają cywilizacyę od nauki kłatw francuzkich, a jeszcze inny naród robi jedno, drugie i trzecie. Moda paryzka, ta płocha bogini, obiegająca świat cały jeszcze szybciej jak geniusz oświaty, zalała go swemi towarami i odarła wszystkie niemal ludy z sukni narodowej. Oddawna damy światowe nawet zimnych krajów poddały się kaprysom despotycznego gustu paryzkiego, zapominając względów nawet na bezpieczeństwo drogiego zdrowia. Gdyby Paryż leżał pod 60. stopniem szerokości, ciekawy jestem, czyby też wtenczas Francya przybrała jego mody? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sądzić można, że Francuz praktyczny zachowałby strój zastosowany do swego klimatu.

Lubią Duńczycy także wina Bordeaux, które w Kopenhadze tańsze są i lepsze jak w swęj ojczyźnie, cło bowiem i koszta podróży nie wyrównywają tu opłatom konsumcyjnym we Francyi. Prawie wszystkie wielkie gmachy w Kopenhadze podminowane są sklepami winnemi. Zaprosiłem do jednego z nich mego kapitana, chcąc

tém znaleźć sposobność podziękowania mu za ciągle okazywaną mi grzeczność. Zeszliśmy zatem do jednego z tych przybytków podziemnych, odwiedzanego prawie wyłącznie przez kupców. Tutaj zdaleka od zgiełku ulicy pozwoliłem kapitanowi memu wdać się w rozmowę z jakimś kupcem, i sam rozparłszy się w krześle, przybrałem rolę ciekawego obserwatora. Kupcy wprawdzie w każdym narodzie handlowym jednej są i téj samej natury, wszyscy dążą prawie jedną drogą do tegoż samego celu, do zebrania pieniędzy; wszyscy oceniają siły, zdolności, czynność, ba nawet i cnotę człowieka, jedną i tą samą miarą: ilością zebranych summ. Nie dobry zatem wybrałem tą razą teatr dla méj obserwacji. Kupiec duński jest zupełnie podobnym do kupca innych narodów, tylko że zmuszony do traktowania z wielu narodami jako trudniący się prawie wyłącznie handlem przewozowym, przyzwyczajają się od młodości do używania kilku języków i zatracają jeszcze więcej charakter narodowy. Nasz sklep był pod tym względem prawdziwą wieżą Babilońską: wszystkie języki były tu tłumaczami szczupłej sfery pojęć kupieckich. Poznałem później, że ten brak fizjonomii narodowej rozciąga się prawie do wszystkich klass ludu. Nie w Kopenhadze należy szukać prawdziwego typu Skandynawskiego w całej jego czystości; handel, dawniej tak kwitnący w tém mieście, i stosunki z cudzoziemcami zatarły go częścią. Bruneci nie są tu zjawiskiem tak rzadkiem, jakby się tego spodziewać należało, ani też brunetki, co zresztą nic nie szkodzi. Od czterech wieków prawie rodzina niemiecka (Oldenburska) panuje w Danii, i zdarzało się nie raz, że królowie z tego domu nie znali języka krajowego.

Życie w Danii jest bardzo tanie, może tańsze niż gdziekolwiek indziej. Ziemia żyzna, równie sprzyjająca hodowaniu bydła, jak obfita w urodzaje; cło niskie na towary zagraniczne i brak gotowizny, są tego głównymi przyczynami. Brak brzęczącej monety daje się niewygodnie czuć cudzoziemcowi, nieprzyzwyczajonemu do rachowania pieniędzy tutejszych, i to nie tylko z przyczyny mnóstwa papierów reprezentujących nawet zdawkową monetę, ale z przyczyny pewnych monet miedzia-

nych, reprezentujących piętnaście razy większą wartość, niż ją mają istotnie; łatwo zatem jest popełnić omyłkę i dać półzłotka za grosz, różniący się tylko innem wybiciem. Na pochwałę Duńczyków wyznać jednak muszę, że spostrzegłszy się, nie korzystali nigdy - z mojej omyłki; w ogólności wszyscy cudzoziemcy chwalą ich rzetelność.

ROZDZIAŁ V.

UCZENI KOPENHAGSCY. — UNIWERSYTET. — CZYTELNICZTWO. —
KOBIECY UCZONE. — EGZAMINA. — JĘZYK. — TYCHO DE BRACHE. —
SZPITALA. — KLINIKA. — WYKŁAD KLINIKI. — STAN NAUKI LEKAR-
SKIEJ. — KSIĘGOZBIORY I MUZEA. — GABINET GŁÓW LUDZKICH. —
STRUENSE I KRÓŁOWA MATYLDA. — ZBIÓR STAROŻYTNÓŚCI SKAN-
DYNAWSKICH. — SZKOŁY WIEJSKIE. — SZTUKA DRAMATYCZNA. —
PATRYOTYZM DUNCZYKÓW. — MARYNARKA.

Poświęciłem dni kilka zwiedzaniu zakładów naukowych i szpitalów. Do obznajomienia mnie w krótkim czasie z systematem edukacyi duńskiej przyłożyli się tutejsi uczeni; z wdzięcznością wyznaję, że znalazłem w nich tyle grzeczności i uczoności, ile w niemieckich. Kopenhaga była i jest stolicą naukową Skandynawii; w niej pierwszą założono drukarnię, z której rozlało się światło na całą tę część północy.

Uniwersytety w Krystyanii, w Leydzie, w Upsalu, są córkami wszechnicy Kopenhagskiej. Nie ma kraju, w którymby szkoły były lepiej zarządzane. Wychowanie ludu cieży się szczególną opieką rządu. Duńczyk nie umiejący czytać, nie może być przypuszczonym ani do sakramentów religijnych, ani do praw cywilnych. Potrzeba czytania jest ogólna we wszystkich klassach, czego częste widziałem przykłady na majtkach; kobiety posiadają gruntowne wykształcenie naukowe i artystowskie; a co najwięcej uderza, że się rzadko z swemi talentami popisują, a rzadziej jeszcze wpadają w śmieszność pedantyzmu.

Jest pewien rodzaj mężczyzn, noszących wszystkie znamiona ludzi dobrze wychowanych, którzy utrzymują, że dowcip w kobiecie jest jak pugiinał zatruty w rękach dziecka, i że arrogancya płci pięknej ma się w stosunku prostym jej zdolności. Dowcip i zdolności są istotnie bardzo niebezpiecznymi darami dla kobiet, ale tylko w kra-

jach, w których młodzież męzka unika rozmów ćwiczących umysł, i ściga jedynie za zabawami zmysłowemi. Ocieężałość własnego rozumu, stępienie własnej wyobraźni, nie pozwala jej oddać sprawiedliwości kobietom, nie raz wyżej od niej usposobionym.

Dania stanowi zaszczytny wyjątek z tego prawidła, które pomimo postępu za nadto staje się powszechnem.

Egzamen dojrzałości jest tutaj bardzo trudnym; rzadko który młodzieniec dostanie się do uniwersytetu przed dwudziestym rokiem. W urzędzeniu swém wewnętrznem uniwersytet Kopenhagski zbliża się do niemieckich. Professorowie, niedostatecznie wynagradzani od rządu, zmuszeni są do dawania kursów płatnych; pieniężne te stosunki pomiędzy uczniem a nauczycielem podkopują powagę nauki i tych, którzy jej udzielają. Liczba ludzi mówiących po duńsku nie jest wielką; wyższe talenta autorskie nie znajdują tutaj dosyć zachęcenia do pracy i dość dla siebie wielkiego teatru. Dzieła wielu uczonych synów Skandynawii nie są znane reszcie Europy, a gdyby Oehlenschläeger nie był sam przetłumaczył dzieł swoich na język niemiecki, nie wiedzielibyśmy może, że to jest jeden z największych poetów, którzy kiedykolwiek żyli na świecie. Thorwaldsen nawet pozostałby nieznanym, gdyby geniusz jego był sobie poezją obrał za tłumacza. Jakież to więc nieobliczone korzyści wpływają na plemięców, którego językiem mówią miliony, a język taki jakże wysoko cenionym i pilnie pielęgnowanym być powinien!

Uniwersytet Kopenhagski, założony roku 1479. przez Krystyerna I., pasował się długo między życiem a śmiercią, nim dzisiejszej swojej dobił się potęgą. Do dziewięćset uczniów słucha teraz kursów, z których 200 kosztem stypendyów ufundowanych przez królów i prywatne osoby; jurydykcyą, której ulegają uczniowie, sprawowaną jest przez konsystorz złożony z 16 professorów zwyczajnych. Nauki przyrodzone już od dawnych czasów wybornie były wykładane w Kopenhadze; fakultet lekarski wstawił się przez Ole-worm i Bartoliniego; Holberg tutaj wykładał literaturę w roku 1570., a Tycho-Brahe nauczał astronomii. Mąż ten wiekopomnej sławy, urodzony w bogactwie, porzucił dla nauk swe przywileje szla-

checkie i wybudował sobie na wyspie Hween, o dwie mile od stolicy, obserwatorium, które nazwał Uranienborg. Tam to zbiegali się wszyscy uczeni Europy, aby mieć szczęście oglądania mędrca, którego odkrycia zdumiewały świat cały. Dziwić się trzeba, że lud nie poczytał go za czarnoksiężnika, ale dziwić jeszcze więcej, że szlachta duńska, której był ozdobą, niepokoiła go w jego cichym przytułku i rozmyślaniach głębokich. Zausznicy królewscy tylko dowiedzieli, że Tycho-Brahe wygnanym został z ojczyzny; pożegnał ją temi rozczulającemi wyrazami:

„Dania quid merui? quo te, mea patria, laesi usque a Deo, ut rebus sis minus aequa meis.»

Lud duński, wdzięczniejszy, zachował w swych podaniach wieczną pamiątkę filozofa.

Szpitalne Kopenhagi są dobrze urządzone, i oprócz szpitala marynarki, nisko i niedaleko bagna położonego, w miejscach zdrowych wybudowane. Klinika medyczna i chirurgiczna znajduje się w szpitalu cywilnym. Nadzwyczajnie mi się zdaje być praktycznym systemat przyjęty w tych klinikach. Uczniowie nie są do nich przypuszczanymi przed złożeniem egzaminu z nauk przyrodzonych, zastosowanych do sztuki lekarskiej, jako też z anatomii, fizjologii i patologii ogólnej; zagrodzone więc do nich wnijscie owym dyletantom medycznym, nieusposobionym do korzystania z obserwacji chorób. Liczba uczniów przypuszczonych podzielona jest na sekcye zawierające po sześć osób; każda sekcya ma sobie powierzona do obserwacji pewną ilość chorych. Profesorowie wraz z uczniami egzaminują pacjenta, i jaknajmniej popisują się z swą erudycją przy łóżku jego. Dopiero po tej pierwszej tak nazwanej dyagnostycznej wizycie idą wszyscy do sali konferencyjnej, gdzie profesor wypytuje się kolejno uczniów o symptomata spostrzeżone, i po dyskusyi o wartości ich, wyklada dopiero klinicę; powróciwszy teraz na salę chorych zapisują się lekarstwa, i, jeżeli potrzeba, robi swe uwagi w języku łacińskim. Takim sposobem uczeń przyzwyczaja się zawczasu do spostrzegania chorób samodzielnego, a pacjentowi oszczędza się przykrość słuchania rozpraw niezrozumiałych, które o nim prawią. Prawda, że wizyta profesora w klinice trwa przynajmniej półtrzeciej godziny, czas nierównie dłuższy, niżby go profesorowie

francuzcy albo niemieccy chcieli poświęcić swym obowiązkom. Sztuka lekarska w Danii nie nosi charakteru samodzielnego, jest ona raczej eklektyczną i kosmopolityczną, bo nie masz tu prawie żadnego profesora, któryby nie był zwiedził Niemiec, Francyi i Anglii, i nie zastosował natchemiasz w swęj praktyce tego, co mu się zdaje dobrem w tych krajach. Stetoskop i plessimetre znalazłem tutaj już w ręku wszystkich lekarzy, kiedy przeciwnie w fakultecie królewieckim sposoby te dyagnostyczne były w tym samym czasie przedmiotem lekkomyślnych żartów i pośmiewiska. Tenotomia już teraz zaczynała tu być w użycowaniu, a w siedm miesięcy później znalazłem ją jeszcze nieznaną w Anglii, gdzie nawet bytność podówczas Dieffenbacha nie mogła nadać tej operacyi wziętości.

Biblioteka uniwersytecka, założona w XVI. wieku, stała się prawie całkowicie pastwą pożaru w r. 1728. Gorliwością Duńczyków, a szczególnie Magnusena, ta strata tyle została pokrytą, iż dziś się tu znajduje do 80,000 tomów i zbiór bardzo szacowny manuskryptów. Biblioteka królewska jest liczniejszą jak już wiemy. Założona przez Fryderyka III., winna więcęć osobom prywatnym jak ukoronowanym swe bogactwa.

Muzea są liczne, bogate i dobrze uporządkowane. Gabinet historyi naturalnej doznawał opieki króla wówczas panującego, jednego z najuczeńszych ludzi Danii. Znajduje się w tém muzeum sala dostępna tylko dla lekarzy, i to za wyraźnem pozwoleniem ministra oświecenia. Sala ta jest prawdziwym emmentarzem głów ludzkich pięknie zakonserwowanych, których tułowy rozrzucone po całej przestrzeni kuli ziemskiej. Wszystkie rasy ludzkie, od najpiękniejszego typu kaukazkiego, aż do malajskiego antropofagi, mają tu swych wiernych reprezentantów. Po między głowami ciekawemi ze względu medycznego, znalazłem jedną należącą niegdyś do sławnego wojaka, któremu włoski chirurg Tagliacozzi przyprowadził nos w bitwie ucięty. Dusza przestała ożywiać ciało walecznego kapitana, ale nos z ramienia pożyczany trzyma się; prawda, że z pierwszego wejrzenia można go wziąć za ogórek. Sztuka przystawiania nosów wydoskonalila się od tego czasu; teraz już są podobne do gruszek, za kilkadziesiąt lat może będą podobne do innego lepszego owocu.

Jest tu także zbiór głów sławnych zbrodniarzy, założony staraniem naukowym katów duńskich. W tym okropnym zbiorze,—czyż takiej krzywdy nie pomszczą się dzieje?—zoczyłem z prawdziwą boleścią głowę Struensego, nie-szczęśliwego kochanka pięknej królowej Matyldy. Głowę zdjęto mu, po odcięciu dłoni prawej, ręką kata za to, że była piękniejszą i mędrszą od głów jego licznych i nie-cnych nieprzyjacioł. Okropny i serce rozdzierający widok! krzyk boleści zdaje się jeszcze wyrwać z tych ust, które niegdyś zdumiewały swą wymową i kołły żalę jednej z najpiękniejszych księżniczek. W kilka dni później widziałem w zamku królewskim Frederiksborg portret królowej Matyldy. Twarz jęj była piękna, kwitnąca jak pączek róży, oczy wielkie, pełne ognia i słodyczy, postać czarowała niewymownym wdziękiem, szczególnież w stroju Amazonki, w którym jest wystawioną. Szkoda, że świat tak krótko korzystał z tylu darów! Zdawała się przeczuwać los swój okrutny, kiedy nie długo po swém zamęzcniu z Chrystyanem VII., który, jak wiadomo, był obłąkanym i niedołęgą, skreśliła na jedném z zamkowych okien, dotychczas przechowaném, następujące słowa:

O God keep me innocent!

(Boże zachowaj mnie niewinną!)

Biedna kobieto! lękałaś się własnego serca, które szczęścia w powinności znaleźć nie mogło. Bóg nie wysłuchał twęj prośby, ale ci zapewne przebaczył, boś ciężko odpokutowała szczęście, żeś się urodziła piękną i została królową. Straciła ona w dniu jednym koronę, co zdobyła głowę, ideał, co czarował imaginacyę, i dzieci, dla których biło serce. Wtrącona do więzienia, zaledwie za wstawieniem się brata, króla Angielskiego, ujść zdołała śmierci.

Zajmował mnie także bardzo zbiór starożytności Skandynawskich. Od lat dopiëro kilku założony przez towarzystwo starożytności północnych, cieszące się protekcyą naszego Monarchy, z bogacił się już w najrzadsze przedmioty. Zbiór ten jest zupełnym obrazem przeszłości, powstałym z jęj ruiny; jest to księga historyi, która na każdej swęj karcie nosi rdzę czasu i znamie wieków. Pierwszy wiek tego historycznego cyklu, którego rozwój śledzić można, jest wiekiem kamienia. Pierwsi mieszkańcy północy

nie znali żelaza i jego użytku, i robili z krzemienia swe sprzęty, jako to: siekiery, piłki, groty do strzał i włóczni; niektóre z nich piękną robotą jeszcze dziś zadziwiłyby mogły. Później mieszkańcy północy poznali bronz i wyrabiali z niego sprzęty wszelkiego rodzaju i gustowne kobiece ozdoby. Tak wiek bronzu był już wiekiem miłości, kokieteryi. Dzień, w którym odkryto żelazo, musiał być dla twardego plemienia północy dniem wielkiej wagi, i był istotnie jutrną cywilizacyi. Żelazo, ten metal czczony od Skandynawców więcej jak teraz czcimy złoto, utworował im drogę do nowych odkryć, do dostąpienia większej w nich doskonałości, do korzystania z innych już zdobytych materiałów z drzewa i kamienia. Teraz śmiały architekt mógł wykonywać dzieła swęj imaginacyi, ciekawy rybak wojnę wydawać burzom!.... Veland, kowal, czczony jest jak Bóg w sagach Skandynawskich. Przez tyle stopni ludzkość musiała przejść, nim doszła do teraźniejszego stanu cywilizacyi!

Szkoły wiejskie Duńczyków nie pozostawiają nic do życzenia. Metoda Bel-Lankasterska wzajemnego nauczania zaprowadzoną jest w wielkiej ich liczbie. W dziedzinie nauk i sztuk Dania już od dawna poważne zajęła miejsce. W najmniejszych nawet miastach znajdziesz czytelnie i towarzystwa opiekujące się oświatą publiczną. Wiele także Duńczyk dba o wykształcenie i wzmocnienie sił ciała. Pozakładano tutaj wszędzie sale gimnastyczne i szkoły fechtowania.

W najnowszych czasach wzięto i sztukę dramatyczną w szczególną opiekę. Osoby najwyżej postawione starały się o wzniesienie krajowej sceny. Niedawno na balu w królewskim zamku danym widziano królewicza tańczącego z panią Heiberg, aktorką rzadkiego talentu; widziano także księcia Heskiego prowadzącego do tańca pannę Fieldstett, ozdobę baletu Kopenhagskiego. Nie jednego zadziwią także hołdy oddawane aktorstwu, ale mnie one nie rażą, wiem bowiem, ile na moralność publiczną wpłynąć może sztuka dramatyczna, gdy przez godnych jest reprezentowaną ludzi. Uszlachetnijcie aktorów, a wywyższycie wpływ sztuki na ludzkość.

Że wielka jest dbałość Duńczyków o dobro ogólne, to dowodzą liczne zakłady mające na celu nieść ulgę wdowom, sierotom, inwalidom, biednym, chorym i obłąka-

nym. Znamionuje Duńczyka rzewna jakąś głęboka miłość do swego kraju, w niej czerpie pochop do szlachetnego czynu, do poświęceń i do ciągłej litości względem potrzebujących. Dość jest przeczytać wyborną a bardzo rozpowszechnioną książkę pod tytułem: *Historick Laesebog for Bondestanden* (historyczny elementarz dla wieśniaków), aby się przeświadczyć, ile jest prawdziwie dobrego sensu w tym narodzie, o którym tak mało wiemy, bo się na nieszczęście nasze tylko jednym zagranicznym zajmować przywykliśmy.

Duńczyk jest serdecznym przyjacielem mądrzej i postępowej swobody, i używał jej nawet przed uzyskaniem konstytucyi. Oswoił się z żywiołem otaczającym jego ziemię do tego stopnia, że jako dzielny marynarz już od wielu wieków słynie, ale dlatego nie zaprzecza i innym narodom prawa do oceanu i nigdy się nie targnął na zdobycie wszechwładztwa na morzu. Marynarka Duńska, choć tyle dotkliwych a zdradziecko zadanych klęsk przez Anglików poniosła, dziś jeszcze imponującej jest siły. Dania posiada sześć statków liniowych o 70 działach w przecięciu, ośm fregat o 40. działach w przecięciu, sześć korwet o 24, cztery brygi o 14, tyleż skunerów i kutrów, pięć paropływów o 14 działach i 81 szalup kanonierskich. Sztab oficerski składa się z jednego admirała, wice-admirała, 4 kontradmirałów, 12 kommodorów, 12 kapitanów, 36 pod-kapitanów, 36 poruczników, 48 podporuczników, i 14,000 podoficerów i majtków. Pomiedzy oficerami, 24 służyło w marynarce królewskiej francuskiej, i 20 jest ozdobionych krzyżem legii honorowej. W przypadku wojny przeciw Anglikom, Francya w zupełności liczyć może na Duńczyków, którzy ani na chwilę nie zapomnieli bombardamentu Kopenhagi, i chętnie korzystać będą z każdej sposobności upomnienia się o krzywdy im wyrządzone.

ROZDZIAŁ VI.

JUBILEUSZ.—PROCESSYA KRÓLEWSKA.—GWARDYA.—WOJSKO.—
MARYNARKA I SZKOŁY.—KOŚCIÓŁ.—MUZYKA I ŚPIEWY KOŚCIELNE.—
KAZANIE.—KRÓL.—KRÓLEWNA.—KSIĄŻE FRYDERYK ZIĘĆ I WNUK
STRYJECZNY KRÓLA.—ODNOWIENIE PRZYSIĘGI PRZEZ KRÓLA I
LUD DUŃSKI.—TOLLERANCYA DUŃCZYKÓW.—WZNIESIENIE KO-
ŚCIOŁA KATOLICKIEGO.—STAN POLITYCZNY KRAJU.—HISTORIA
ROZWOJU INSTYTUCYI REPREZENTACYJNYCH.—PRAWO ZASADNI-
CZE.—POGLĄD NA PRZYSZŁOŚĆ.—

Byłem tu w Kopenhadze świadkiem wielkiej uroczystości, powtarzającej się bardzo rzadko, bo tylko co sto lat. Obchodzono jubileusz przyjęcia reformacyi kościelnej w Danii. Dniu temu sprzyjała piękna pogoda i żadną chmurą niezaćmione słońce przyświecało. Równy z wschodem działa wszystkich statków wojennych i kupieckich, wszystkich wierz i bateryj, ozwały się na lądzie i morzu, — bandery wszystkich narodów wleciały na maszty wszystkich okrętów jak chmury pstrych a olbrzymich motylów. Liczne orkiestry z szczytów wież miasta odpowiedziały głośniei hymnami religijnemi na to powitanie. Rozczulający to był poranek i nigdy jego nie zapomnę uroku: — majtkowie wszystkich narodów klękli na pokładach, i w hołdzie Bogu oddanym zapomnieli różnicy wyznań. I ulice napełnione były ludźmi winszującemi sobie, że dnia tego uroczystości kosztować mogli.

Wielkie przyrzady na ulicach. Wszędzie bramy tryumfalne z godłami religijnemi, wszędzie proporce, chorągwie, świerki i kobierce.

O dziesiątej godzinie sędziwy król Fryderyk VI., w szkarłatny mundur generalski przybrany, zszedł z pałacu swego Amalienborg na niezmierny dziedziniec zamkowy, gdzie go wojsko lądowe i morskie wraz z władzami cywilnemi i duchowieństwem czekało, i w towarzystwie wysokich dygnitarzy dworskich, piastujących koronę, miecz, berło i jabłko,

wsiadł do wozu tryumfalnego, ciągniętego przez ośm przepysznych jasno-bułanych koni. Wóz ten zdawał się sięgać czasów jeszcze więcej oddalonych, jak przyjęcie augsburskiego wyznania w Danii, wyglądał jak byzantyńska kaplica. Baldachim wieńczony olbrzymią koroną, wznosił się w kształcie kopuły wysoko w powietrze, a kozieł jak wieża jeszcze wyżej. Woźnica odziany w długi płaszcz szkarłatny spadający aż na złożone koła, w stósonym kapeluszu i białej peruce, dzierżył lejce tylko *pro forma*, każdy bowiem koń prowadzonym był przez masztelarza przybranego w szkarłat, złote galony i wysokie strusie pióra. Orszak liczny generałów i wysokich oficerów dworu otaczał konno wóz królewski; zabawnie wyglądali na koniach panowie admirałowie i kommodorowie, których obecność konno widać koniecznie potrzebną była dla świetności dnia tego. Dostojni marynarze, więcej przyzwyczajeni do ujeżdżania bałwanów morskich jak do harcowania na kwadrupedach, kroku jednego zrobić nie mogli bez rozśmieszenia publiczności, co zapewne nie leżało w programacie processyi. Gwardya przyboczna króla, to jest batalion grenadyerów błyszczący srebrnymi haftami na ponsowym mundurze, i dwa szwadrony kirassyerów żółtych na czarnych jak kruki koniach, towarzyszyła orszakowi. Korpus ten nieliczny ostatnim jest przytułkiem zubożałych potomków dawniej szlachty. Tu się dostojna młodzież, próżności i próżniactwa uroki przekładająca nad wartość życia, nasycić może pięknym mundurkiem, balami dworskimi i uśmiechem wybladłych frejlinów.

Wojsko liniowe, przyznać to muszę, niekoniecznie się dobrze wydawało w swych wypłowiałych brudno czerwonych mundurach i czarnych kamaszach. Wyglądali raczej jak wielkie buraki o podwójnych korzeniach. Jednakże swobodne, poczciwe twarze duńskie i pod tym lichym mundurem obiecywały bić się tego, i dowiodły tego na wykwintnych Prusakach niedawnemi czasy.

Potem następował żwawy hufiec marynarzy z jeszcze swobodniejszymi, ale cokolwiek pijackimi, prawie wyuzdanymi twarzami. Jaka to siła w ruchu, jaka mądrość w tych małych ciemnych oczach! Zjakiem spółzuciem ten poczciwy lud Duński spoglądał na swe ulubione dzieci, które i w najkrytyczniejszych okolicznościach, walcząc z napaścią i z podstępem, honor swój matki ocalić zdołały! Wielka ser-

deczność znamionuje wszystkie klasy tego nielicznego a tak dziarskiego ludu.

Orszak zamykała młodzież ucząca się w rozlicznych szkołach, mianowicie w kadeckiej, politechnicznej, w marynarskiej i w uniwersytecie. Ta ostatnia, przybrana w mundury ciemne i skromne ale porządne, broń nosiła, której niegdyś, gdy Anglik nie wypowiedział wojny Kopenhagę najechał i nielitościwie przez 3 dni bombardował, umiała użyć na dobro i chwałę swego narodu. Od tego czasu akademicy uformowani zostali w rodzaj gwardyi narodowej, wybierającej z pomiędzy siebie oficerów aż do stopnia kapitana włącznie. Sztabs oficerów sam król mianuje. Akademik użyteczny swą siłą narodowi, nauczył się szanować swego zdrowia i nie wystawia go na szwank zbytкими, któremi młodzież uniwersytecka pewnych innych krajów zabija w sobie sprężystość ciała i zatrzuwa duszę. Potrzeba knajp, skandalów, dziecinnych pojedynków i innych podobnych burszowskich zabytków niemieckiego studenciarstwa, nie daje się tu czuć wcale. Akademik kopenhagski, równie pilny na ławkach wszechnicy, jak dobrze wymusztrowany w szeregach wojskowych, cieszy się zaufaniem i miłością ludu duńskiego.

Świetny orszak wstąpił do kościoła katedralnego, do owej dłutem Thorwaldsena ozdobionej, a Matce Boskiej poświęconej świątyni, którą poprzednio już opisaliśmy. Ambasadorowi angielskiemu winien był być miejsce, z którego wygodnie spoglądać mogłem na całą ceremonię religijną. Zaczęła się ona od przepysznie wykonanego chorału; z pięćset artystów wokalnych i instrumentalnych w nim udział brało. Dopóki boskie tony téj pięknej muzyki w me zaczarowane padały ucho, dopóty cały pogrążony w religijnych marzeniach nie wiedziałem co się około mnie działo; ale muzyka ustała, ksiądz wstąpił na ambonę i zaczął prawić kazanie po duńsku. Może bardzo dobre rzeczy mówił, ale ja dopiero od tygodnia w Danii, i mogąc się porozumieć po niemiecku, francuzku i angielsku z wszystkiemi prawie obywatelami miasta, nie miałem czasu ani potrzeby nauczenia się po duńsku, i siedziałem sobie po prostu jak na niemieckim kazaniu. Oczy jednak moje błąkały się po kościele chęć pocieszyć uszy za owo hojne używanie tonów i głosów mi niezrozumiałych.

Na wzniosłej estradzie i złotolitym tronie, pod karmazynowym baldachimem siedział król duński; otaczali go książęta krwi, dygnitarze z insygniami, ministrowie, generałowie i kommandorowie Słonia i Dannebrog. Reszta kościoła przepelniona wojskiem, cywilnych mało co widać było. W łóżach aksamitem i złotem ozdobnych siedziała królowa, księżniczki, damy dworskie i frejliny. Niektóre z nich wcale piękne, niektóre mniej piękne, ale ani jedna tak mało piękna jak sama królowa, żona rozwiedziona Fryderyka Karola Krystyerna, który wówczas był tylko synem następcy tronu duńskiego (późniejszego króla Krystyerna VIII.), a dziś po śmierci sędziwego, za mego pobytu jeszcze żyjącego Fryderyka VI., i po śmierci ojca swego sam odziedziczył koronę.

Istotnie królowa Wilhelmina Marya srogo przyplaciła brak piękności: małżonek jej a zarazem kuzynek nie kochał jej i dopuszczał się niegodziwego względem niej obejścia.

Chciałbym coś powiedzieć o toalecie dam, ale pomimo najlepszych chęci, nie byłem w stanie dojrzeć żadnych sukien, ja bowiem siedziałem za nisko, galerye łoży były wysokie, a damy same zanadto głęboko wygorsowane. Wiem tylko, iż miały pióra na głowie, kółeczki w uszach i perły na szyi.

Teraz nastąpił w obrządku akt najważniejszy. Biskup zszedł przed ołtarz w ubraniu pontyfikalnym bardzo okazałym, w jakim nigdy nie myślałem że księża luterscy pełnią służbę Boską. Zszedł tedy do ołtarza i wydobył z skrzynki złotej starożytny jakiś dokument, opatrzony pieczęciami wielkimi jak talerze. Był to akt przystąpienia do protestantyzmu. Przeczytał go uroczystym głosem biskup Kopenhagi, potem długo coś mówił z wielkim zapałem i namaszczeniem, nareszcie donośnym zapytał głosem: „Królu nasz kochany i pocziwy ludzie duński! przysięgacie, że i nadal wierni pozostaniecie waszej świętej wierze, i za nią poświęcicie majątek i życie w razie potrzeby?“ — „Przysięgamy!“ zawołał sędziwy król zrywając się z tronu. „Przysięgamy!“ krzyknął lud z porywającym uniesieniem.

Tak jest istotnie: lud duński do protestantyzmu szczerze przywiązany, może dlatego, że pietyzm i duch sekiarski nie wtargnęły jeszcze do kościoła luterskiego Danii, i nie objawiły słabości podstaw, na których się opiera religia pozwalająca rozumowi każdego indywiduum sądzić o ważności



głównych dogmatów. Dobry sens Duńczyków, ich dbałość o dobro publiczne, ich gorliwa miłość do kraju, ocala ich dotychczas i broni od owych rozdrożeń religijnych zaszytych w jednym i tém samym wyznaniu, których inne kraje przedstawiają gorszący dla serca widok. Lecz pomimo szczerego przywiązania Duńczyków do wyznania protestanckiego, nie masz w nich żadnej nietolerancji. Dalecy od używania wolności religijnej, której używa Francya, gdzie można być chrześcianinem, mahometaninem lub żydem, a dlatego dopuszczonym do najwyższych dostojęństw, używają jednakże Duńczycy od lat już wielu największej wolności religijnej, jaka istnieje w jakimkolwiek kraju północnym. I tak Dr. Jacobson, choć jest Izraelitą, został medykiem przybożnym króla, lekarzem gwardyi królewskiej, oficerem orderu Dannebrog i professorem medycyny fakultetu Kopenhaskiego. Dania toleruje wszystkie wyznania. W Kopenhazie wybudowano kosztem rządu piękny kościół katolicki z wszystkimi zewnątrzniemi znamionami wyznania rzymskiego, z krzyżem, dzwonami, Świętymi w framugach muru, słowem z wszystkimi przyrządami katolicyzmu.

Nie wiele jest Duńczyków wyznania katolickiego, ale za to cudzoziemców, zwłaszcza Francuzów i Włochów, nie mało osiadło w tém mieście, gdzie i mody w poważaniu i sztuki kwitną.

Dania pod względem polityki przedstawiała jeszcze niedawno widok bardzo zastanawiający. Położona obok Szwecyi konstytucyjnej i Norwegii prawie republikańskiej, dopiero od kilku lat przestała być monarchią absolutną. Dziwne to zjawisko tém więcej zastanawia, kiedy zważym, że lud duński, wyrwawszy przez rewolucję 1660. roku władzę z rąk arystokracji, uciskającej go niełitościwie, oddał ją dobrowolnie królowi wszechwładnemu. Jakże wytłomaczyć ten fenomen rzadki w historii ludzkości?

Fryderyk VI. sam z swego uatchnienia zniósł na początku swego panowania poddaństwo, w roku zaś 1834. ustanowił także z własnej woli stany prowincjonalne, jako instytucję mającą przygotować lud Duński do późniejszego używania wyższych swobód politycznych. Przy końcu r. 1839. umarł dobry Król Fryderyk i berko swe zostawił synowcowi, już nie młodemu Chrystyernowi VIII., światłemu i naród swój

szczerze kochającemu panu. I Duńczycy także serdecznie miłowali dom swój królewski, panujący im od tak dawna często mądrze a prawie zawsze łagodnie. Król Fryderyk VII. nie miał dzieci z pierwszą swą żoną a ciotką swoją, i rozwiodł się w 1837. roku. Druga także żona, piękna Karolina Meklenburg-Strelicka, nie dała mu potomstwa, nieszczęśliwą była w małżeństwie i poszła do rozwodu. Fryderyk w swęj młodości zbyt rozwiązłe prowadził życie, niesłychane o nim wieści krążyły. Teść jego i dziadek stryjeczny (król Fryderyk V.) karać go musiał za jego wybryki i trzymał go na wygnaniu w Islandyi całe trzy lata. Marynarze lubili Fryderyka VII., bo był śmiałym, odważnym żeglarzem, i do tego stopnia podufałym z kolegami, że się z nimi razem wszelkich dopuszczał swywoli. Ale ludu część moralniejsza i poważniejsza złém okiem spoglądała na te zdrożności, i wybaczyć nie mogła dostojnemu księciu pożycia tak złego z jedną i drugą żoną. Te smutne usposobienia i bezdzietność króla powiększyły jeszcze obawę na przyszłość. Dał się przeświadczyć król Fryderyk VII., zwołał w marcu 1848. r. reprezentantów i w dniu 28. maja przyjął przez izbę zatwierdzone prawo zasadnicze.

Dwie ustanowiono izby reprezentantów: jedna zwana Volksthing (czyli izba reprezentantów ludu), druga zaś Landesthing (czyli izba reprezentantów kraju). Do pierwszej ma prawo być obranym każdy Duńczyk liczący przynajmniej lat 25 i używający dobrej sławy ze strony moralności. Na 14,000 mieszkańców wybierano jednego reprezentanta. Reprezentantem zaś Landesthingu musiał być obywatel mający przynajmniej lat 40 i płaćący 200 talarów duńskich (to jest 800 złp.) rocznego bezpośredniego podatku krajowi. Ten Landesthing jest rodzajem Senatu, ale ze strony rządu niepłatnego, i przez sam lud wybieranego. Sejm zbiera się corocznie w pierwszy poniedziałek miesiąca października.

Znane są całemu światu zatargi Danii z księstwami niemieckimi w skład monarchii wchodzącemi. Duńczycy wystąpili walecznie przeciw pretensyom tych Niemców, którzy w Szlezwigu i Holsztynie upominali się o niepodległość, a w Frankfurcie dawne zabory uświęcali. Nic Niemcom nie pomogły ani wojska pruskie, ani sympatyje wolnomyślniej

młodzieży. Prusacy, Szlezwigi i Holsztyny uleż musieli na morzu i na lądzie wyższej waleczności Duńczyków. Ale horyzont polityczny, zawsze zachmurzony,—może się kiedyś wyjaśnić utworzeniem jednego silnego państwa skandynawskiego pod berłem króla Oskara. Tego najusilniej pragnie cała Dania.

ROZDZIAŁ VII.

KAPITAN JENS JENSEN.—PORT WOJENNY.—STATKI WOJENNE.—
STAN MARYNARKI I JEJ DUCH.—WYCIECZKA W GŁĄB WYSPY.—
PIĘKNOŚĆ JEJ ZIEMI.—MARZENIA.—WESELE CHLOPSKIE.—ZWA-
LISKA ZAMKU.—GRÓB WALDEMARA.—PODANIE LUDU.—ZABOBON.
—KRÓLIKI.—WALDFIORD.—PLEBANIA.—

Kopenhaga nie była celem mej podróży: dążyłem do Anglii. Kapitan, który mię przywiózł z Królewca, nie znalazł jeszcze nowego ładunku i nie wiedział w którą się stronę świata obrócić. Sternik obiecał mi wypatrzeć statek jadący do Edynburga. „W jesieni, mówił mi, morze jest kapryśne, podróż najmniejsza może trwać zamiast dni kilka, tygodni lub miesięcy tyle. Potrzeba panu statku mocnego, abyś się nie dał rozbić lada burzy, i kapitana ludzkiego i nie głupiego, abyś nie umarł z nudów, jeżeli z nim dłużej pozostaniesz. Zresztą bądź pan spokojnym, ja wyszukam co potrzeba; niech się pan do kupców nie udaje, bo to wszyscy....” epitetu nie powtórzę.” Za nadto otwarty mój sternik, dotrzymał słowa swego. Powracając jednego wieczora do kajuty, zastałem w niej sternika i drugiego młodego człowieka, bardzo porządnie choć nie wykwiłtnie ubranego. — „Dobrze pan umiesz chwytać wiatr (co ma znaczyć: masz pan szczęście), rzecze mi pierwszy; oto prezentuję panu młodego psa morskiego, dobrze dresowanego, sąsiada mego, który zmierza do tego samego portu co i pan, i życzy wziąć pana z sobą, żebyś go wykurował z jego maderskiej febry pokrzywnej.” (Febre tę łatwo dostać wyjeżdżając z Madery na północ, a trudno wyleczyć w zimie).

Kapitan Jens Jensen był z Swenzborga, miał lat 23. Twarz jego okrągła, jowialna i otwarta, kontrastująca nieco z wyrazem oczu siwych i bystrych i z włosami ciemnymi,

gładkimi, ujmowała zaraz na pierwsze wejrzenie; nie wielkiego wzrostu, ale silnie zbudowany, zdradzał więcej żywości i giętkości, niż jest zwyczajnym u Skandynawców. Mówił płynnie, ale z pewną śmieszną naiwnością, po angielsku, a z kilku słów jego rozmowy poznałem, że musiał dość staranne odebrać wychowanie i że mu nie brakło imaginacji. Rozwodzę się nieco nad tym opisem, ale winienem dać poznać czytelnikom mego prawie nieodstępnego towarzysza najburzliwszej części mego życia; był on mi podczas sześciu miesięcy wszystkim, czem dobry przyjaciel być może. Porozumieliśmy się wkrótce. — „Co panu zapłacę za podróż?” zapytałem. — „Nic, jeżeli mnie pan wykurujesz!” — „A jeżeli nie?” — „To pan zapłacisz tylko za żywność.” — „Toby nie było wiele kapitanie, kołysanie statku odbiera mi apetyt.” — „To pan zapłacisz za wino, co wypijesz, a mam z sobą antałek doskonałego Bordeaux.” — „Kota w worku targujesz sąsiędzie, ty nie wiesz jak doktorzy na morzu piją.” — „Hola! Domingo! wina nam podaj!” — krzyknął sternik na Negra, szczęśliwy, że znalazł nareszcie powód do wypróżnienia kilku kieliszków. Nie nudziła mię nigdy rozmowa z marynarzami; prawie wszyscy opowiadają prosto, ale dobrze, co w oddalonych widzieli okolicach. Siedzieliśmy do późnej nocy. We trzy dni potem znalazłem dwa antałki wina w kajucie, w której miałem płynąć do Edynburga. Jest coś w powietrzu morskiem słonego, co sprawia ciągłe pragnienie, nieugaszone ową wodą świeżą, którą często trzy miesiące w beczkach na pokładzie wiozą.

Korzystałem z usłużności i praktycznych wiadomości nowego towarzysza, i prosiłem go, aby zwiedził ze mną arsenał i port wojenny wewnętrzny. Był on widownią wielkiej czynności morskiej niegdyś przed spaleniem całkowitem floty duńskiej przez Anglików; dziś przedstawia widok mniej okazały. Wprawdzie król dokłada wszelkiego starania, aby dźwignąć marynarkę z upadku, i nie szczędzi na ten cel skarbu swego. Cztery okazałe okręty liniowe noszące po 80 dział, kilka fregat i korwet, kilkanaście statków kanonierskich, piękne i świeże jakby z igły zdjęte, kołysały się poważnie i wolno na powierzchni wód portu; — inne jeszcze nieskończone, leżały pod olbrzymimi dachami warsztatu morskiego. Są to wszystko arcydzieła sztuki ciesielskiej, tak silne w swój budowie, jak ozdobne i wykwintne w najmniejszych szczegó-

łach. Posągi i rzeźby na przodzie okrętów zdumiewają bogactwem i gustem,— można je uważać za pomniki godne ojczyzny Thorwaldsena. Prawdziwe pomniki, bo do jakiegoż przeznaczone użytku? Aby protegować kolonie Danii wydarte, lub handel, który dawno w obce przeszedł ręce? Obok okrętów wojennych leżą zbrojne ogromne statki kupieckie, które przedtém zwykły chodzić do Indyj wschodnich, a teraz nie mając gdzie chodzić, gniją bezczynnie w porcie i rozpadają się. Marynarka duńska cieszy się tylko sztucznym życiem w teraźniejszym położeniu rzeczy. Prawdziwa szkoda, bo Duńczyk jest marynarzem z urodzenia i wszyscy znawcy oddają mu sprawiedliwość, że jest zimnym i wytrzymałym jak Anglik, zręcznym jak Francuz, trzeźwym jak Amerykanin, a moralniejszym od nich wszystkich. Cierpi w swój nieczynności marynarz duński, usunięty ze sceny życia i działania, nie kontentuje się musztrami, budowaniem okrętów, tylko marzy dzień i noc nad sposobami wyjścia znów na scenę. Marynarka duńska pochwyciła pierwsza ową myśl połączenia się w jedno ciało, którą pała dziś cała Skandynawia.

— „Za dwa dni dopiero będziemy mogli wyruszyć w drogę” mówił kapitan jednego poranku, „i to chyba za pozwoleniem wiatru; co pan będziesz robił w Kopenhadze, którą znasz teraz lepiej odemnie?— puśćmy się w głąb kraju; mam blisko Roeskilde wuja, bardzo poczciwego pastora, jedźmy do niego, będzie uszczęśliwionym z naszej wizyty.”— Dałem się nakłonić do tej wycieczki, poznawszy już wprzód serdeczną gościnność duńską. Konie pocztowe unosiły nas w szybkim biegu przez żyzne łąny Zeelandyi, pokryte zimo-ozimną oziminą i ciemnymi lasami iglastymi. Białe słońce jesienne przyświecało na przysepioném niebie, rozlewając na rozwijający się krajo wid ten smętny blask, który jest szatą północy. Porządne i malownicze zabudowania wieśniacze, drzewami otoczone jeziora, wesole i pracowite wiatraki, łąki z pasącym się bydłem, przesuwało się wszystko przed oczami naszymi; tu znów lasy przecinane krętymi ścieżkami, już zasłonięte niezmiernym cieniem, już przesywane promieniem wykradającym się z po za obłoków. Harmonia rozlana w naturze dotknęła mą duszę, wzruszoną niewidzianą ręką poezyi; smętna tęsknota ogarnęła serce i przypomniała ojczyste łąny i lasy. Kiedyż was znów zobaczę? drogie

świadki krótkich chwil dzieciństwa! zdaleka od was zbiegają me lata, a jeszcze ciągle rośnie ta przestrzeń, co mnie od was przedziela?

— „Zgaduję pańskie uczucia,” przerwał nareszcie mój towarzysz, „zgaduję je, bom ich doświadczył, kiedym zatrzymany trzy lata na drugiej półkuli ziemskiej, nie widział méj rodziny.” — „Aleś ją zostawił dobrowolnie i mógł wrócić kiedyś chciał” odpowiedziałem. — „Prawda”, rzekł kapitan z głębokim westchnieniem i wpadł w smutek tak głęboki, żem go sam z niego wyrwać nie zdołał. Lęka się tego żarliwego smutku wielu szczęśliwych — my wiemy o tém — my nieszczęśliwi!

W miejscu, w którym przemieniliśmy konie, byliśmy świadkami dziwnej sceny, bo dziwném było to wesele młodego boera z młodą i ładną wieśniaczką. Rodzice pana młodego, gospodarze wiejscy, straciwszy dwóch synów w kwiecie wieku, żenili czém prędzej trzeciego, aby im swém potomstwem wynagrodził stratę rąk potrzebnych do uprawy roli; narzeczony młody, tęgi, ale ogromnie niezgrabny chłop, wyglądał jak na szubienicę skazany, widać że najmniejszego nie musiał mieć wyobrażenia o sposobie zadosyć uczynienia potrzebie rodziców; narzeczona nie podzielała smutku swego przyszłego, owszem hoża, rumiana, miała więcej życia niż go tutaj kobiety zwykle mają; żartowała z humoru swego męża, widać musiała mieć jakiś sposób wyleczenia go z niego.

Nie dotykając Roeskilde, którego katedrę mieliśmy zwiedzić nazajutrz, skręciliśmy na lewo w dość długi ale nie wysoki wąwóz, a potem przebywszy most zwodzony, rzucony na przechodzący kanał, wyjechaliśmy na obszerną płaszczyznę piasku, obsadzoną gdzie niedzie piękniemi zagaikami jodeł, sosienek i brzoź. Droga nareszcie zawiodła nas do dębowego lasu i wiła się półkolem u stóp dość stroméj okrągłej góry, na której szczycie, ledwo porośłym krzewami, sterczały ruiny dawno zwałonego zameczyska. Opasywała górę szeroka niegdyś fossa i teraz jeszcze częścią napełniona wodą; wierzby płaczące smutnie w nią zwieszały długie gałęzie, a odwieczne dęby wyciągały silne swe ramiona ku drugiemu brzegowi, — jak gdyby witać chciały gruzy starego zamku. Tu i owdzie długa i wichrem zwałona sosna sięgała drugiego brzegu i służyła za most podróżnemu, chcącemu bliżej się przypatrzeć zwałiskom.

Woźnicy kazaliśmy zawieźć nasze rzeczy do pastora i zapowiedzieć mu nasze przybycie, a sami udaliśmy się krętą i spadzistą ścieżką na wierzchołek góry, z kąd pyszny widok na całą okolicę wynagrodził nam nasze trudy. Miejsce to jest znajomém w całej Skandynawii, a ballada uwieczniająca jego pamiątkę, w ustach wszystkich jej synów: nazywa się grobem Waldemara, ballady zaś treść następująca: Waleczny Waldemar, pan tego niegdyś okazałego zamku, wybierał się na wojnę do Pomorza, żegnała go ze łzami żona jego młoda i piękna.— „Idź panie mój i bij wroga, ja i nasz synek nie przestaniemy płakać aż wrócisz do nas.”— „Utul się Helgo moja, odpowie rycerz, nie zapominaj, żeś żoną rycerza duńskiego.” Poszedł na czele swych zbrojnych wassalów. Zwiódł się most, zawarty bramy zamku i zniknęła chorągiew, co powiewała na szczytach jego; znać że pana nie ma w domu. Tymczasem rycerz stanął na szerokich błoniach Pomorza; pierchali z nich mieszkańcy, a ścigały ich hufce Sarmatów na lekkich koniach. Duńskie wojsko przyszło w pomoc uciekającym i wstrzymało najazdy nieprzyjaciół, nigdy niezmordowanych i do walki gotowych. W rok po swym wyjeździe Waldemar wpadł z swym przerzedzonym hufcem w zasadzkę — walka długo trwała zacięta. Jak dzik rozjuszony bronił swego życia-Duńczyk, i siał trupem własną krwią zbroszone pole; legli wszyscy jego towarzysze, padał i on już pod licznymi ciosami, kiedy rycerz sarmacki, umiejąc i w nieprzyjacielu szanować męstwo, zastonił omdlałego przed grotaami swych towarzyszków i uratował mu życie. Ciężko ranny jeńiec długo zostawał bezzmyslny, i kiedy odzyskał przytomność i pamięć ubiegłego szczęścia, ujrzał się w dalekim kraju, gdzie nikt nie znał języka, ani nawet ojczyzny jego. Lataupływały, a o Waldemara losie nie wie młoda jego żona; tęskniła sama w smutnym zamku, a syn rósł w siły i zdrowie. Razu pewnego, kiedy ten z nianką głębiej jak zwykle puścił się do lasu, ranny niedźwiedź rzuca się na niego—przeraźliwy krzyk trwogi zwabia młodego królewicza Axel, polującego w lesie; strzałą przeszyty zwierz legł tuż przed uciekającym dzieckiem, które na ramionach młodzieńca powraca w objęcia przestraszonej matki.— „Czémże ci się wywdzięczę, Królewiczu waleczny?”— „Widokiem oczu twych czarujących, co głębiej ranią, jak me lotne strzały” — odpowiedział młody rycerz.— „Ale mąż

mój daleko ztąd na wojnie z twym ojcem.” — „Jam tutaj blisko, bronić ciebie winienem.” Nie poraz pierwszy ani ostatni wdzięcznością miłość wkradła się w serce kobiety, a uczucie to zwalczała i rozum i pamięć. Młody Axel korzystał nieszlachetnie z wyświadczonej usługi. Wolno ubiegły żonie rycerza trzy pierwsze lata; ale prędko upłynęło czwarte; kochankowie widywali się skrycie, zaufani w niedociekłość wspólniej tajemnicy. Raz, kiedy pod gęstą lasu zasłoną zegnali się czule, dostrzegło ich oko pielgrzyma, kryjącego w obszernym kapeluszu swe wybladłe czoło i lice okryte długą brodą; — oko pałało namiętnie. Był to Waldemar, oddany po długich cierpieniach swęj ojczyźnie. Nazajutrz wrócił młody Axel do lasu, co był świadkiem jego waleczności, zdrady i szczęścia. Tumany dymu wznosiły się na zamku gorejącym — chce ratować młody rycerz, ale znajduje most zwiedziony i służbę zamkową przed nim w płaczu i jękach. Na murach zamku stoi Waldemar i mówi: „Synu króla, któremu bronił swęm życiem, tyś hańbą okrył me imię. Życie ci daruję, ale nie oszczędzę od widoku ofiar twęj zdrady.” — Rzekł i na szczyt zamku pałającego wprowadza żonę i dziecię. — „Nasyć się widokiem męczarni tego ciała pięknego, w którem szkoda że tylko słaba dusza kobiety mieszkała!” — zawoła wskazując na wybladłą Helgę. Długo trwały jęki śmiertelne matki i dziecka, ogień z hukiem wydzierający je z pod rozżarzonego dachu zapala szaty trzech ofiar i skróca nareszcie piekielne męczarnie. Runął zamek z straszliwym łoskotem. Oto grób chrześcijańskiego rycerza, który przebaczył sprawcy swęj niedoli.

Nikt dotąd nie śmiał odnawiać zamku, lub zabudować się na gruzach. Starzy ludzie utrzymują, że dusze nieszczęśliwej rodziny Waldemara pokutują na zwaliskach, a nawet czasem i w lesie.

Zabobon w wielu krajach północy jest mniej wynikiem nieoświaty, jak raczej jakiegoś naturalnego usposobienia poetycznego, jakiejs przyrodzonej potrzeby ludzi, spędzających w długich rozmowach długie wieczory zimowe. Ludzie radziby w siebie samych wmówić wiarę w istoty nadprzyrodzone, i dlatego wmawiają ich istność w drugich; nikt nie wierzy, a każdy się boi słuchając o duchach pokutujących, a co najlepsze, że każdy kontent z tego, że się boi.

Z tego ogólnego w ludzie tułejszym trwającego uszanowania dla grobu Waldermara, umieją korzystać króliki, rozmnażające się na nim w liczbie ogromnej, Nikt nie śmie niepokoić tych zwierząt, chociaż one nie szanują cudzej własności i często dają się we znaki ogrodom przyległym.

Opuściwszy nareszcie stary zamek, dążyliśmy ku celowi naszej podróży, który nam się ukazał, gdyśmy zaledwie z lasu wyjechali. Waldfiord jest prześliczną malowniczą wioską. Na prawo las, do niego dotyka park i ogród, a w środku niego zamek w nowym budowany guście. Wieś rozciąga się na dość rozległej przestrzeni, zawartej pomiędzy parkiem a kościołem, i złożoną jest z kilkudziesięciu bardzo ładnych, po największej części ogrodami otoczonych domków; na lewo, na wzgórzu opasanem z trzech stron jeziorem, w kształcie półksiężyca, wznosił się z pośrodku wysokich świerków kościół starożytny, z wieżą wyciętą na wierzchołku jak stopnie schodów;— obraz mistycznych stopni, po których myśl ma się wzbijać z ziemi do nieba.

Tu przy kościele plebania zbudowana z pruskiego muru w bardzo dziwnym starożytnym jakimś stylu, dalej za nią budynki gospodarskie. I tu także pasterz podziela pracę, bojaźń i nadzieję swęj trzody; będąc zazwyczaj najuczestszym we wsi, stara się pierwszy pojnować nowe wynalazki rolnicze i doświadczać ich, dla dania przykładu innym, na własnym kawałku roli, a przeto dwojaki na parafian wywiera wpływ: jako pasterz i gospodarz; — wspólność interesów wzmacnia ten węzeł. Czekającemu pastrowi kapitan przedstawił mnie w dwóch słowach jako swego pasażera; już i ten tytuł wyjednał mi uprzejme przywitanie ze strony gospodarza. „Dobrze pan robisz, że nie porzucasz naszej ojczyzny bez zwiedzenia siedzib ludu, w nim pan znajdziesz prawdziwy charakter naszego narodu, gościnność, pracowitość i poznanie swęj godności moralnej.“— „Oto są moje kuzynki,” zawołał z radością kapitan, pokazując na dwie dorosłe córki pastora, dwie godne córki Skandynawii; piękne jak fregaty, a wstydliwe jak pączek róży. Zapłonily się aż po uszy biedne panny. Były one piękne, lubo nie odznaczały się tyle regularnością rysów twarzy, ile anielską i świętą w nich rozlaną czystością. Włosy ich jasne, połysku złotego, spadały w bogatych warkoczach na ramiona; oczom wielkim, blade-błękitnym, peł-

nym niewinności, brakło wprawdzie tego wyrazu, co z kobiet czyni naszych aniołów lub czartów, lubo czoło wyniosłe i usta wyrażały wiele naturalnego dowcipu. Postacie wysokie, wysmukłe, potrzebowały jeszcze lat kilku i żywszych uczuć wpływu do zupełnego rozwinięcia. Na sukniach ciemnych, cokolwiek za krótkich na stopy cokolwiek za północne, nosiły te damy pewny gatunek mandarynek, wysoko zapiętych na piersiach, z rękawami spadającemi jak u kontusza; w poruszeniach zdradzały pewne nieprzyzwyczajenie się do własnych członków, i brak owęj gracyi, którą łatwiej jest osiąść przy mniejszém cieple i cieplejszym klimacie. Kapitan mój, jak postrzegłem, pałał ochotą opowiedzenia gospodarzowi, jakiego we mnie ma gościa; ja tymczasem zająłem się damami, chcąc mu dać sposobność zaspokojenia niecierpliwości.

R O Z D Z I A Ł VIII.

WALDFIORD. — GRUZY W LESIE. — CYWILIZACYA. — ROESKILDE. —
KATEDRA. — BISKUP WILHELM I KRÓL KANUT. — GROBY KRÓLÓW
DUŃSKICH. — ZATOKA JESSEFIORD. — KOŚCIÓŁ W SORO. — PODANIE
LUDU. — BISKUP APSALON. — SZKOŁA W SORO. — OBJAD. — PRZY-
JĘCIE. — CYTACYA SZAKESPEARA. — PIJACY DUŃSCY. — WIĘZIE-
NIE. — FREDENSBORG. — ŚWIĄTYNIA JANUSA. — KONGRES KAMIEN-
NY. — FILOZOFIA I ORTHODOXIA. — HISTORIA PASTORA PROTE-
STANCKIEGO.

Zacząłem przyglądać się obrazom przyozdabiającym ścia-
ny salonu. — »Niechże mi pan będzie w dwójnasób pożądanym,
powitany,« powiedział nareszcie pastor, wysłuchawszy dłu-
giej historii, jakiej byłem przedmiotem; »a wy moje córki po-
dajcie panu ręce, starajcie się, aby choć na chwilę zapomniał,
że nie we własnym jest kraju i nie we własnym domu.«
Rzadko się zdarzało, aby kto z mego narodu zawitał do Da-
nii; brak wszelkich stosunków handlowych, jakoteż innych,
jest tego powodem. Ludziom zaś, rzuconym na pastwę
zmiennych kolei tułactwa, rząd duński z obawynie pozwa-
lał wylądowania na swe ziemie. Zszedł mi szybko wieczór
w towarzystwie tych poczciwych ludzi; prostota ich była
tylko objawieniem piękności duszy, ale nie braku ukształce-
nia. Pastor był prawdziwą encyklopedyą żyjącą ze względu
filologii, historii i literatury Skandynawskiej; a panny znały
dokładnie historję i jeografię narodową, mówiły dobrze po
niemiecku, dość dobrze po angielsku, i umiały ocenić litera-
turę tych krajów; pragnęły gorąco nauczyć się cokolwiek po
francuzku, aby mogły czytać Chateaubrianda i Lamartina
w oryginale, ale dotąd nie miały sposobności. Muzykę wo-
kalną znali wszyscy w domu pastora, nawet służące i stróż.
Wieczór zakończono religijnym przez wszystkich domowni-
ków odśpiewanym chorałem i pacierzem, który, stojąc wszy-
scy, w myśli odmówili za przewodnictwem pastora. Nie
umiałem jeszcze dość po duńsku, aby zrozumieć słowa jego

z tkliwością i uroczystością wymawiane; ale z kilku słów i spojrzeń, co mnie doszły, poznałem, że gość z dalekich stron przybyły miał tą razą udział w modłach wznoszonych do Boga. Zaprowadzono mnie nareszcie do przygotowanego pokoju i życzo no dobrej nocy. Uczucia dnia tego długo od-
dalały sen z mych oczu, a kiedy nareszcie znużone przymknę-
ły się powieki, zwodnicze marzenia przeniosły mnie tułacza
na łono cichój mojej rodziny, która nie wiedziała wtenczas,
dokąd mnie losy zagnały.

Poświęciliśmy dzień następny ekskursyom po sąsiedztwie
w towarzystwie mych gospodarzy. Pogoda sprzyjała i tą ra-
zą. Zmierza liśmy najprzód do Roeskilde. Droga, lubo nie naj-
krótsza, ale najromantyczniejsza, prowadziła przez las odwie-
czny, o który się opierał park zamkowy. Mieszkanie dawnych
dziedziców leżało od wieków w gruzach, na jednej ze skał
wznoszących się w lesie. Z ruiną zabytku feodalnego, dzika
natury otaczającej go postać zmieniła się także. Umilkły już
na wałach, teraz brzozą zarosłych, trąby wojenne, co nie-
gdyś postrach roznosiły po okolicy, zwierz dziki przestał
trwożyć pasące się bydło, pierzchnęły Dryady z swych ulu-
bionych siedzib; siekierą zwalone odwieczne dęby, przeisto-
czyły się w wygodne domy lub statki, co roznoszą towary
po wszystkich stronach świata. Tak legła poezya pod ciosem
przemysłu, ale legły i przesady tyle krwi kosztujące.

Kościół w Roeskilde jest jednym z najdawniejszych po-
mników północy. Kamień jego węgielny położył na początku
XI. wieku, szlachetny i energiczny biskup Wilhelm. Wkrótce
po wybudowaniu świątyni, król Kanut sprofonował ją mor-
derstwem. Pierwszej niedzieli pó tém zdarzeniu, Wilhelm
spotyka przy wrotach kościoła wchodzącego króla i suro-
wym głosem wzbrania mu wejścia. Orszak królewski doby-
wszy miecza wpada na zuchwałego prałata, ale grzesznik,
uznający swój błąd, wstrzymuje go, rzuca się twarzą na zie-
mię i ze łzami błaga o przebaczenie. Świadek szczerój skru-
chy Biskup, przebaczył w imieniu Boga żałującemu i odtąd
polubił go tak mocno, że przyjmując w kilka lat potem
zwłoki umarłego króla na progu tegoż samego kościoła,
Wilhelm padł na kolana, złożył ręce do modlitwy i skonał.
Wszystkie te szczegóły wyrażone są na głazie zamykającym
grób dwóch przyjaciół; kapłana wybaczącej religii, i grze-
sznika, co w nią uwierzył. Katedra Roeskildy jest ostatniem

mieszkańcem monarchów Danii; siedm generacyj królów spoczywa pod jęj marmurem; wieki barbarzyństwa podają tu zimne ręce wiekom cywilizacyi. Reformacya uszanowała tutaj dawne zabytki katolicyzmu, i nie targnęła się na rzeźby i napisy grobowych monumentów, napełniających chór, kaplice i arkady świątyni. Najskromniejszy z pomników jest ten, który sobie Krystiern IV., największy król Danii, za życia wystawić kazał. Struktura kościoła jest byzantyńska; majestatyczna prostota zgadza się dobrze z świętą prostotą pierwotnego chrześcijaństwa. Cały budynek zadziwia swym ogromem, gracyą i harmonią.

Zatoka Issefiord, sławna w sagach islandzkich i tradycyach ludu, pławi mury miasta Roeskilde, i tęskne zanosi jęki pod wieże storozżynego kościoła, jak gdyby chciała przypomnieć starem u świadczeni dawnego swego znaczenia, bohaterów, których niegdys kolebała na swych falach.

Brzegi zatoki nagie i piaszczyste odbijają smutnie od kwitnących pagórków, na których leży Sorö. Oto klassyczna Danii ziemia! ona pierwszję szkołę łacińskiej dała przytułek.

Szczegölne ale prawdziwe podanie przywięzuje się do dwóch wież zdobiących kościół tutejszy. Pewien rycerz tego kraju szedł na wojnę i mówił do żony będącej przy nadziei: »Jeżeli dasz życie córce, natenczas każesz wystawić strzałę kamienną na kościele naszym; jeżeli zaś obdarzysz mnie synem, natenczas każesz wybudować wieżę.« Pojechał rycerz i bił się długo walecznie; okryty sławą powraca z radością do rodzinnego ogniska; wtém zdaleka na kościele spostrze ga dwie podobne wieże. »Niech będzie błogostawiona! zawoła z uniesieniem, godna niewiasta duńska, co mi dała dwóch bliźniaków.« I miał się z czego cieszyć rycerz: starszym z synów był ów wielki Absalon, którego sława przetrwała siedm wieków, a młodszym Eryk, słynący z bohater skich czynów.

Religia chrześcijańska winna Absalonowi tyle, ile cywilizacya ludów północnych; on tu wytepił, więcj siłą swego niezmiernego rozumu, niż mieczem i ogniem, bałwochwalstwo z wyspy Rugen, której dawni sławiańscy mieszkańcy bogom swoim z ludzi ofiary składali.

Dawna szkoła łacińska w Sorö trwa jeszcze dotąd, i doszła, dzięki przywilejom jęj nadawanym, do wysokiego

stopnia potęgi i znaczenia; jest ona teraz panią samowładną i dziedziczką nie tylko miasta, ale i całego rozciągłego i żyźnego obwodu. Mieszkania professorów zwać się mogą pałacami, a mieszkania uczniów okazalsze od nie jednego nawet pałacu królewskiego. Korzyści wypływające dla oświaty Danii z tej szkoły w Sorø, nie odpowiadają jednakże kosztownemu utrzymaniu; za 100,000 talarów rocznego dochodu, pobiera tu bowiem tylko 60 uczniów nauki, a ci wszyscy należą do klas bogatych i uprzywilejowanych z urodzenia, które własnym kosztem swoje dzieci edukować mogą. Nie życzę przeto pysznej z bogactw akademii długiego życia; dopełniam jednak przez to pewien gatunek niewdzięczności. Jeden z professorów, dawny kolega i przyjaciel uniwersytecki mego pastora, zaprosił nas wszystkich na obiad; przyjął nas amphitryon z okazałością w czarnej aksamitnej, czerwono podbitej todze, którą zdjął dopiero siadając do stołu; żona jego i córki jaśniały jak tulipany blaskiem piór paryskich, jedwabów lyońskich; syn zaś, młody doktor prawa, przepędziwszy czas niejaki w Paryżu, nauczył się tamże wierzyć, że umie po francuzku: kontent z znalezionej sposobności, popisował się z swą erudycją, nie szczczędając ani moich uszów, ani cierpliwości nie rozumiejących po francuzku gości. Lubom wszelkiego dokładał starania, aby się do mniejszych dotykających mnie przedmiotów mogła zwrócić, rozmowa toczyła się długo o wypadkach, w skutek których przybyłem do Danii. Co mnie się niepowiodło, sprawiły dobre wina i często za me zdrowie spełniane kielichy; prawnik nasz, chcąc się utrzymać w roli przybranego *d'un mauvais sujet parisien*, pił dużo i rozweselił się kompletnie. »Ale synu! przedstawiał mu ojciec: jakież pan doktor o naszej wstrzemięźliwości poweźmie wyobrażenie?« — »Takie ojeze, odpowie mu syn, jakie o nas mają ludzie, co w oryginalnie lub tłumaczeniu czytają Szekspira. Reputacya pijaków duńskich trwać będzie, póki dzieła boskiego poety nie zaginą, a zatem dłużej niż ja, akademii w Sorø i jej dostojni professorowie, którzy zresztą także nie pogardzają dobrym kielichem.« — »Oto pan widzisz, przerwał strwożony ojciec, skutki francuzkiej edukacyi.« — Prawda, pomyślałem sobie, nie jednemu łatwiej się nauczyć od Francuzów bezczelności, niżli języka. Zresztą nasz prawnik miał cokolwiek racyi;

lud duński pije więcej, niż tego wymaga klimat, i ztąd suchoty dość w tym kraju częste.

Blisko Sorö, wśród odwiecznego lasu dębowego, nad srebrnym jeziorem leży gmach, którego nieregularna budowa świadczy, że był przez kilka wieków stawiany i często powiększany. Z pierwotnego klasztoru reformacja zrobiła więzienie.

O pół mili dalej, na wierzchołku góry gęstemi zarostej bukami, stoi jeden z najpiękniejszych zamków Danii. Jest to Fredensborg, monument pacyfikacyjny, postawiony przez Fryderyka IV. na pamiątkę zawarcia pokoju po długiej wojnie Duńczyków z Szwedami. Świątynia Janusa przypomina myśl przewodniczącą budowie i całemu zakładowi, wszystko w nim zachęca do uspokojenia duszy i słodkiej melancholii. Ale na nieszczęście, z nowo rozpoczętą wojną Fredensborg przestał cieszyć się opieką monarchów; zamek od dawnego czasu opuszczony grozi ruiną; wybują na jego gruzach piękne krzewy i rzadkie drzewa przyległego parku i zaduszają się nawzajem.

W środku niebotycznych jodeł i sosien stoi tutaj pomnik nie tknięty jeszcze ręką niszczącego czasu. Jest to wysoki, ze skał niezmiernych wybudowany kopiec; po krętych, wąskich i spadzistych ścieżkach, prowadzących na jego wierzchołek, rozsianych tu jest 300 posągów kamiennych, które wyobrażają Norwegów wszystkich wieków, stanów i okolic w ubiorach, jakie od wędrowek narodów Azji aż do ostatnich nosili czasów.

U spodu kopca stoi brodaty kapłan Odyna z ofiarnym nożem w groźnej prawicy, wyżej łamiący się z dzikim niedźwiedziem strzelec, dalej Skald z harfą w ręku na czele zapalczego hufca wojowników, pasterz, rybak, dziewczica w stroju ślubnym, wyżej jeszcze biskup z krzyżem w ręku, potem rycerz chrześcijański, majtek, nauczyciel, lekarz nawet, rolnik; wreszcie na szczycie kopca pastor protestancki, wznoszący na czele swjej gminy modły do Boga. Wymownie przemawia do duszy niemy ten z granitu wykuty kongres, wysłany przez synów północy dla przypomnienia praw swych nieobecnemu królowi. Przeżył ten pomnik węzły, co dawniej dwie rodzone siostry łączyły, i Dania w nim widzi wszystko, co jej po stracie Norwegii pozostało. Pod względem sztuki, posągi te mniej są warte i godne uwagi.

Słońce zachodzące i wiatr wilgotny przypomniał nam nareszcie, że już czas do odwrotu. Wsiadliśmy zatem do powozu i ciemnym lasem dążyli ku domowi pastora. Zaszło nareszcie słońce i pogrążyło nas w zupełnej ciemności; rzadko tylko ciekawy półksiężyc wykradał się z po za obłoków, i okazywał swe chude i wybladłe oblicze; trzęsły się wtenczas magicznie drzew cienie, a drzewa same najdziwaczniejsze przybierając kształty, straszyły nas, jak widma jakie. »Oto pan masz na ziemi naszej co krok to nowy dowód znikomości rzeczy ludzkich«; przerwał nareszcie pastor zwracając się do przedmiotów, które nas otaczały. »Wesoły przybytek króla i bożka pokoju, niegdyś sławny turniejami i zabawami rycerskimi, niezadługo stanie się pastwą tego bożka, dla którego może tylko śmierć i gruzy są godłami stałego pokoju. O spokojny mnichów przytułek, którego mury niegdyś odbijały tylko hymny i modły zanoszone do Boga, odbijają się teraz tylko jęki więźnia i klątwy jego stróżów. Skromna szkoła łacińska, pierwsza kolebka na naszej ziemi zrodzonego światła, stała się przytułkiem przywilejów i ich bogato płaconych obrońców, a pyszny kościół wzniesiony przed dziewięć wiekami kosztem skarbu naszych królów, stał się nietylko grobem ich ciał, ale i smutną pamiątką dawniej ich potęgi i bogactwa. Tak wszystkie dzieła ludzkie podpadają zmianie, nawet i myśl piękna, co przewodniczyła wzniesieniu tych gmachów. Nasz rozum wprawdzie umie wysledzić w każdym zdarzeniu historycznym dowód stopniowego postępu, i ściągać każdy fakt do konieczności, w której następstwie doskonałość absolutna i szczęście ludów osiągniętemi będą; ale serce często inaczej mówi i w obswojeniu się rozumowi z wypadkami bolesnemi widzi tylko potrzebę pogodzenia się człowieka z położeniem, w jakie go te wypadki wtrącają.«

Zdawał się odgadywać myśl moją pocziwy pastor. »Niech się pan nie gorszy memi słowami, mówił dalej z westchnieniem«, i moje serce zranione jest tak głęboko i tak boleśnie, że nawet boski balsam religii uleczyć go nie zdołał. Miałem syna, który od dzieciństwa pokochawszy swój zawód sposobił się do niego z tą miłością i gorliwością, jakich tylko prawdziwe powołanie użyczyć może. Na fakultecie teologicznym w Kiel i Kopenhadze przykładał się do języków północnych, a szczególnie do dialektów, które w Laponii

mówią; po świetném ukończeniu nauk, żył przez miesiący kilka przy mnie oplakującym wtenczas stratę méj żony, i wyręczał mnie w obowiązkach. Często ze łzami dziękowałem opatrności za szczęście, które w osobie dziecka złała na mnie, i błagałem, aby nie przerywała go aż do méj śmierci. Inaczej chciał Pan Bóg. Jednego wieczora, kiedyśmy dziękowali Jemu za dzień przepędzony, syn mój padł na kolana i błagał o siły dla mnie, błagał, abym mógł znieść cios, który mnie czeka. Zgadłem, że chcę mię opuścić i całą noc strawiłem na czytaniu biblii. Nazajutrz rano, kiedyśmy wszyscy zgromadzeni byli w salonie, wstąpił syn mój i zawołał: »Ojeze! twe błogosławieństwo! opuszczam ciebie i idę nieść światło ewangelii Laponczykom, którzy nigdy nauki Zbawiciela w oczystym nie słyszeli języku; Bóg mi dał siły i natchnienie, grzechem byłoby z nich nie korzystać.« — »Idź synu mój drogi,« odpowiedziały me usta, ale serce zalało się strumieniem łez krwawych. Poszedł i już nie wrócił. We dwa lata później sędziwy biskup Kopenhagi zajechał przed moje skromne progi i oznajmił mi, co już dawno przeczuwałem, że syn mój uległ w pełnieniu obowiązków niewygodom i wpływowi zabijającego klimatu Laponii.«

Umilkł nieszczęsny ojciec, a księżyc, co wyszedł z po za chmury, padł na jego z rezygnacją ku niebu obrócone oczy, i na córki rzewnemi zalane łzami.

ROZDZIAŁ IX.

ZAPROSINY PASTORA. — POŻEGNANIE. — POWRÓT DO KOPENHAGI. — STERNIK AURORY EN GRANDE TENUE. — KOMIETERYA. — TEATR. — SCENA WŁOŻY. — POŻEGNANIE Z EKWIPAŻEM AURORY. — DROGA DO ELSENERU. — LUDNOŚĆ JEGO, — WIDOK Z TWIERDZY. — CZY HERKULES BIL SŁUPY ŻELAZNE W CIEŚNINIE ZUNDU. — ZUND I KATEGAT. — GRÓB HAMLETA. — SENTYMENTALNOŚĆ ANGIELEK I GASTRONOMIA ANGLIKÓW. — WYCIECZKA DO SZWECYI. — HELSINBORG. — ŹRÓDŁO MINERALNE. — WIEŻA BUDOWANA PRZED ERĄ CHRZEŚCIANSKĄ. — DOMNIEMYWANIA GEOLOGICZNE. — USTĘP MORZA Z BRZEGÓW SZWECYI. — ODJAZD Z ELSENERU.

Nazajutrz rano znaleźliśmy się znów wszyscy u pastora. Po śniadaniu, kiedy już zabierałem się do podziękowania memu gospodarzowi za gościnność, uprzedził on mnie prośbą, abym się zatrzymał jeszcze na chwilę, i wzięwszy za rękę, mówił mi z tkliwością:—»Puszczasz się pan do owej zimnej Anglii, gdzie nie łatwo jest znaleźć przyjaciół, i to jeszcze puszczasz się w porę obfitą w burze i przypadki. Przechimuj pan z nami, potrafiemy pana ukryć w naszym małym zakątku; pielęgnując chorych parafian, znajdziesz pan wdzięczne dla dobrego serca zatrudnienie, a w domu naszym zawsze szczere przywiązanie. Jesteś pan młodym, jesteś jeszcze w wieku, w którym pokój duszy i błogi wpływ przywiązania mogą zagoić najgłębsze rany serca. Może pan znajdziesz między nami część tego coś stracił. Pozostań z nami!«—»Pozostań pan z nami«, powtórzyły razem Ulryka i Marya, podając mi ręce; »będziesz pan nas uczył po francuzku, a my jak brata kochać cię będziemy.« Na tak czułe dowody dobrego serca ze strony zupełnie mi obcych ludzi, przygotowany nie byłem. Dotknęły one mię żywo; tém żywiej też uczułem powinność odpowiedzenia im godnie. Była to jedna z najtrudniejszych, najsolenniejszych chwil życia mego. »Dziękuję wam, odpowiedziałem nareszcie, za wasze zaufanie, za waszą serdeczną ofiarę; ale rany mego serca nie powinny się zagoić. Zresztą burzy oceanu się nie lękam, nie może ona być dzikszą od

tę, co w mych własnych, często zrywa się piersiach. Bądźcie więc zdrowi i nie zapominajcie cudzoziemca, który unosi z domu waszego tak miłe wspomnienia, że w chwilach smutku, do nich po pociechę wracać będzie.«—»Niech Bóg błogosławi twoim zamiarom, rzekł z rozczuleniem pastor, i niech ci ułatwi powrót do ojczystych zagród; w modłach corocznie przypomnimy sobie chwile, któreś z nami przepędził; a ty siostrzeńcze, dodał zwracając się do kapitana, odpowiedzialnym mi jesteś za doktora, dopóki z tobą pozostanie, i powrócisz z listem od niego.« Z prawdziwym żalem rozstałem się z cnotliwą familią, w której patriarchalnym domu znalazłem serdeczność bez obłudy, cnotę bez srogości, religię bez bigoteryi i naukę bez pedantyzmu.

Wsiadliśmy do powozu. Długo jeszcze dusza pozostawała pod urokiem wrażeń pożegnania mego z pocziwami ludźmi, których pamięć nigdy w moim sercu nie wygaśnie; długo jeszcze milczały me usta. Towarzysz mój umiał wejść w przyczynę mej posepności i nie przerywał milczenia. Stanęliśmy nareszcie w murach Kopenhagi i prawdziwej doznałem roskoszy, znalazłszy je w tym samym stanie, w jakim je opuściłem; przekonałem się bowiem naocznie, że z dwóch nocy, którem na ziemi przepędził duńskię, żadne dla niej nie urosło niebezpieczeństwo. Tęm ośmielony doświadczeniem, postanowiłem powtórzyć je raz jeszcze. Spotkaliśmy przy porcie sternika uszczęśliwionego z tęgą prędkię zażyłości pomiędzy mną a kapitanem.—»A cóż? nie dotrzymałem panu słowa, nie wybrałem panu sławnego towarzysza?« spytał mię przy powitaniu. »Doskonałego, mój sterniku, odpowiedziałem, i tak jestem z ciebie zadowolniony, że chciałbym ci się jakąś zabawą wywdzięczyć.« »Już ani kropelki, odpowie sternik,« któremu, na wyraz zabawa zawsze przedstawiała się butelka.—»Nie, nie o to idzie, nie namawiam cię do picia na stałym lądzie, ale proszę na teatr, do którego idziemy z kapitanem.«—»Na teatr? tam mię rzadko wiatry zawiewały, z chęcią więc pójdę na teatr, ale do tego potrzeba, żeby mi wywiesił wielką banderę narodową« (to miało znaczyć, że mu się potrzeba ubrać w szaty świąteczne).

— »Dobrze, idźcie sobie wywiesić banderę, rzecze mi kapitan, ale spiesz się, bo my tu ciebie czekamy.«

Wrócił sternik za pół godziny; na umytej i uczesanej jego głowie błyszczał kapelusz okrągły z palonej skóry, szyję okręcał jaskrawy szal czerwony. W linii demarkacyjnej pomiędzy szerokimi szarawarami granatowemi a lejbiikiem tegoż koloru, podobnyż szal opasywał biodra, pozwalając jednakże umyślnie wyglądać nieco białej koszuli; na piersiach wisiąca na srebrnym łańcuchu piszczałka, znak dostojności sternika; na lewój ręce rękawiczka biała, a w prawej gołej, koloru prawie kasztanowatego, świeżej prymki pół łokcia kompletował świąteczny ubiór naszego sternika. »A cóż! zapytał zadowolony z własnej osoby, spodziewam się, że panu nie zrobię wstydu.«

O kokietero! wrodzony zmysle! znają cię nie tylko starzy kawalerowie, co cię istotnie potrzebują, i młode ładne damy, coby się łatwo bez ciebie obejść mogły, ale znają cię także wszystkie stany i wieki; biedny jak bogaty, biały i neger; znał cię nawet król Otaicki, którego jedynym ubraniem był frak generalski i bóty z ostrogami darowane mu przez dwóch monarchów; zna cię jeszcze owa królowa Otaity, co jednym sznureczkiem pereł ubiera całe ciało. Kokietero! często jesteś niepotrzebną, ale często dobrą i miłą; bo któryż lekarz nie powitał cię radośnie, kiedy cię znalazł znów po raz pierwszy w oczach młodej kobiety, której życie długo zostawało w niebezpieczeństwie. Ja ci przebaczam z tego powodu.

W teatrze dawano dramat pp. Dumasa i Gaillardet pod tytułem: *la tour de Neste*. Sternik brał sobie tak do serca akcję dramatyczną, że zdawało się z klątw, jakimi miotał, jakoby był przytomnym istotnej prawdzie. Po drugim akcie chciał wyjść z łoży. »Nie puszcze cię, aż ochłoniesz z gniewu, rzecze mu kapitan; tyś gotów zrobić awanturę aktorce, która przedstawiała ową okrutną Małgorzatę Burgundzką.«—»Ale gdzie tam, przecie ja wiem, że ona musi grać co jej każą« odpowie sternik, ocierając pot z czoła.—»Ty tylko udajesz, że tak wierzysz«, odpowie kapitan i nie puścił sternika.

Nazajutrz pożegnałem Aurorę, jej kapitana, sternika i cały ekwipaż, nie wyjąwszy nawet negra Domingo i jego przyjaciółkę małpę. Wsiadłem do łodzi przy głośném hura i zatknięciu bandery, sprowadziłem rzeczy na extrapocztę najętą przez kapitana i puściłem się z nim ku Hel-

singoer. Droga do tego portu, w którym leżał już nasz okręt, wije się pomiędzy pysznym lasem bukowym, pięknymi willami i ogrodami ozdobionym, a brzegiem huczącego morza, zastanym sieciami rybaków i ich niskimi chatami. Jedyna roślina udająca się na piasku pławionym od wody, jest niezapominajka. Kwiatku mały! ty to kwitniesz może, abys przypomniat podróżnemu, rzuconemu na te dalekie brzegi, ziemię jego rodzinną i przyjaciół których opuścił.

Helsingoer jest tak napełniony cudzoziemcami różnych narodów, mówiącemi wszystkimi językami północy i południa, że nie jeden wojażer francuzki nie odgadłby, do którego to miasto należy kraju, bez pomocy dykcjonarza jeograficznego. Marynarka kupiecka zatrudnia tu wszystkie głowy, wszystkie ręce a nawet i serca. Nie brakuje więc temu miastu życia, ale na nieszczęście koncentruje się to życie w szynkach wina i wódki; korzyści z tego wynikają tylko dla skarbu duńskiego, który więcej intraty konsumpcyjnej ciągnie z Helsingoeru, jak skarb saski z miasta Drezna. Liczba mieszkańców zależy od kierunku wiatru; z dobrym wiatrem mnoży się, ze złym się zmniejsza, ale nigdy nie przenosi 10,000. Na końcu północnym miasta wznosi się imponująca architektura forteca Kronenberg. Otoczona trzema wałami, najeżona działami, napełniona garnizonem, cytadela Kronenberg pilnuje Zundu, jak żołnierz bramy, albo raczej jak celnik rogatki, bo każe płacić każdemu okrętowi cło Zundowe. Cło to, które Dania niegdyś zbrojną od wszystkich narodów wymagała ręką i teraz jeszcze za gwarancyą Rossyi i Anglii pobiera, opłacane bywa królowi Duńskiemu, który bez niego musiałby zbankrutować koniecznie. Wynosi to cło do pół miliona talarów corocznie.

Z wierzchołka jednej z wież Kronenborga oko spogląda na czarujący krajobraz. Na prawo w oddaleniu, mury Kopenhagi, na lewej już z drugiej strony Kattegatu niebieskie szczyty gór Kullanu; wprost przeciwległe fortecy na skalistym brzegu Szweeyi miasto Helsingborg z czerwonymi domami; w środku głębokie morze ciśnione właśnie w tém miejscu dwoma wysokimi w jego wody wstępującemi brzegami. Tu jest granica Zundu i początek Kattegatu, cieśnina, w którą niegdyś podług nowożytnych

filozofów, Herkules miał wbić swe żelazne słupy. Myślność tego zdania, оголаcającego Gibraltar z powabą mitologicznego, łatwo można wykazać. Na obydwóch brzegach morskich Szwecyi i Danii, na wysokości przechodzącej 60 stóp, znajdują się muszle morskie i kamyki okrągłe w tak ogromnej obfitości, że ich ręka ludzka pewnie tam zanieść nie mogła. Zresztą znajdujemy tamże wyrąbane w skale ślady małych portów, służących niezawodnie dawniej za ochronę małym statkom. Wszystkie te zjawiska dowodzą, że Bałtyk odstąpił bardzo znacznie od strony Szwecyi; inne jeszcze zjawiska geologiczne przekonują, że półwysep Skandynawski nie istniał jeszcze wcale przed 2,000 lat, że był cały zalany wodą, a przez to samo, że nie było wcale na świecie cieśniny Zundu wtenczas, kiedy filozofowie kazali iść Herkulesowi wbić w nią słupy żelazne.

Ale wróćmy z tych głębokich badań, do mniej głębokich ale czystych wód Zundu, na których kołysały się liczne statki, a pomiędzy innymi i Twende Broedere, co nas miał zawieźć do Edymburga.

Kto czytał Shakespeara i umiał przejąć się cudną pięknoscia jego nieśmiertelnej muzy, nie opuści Helsingoeru bez zwiedzenia grobu Hamleta. Tuż pod Marienlust, wesołym pałacem królów Danii, wchodzi się ciasną krętą ścieżką do lasku bukowego, opartego z jednej strony o brzegi morza, z drugiej zaś o szeroką płaszczyznę. Trzy ogromne nieforemne głazy, wrzucone jak gdyby ręką Tytana jeden na drugi, i innych kilka mniejszych na około, oto pomnik grobowy, pod którym odpoczywa cień melancholizny Hamleta. Natura otaczająca zdaje się harmonizować z tém miejscem: wiatr tu szeleści smutnie, księżyc świeci ponuro przez czarne trzęsące się gałęzie, i burza jęczy żałosnie na falach bliskiego morza. O jedną z skał stała oparta postać wysoka, szlachetna młodej kobiety; bogate włosów pierścienie spadały na białe jak alabaster lica, i piękne niebieskie oczy przyćmione długą rzęsą, na której lży jak srebrne krople rosy osiadły, w rękę trzymała wieniec śmiertelny. „That's Ophelia!” krzyknąłem prawie przerażony do mego towarzysza.—„No, that's, only my wife Sir» (Nie, to tylko moja żona, panie)—odpowiedział śmiejąc się do rozpuku jegomość jakiś, już nie bardzo młody, trzymający w rękę

ku szal i kapelusz damski. Była to istotnie nowo zaślubiona Angielka, podróżująca z bogatym mężem dla szukania wrażeń sentymentalnych. Omyłka moja naiwna wprawiła obojga w najlepszy humor, lubo z dwóch różnych przyczyn. Scena ukończyła się zaproszeniem na butelkę Porto; wypiliśmy ich trzy. Wrok potem będąc w Oxford, spotkałem się z tym samym Anglikiem; zaręczał mi dobroduszenie, że się jeszcze nie przestał śmiać z sceny przy grobie Hamleta i prosił, abym przyszedł zobaczyć Ofelię: znalazłem ją rumianą, wesołą i z półrocznym John Bullem przy piersiach. Tą razą nie wziąłem jej za platoniczną kochankę Hamleta.

ROZDZIAŁ X.

SZWECYA.—HELSINGBORG.—ŹRÓDŁA MINERALNE.—WIEŻA.—
ODJAZD Z DANII.—TWENDE BRODERE.—BRYG DUNSKI KATTE-
GAT.—PAN OSKAR, ENIGMATYCZNY STERNIK.—BIOGRAFIA GRA-
CZA.—ZATRUDNIENIE I ROZMOWA.—BRZEGI SZKOCYI.—PILOT
ANGIELSKI.—PRYZYTAŃ.—URAGAN I ZNISZCZENIE.—NIEBEZPIE-
CZENSTWO GROŻĄCE.—OCALENIE CUDOWNE.—NEPTUN I JEGO
ODWIDZINY.

Nie chciałem opuścić Helsingöru, bez zwiedzenia choć na chwilę tak bliskiej Szwecyi; nie wiedziałem jednak, że dogodzenie temu kaprynowi wystawi mnie na tak znaczne wydatki, jakie ponieść musiałem.

Istnieje bowiem w Helsingör kompania posiadająca wyłączny przywilej przewożenia na drugą stronę Zundu pasażerów, i nadużywająca go w sposób dla kieszeni podróżującego bardzo dotkliwy. Rachowałem zapłacić za przewóz dwa złote, a musiałem ich zapłacić dwadzieścia.

Helsingborg jest mało znaczącym miastem, nosi jednakże pewny charakter narodowości, nie jest tyle napełniony majtkami, jak raczej wieśniakami, żołnierstwem i urzędnikami Szwedzkimi. Zabudowania małe ale porządne, urozmaicone placami i małymi ogrodami. Blisko miasta znajduje się fontanna mineralna bardzo ciepła, zawierająca żelazo, jego sole i gaz wodorod-siarczany i węglany. Miejsce, w którym leży to źródło, jest prawdziwie teatralnym.— Wchodzi się do sali balowej, bardzo ładnie przyozdobionej; ściany wszystkie pokryte są draperyami z kolorowego płócienka. Wtém znika nagle zasłona przeciwległa drzwiom i pokazuje się wysoka pyszna skała porośnięta krzewami; promienie słońca spadające z gór kąpią się w wytryskującej wodzie i udzielają całemu widokowi jakiegoś magicznego światła.

Napis wryty na jednym z głazów w charakterze runów dowodzi, że źródło było znanem od dawnego czasu. Miej-

sce to jest celem spacerów całego miasta, a w Lecie bawi tu wiele gości z głębi kraju, szukających w wodzie mineralnej lekarstwa na dobre zdrowie.

Na wschód od Helsingborga wznosi się starożytna wieża na gruzach zamku. Doktor mineralny, co mnie oprowadzał, utrzymuje, że wieża ta została wybudowaną przed erą chrześcijańską; — nie wierzę jednakże szanownemu koledze, bo Szwecyi wtenczas niezawodnie jeszcze nie było, a pod wodą i Herkules wieży nie budował.

Kapitan pokonał wreszcie wszystkie interesa wstrzymujące nasz wyjazd, opuściliśmy zatem stały ląd i wsiedliśmy dnia 20. listopada na statek oczekujący dobrego wiatru. Okręt nasz był silnym i wartko płynącym, miał 12 osób w ekwipażu i nazywał się *De twende Brodere* (dwaj bracia bliźniacy). Niech mi wolno będzie pamiątkę tego statku uświęcić opisem bliższym: miał 45 stóp długości a 15 szerokości, szedł 13 stóp w wodę; dwa kompletne maszty, pomiędzy pierwszym a przodem okrętu wejście do kajut ekwipażu, pomiędzy pierwszym a drugim masztem wejście do pomostu, a na nim silnie do obu masztów i pokładu przytwierdzona łódź wielka; za drugim masztem, idąc ku tyłowi okrętu, najprzód kuchnia okrętowa, obita żelazną blachą zachodzącą aż na pokład, potem schody do sali kapitańskiej, otoczone galeryą wstrzymującą napływ wody do niej; za wejściem na te schody, okno duże kwadratowe umieszczone poziomo na pokładzie i przepuszczające światło do sali kapitańskiej, okno to pokryte było mocną żelazną kratą, a po obu bokach jego dwie małe okrągłe, niezmiernie grube szyby wkitowane w pokład i przepuszczające światło do dwóch sypialnych komorek, co z każdej strony salonu leżą; nareszcie za oknem koło sterowe, a za niem, zupełnie na tyle okrętu, na pokładzie jego komorki różne, zawierające włoszczyznę, sałaty w ogromnych doniczkach rosnące, parę gęsi i kur żywych 6. Za tyłem okrętu wisiała w powietrzu mniejsza łódź okrętowa. Wszystkie te drobne szczegóły byłbym pominął i oszczędził czytelnikowi memu konieczności obznajomienia się z niemi, gdyby nie były koniecznie potrzebnemi do zrozumienia dokładnego wszystkich bolesnych doświadczeń, przez jakie przechodzić musiałem, jak się to niżej pokaże. Do sali kapitana i dwóch jej przyległych komorek, schodziło się po spadzistych dwunastu schodach. Sala ta, wysoka na półszóstą stopy, oświe-

cona była oknem wyżej opisaném; pod tém oknem oparta była na ścianie drzwicom przeciwniejszej ława wystawiająca niby kanapę; przeznaczona mi na łóżko, została przykryta mym materacem, poduszką i kołdrą. Przed kanapą stół wbity w ziemię, o niego mogłem oprzeć się podczas burzy, żeby nie zlecieć z łóżka. We wszystkich ścianach mnóstwo jakichś kryjówek z drzwiczkami źle przymkniętymi. Na ziemi stały me kufierki, kilka krzeseł składanych, piec żelazny, którego rura wychodziła na pokład, dwa antałki wina i beczka jakaś wysoka, z której wychodziła słoma. Tak tedy wyglądało miejsce, które tylu scen ciekawych było świadkiem; miejsce, w którym przez kilkanaście dni więcej przecierpiałem i więcej przemyślałem, niż się to nie jednemu przez długi przeciąg całego życia zdarzy. Już we dwie godziny po wstąpieniu na okręt wiatr się ustalił ze strony południa, najpomyślniejszy z jakim można przebyć groźny Kattegat. Z radością rzucili się majtkowie do kotwic; wyciągnięto je przy odgłosie owych z kadencją przeciąganych tonów, jakimi każdy marynarz dodaje sobie ducha do pracy. Pod rozpiętymi żaglami statek nasz płuł piorunem morze i spieszył się, żeby zmiana powietrza nie zastała go jeszcze w niebezpiecznym kanale. Z zachodem słońca wszedłem do kajuty i zastałem w niej sternika. Uderzyła mnie jego fizyognomia, nie spodziewałem się zastać podobnego indywiduum pomiędzy otwartymi, prostymi mieszkańcami mego statku. Był to młody człowiek, na którego pociągłej żółtawej twarzy wszystkie gwałtowne namiętności wybiły niezatarte ślady: usta wyrażały więcej pogardy jak dumy, a czarne oczy mdłe i nieruchome padały jak kamienie na tych, na których się zwracały; postać wysoka, chuda, zastanawiał szlachetnością, pomimo umyślniej niedbałości w ubiorze i gestach. Przywitał mnie w dobrej francuzczyźnie z pewną grzeczną lekkością tak nazwanych ludzi dobrego tonu. Nie wychodziłem z zadziwienia, w które mnie pogrążyło zagadkowe zjawisko człowieka tak niezwykłego w tém miejscu; poznałem od razu, że jakimś dziwnym nadzwyczajnym kolejom należy przypisać stan i zatrudnienie jego dzisiejsze; dręczyła mnie ciekawość i czekałem z upragnieniem sposobności zaspokojenia jęj; znalazłem nareszcie tę sposobność.

„Niepokoi pana zagadkowa figura mego sternika,“ mówił mi domyślny mój kapitan; „nie dziwie

się temu wcale, jest to człowiek nadzwyczajny, jak sam pan z jego historyi poznasz. Pan Oscar, szlachetnie urodzony, niegdyś bogaty, przyszedł własną winą do tego, że teraz na mizernym statku kupieckim pod mojemi służy rozkazami; od młodości sposobił się do marynarki królewskiej, i już pięć lat temu był chorążym na jednym z korwet królewskich stojących na warcie w Santa-Crux. Ciągła potrzeba gwałtownych wzruszeń była od dzieciństwa jednem z dziwactw charakteru tego człowieka; szukał on tych wzruszeń gdzie tylko mógł, nie lękając się żadnych niebezpieczeństw. Lat temu cztery P. Oscar zwiedził brzegi Ameryki i stanąwszy w Vera-Crux, zaraził się żółtą febrą; cudem nadzwyczajnym uszedł srogosci téj choroby, ale nie uszedł innej czekającej go tu klęski. Bogata młodzież Meksykańska odwiedzała go w rekonwalescencyi i wzywała swoim zwyczajem do gier hazardownych; oddał się im Pan Oscar z tém większą ochotą, im więcej mu szczęście sprzyjało z początku. Ale szczęście jest niestałym przyjacielem; doświadczył tego wkrótce nierozważny nasz zapaleniec: przegrał co miał, brnął w długi chcąc się odegrać, i kto wie w jak głęboką przepaść byłaby go wtrąciła niepohamowana żądza gry, gdyby nie ojciec, który uwiadomiony o niebezpieczeństwie grożącym całemu majątkowi, poświęcił połowę dla ratowania drugiej. Przez niego wezwany wrócił po dwuletniej niebytności P. Oscar do domu rodzicielskiego; tu go nikt nie poznał, choroba zniszczyła go, ale jeszcze więcej burzliwa namiętność, co się na nią wszczepiła. Młodzieniec ten, odznaczający się przedtém bystrością i wesołością dowcipu, dobrocią serca i szczerem zamiłowaniem w naukach, stał się ponurym, niespokojnym, podejrzliwym, nudził się we wszystkich towarzystwach, gdzie nie grano w karty; pogardzał każdą naukową rozmową, każdym natężeniem umysłu, słowem, nosił już wtenczas owe piętno rozbewstwienia, które tak widocznie cechuje każdego gracza, wielkiego lub małego.

»Jedna tylko osoba zdołała czasem wyrwać Oscara z tego zapomnienia i poniżenia własnej godności; była to moja siostra, bawiąca wtenczas w rodzicielskim jego domu. Z nudów nie mając może nic lepszego do robienia, prosił o jej rękę; nie wiem wprawdzie, jakim przymiotom méj siostry mam przypisać wyświadczony nam zaszczyt, chyba temu, że podobna do damy pikowej, bo zresztą nie

jest ani bardzo ładną, ani też jej wychowanie nie odpowiadało ówczesnemu socyalnemu położeniu P. Oscara. Koniec końcem: prosił o jej rękę, porozumiewszy się z nią wprzód, i odebrał od mych rodziców odpowiedź, że jeżeli dotrwa w swych uczuciach dwa lata, wtenczas córka odmówioną mu nie będzie. Wstąpił nareszcie P. Oscar znów w swe obowiązki jako oficer marynarki, przeszedł do Kopenhagi i tam nie omijał, jakeśmy się później dowiedzieli, żadnej okazji propagowania swój meksykańskiej nauki. Ale gusta naszych marynarzy są tak proste, jak puste kieszenie. Oscar znudzony zgrywaniem kolegów z ciężko zarobionego żołdu, porzucił na chwilę gry i ubiegał się o uzyskanie miejsca w poczcie oficerów marynarki, posyłanych przez rząd Duński corocznie do szkoły marynarki w Brest (we Francyi). Nie szczędził żadnej pracy w dopięciu tego celu, i w konkursie publicznym otrzymał pierwszeństwo. Piękne te usiłowania pogodziły zmartwionych rodziców z synem. Ale zawiedziono się okropnie na przyczynach tej poprawy nagłej: była ona tylko udaną;—trwała w gruncie serca niszcząca namiętność, a pragnienie dogodzenia jej wywołało w tym człowieku chwilowe usiłowania, jakimi, gdyby były stałe, mógł być zabezpieczyć sobie szczęście i szacunek. Wkrótce po przybyciu swém do Brest, Oscar znikł jak kamfora bez pieprzu. Gdy poszukiwania w gazetach były daremne, minister marynarki kazał go wykreślić z listy oficerów, jako zbiega. Biedni rodzice legli pod tym ciosem okropnym, złorzecząc synowi. Minął rok cały i nie przyniósł żadnej nowiny; dopiero list bezimienny, napisany przez jakiegoś z naszych rodaków z Paryża, odkrył nam smutną prawdę. Pan Óscar uszedł z Brest do Paryża, aby tam grać w karty, a zgrawszy się do szczeru, narobiwszy niezmiernych długów, ranny w kilku pojedynkach, wtrącony został do więzienia za długi. Nie chcąc okrywać wstydem swych rodziców, nie wyjawiał nazwiska i postanowił czekać ich śmierci w więzieniu; prawie cały majątek pozostały po rodzicach, których jedynym był synem, obrócony został na wykupienie go z kazy, resztę mu doręczono z radą, aby nigdy do ojczyzny nie wracał. Tak stały rzeczy (mówił dalej Kapitan), kiedyś temu osm miesięcy znajdował się z mym okrętem w Havre; puszczając się ztąd do Nowej Szkocyi, na brzegi północno-wschodnie Ameryki. Ekwipaż mój nie był wystarczającym

na tę daleką podróż; sam zatrudniony ciągle, poleciłem sternikowi staremu, na którego spuścić się mogłem, aby dwóch jeszcze przybrał majtków.

»Lecz jakież było zażwizwienie moje, kiedy wypłynąwszy już na morze, poznałem w jednym z dwóch nowo przyjętych majtków,—wynędzniałą, namiętą twarz Oscara. Spozstrzegł on wrażenie nieprzyjemne, jakie na mnie zrobił, i znakiem tajemnym żądał milczenia. Dopiero w nocy, kiedy warta przypadła na nas obojgu, zbliżył się do mnie i rzekł: »Poznałeś mnie, jestem Oscar, lubo dzięki, kupionym papierom, potrafiłem się udać za innego. Straciłem wszystko, nawet imię poczciwe, ale nie chcę stracić ojczyzny mój i nadziei zostania mężem twój siostry; pozostanę z tobą dopóki nie zasłużę na twe zaufanie, a majątek stracony przez błędy młodości, wróci mi doświadczenie, jakiegom nabrał pasując się z losem.«—Cóżem miał robić? czy kazać go okuć w kajdany jako fałszerza, lub uwierzyć w szczerłość jego poprawy? Nie łatwoby mi było przyszło uwięzić człowieka, któryby drogo i krwawo był sprzedał utratę wolności; ale trudniej prawie jeszcze uwierzyć w patryotyzm gracza, marnującego dla nadziei zysku materialnego swe uczucie, lub też przypuścić, że miłość czysta mogła wziąć przewagę w sercu zeszpeconém tą dziką i niepohamowaną namiętnością. Mileżałem tedy i czekałem dalszych wypadków. Od ośmiu miesięcy jestem świadkiem codziennym postępowania Pana Oscara; zawsze posępny i ponury, ale czynny i pracowity, nie wyszedł ani na chwilę z swój przybranej i trudnej roli. Kilka-set talarów, które mu się z ruiny jego majątku pozostały, umiał tak szczęśliwie użyć w spekulacyach handlowych, że je dotychczas potroił. Piąta część ładunku naszego należy do niego; właściciel statku widząc w nim zdolność i czynność niezwykłą, powierzył mu, nie wiedząc kim jest, drugą komendę okrętu. Nikt nie zna prawdziwego jego nazwiska prócz mnie i siostry.«— »Wszystko to rozumiem, rzekłem do kapitana; lecz siostra twoja przebaczyłaż mu?« — »Czy mu przebaczyła? odpowiedział kapitan, abo to pan nie znasz kobiet? abo to pan nie wiesz, ile próżność i oczarowana wyobraźnia wywiera wpływu na rozum i serce tych kobiet, co je posiadają? tępój tylko materialistki wyobraźnia nie da się uwieść szlachetnemu uczuciu. Siostra moja widzi w naszym sterniku bohatera, który dlatego tylko pchnął od siebie

wszystkie korzyści urodzenia i majątku, ażeby sobie samemu i jej miłości był winnym wszystko. W imieniu tej miłości, która, Bóg daj, żeby była szczerą, przebaczyła mu wszystkie okropne błędy młodości.«—

Skończył kapitan historię człowieka, który wolał w niepewnej walce z losem ubiegać się za szczęściem, niżeli własną zapewnić je sobie pracą. Później będziemy świadkami końca tej walki.

Przebyliśmy szczęśliwie Kattegat, ów głęboki grób tylu ludzi i bogactw, owe straszdyło wszystkich marynarzy; wjechaliśmy w bezdenny poważny ocean Północny. Wiatr sprzyjał nam ciągle i zbliżał szybko do celu naszej podróży; mijały nas kiedy niekiedy statki zbliżka i opodal, i witały wywieszeniem flagi; niezmordowane ptastwo morskie towarzyszyło nam jeszcze długo. Czas uchodził mi przyjemnie, już to na czytaniu dzieł, które z sobą wziąłem, już na rozmowie z kapitanem; starałem się korzystać z sposobności poznania mechanizmu sztuki żeglarskiej, sposobów obrachowania szybkości biegu okrętu, jego kierunku i położenia geograficznego. Kapitan nie robił tajemnicy z swych wiadomości i chętnie udzielał mi wszystkich szczegółów.—»Dobrze pan robisz, mówił mi sternik prawie szydęro, że korzystasz z ciekawości pókiś młody, przyjdzie czas, kiedy pana będzie interesować to tylko, co korzyść materialną przynosi.«—»Nie przyjdzie nigdy ten czas dla mnie,—odpowiedziałem oburzony—kocham naukę, bo ona bogacąc me myśli, powiększa mą duszę, a zatem istności mej większą daje wartość.«

Roześmiał się z urąganiem sternik. Samolub jest zarozumiałym, nie wierzy w uczucia szlachetne, z których go ogołociło zamiłowanie w materyi, ale szydzi z tych, co je posiadają.

Tymczasem wiatr się zmienił i zaczął naprzód dąć z północy, potem zwrócił się prawie zupełnie przeciw nam; musieliśmy lawirować.

Już blisko wieczora brzegi Szkocyi ukazały się nam w oddaleniu; lecz równocześnie zerwał się silnie wiatr z południa i dał potężnie w przierzynający go pod kątem prostym statek. Statek pilotowy angielski, krążący po morzu dla opatrywania przewodnikami statków dążących do portu, spostrzegł nas także i spieszył ku nam ze strony północy; waleczył całemi siłami dwunastu tegiich wiosół przeciwko gwałtowności fali, przeskakując z jednego grzbietu bałwanu

na drugi. Litość wzbudziła mordującą pracę, której byliśmy przyczyną; ale cóż robić? nie można żadnym sposobem zwolnić biegu okrętu, trzeba korzystać z wiatru sprzyjającego i chylącego się światła. Zbliżają się nareszcie piloci, tuż pod okrętem skracają na prawo i przybijają do nas, chwyciwszy się lin rzuconych; skacze na pokład jak z procy ciśnięty Anglik, a łódź silną uniesiona falą oddala się z szybkością strzały. Wszystko było dziełem jednej sekundy. Z rozpiętemi żaglami przybywamy do przystani pod Leeth; do portu dla fali i ciemności wejść nie można. Wśród sta i więcej okrętów rzucamy kotwicę i zwijamy żagle. Chmury czarne pokrywały niebo; noc ciemna; nie sposób puszczać się łódką na morze, trzeba raczej nocować na okręcie w przystani. Zacząłem tedy pakować moje rzeczy z tém przekonaniem, że nazajutrz rano stanę w Leeds, a w pół godziny potem w Edyburgu. Przy tém zatrudnieniu zastał mnie kapitan, który właśnie zszedł do kajuty. »Więc jesteście prawie u celu, rzecz, ja wprawdzie wyleczony z méj febry, a jednak żal mi, że się z panem rozstaje.«—»I ja także, mając głowę napełnioną obrazem niezmiernych burzy, które mi obiecywano, prawie jestem zmartwionym, żem stanawszy przy celu, żadnej z nich nie doświadczył.«—»Nie masz pan czego żałować, ręczę panu,—ale kto kontent z podróży szczęśliwej, to mój sternik. Sprzedaż zboża, na którym tu zbywa, przyniesie mu wiele zysku, z zarobku będzie mógł w spółce z innym kupić statek, czego tyle pragnie.«

Jutro cię zatem zobaczę, Anglio, ziemio, o której własni twoi synowie nie wiele piszą dobrego; kraju, w którym, jak mówi Bulwer, trzeba starać się, aby zostać brutalem, nie chcąc być poczytanym za żebraka (maksyma ta uderzyła mnie nadzwyczajnie i nie wyszła nigdy z méj pamięci; na nieszczęście miałem później często sposobność przekonania się, że jest praktyczną).—Dziś tutaj, jutro tam—myślałem dalej, sceny życia zmieniają się dla mnie jak dekoracye teatru, tylko rola pozostaje taż sama.

Usnąłem nareszcie.—Wtém po północy zrywa się nagle jedna z tych nieprzewidzianych burz, którą niebo zagniewane zdaje się chce pokazać ziemi, że ją w mguieniu oka zniszczyć może.—Straszliwy grzmot i trzask piorunów, powtarzany przez echo gór Szkoekich, przebudza nas wszystkich ze snu;—huczy z południa orkan przeraźliwy, wpada na

ziemię, zamiata szczyty domów i wrywa stuletnie dęby; wpada na morze i pierzcha przed nim ocean strwożony. Okropny widok czekał nas na pokładzie. Cały firmament w ogniu jaskrawym przyświecał zniszczeniu, którego przystań była świadkiem. Olbrzymie bałwany połykały jednym zamachem całe statki z ich ludnością; inne, oderwane od kotwie, rozbijały się jedne o drugie, i pogrążyły na dnie morskim; inne jeszcze, strzaskane na skałach, lub zaniesione na piaski, znikły z oczów jak widma. Smutnie rozlegały się jęki tonących i strzały z dział alarmowych, bo jakaż siła ludzka mogła ratować nieszczęsnych lub okiełznać rozhukane żywioły? W nadmiar niedoli piorun uderzył w jeden z statków i zapalił go od razu—wiatr podsycił pożar—gorejący okręt kręcił się jak wściekła furja po przystani i trwożył wszystkie statki, do których się zbliżał—bledli najmężniejsi żeglarze. Dzieje marynarskie nie zapomną nocy tej okropnej, której z przestachem byłem przytomnym—ze stu trzydziestu okrętów tylko zaledwie ośmdziesiąt ciężko uszkodzonych zdołało się ocalić ucieczką. Oderwani od dwóch kotwic, wlekliśmy za sobą trzecią, krążąc tu i owdzie; gdzie niedzie kotwica osiadła i pociągała za sobą w głąb morza okręt, kiedy go fala słabsza nie mogła na swym unieść grzbiecie. Ucięto nareszcie kotwicę i uciekano na wysokie morze. Mocna fala trafia statek z boku, wspina się z wściekłością na pokład i porywa z sobą kuchnię wraz z kucharzem, co się z rozpaczą upił i do niej schronił. Rzucili się wszyscy do steru, aby statkowi nadać kierunek stosowny. Pędzi znów ku nam niezmierny bałwan, nie udało się poddać mu tyłu okrętu, wpada na statek, zalewa go cały, przechyla i łamie maszt tylny—runął maszt i ledwie mnie nie zabił. Udało się nareszcie, dzięki niewypowiedzianemu poświęceniu i czynności kapitana i pilota angielskiego, rozpiąć żagiel trójgraniasty na przodzie okrętu—spokojniejsi płynęliśmy. Pilot wymija zręcznie skały kryjące się przy wejściu do przystani; jeszcze tylko jedną mieliśmy ominąć, nie widzieliśmy jej przy wejściu do przystani, bo leży podczas przypływu morza 15 stóp pod jego powierzchnią. Ale uragan nie szanuje tajemnic Oceanu—pierzchały przed nim głębie i przy migającym świetle błyskawicy ujrzeliśmy przed sobą groźną skałę, jak potwór pryskający wodą spienioną—znów pokrył ją olbrzymi bałwan.—Wtém świsnął zdaleka wicher, zawył

w postronki, wpadł na żagiel, zerwał go, i uniósł wysoko w powietrze! już niema ratunku! Okręt tuż pod skałą. Zginęliśmy! Nie.—Dognał nas wspaniały mesażer króla odmetów—niezmierny, poważny bałwan porwał nas na swe szerokie barki i przesadził przez fatalną skałę. Dzięki ci Neptunie! krzyknąłem, wybawiłeś mię, obiecuję ci hojną libacyę.—Chciałem dotrzymać natychmiast obietnicy, bo drżałem z zimna i prosto przyznam z przestachu; zszedłem więc do kajuty, ale o zniszczenie! w jakiz dziki sposób biesiadowałoś tu sobie w tej naszej spiżarni, cała kajuta zalana wodą na półtory stopy głębokości; bałwan, co wkradł się oknem do mego mieszkania, zatopił wszystko co stało na ziemi, między innemi: łóżko moje, rzeczy i książki. Pływał tylko na wierzchu mój kapelusz wodotrwały, a antańki z winem leżały na spodzie brudnej, zafarbowanej wody.—Usługę mi wyświadczoną zapłaciłeś sobie z góry Neptunie i to jeszcze sowicie, pomyślałem sobie, i smutny wdrapałem się na łóżko kapitana. Szczęściem, żem tu znalazł wzmacniające krople, com je zapisał pacyentowi w Kopenhadze. Wypiłem je z apetytem i zagrzanym zasnąłem tak spokojnie, jak gdybym właśnie nie był świadkiem najokropniejszej sceny życia mojego.

R O Z D Z I A Ł X I.

CO JEST ODWAGA.—STATEK INWALIDA.—RANNI.—STERNIK.—
ZIMNO I NIEWYGODY.—NAGŁA ZMIANA W POWIETRZU.—CISZA.—
RADOŚĆ I ZABAWY.—RYBOŁOWSTWO I POŁOWANIE NA MORZU.—
PILOT ANGIELSKI.—POWRÓT BURZY.—ZAMOCZENIE ŁADUNKU.—
WIATR UPADA A NAWALNICA SIĘ WZMAGA.—POWTÓRNE NIEBEZ-
PIECZEŃSTWO.—KAPITAN PISZE TESTAMENT OKRĘTU I EKWIPA-
ŻU.—STRATA DRUGIEGO MASZTU.—STATEK SIĘ CHYLI.—POMPO-
WANIE WODY W STATEK.—SKALY.—STATEK NATRAPIA NA NIE.—
ROZPACZ.—RYBACY NORWEGSCY.—OCALENIE LUDZI I ZATONIĘ-
CIE BRYGU.—BRZEGI NORWEGII.—PRZYJĘCIE.—DOM ALDERMA-
NA PORT SOLO.—UPRZEJMOŚĆ MIESZKAŃCÓW.—TĘSKNOTA.—CZY
JEST PRZECZUCIE PRZEZNACZENIA.

Noc pamiętna z 25. na 26. listopada, zostawiła w duszy
mojej wrażenie, którego żadne nowe nie zatrze nigdy. Nie
zna siebie człowiek, który przy zdrowych zmysłach nie miał
sposobności spostrzegania siebie w niebezpieczeństwie życia;
a tej sposobności nie znajdzie pewnie w przemijającym ja-
kimś szwanku, naprzykład w spadnięciu z konia, w pojedyn-
ku, a nawet i nie w każdym boju, bo te przypadki albo od-
bierają przytomność, albo też wymagają zwrócenia jej cał-
kowitego na współzapastnika. Położenie człowieka, któremu
niezwalczone żywioły bój wypowiadają, można tylko poró-
wnywać do położenia żołnierza stojącego w assekuracyi dział,
wystawionego na dłuższe niebezpieczeństwo, na które pa-
trzyć musi bezczynnie. Kto umie myśleć i zdać sobie z no-
wych uczuć rachunek, pozna tu siebie; a kto tego nie umie,
da się poznać drugim. Chciałbym widzieć wtenczas owych
nieustraszonych junaków, co się niczego nie boją; owe żela-
zne charaktery, coby spoglądając godzinę całą na śmierć i
zniszczenie, na walkę zaciętą żywiołów, nie zwróciły choć
na chwilę myśli do Tego, który ich jest panem. Najzatar-
dzialszy niedowiarek, choćby przez całe życie wyznawał
i ogłaszał swoją niewiarę, w chwili wielkiego niebezpieczeń-
stwa przestaje być ateuszem, a przynajmniej zwątpienie wła-
sną nauką ogarnia go i trwoży.

Okręt nasz, biedny inwalida, uciekał jak mógł z placu bo-
ju, wicher i fale nie dały mu odpoczynku. Mieliśmy kilku

ranych na statku; zaraz na początku burzy, grot od chorągiewki spadł z masztu i ranił w głowę sternika; opatrzyłem go natychmiast i zrobiłem bandaż; pomimo bólu nie przestawał pełnić służby. Dopiero nad drugi dzień dały mu się uczuć wszystkie skutki rany odniesionej i zawiedzionych nadziei: zapadł w gorączkę i niepohamowaną malignę; trzeba było puścić krew kilka razy, dla zapobieżenia zapaleniu błon mózgowych. Wypompowano także wodę zalewającą kajutę, pozostał jednak szlam jakiś ślizgi na ziemi i ścianach. Kołysanie statku niustające dało mi się okropnie we znaki: upadłem kilka razy, stoczyłem się ze schodów, i odebrałem mnóstwo guzów i bolesnych kontuzyj. Wyszły z fug wszystkie drzwiczki od kryjówek w kajucie, i waląc ciągle o jej ściany, szelekały jak sto psów zażartych. Przytém żadnego posiłku prócz sucharów wodą morską zmaczanych i surowych wędlin; kury, gęsi, nawet największa część beczek z wodą rzeczną, poszły wraz z kucharzem żywić ryby. Szczęście, że burza, miotająca ciągle statkiem, odbiła wielką beczkę stojącą w kajucie, znalazłem w niej doskonałe jabłka; niemi tylko kołem głód i pragnienie. Ale wnet uczułem mocną stratę sukni, a więcej jeszcze książek, o których wysuszeniu ani pomyśleć było można; solą morską przesiąknięte przedmioty ciągle przyciągają wilgoć, zresztą nie było i słońca. Wyznam, że smutnym i niewygodnym zdawał mi się wtedy ciężar życia; spałem jak mogłem najwięcej, to jest kiedy tylko kapitan szedł na wartę i zostawił swe łóżko próżne; resztę czasu passowałem się z zimnem, wilgocią, głodem, bólem i z poruszeniem statku, wyrzucającym mnie ciągle z równowagi. Prawdziwie nie pojmuję, jak zdrowie moje mogło oprzeć się tylu niewygodom. Trwało to życie całe trzy dni; w końcu trzeciego ustawać zaczęła wściekłość wiatru; powracał jeszcze kiedy niekiedy, jak ostatnie wybuchy gniewu, ale słabiał widocznie, słabiał, i przestał dąć nareszcie. We trzy dni od powstania burzy, o północy, ujrzałem gwiazdy powracające na niebo. Nie mogłem się nasycić widokiem uspokojonej natury; egzaltacya, którą we mnie wzbudzał, doszła do tego stopnia, że z wdzięcznością dziękowałem za dobrodziejstwo, co dla mnie było cudem. Wracają gwiazdy i księżyc na firmament, wiatr ustaje i szeroka oceanu powierzchnia wygładza się, świat cały przybiera postać solennego pokoju, a wszystko dzieje się dla mnie jednego!

Niebo mi przyrzeka, że ustanie kiedyś przyczyna burzy, co mym miota umysłem; niebo mi przyrzeka, że pokój i szczęście powrócą kiedyś do mnie. Wdzięcznym przejęty uczuciem udałem się na spoczynek.

Słońce z radością powitało pogodę rozlaną na niebie, powietrzu i wodzie. Korzystaliśmy także z tych błogich darów. Cały ekwipaż okrętu wyszedł na pokład i zatrudniał się sporzadzaniem skołatanego przez ostatnią burzę statku; starałem się uratować co mogłem z mych przemoczonych sukni; oczyściłem je w słodkiej wodzie i powiesiłem na linach. Wyczyszczono mi także mieszkanie, wysłano kanapę suchą słomą, zabito nielitościwe drzwiczki i okno, przez które woda wkradała się do mnie. Znajdowaliśmy się właśnie nad ogromnymi ławami piaszczystymi, będącymi prawie w środku morza Północnego; dno wody było 25 sążni pod jej powierzchnią, gładką jak lustro, nie brakło nam tedy na sposobności przepędzenia wesoło dnia tego; ryby lubią to miejsce i znajdują się tu w ogromnej liczbie; zarzuciliśmy haki na długich linkach sięgających dna morskiego i targając je do siebie, natapaliśmy takie mnóstwo ryb wielkich i doskonałych, żeśmy ich ani zjeść, ani przechować nie mogli; wydobywszy więc z nich co było najlepszego, wątrobę i mlecz, rzucaliśmy resztę w morze. Zdobyczą zwabione żarłoczne delfiny kłóciły się o nią, strzelaliśmy do tych potworów i ubili jednego; nie sposób jednakże było dostać go na pokład, bo obie nasze łodzie strzaskała burza.

Niezmierne stada mew i innego ptastwa morskiego otaczały nas, natapaliśmy tego na wędki i ponastrelali także. W wieczór wielka ucztą na pokładzie: wszystkie wiadra uratowane napełnione zostały ponczem. Kapitan wniósł zdrowie stosowne do okoliczności i przebytych kolei; zdrowie to odbiło się donośnie o gładką powierzchnię morza Północnego; wypito je z entuzjazmem przy odgłosie dział i zatknięciu flagi. Wszyscy, nawet ranni, zapomnieli na chwilę swęj niedoli, prócz rannego sternika i pilota angielskiego; położenie ostatniego było istotnie szczególne: zostawił on w ojczyźnie, od której go oderwała, Bóg wie na jak długo burza, żonę i dzieci, opiekujące go niezawodnie jako straconego; bo któż mógł wiedzieć, żeśmy uszli rozbicia i że nie jesteśmy pogrążeni wraz z innemi w głębi morza? Biedny Anglik pocieszał się w swém zmartwieniu wódką duńską i narodowemi god-

dam. Sternik gryzł się w milczeniu: stracił on w ostatniej burzy resztę majątku, całą nadzieję utworzenia sobie pod przybranym nazwiskiem zaszczytnego zawodu, godnego jego narzeczonej. Maligna sprowadzona raną, wszczepiła się na skołatany umysł i malowała mu przyszłość w okropnych kolorach. Zboże uważać było można za stracone, woda wkra- dła się do niego, a kapitan lękając się rozsądzenia okrętu w skutek napęcznienia ziarna, musiał jego część znaczną kazać wyrzucić w morze. (Okoliczność ta, jak zobaczymy później, sprowadziła na nas największe nieszczęście.)

Równy z północą, niebo pokryło się znów grubemi chmurami. Zawieszenie broni pomiędzy mną a burzą ustało równo z ukazaniem się dnia; wiatr znów zaczął huczyć i morze bałwanic; słowem, sceny dni poprzedzających powtórzyły się. Dążyliśmy ciągle na wschód ku Norwegii; ale tą razą cierpliwiej znosiłem niewygody mego położenia, nie otaczały mnie już wyziewy wody morskiej i jej nieznośna przejmująca wilgoć. Czwartego wieczora burza doszła do najwyższej potęgi. Kapitan był w okropnej obawie, wiedział bowiem, że brzegi Norwegii nie dalekie, lubo błędząc przez cztery dni w różnych kierunkach, nie był w stanie oznaczyć dokładnie na minuty i sekundy, pod jakim zostajemy położeniem geograficznym. Noc czarna, ciemna; nie sposób zwrócić okrętu z nadanego mu przez burzę kierunku, a ujęciem ciężaru; większa jego powierzchnia wystawiona została na ciosy bałwanów. Jęczał we wszystkich stawach kołatany statek, trafia go w bok silna fala i chyli na drugą stronę; pękł maszt pozostały i runął w morze; ale okręt nie powraca do swego poziomego położenia, ponieważ zboże nie wypełniające wnętrza przechyliło się razem z statkiem i nie dało mu się wyprostować.—»Przepadliśmy! krzyknie kapitan, już nie sposób kierować mym statkiem.« Szatańskim, głośnym śmiechem odpowiedział mu zdesperowany sternik. Struchleliśmy—»Bóg niech oddała od nas brzegi Norwegii«—dodał ze smutkiem kapitan; »życie przynajmniej możemy ocalić, jeżeli słońce wschodzące znajdzie nas jeszcze na morzu.«—Nie zapomnę was, okropne męczarnie nocy! Proszę sobie wystawić nasze położenie. Byliśmy na okręcie pochylonym na połowie kąta prostego ku powierzchni wody; żagiel przedni chwycił nie mógł wiatru, a ster zaledwie ukośnie dotykał morza. Każda fala pochyłając jeszcze więcej wyrwany z poziomu statek,

groziła zatonięciem, a każdy krok naprzód rozbiciem o bliskie skały. Noc ciemna i fala niebotyczna nie pozwalałyby mieszkańcom brzegów przyjść nam na ratunek, chociażby usłyszeli odgłos dział alarmowych. »Niech się pan ubierze w najlepsze suknie, i weźmie co ma najdroższego do siebie, a potem rozpisze w różnych językach następujące słowa na osobnych kartach,« rzecze mi kapitan, podając jakiś papier. Był to testament okrętu; w nim wyrażono: że statek nasz, mający na sobie tylu i takich ludzi, znajduje się w największym niebezpieczeństwie, i że w przypadku zguby poleca się Bogu i modłom ludzi. Rozpisałem kartki w rozmaitych językach, każdą z nich kapitan zakorkował szczelnie i zapieczętował osobno w próżnych suchych butelkach i zaniósł je na pokład.—Tak tedy źle znam, mówiłem do siebie; trzeba się będzie pożegnać z lubym życiem i nadzieją zakończenia go w spokojnym ustroniu rodzinnym, i kto wie jeszcze, jeżeli choć jedna z butelek niosących nasz testament dojdzie rąk ludzkich i oznajmi rodzicom, mym przyjaciółom, jakiemu uległem losowi. Tymczasem wiatr, paraliżowany powiewem z brzegów, ustawał wprawdzie, ale niebezpieczeństwo nie zmniejszało się, bo fala niezmierna pędziła nas ciągle naprzód. Powoli wlokła się jedna chwila za drugą, a prędko biło serce w oczekiwaniu śmierci. »Niech pan wychodzi na pokład, już brzegi nie daleko,« zawołał kapitan. Wyszedłem; w istocie jęk ponury fali rozbijającej się o skały dochodzi ucha. Trwoga tajona w duszy malowała się na twarzy osady okrętowej, skupionej w jeden kąt i zaledwie utrzymać się zdołającej na pochylonym pokładzie. Nikt nie był pijany; wszyscy, oprócz złorzeczącego sobie sternika, oczekiwali w solenności końca okropnej tragedii. »Jeszcze półtoręj godziny do wschodu słońca, fala unosi nas ośm sążni na minutę, a brzegi o trzy tylko mile morskie; podług matematyki wszystko wystarcza na naszą zagładę;« mruknął cicho kapitan, ściskając mi konwulsyjnie rękę. »Ale jedna jeszcze próba,« krzyknie przejęty nagle myślą boską, zbawienną. »Nie zginiemy,« dodał z rozjaśnioną twarzą. »Dalej do pomp, wystawie je w morze i napełnić mi wnętrze okrętu wodą!« Chętnie wypełniono rozkaz, każdy był kontent z sposobności zatrudnienia siebie. Nie rozumiałem wprawdzie zrazu potrzeby i pożytku tego kroku, ale wkrótce go pojąłem. Woda zmieszawszy się z pochylonym zbożem, rozproszyla je je-

dnostajnie i przywracać zaczęła równowagę statku; okręt już nie podawał boku falom, owszem zanurzywszy się głęboko, mógł się im opierać. Biegliśmy daleko wolniej; ale też już i skały coraz głośniej jęczeć zaczęły. »Dalej mi walić z dział, aż pękną!« odezwał się kapitan. Z napiętą uwagą oczekiwaliśmy końca katastrofy; niewypowiedziane jakieś zaufanie wstąpiło w me serce. Zszedłem jeszcze raz do kajuty i rozbiwszy kuferek, wydobyłem z niego skrzynkę z lekarstwami i chirurgicznymi instrumentami. Wróciwszy na pokład, znalazłem wszystkich z zwróconemi ku wschodowi oczyma. O radości! złocić się zaczęło niebo i pierwsze promienie wschodzącego słońca padły jak nektar boski na me oczy. »Jesteśmy ocaleni! mówił kapitan; zobaczą nas wkrótce pilotowie wartujący na skałach i przyjdą w pomoc.« Nie omylił się: rakieta z brzegów wzniosła się pod niebo i oznajmiła, że ludzie i Bóg czuwają nad nami. Odetchnęliśmy, ale jeszcze nie koniec naszych kłopotów! Okręt uderzył na skrytą skałę i zdrzął jak pod ciosem śmiertelnym. Zrobionym otworem woda wdziera się strumieniami; znów pompy w robocie, ale na próżne wszystkie usiłowania, już pokład stoi pod powierzchnią wody. Chwile okropnej agonii! Wtém wiatr wiejący od lądu donosi nam głosy ludzkie i grę szybką wioseł. Na szczycie fali ukazuje się łódź potężna, dopada nas, a za nią kilka innych. »Naprzód infirmerya i doktor!« wrzasnął z wściekłością kapitan na wdzierających się do łodzi majtków. Usłuchano groźnego rozkazu. Pomogli rannym. Sternik leżący w gwałtownej malignie chce zginać razem z statkiem; porwano go gwałtem i wrzuciono do łodzi. Wskoczyłem i ja do niej, unosząc cały majątek: moje lekarskie skrzyneczki. »A ty kapitanie?«—»Ja ostatni opuszczam statek,«—odpowiedział rozbijając o pomost butelki z testamentem. Nie dałem odbić dopóki wszystkich nie wysadzono. Odbito nareszcie; był też to właśnie czas najwyższy. Zaledwie 15 sążni ubiegliśmy, Twende Brodere spuścił się poważnie do morskiego grobu; a wściekające się za nim odmetry zaledwie nas nie pociągnęły z sobą.

The first part of the history of the world is the history of the human race. It is a story of progress and struggle, of triumph and defeat. It is a story of the human mind and the human heart, of the human spirit and the human soul. It is a story of the human race and the human world, of the human past and the human future. It is a story of the human race and the human world, of the human past and the human future.

The second part of the history of the world is the history of the human mind. It is a story of the human intellect and the human imagination, of the human reason and the human emotion. It is a story of the human mind and the human world, of the human past and the human future. It is a story of the human mind and the human world, of the human past and the human future.

The third part of the history of the world is the history of the human heart. It is a story of the human love and the human hate, of the human joy and the human sorrow. It is a story of the human heart and the human world, of the human past and the human future. It is a story of the human heart and the human world, of the human past and the human future.

The fourth part of the history of the world is the history of the human spirit. It is a story of the human hope and the human despair, of the human faith and the human doubt. It is a story of the human spirit and the human world, of the human past and the human future. It is a story of the human spirit and the human world, of the human past and the human future.

The fifth part of the history of the world is the history of the human soul. It is a story of the human peace and the human war, of the human harmony and the human discord. It is a story of the human soul and the human world, of the human past and the human future. It is a story of the human soul and the human world, of the human past and the human future.

NORWEGIA.

ROZDZIAŁ I.

BRZEGI NORWEGII.— PRZYJĘCIE W PRYZYSTANI.— MIŁOŚĆ ŻY-
CIA.—OPIS PORTU.—DOM ALDERMANA.—ŻYWIŁY ISTNOŚCI.—
GOŚCINNOŚĆ.—STATKI ZAGRANICZNE.—PRUSAK.—DANDY MOR-
SKI.—ZATRUDNIENIA.—CHOROBY.—SZTUKI PIĘKNE.—KŁAWI-
CYBAL.—PROFESSORSTWO.—POJĘTNY UCZEŃ.—WYCIECZKI.—
STERNIK.—FATALIZM.—BURZE USTAJĄ.—KAPITAN JENSEN JE-
DZIE DO FAHRSUNDU.—LIST.—NOWA MISSYA.

Cudny jest widok brzegów Norwegii! Już to zastłonięte tumanami bieluteńkiej piany wspinających się na skały bałwanów; już wznoszące groźne swe szczyty wysoko w obłoki, zdumiewają, przerażają prawie oko majestatycznym ogromem swych fantastycznych kształtów. Liczne szeregi wysokich skał i wysp, strzegą tu stałego lądu. Ocean Północny, oblewając swemi wody, tworzy nierozgmatwany labirynt dróg długich i krętych. A jaka temu okazałemu widokowi uroczą towarzyszy muzyka! Tu z trzaskiem i łoskotem spada kaskada po krawędziach skały na śliską płaską opokę; tam jęczą głębokie pieczary falą dławioną, ryczą przeraźliwie bałwany nie mogąc rozbić twardój Norwegii swemi wściekłemi grzbietami; a tam dalej, na długim pochyłym wale kamiennym, szumią poważnie wody oceanu rytmem i tętnem tak jednostajnym, a tak dziwnie harmonijnym, że tych głosów czarujących, które woda z kamienia wrywa, odsłuchać się nie możesz.

Ah! niebo tam posępne! niebo sine, ciemne i mgliste. Tak! chmury czarne, jak kir żałobny, rozbijają się po szczytach tych skał i latarni; mgły gęste, ociążałe jak dym z kotłów piekielnych, wloką się po tych opokach, kaskadach i boraach. Ale to powietrze przeszywa promień słońca wschodzącego nad góry dalekie, pierzcha ciemność, widzisz jasno jak w duszy przyjaciela, i zocyzysz nagle, niespodzianie ową czarną chmurę, co chce zwalić szczyty niebotycznych

opok, mgłę, co w swęj zazdrości pragnie przyćmić blask owęj żywo-srebrnej kaskady; zoczysz nawet z daleka, w pianą pryskających odmetach, owe wodotryski ciskane w niebo przez szybkie jak błyskawice wieloryby.

A choć tu wszystkie rozjuszzone żywioły w wiecznym sporze spierają się o pierwszeństwo, znajdziesz przecie w tym chaosie, ciche, spokojne przystanie, gdzie statek po burzy wygodnie spocząć może.

Witaj mi, witaj Norwegio! Ty kraju skalisty, w którego widoku zapomniałem, że biednym rozbitkiem do ciebie dążę; cały pogrążony w uwielbieniu twych cudów, już nie wiem, że odmety morza pochłoneły com posiadał najdroższego: długich a częstych nocy mozoł na wątłym spisany papierze.

Oh witaj mi! nowych wspomnień, nowych myśli będziesz kolebką, nowych prac przedmiotem; w wiecznej pamięci przechowam, co pierwęj w myśl się wpoilo; ale od ciebie zacznę rozłączać nową pajęczynę, niezwalczony żadnym przeciwieństwem do pracy i mozołu wdrożony, nie umiem już pojąć życia bez walki i poświęceń.

Nie było w mym zamiarze zwiedzić Norwęgę, tak jak nie było w programmacie mego życia, abym ciebie opuścił kraju mój najdroższy! ale skoro los tak zrzędził, nie szemrajmy ani chwili, i w poddaniu się woli mocniejszej nad wolę ludzką, czerpmy nowe, niespodziewane żywioły życia i działalności.

Do jednęj z tych przystani, spokojnej jak oasis Sahary pośród tego chaosu wodnisteo,—do jednęj z tych przystani łódź zbawcza mnie zaniosła.

Staję u brzegu, wstępuję na ziemię, padam na nią, nie tyle z własnej woli, jak siłą jakąś odemnie niezależną pchnięty. Istotnie, za nagłe było przejście. Od tylu dni przyzwyczajony do utrzymywania się na podstawie ciągle miotanęj ruchem konwulsyjnym, nie mogłem ustać na stałej, nieporuszonej, i hołd złożyłem Homerowski pocziwęj matce ziemi. Tak tedy tulę cię do mych piersi skalista ziemię, połączona tak dalekiemi odnogami z tym nieoszacowanym gruntem, który nas wyżywił dzieci po tylu krajach rozproszone!

Mieszkańcy przystani, wszyscy, bez wyjątku może, wyszli ku nam i przywitali radośnie bliźnich swych tak cu-

downie uratowanych. Pozabierano nas biednych przemo-
kłych, przeziębionych rozbitków do mieszkań swych; ja
z kapitanem dostałem się do Aldermana, najcelniejszego
w tej osadzie obywatela; piastował różne i rozmaite dosto-
jeństwa: był wójtem, naczelnikiem pilotów, oberżystą, ku-
pcem korzennym, właścicielem okrętu i dostawcą raków
morskich do Anglii. Przyjął nas najserdeczniej tak, jak czło-
wiek religijnym czuciem żyjący przyjmuje bliźniego cudem
od ośmierci ocalonego. Zaprowadził po skalistej w głazie
wykutej ścieżce do swego domu w szczelinie opoki wybu-
dowanego, a jedynego o dwu piętrach w całej osadzie. Tu
czekały nas pani Aldermanowa i trzy dorosłe Aldermanó-
wny, z objęciami serdecznymi, oczami niebieskimi i z ka-
wą wrzącą.

Kosztowaliśmy jednego, drugiego i trzeciego z wdzięcz-
nym, naiwnym sercem, bo nie przypuszczaliśmy ani na je-
dną chwilę, aby te wszystkie gościnności i dobrego serca
objawy, innym czuciem jak chrześcijańskim były wywo-
łane. Uściskano nas najserdeczniejszym objęciem, posadzo-
no na najwygodniejszym miejscu, poczęstowano najgorętszą
kawę, i po skrzepłych żyłach znów krążyć zaczyna jakieś
uczucie niewypowiedzianej roskoszy. Ah! to uczucie
życia! jak miło widzieć się żywym, kiedy dopiero co pa-
trzeliliśmy na pewną, nieochybną śmierć, kiedy miłości do
życia nie nadwężają ani wyrzuty sumienia, ani utrata złu-
dzeń. Każde wrażenie, choć zwykłe, przejmuje wtedy jakimś
nowym urokiem, wzbudzającym wdzięczność za ów piękny
dar nieba,—za życie!

Po śniadaniu wskazano nam pokój, gdzie tymczasem
przygotowano dwa czyste, spokojnie na ziemi stojące i nie
chwiejące się łóżka. Nowa rokosz! nowa radość! Ale ca-
łe brzemie znękanego, zbolełego ciała nie zdołało usnąć ser-
ca, przepelnionego wdzięcznością dla Opatrzności; nie zdo-
łało spętać skrzydeł wyobraźni rozbujającej obrazami tak bli-
skiej a srogiej przeszłości i wspomnieniem dawno ubiegłych
lat szczęścia. Zobaczę cię może jeszcze, drogie miejsce ro-
dzinne, i tam opowiem świadkom mego dzieciństwa, jakich
burz doznał ich ziomek, tak daleko od was rzucony; ode-
tchnę może jeszcze tym błogiem powietrzem, które mnie
otaczało w kolebce; wejdę na ścieżki przebiegane młodocia-
nymi stopami, oberwę listek z drzew przemennie zasadzo-

nych; temi wzruszony uczuciami, tak oczarowany nadzieją, westchnąłem wreszcie do Boga i zasnąłem.

Przystań nasza, leżąca na zachodnio-południowym brzegu (pod 58° sz. a 29° dług.), nazywała się Sölö. Nie w stałym gruncie Norwegii była ona wykrajana, lecz pomiędzy trzema skalistymi wyspami zawartą. Trzy ogromne skały broniły ją od nawałnicy; dwie z tych opok od zachodu i północy schodziły się prawie, zostawiając pomiędzy sobą wązki i kręty przesmyk. Trzeci głąz zamykał port od południa, zostawując doń wązkie lecz głębokie przejście. Wysoki szczyt tego głązu wieńczyły gruzy jakiejś stariej wieży, widok z nich na morze przerażający, opoka bowiem od strony morza tak spadzista, stroma i gładka, że i ptak morski usiąść na niej dla odpoczynku nie śmie. Nie podobna spojrzeć w pięćset stóp głęboką przepaść, gdzie wrą bezustannie spienione fale, bo dostaniesz zawrotu głowy i przejmie cię jakaś dzika ochota rzucić się w nią na oślep. Od strony portu, podnóże skał nurzało się w wodzie różnokształtnymi klinami; szczeliny zaś ich i stopy, ręką ludzką urownane, ukrywały domki rybaków i pilotów, jedy-nych miejsca tego mieszkańców. Małe te, drewniane, różowo malowane, nadzwyczaj kształtne i czyste domki, wyglądały jak kwitnące róże, wszczepione w pień odwiecznego dębu.

Dom Aldermana wynosił się nad inne; nad wodą położony, miał oprócz dołu jedno piętro, z którego drzwi tylne prosto wychodziły na skalisty taras szeroki i długi do trzydziestu kroków. Tam znajdował się ogródek zasłonięty od wiatru i wody morskiej głązami. Ziemia tego ogródka sprowadzoną była, jako balast okrętowy, z krajów szczęśliwszych; rosły zaś w nim: włoszczyzna, sałata, agrest, porzeczki, kilka karłowatych drzew owocowych, nieco bżów, róż i krzaków jałowcu i bukszpanu. Tak praca i wytrwałość człowieka umie zmusić naturę do służenia sobie. Innej ziemi jak sprowadzanej statkami nie było tu na dwie mile w około; prócz kilku kóz, bardzo skromnych w swych gustach gastronomicznych, nie było w całym porcie żadnego reprezentanta bydła rogatego; konia, żadna z kobiet tu zamieszkałych w życiu nie widziała, nie wychodzą one bowiem nigdy z portu, spędzają cały żywot w schłodzonych domkach, pilnują gospodarstwa, naprawiają sieci i

czytają. Tak, czytają; gdyż w chatce najuboższego rybaka znajdziesz tu więcej książek i pism peryodycznych, jak w obszernych domach nie jednego z naszych obywateli wiejskich, dla których kalendarz jest często jedynym źródłem literackim.

Z czegoż tedy żyją mieszkańcy tych skał nieurodzajnych, i czém się żywią? zapyta może nasz rolnik. Żyją z wprowadzania okrętów do portu w czasie burzy, z ratowania tonących; w lecie, z handlu przewozowego; w zimie, z połowu olbrzymich raków i sztokfiżu; na wiosnę, z połowu śledzi. Żyją wygodnie, uczciwie i szczęśliwie, choć w ustawicznej walce z żywiołami, choć w ciągłym, śmiercią grożącym poświęceniu dla bliźnich. Skromne potrzeby życia zaspokajają chlebem owsianym, wybornymi rybami i rakami, mięsem marynowaném, sucharami i kawą; rozweselają się wódką duńską i winem Bordeaux, które taniej się płaci w Norwegii, niż na miejscu fabrykacyi; gdyż celnicy, drobnej kontrabandy upilnować nie są w stanie.

Wkrótce po przybyciu, odebrałem liczne dowody serdeczności mieszkańców. Dowiedziawszy się o dziwnych kolejach mego losu od majtków, pocziwych współtowarzyszów ostatniej niedoli, wszystkie prawie rodziny Sölö chciały mnie mieć u siebie i pragnęły tego, jakby największego szczęścia. Wszędzie przyjmowany z rozczulającą uprzejmością, żałowałem, że bez tłumacza rozmawiać nie byłem w stanie z większą częścią tego dobrego ludu. Dalecy od przyjęcia nagrody za dany mi ratunek i gościnność, chcieli własnym ubiorem zastąpić stratę méj garderoby; gdyż prócz pieniędzy, najpotrzebniejszych papierów i narzędzi chirurgicznych, nie uratować nie zdołałem. Musiałem na czas niejaki przyjąć pożyczone suknie, krawców bowiem w przystani nie było, i alderman dał mi doskonałą szubę niedźwiedzią, prosząc, abym mu się wypłacił wyleczeniem żony chorującej na kurcze, i nauczeniem córek francuzkiego języka, na co przystać zniewolony byłem.

W porcie naszym leżało kilka statków burzą zapędzonych i uszkodzonych, w liczbie których znajdowała się stara fregata gdańska, drzewem naładowana, przeznaczona do Bordeaux. Kapitan jój, podżyły Prusak, wielki gaduła,

zachorował na coś bardzo podobnego do cholery. Dostał tej choroby w skutek *wzruszenia* doświadczonego podczas burzy. Tłómacząc niemieckie wzruszenie słowem *strach*, leczyłem chorego według mojego dykcyonarza i wkrótce, na własną szkodę, tak dobrze Niemca postawiłem na nogi, że mnie nielitościwie w bostona zgrywał.

Innym statkiem, z którym zawarłem i z którym warto było zawrzeć przymierze, był prześliczny bryg norweskki, powracający z Lizbony z ładunkiem towarów kolonialnych, win portugalskich, pomarańcz, fig i daktyłów, rumu z Jamajki, araku z Goa i wódki z Curaçao.

Kapitan tego brygu, prawdziwy Dandy między żeglarzami, młody, piękny, zalotny, często bywał w Lizbonie i zawarł tam jakieś uczuciowe stosunki z nadobną córką Luzytanii. O niej wiecznie marzył i prawił, o niej ciągle śpiewał, o niej byłby i grał na gitarze, gdyby nie rana, którą mu zazdrosny rywal w ramie zadał sztyletem. Rana ta, niezagojona w chwili odjazdu z Lizbony, rozogniła się w podróży, sprowadziła nawet pacjentowi, w skutek wysień w czasie burzy podejmowanych, bardzo bolesne zapalenie. I tego zalotnego syna Neptuna wziąć musiałem w kuracyę.

W ogólności, nie zabrakło w naszym szczupłym, a dzięki burzy, tak ożywionym porcie, zatrudnienia poważnego i zajęcia różnorodnego. Koklusz panujący epidemicznie pomiędzy dziećmi i inne słabości płuc częste w krajach zimnych i wilgotnych, powiększyły wkrótce liczbę mych pacjentów.

Korzystając z towarzystwa aldermanek, zacząłem się uczyć języka Duńskiego, którego nieznajomość czuć mi się dawała tém mocniej, że nie wiedziałem, kiedy się skończy mój pobyt w Norwegii. Zająłem się prócz tego uprawianiem sztuk pięknych, a to w sposób bardzo rudymentalny. W domu aldermana znajdował się stary klawikord, którym nawet Eol pogardził i pehnął go wraz z statkiem jakimś na brzegi; młotki były potrzaskane i trzeciej części stron brakowało. Przedsięwziąłem wyporządzić go własną pracą i cierpliwością godną lepszej sprawy, tyle dokazałem, żem trzy przynajmniej kompletne oktawy uratował dla Melpomeny i Terpsychory. Wystarczyło to na granie mazurków i tańczenie gigów Norweskkich. Muzyka ta,

choć bardzo niekompletna, orzeźwiła port cały: kapitanowie, sternicy i synowie bogatszych pilotów przychodzili tańczyć z aldermankami, które powoli coraz widoczniej pozbywały się nieśmiałości i narodowej powolności. Tańce tego narodu nie są piękne; kawaler stawa naprzeciw damy i drepci,—drepci w jedném miejscu, a kiedy się zmęczy, to dama znów zaczyna dreptać. Potém przemieniają miejsce, biorą się za ręce i znowu drepcą oboje razem; nakoniec obracają się i t. d.

Chciałem nauczyć tych poczciwych ludzi walca, alem tego żałował wkrótce, bo ledwo nie stałem się przyczyną rozbicia wszystkich szyb i okien. Melodye mazurków i krakowiaków tak się upowszechniły w porcie, iż je wszyscy śpiewali i gwizdali, i do tych czas może tym poczciwym ludziom cudzoziemca z dalekich krajów przypominają.

Czasu pozostawało zawsze jeszcze wiele; część jego poświęcałem dobremu memu przyjacielowi, kapitanowi Jensen, który po raz pierwszy w swém życiu, w ściślejszej styczności z człowiekiem kochającym nauki, uczuł od razu wpływ tego towarzystwa i systematyczną cierpliwą pracą porządkował chaotyczne i bardzo bogate zasoby zawarte w swój głowie. Wskazałem mu drogę, którą dostąpić mógł najłatwiej, i prawdziwie nigdy w mém życiu nie miałem pojętniejszego ucznia. Zapal jego do nauk wzrastał codziennie. Daném mi było obudzić do wyższych usposobień umysł, który bez méj pomocy, byłby niezawodnie zardzewiał; i wzniecić tyle ambicyi w prostym kapitanie statku kupieckiego, że postanowił pisać się wyżej w hierarchii żeglarskiej. Istotnie wkrótce potém został kapitanem długich kursów: jeździł do Indyj zachodnich i wschodnich, a w ostatniej wojnie Duńczyków z Niemcami, dowodził statkiem korsarskim i bił nieprzyjaciół swój sprawy.

Wszystko szło jak najlepiej, choć ciągle jeszcze dął orkan i morzem miotał nielitościwie, choć najmniejsza wycieczka po skalistych wybrzeżach groziła niebezpieczeństwem. Ale darmo! ani burza, ani niebezpieczeństwo tyle mnie nie straszły, abym zaniechał tyle mi ulubionych wycieczek po tym labiryncie, w którym co sto kroków, to inny majestatyczny widok, czerpiący w każdej zmianie meteorologicznej nowe jakieś kształty i uroki. Jeszcze nie opuszczał mnie ani na chwilę w tych wycieczkach, sam

prowadził, z oka mnie nie spuszczał, gdy w butach z żelaznymi kołkami piął się na wysokie skały. W tym surowym synu morza obudziłem gorące uczucie przyjaźni.

Sternika tylko stan nie o wiele się poprawił: rana się wprawdzie zagoiła, ból głowy ustał, ale trwało ciągle prawie majaczenie, przerywane ciemnymi i ponuremi marzeniami; zdaje się, że współczucie, którego był z méj strony ciągłym przedmiotem, rozczuliło nareszcie niedostępne jego serce; w chwilach wolnych od gorączki otwierał mi swój umysł, skarżył się gorzko na ścigający go fatalizm, który go ciągle zmuszał do szukania szczęścia w przedsięwzięciach hazardownych. Pocieszałem go jak mogłem i perswadowałem, że własnym siłom ufając i nie szukając w materji całego zadowolenia, może zostać szczęśliwym i pożytecznym członkiem społeczeństwa.— »Może tego już wart nie jestem odpowiedział mi razu jednego; przekleństwo rodziców, własnych błędów pamięć, ciąży na mnie.«

Ale nie ma nic wiecznego na tym świecie, i burzy nareszcie sprzykrzyło się kołatać o nasze skały i tumanieć głębie oceanu. Śniegi zaczęły ubierać krajobraz w nową, jeszcze śliczniejszą szatę. Cisza w powietrzu. Korzystając z tego, kapitań Jensen puścił się do Fahrsundu, miasteczka portowego, o trzy mile geograficzne od naszej przystani odległego. Ztamąd chciał dać znać swoim rodzicom i właścicielowi zatoniętego statku o losie jaki go spotkał. Dałem mu także list do mych rodziców. List ten, jak się później dowiedziałem, doszedł ich w ośm miesięcy. Przed wyjazdem kapitań instalował mnie solennie jako dyrektora infirmeryi i komendanta całego w Sölö pozostającego ekwipażu. Byłem dumny z tego znaczenia i z méj ważnej w całym porcie missyi.

ROZDZIAŁ II.

PILOCI NORWEGSCY.—ICH ODWAGA.—RYBOŁÓWSTWO.—FABRYKI.—PASTERZE.—DOMY.—BYDŁO.—ZABAWY W PORCIE.—KLIMAT.—NAGLE ZMIANY W POWIETRZU.—ŚNIEGI.—PILOT ANGIELSKI.—KONSUL PŁACI ZA ANGLIKA ZA GRANICĄ, BYLEBY NIE PIŁ BEZ USTANKU.—POWRÓT KAPITANA Z FAHRSUNDU.—ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA W PORCIE SÖLÖ.—WYJAZD DO FAHRSUNDU.—PODRÓŻ ŁODZIĄ.—MIASTO FAHRSUND.—KASSYNO.

Piloci norwescy są niewątpliwie najsmielsi i najzuchwalsi żeglarze, jakich tylko nosiły fale morskie. Nie masz niebezpieczeństwa, którego by się ulekli, nie masz nieszczęść, które imby odstraszyć się dały. Wyborni to ludzie, zawsze gotowi do poświęcenia dla bliźnich, strzegą nieszczęść około brzegów, śledzą ciągle biegi okrętów, unoszą się śmiało na grzbietach fal w lekkich, czerwonym żaglem strojnych łodziach, dopadają statków i przeprowadzają je umiejętnie wśród labiryntu skał, wśród wzburzonych bałwanów i wściekłego wiru odmętów. Pilot norwescy tak namiętnie kocha się w swym zawodzie, jak Anglik w wyścigach, jak nasi bohaterowie w preferansie.

Od małego dziecka przywykli do widoku scen morskich, piloci wszystkie siły fizyczne i moralne wyteżają na to, by się zaprawić do zwycięstw nad zuchwałym żywiołem; współubieganie się ich w tym względzie dochodzi do tego stopnia, że zapominają wszystkich węzłów, które ich z życiem łączą. Na kilka tygodni przed moim przybyciem dał tego dowód jeden z młodych pilotów.

Okręt kołatany burzą, ukazał się na ostatnim krańcu widokregu; czujny pilot wypada na jego spotkanie. Cała ludność portu chciała być świadkiem gotującej się katastrofy; burza była okropna. Rybak dąży prosto naprzeciw wyjącego wichru, raz znika, znów ukazuje się na grzbiecie zapienionego bałwanu, już dopada okrętu; wtém łódź się

przewraca i rybak tonie w otchłani. — „Byłem tego pewny, zawołał syn nieszczęsnego wskakując do łodzi; ojciec mój za wiele ważył, krając wiatr o jedną linię za ostro.” — Dąży ku okrętowi śmiały młodzieniec, dopada go i wprowadza szczęśliwie do portu. Tu dopiero syn dał folę swęj boleści, ojciec jego znikł na zawsze! Taki los spotyka wszystkich prawie pilotów, lecz od tego zawodu nie odstrasza. Znałem kobiety owdowiałe po szósty, po ósmy raz nawet. Zapewnić los wdowie, jest powinnością religijną dla rybaka; bractwo ich trzyma się ściśle za ręce w każdej okoliczności; mąż jeszcze żyjący wybiera sobie następcę z pomiędzy najlepszych przyjaciół.

Piloci podlegają doskonałej kontrolli. Pewna ich liczba musi się znajdować w każdej przystani; alderman ma nad nimi zwierzchnictwo, nad Aldermanami kapitan sterników, wszyscy zaś stoją pod najwyższym zarządem komandora sterników w Chrystyanii.

Dziwić się nie można, że tak wiele ludności ku wybrzeżom się garnie, i że życie, zajęcia i domowy porządek tych licznych gromad rybaków, pilotów i wioślarzy, podlegają osobnemu urządzeniu i ścisłej kontrolli; pamiętać bowiem należy, że 48. zaledwie część całej przestrzeni kraju Norwegii, okazuje się przydatną do uprawy rolnej; reszta zaś albo zupełnie nieurodzajna, albo błotna, albo też wiecznym śniegiem pokryta. Rybołówstwo stanowi największe bogactwo kraju i najważniejszy artykuł handlu wywozowego, który prócz drzewa i kruszców, żadnych innych nie obejmuje przedmiotów. Ogólna ludność Norwegii wynosi 1,340,000 mieszkańców rozsiadłych na 5571 milach kwadratowych! Stosunek ten przestrzeni do mieszkańców, wydawać się może na pozór bardzo niekorzystnym; zważyć wszakże należy, że dzika przyroda kraju nie wszędzie osiedlać się osadom dozwala; ztąd też południowe prowincje weale gęsto są ludem zapełnione, północnych zaś zaledwie 32 głów na milę kwadratową wypadnie.

Mimo zručności, jaką posiada lud skandynawski do robót ręcznych, nie lubi on weale poświęcać się zajęciom przemysłu rękodzielniczego; wzrost zatem fabryk, i w ogóle przemysłu, nader powolnym krokiem daje się tu zaprowadzić; bogactwa nawet mineralne, w które kraj obfituje, pierwszą tylko obróbkę na miejscu otrzymują, a jedyną gałęzią

fabrycznego przemysłu, który coraz więcej się rozszerza, jest wypalanie wódki, bardzo korzystnie na rolnictwo, ale nader szkodliwie na obyczaje ludu wpływające. Wszyscy dążą do ukochanej im natury, wszyscy jak najbliżej z nią pragną przestawać; dlatego też, jeżeli nie na rybaków, to w największej części na rólników lub pasterzy się kierują. Bydło hodują latem pogórach, gdzie dziewczęta, idylliczne pędząc życie, pilnują go i pasą na bujnych i aromatycznych pastwiskach średniej wysokości, z kąd z jesienią dopiero schodzą.

Norwegczycy budują domki sobie z drzewa, zapychając szczeliny mehem i malują je czerwono; prócz Chrystyanii i kilku miast, które zabudowane są murowanemi kamienicami, nigdzie prawie muru nie znajdziesz. W prowincjach północnych hodują wiele bardzo renów; używają ich do jazdy, nabiałem się żywią, a z sierci i skóry na odzież przydatne wyroby przygotowują. Dziwną jest rzeczą, jak bydło rogate renów nienawidzi; na paszy, gdzie je pędzano, przez trzy miesiące przynajmniej, krowa ani wół, choćby z głodu miały zdychać, ani trawki nie uszczkną i z odrazą od takich pastwisk uciekają. Ren zastępuje w pociągu konie, nie ma jednakże tyle co on wytrwałości, trudno daje sobą powodować i ciężarów na sobie nie nosi, a w zaprzęgu jedynie da się przydatnie używać.

Wróćmy do mojego kapitana.— Burze zatrzymały Jensena w Fahrsundzie, mnie zaś w domu aldermana, gdzie udzielam lekcyi języków i rad lekarskich, gdzie przysposobiam lekarstwa i grywam w bostona z aldermanem Gdańszczaninem i rozkochanym kapitanem norweskim. Szklance ponczu i wina grzanego z korzeniami i cukrem ścigają jedna drugą wieczorem, a wieczory długie, gdyż najkrótsze dni nastąpiły, trwające zaledwie godzin pięć niespełna. Rozmowa toczy się w kilku językach, zawsze żywa, zawsze interesująca. Już się zbliżają święta Bożego Narodzenia, w krajach protestanckich tak uroczyste obchodzone. Aldermanówny kryją się z jakimiś robotkami; przewidują, że wkrótce będą bogatszym o kilka sakiewek na te pieniądze, które i w jednej nader wygodnieby się pomieściły.

Nie zmienniejszego jak klimat norweskim w tej porze roku. Najpyszniejszą pogodę przerywały nagle zawieruchy tak burzliwe, że skały pokrywały się w oka mgnieniu grubym śniegiem, z którego tworzyły się wysokie góry,

zakopując całe mieszkania. Postać otaczającej nas natury tak się zmieniała, że trudno było w niej się rozpoznać. Mróz nie dochodził nigdy tak wysokiego stopnia jak u nas; śniegi często z szybkością topniały, jak gdyby pod wpływem jakiegoś w wnętrzu skał zawartego ciepłika. Ledwie nie stałem się raz ofiarą podobnej nagłej zmiany w powietrzu. Zwyczajnym celem mych spacerów samotnych był szczyt góry wznoszącej się nad przepaścią; ze strony portu prowadzi na niego dosyć spadzista i kręta ścieżka, po obu jej stronach grożą przepaście, które chcąc wyminąć, trzeba było często przelazić po chwiejących się głazach, położonych w poprzek na krawędziach rozczelin; często nawet wypadało drapać się na czworakach. Jednego tedy razu, korzystając z zdradliwej ciszy rozlanej w naturze, pograżyłem się w myślach, niebaczny na zachmurzające się niebo, i tak doszedłem powoli aż na gruzy koronujące szczyt góry. Tu zaledwie począłem paść oko obszernym na głębie morza i niebotyczne skały widokiem, kiedy od razu zrywają się wiszące w powietrzu zimnóm chmury i padają pionowym i krętym biegiem na cały widokrąg. Ogromne tumany śniegu, ścigane wściekłym wichrem, przywalają skały i odbierają powietrzu przezroczystość, a mym oczom władzę widzenia; uczepiłem się odłamu skały, aby ująć gwałtowności wiatru pędzącego mnie ku przepaści; niezmierne zimno przejęło me członki, ani myśleć o odwrocie; wszystkie ścieżki zawiane śniegiem i kamieniem tak ślizkie, że kroku nie można zrobić bez upadnięcia. Zniewolony czekać w miejscu końca burzy i pasować się z ściskającym mrozem, zapewne byłbym mu uległ, gdyby poczciwi rybacy, spostrzegłszy, że mnie w porcie nie ma, nie byli przyszli na ratunek.

Było ich pięciu, i zaledwie sami zdołali w bótach żelaznemi kołkami opatrzonych, i za pomocą haków osadzonych na długich żerdziach, zwalczyć trudności przeprawy. Wydobyli mnie półumarłego z mej kotliny, roztarli śniegiem twarz i ręce już podmrażane, zawinęli w przyniesiony kożuch i opasawszy linami spuszczała jak martwego po ślizkich ścieżkach i przepaściach. Doświadczenie bolesne nauczyło mnie nareszcie zwracać więcej uwagi na meteorologię kraju, w którym żyłem.

Pilot angielski, zawiany razem z nami, oporządził się tymczasem na koszt swój królowej i to w oryginalny sposób. Wytrzeźwiwszy się raz pewnego jakimś przypadkiem, poczuł, że mu brakowało czapki i że mu dokuczalo zimno pod niebem Norwegii. Wszedł tedy do sali aldermana, gdzie się zebrało liczne towarzystwo, i życząc dobrego wieczora, zwrócił się prosto do najbliższej siedzącego gościa, zdjął mu czapkę i na własną przymierzył głowę; że mała mu była, wsadził ją tedy, nie mówiąc ani słowa, na głowę właściciela, spróbował w ten sposób drugiej, ale znalazł ją za wielką; wziął trzecią, „to za stara,”—czwartą nareszcie, „ta dobra,” rzecze i zostawia ją na własnej głowie. Anglik znalazłszy czapkę, szukał przyjść do dobrej guni w tenże sam sposób. Widzi coś stosownego na ramionach jednego z gości, nie żenując się tedy ani chwili zmierza do niego i obiera go z sukni, mówiąc: „*English Consul pays for me*” (angielski konsul za mnie zapłaci).

Właściciele tak zasekwestrowanych rzeczy ani myśleli robić oporu rezolutnemu pilotowi, wiedzieli bowiem, że im je konsul angielski w dwójnasób zapłaci. Rząd angielski umie się opiekować po ojcowsku swemi narodowcami, ale też i Anglicy umieją szanować prawa swego kraju i za hańbę poczytują przeciw nim wykraczać.

Wrócił nareszcie kapitan i przywiózł z sobą wiele nowin. Do sześćdziesięciu statków różnych narodów i wielkości zawiąła burza z brzegów Anglii i Szkocyi i z kanału Manszy, do portu Fahrsund i tuż przyległego Lushafu; największa ich część bardzo uszkodzona, a pomiędzy temi wielka fregata o dwóch pokładach, z drogi do Hamburga, zwrócona do Nowego Yorku, mająca pomiędzy passażerami doktora jakiegoś pruskiego.

Ciekawy byłem poznać tego kolegę ściganego podobnym memu losem.

— A sam coś postanowił zrobić z sobą kapitanie?—zapytałem.

— Com postanowił z sobą zrobić?—odpowie,—przede wszystkim dotrzymać panu słowa i zawieść go do Edynburga, lub gdziekolwiek sobie życzysz, na brzegi wschodnie Szkocyi, czy Anglii. Do tego się zobowiązał, i to zostało w mym logbuchu (księdze okrętowej) zapisaném. W Bergen leży statek mojego pryneypała, który razem jest moim

wujem. Kapitan tego statku, złożony ciężką chorobą, podobno już skończył swój zawód marynarski i ziemski. Napisałem do właściciela z zapytaniem, czy mi powierzy dowództwo tego okrętu. Nie spodziewam się odmownej odpowiedzi, gdyż wuj zna mnie i wie, że nie winię mojej, lecz woli losu przypisać należy stratę naszego brygu. Zresztą statek był assekurowanym wraz z ładunkiem, oprócz części należącej do sternika, który zdaje się życiem przypłacić swą klęskę.

— I mnie się tak zdaje; ale co ja mam zrobić z sobą?

— Zostać z nami, panie doktorze. Wszystkim nam jesteście potrzebnym; czekajmy aż się morze uspokoi, a tymczasem żyjmy jak można najweseliej.

Zostałem tedy, polecając Bogu i dalszym wypadkom kierunek mych kroków. Zostałem w kraju, którego prawa nie wzbraniały spocząć rozbitkowi własnej strzechy nie posiadającemu i którego mieszkańcy dali mu przytułek i zatrudnienie.

Nadeszły święta, i z nimi gwiazdka, nabożeństwo pod gołębim niebem odprawione przez najstarszego z osady; po niem katary, biesiady i bóle głowy.

Niebo się wypogodziło nareszcie, burze się uciszyły, okręta naprawione na morze wypłynęły, sternik nasz umarł i został pochowanym, nie w ziemi, bo téj tu nie ma, lecz w odmetach morza; większa połowa ekwipażu weszła w służbę innych kapitanów, chorzy wyzdrowieli, aldermanówny już umiały powiedzieć: *bon jour, bon soir* i *je vous aime*; więcej im nie było potrzeba.

Missya tedy moja w Sölö zakończyła się. Podziękowałem całej osadzie za tysięczne dowody przyjaźni, pożegnałem jak najczuliej uprzejmych aldermanów, obiecując wrócić, i puściłem się z kapitanem i pozostałymi nam siedmiu majtkami do Fahrsundu, gdzie większy był ruch, więcej życia, i gdzie mnie kolega pruski niecierpliwie oczekiwał.

Czarująca jest ta podróż przy spokojnym morzu i przy świecącym księżycu. Szybko przesuwawała się łódź przez długie, kręte wąwozy, już to pod wysokim sklepieniem skał, rzuconych jak gdyby umyślnie jedno na drugie, już przez szerokich zatok zwierciadła, w których pełny, złocisty księżyc przyglądał się ciekawie własnej swój piękności. Tu znów groźna skała staje przed świecącym planetą, rzuca

na nas cień swój, jak olbrzymi całun i pogrąża wszystko w czarnej ciemności. Nic nie przerywało uroczystej ciszy natury, tylko daleki, poważny głos oceanu i plusk wioseł w regularnym rytmie uderzających o wodę, z której pryskały strumienie światła fosforycznego.

Naturo! tyś wszystko zrobiła, by tym nagim skałom wynagrodzić brak odradzającej się ziemi; zdaje się, że przez piękność chciałaś mieszkańców tych opok z swym losem pogodzić. I dokazałaś tego, wiecznie wielka, okazała twórczynio! Norwegczyk kocha te nagie skały, jak matka swe dziecko, kocha nawet tego, który na nie z zdumieniem spogląda, który się ich piękności dziwuje. Ileżto razy biedny tego kraju mieszkaniec czerpał w mém wzruszeniu bratnią dla mnie przyjaźń, dla siebie roskosz, dla rodzinnych skał swych ubóstwienie! Droga potrzeba kochania rodzinnego kraju, ty wszystkich cnót jesteś kolebką!

Widok lasu masztów przeszywających błękit nieba i daleki gwar ludzi, oznajmił nam, żeśmy się zbliżyli do portu.

Miasto Fahrsund leży na brzegu stałego lądu Norwegii, częścią na skałach, częścią w płaszczyźnie. Ulicę jego są spadziste, domy niskie, drewniane lecz porządne, magazyny dosyć obszerne. Na niewielkiem wzgórzu, w północnym końcu miasta, zbudowano kościół pół z pruskiego muru, pół z drzewa, bez żadnej pretensyi do jakiegokolwiek bądź architektury. Wszystkie sklepy napełnione do późnej nocy kupującymi, na ulicy zgiełk i wrzawa. Uciekały wstydlive Norwegii dziewice, w drewnianych trzewikach i zatykając sobie uszy, przed ścigającymi je komplementami majtków francuzkich, których tu burza zawiąza z Mauszy.

W ogromnej sali kassynowej morskich kapitanów, tenże sam zgiełk i nieporządek; rozprawiano o rozbiciach i zatonięciu statków i ludzi; najstarsi marynarze nie przypominali sobie podobnej klęski, ale wszyscy kontenci byli, że uszli, a jeszcze więcej kontenci ci, których assekurowane statki szkodę poniosły; boć to sławna gratka dla kapitana, umiającego przy tej sposobności ściągnąć assekuranta i assekuratora.

ROZDZIAŁ III.

WYCIEZKA DO LUSHAFU. — TRUDNE KOMUNIKACYE W NORWEGII. — DZIENNIKI. — PÓLKSIEŻYC SKALISTY. — KOCIOŁ ODINA. — OSTATNI SKOK JELENIA. — LEGENDA O KRÓLU OLAFIE I UMIERAJĄCYM JELENIU. — DR. W. — HISTORIA EGOISTY. — LEKARZ W NORWEGII. — DR. FAHRSUNDSKI. — JĘZYK DUŃSKI, NORWEGSKI I SZWEDZKI. — WIECZÓR W RATUSZU. — TOAST KAPITANA PILOTÓW. — PRZEJAZDZKA NA MORZU. — ZORZA PÓLNOČNA. — POWRÓT DO FAHRSUND. — STRÓŻE NOCNI.

Nazajutrz rano, równo ze świtem, udałem się do Lushafu, gdzie się znajdował okręt mego nieznanego kolegi, zagnany burzą do Norwegii. Śniegi ogromne spadły podczas nocy i nie pozwoliły mi udać się zwyczajną drogą przez spadziste grzbiety głazów; musiałem wybrać nierównie dłuższą, okrążającą zębate brzegi długiego klinu skał, przegradzającego Fahrsund od Lushafu; klin ten wyglądał jak długi język liżący wody morskie. Tak tedy, żeby dojść miejsca oddalonego o ćwierć mili, zniewolony byłem zrobić półtorej mili najgorszej drogi, brocząc czasem aż po pas w śniegu. Nic wątpliwszego i względniejszego w Norwegii jak oddalenie; zwiększa się ono w stosunku sześcianów z niepokodą, zmniejsza w ten sam sposób z pogodą; ztąd wielkie niedogodności w komunikacyach; poczty muszą walczyć z niebezpieczeństwem wszelkiego rodzaju i są podległe niezliczonym przypadkom. Często pomiędzy punktami dość ważnymi nie ma drogi pociągowej, a nawet i konnej, jest tylko drożysko śnujące się węzłem przez szczyty skał, przegradzone częstokroć ścianą głazu, na którą tylko za pomocą długich zdradzieckich drabin dostać się można. Ztém wszystkiem synowie Norwegii są tak oswojeni z naturą swojej ojczyzny, że zdaje się, jakoby trudności, które im przedstawia, istniały tylko dla tego, aby zaostrzać ich rozum i utrzymywać go w ciągłej czynności; wszystkie dzienniki Norwęgskie i niektóre Duńskie dochodzą prawie każdego rybaka

i włościanina, a choć często zalegają, dochodzą jednak zwykle przeznaczenia swego.

Włokłem się tedy powoli za mym przewodnikiem, raz wpadając w głębokie śniegi, drugi raz uciekając przed gonącą mnie falą, kiedym się za nadto zbliżył do morza. Uszedłszy połowę drogi, to jest do punktu, w którym klin skalisty najdalej wchodził w morze, uderzony zostałem dziwnym zjawiskiem. Proszę sobie wystawić półksiężyc biały i wysmukły, jakim jest w pierwszych dniach pierwszej kwadry, z tą tylko różnicą, że ogromny jak wieża, stojący jednym rogim w huczących odmętach, a wznoszący drugi wysoko ku niebu, a będziecie mieli obraz, który mi się wtedy ukazał. Bliżej się przypatrzywszy, poznałem nakoniec, że nie Dyany planetę przed sobą widzę, ale ogromny kolosalny głaz, nadsładowujący jej kształt cały, obleczony białą zasłoną śniegu. Na spadzistym jego grzbiecie wyrąbała natura olbrzymie stopnie, po których zwierz tylko dziki wdrapać się może na niebotyczny wierzchołek. Fale rozbijały się z żalonym i głośnym jękiem o jego stopy, jak gdyby w rozpacz, że cała ich wściekłość nie wystarcza na zwalenie tego kamiennego potworu; wrzały spodem odmęty w jaskiniach i jamach, jakie wściekłość bałwanów wytoczyła w opoce; często całe statki rybaków w nie wpadały, i raz pochłonięte, nigdy na powierzchnię morza nie wypłynęły; widać, że pęd wody musiał sobie otworzyć ukryte i głębokie komunikacje pod głazami. Nurty te zdradliwe, zwane są w kraju: kotłem Odina, a skała nad nimi zawieszona ostatnim skokiem Jelenia; piękna do tego nazwiska przywiązana jest legenda.

W dawnych, bardzo dawnych czasach, święty Olaf, pozbawiony korony i ścigany od swego ludu, błąkał się po dzikich lasach, pokrywających niegdyś bliskie okolice, unikając ludzi, których się zdrady lękał. Włócznie i strzały zabezpieczały nieszczęsnego bohatera od dzikich zwierząt i głodu; ale nie miał przyjaciela i nudził się w swym przytułku. Razu pewnego, błądząc zadumany po lesie, ujrzał młodego jelonka, porzuconego przez matkę; leżało na ziemi biedne, zgłodniałe zwierzątko, i błagające zwracało ku niemu spojrzenie. Ani zdrada przyjaciół, ani nieszczęść gorycze nie oziębiły serca monarchy na cierpienie drugich; tknięty widokiem umierającej istoty, chciał jej dopomódz; ale czémże posilić w dzikiej pustyni tak słabe zwierzątko? oto wła-

snych piersi ciepłem, własnej krwi żywiołem. Porwał tedy pugił, otworzył sobie żyłę w rękę i puścił strumień krwi w zgłodniałe usta jelenka. Krew świętego bohatera przywraca go do życia; wstaje młody jelen i już nie powraca do swych towarzyszków i matki,—już nigdy nie opuszcza swego zbawcy. Minął tak rok cały dwom mieszkańcom lasu w zobopólnej przyjaźni; król bronił jelenia od wilków i chytrych niedźwiedzi, a jelen czuwał nad bohaterem, kiedy znękanego polowaniem sen napadł. Ale Olaf wraca pomiędzy ludzi, chcąc odzyskać wydartą mu koronę; chciał za nim biedz czuły towarzysz. »Nie, ty tu zostań, biedny przyjacielu, zostań między twemi; ale na pamiątkę, żeś króla detronizowanego był jedyną pociechą, weź resztę jego bogactw.« Tak rzecze król do swego towarzysza i na wysmukłą szyję wkłada mu łańcuch złoty. Usłuchał zwierz, choć niechętnie, i samotny zwrócił swe kroki ku lasów głębinie.

Minął wiek, minął drugi, a jelen ciągle przy życiu. Strzelec nie śmiał godzić na zwierza, co świętego kiedyś był przyjacielem; nie śmiały nawet i zwierzęta. Ale chciwość, ten smutny, brudny cień świetnej cywilizacji, wkradła się w serce ludzkości; ani świętość, ani wiara nie hamują duszy, co chciwości pała żądzą. Pan stron tych późniejszy, chcąc osiąść złoto zdobiące nieśmiertelnego zwierza, sprasza na łowy swych sąsiadów, spędza licznych wasalów i długim łańcuchem opasuje wytopionego jelenia;—krzyk naganiaczy, wycie stu sfór dzikich, wypłasza starego puszczybrodacza: wysuwa się z ukrycia, tu go sto strzałów powitało; cofa się w tył—tam morze!—Szlachetne zwierzę, dumne z swój relikwii, nie chce jój oddać niewiernym; rzuca się więc na skaliste brzegi, skacze z jednej przepaści na drugą i dobywając w rozpacz sił ostatnich, suwa na Dyany godło, na wysoki gład półkłęsżyca, i ztąd strąca się w odmęt morza głęboki i wrzący.—Co kocioł Odina pochłonał, tego oko ludzkie już nigdy nie zobaczy. Tak śmiercią samobójcy umarł zwierz szlachetny, który pił krew nieśmiertelną bohatera, a zgonem swoim nadał martwój skale tyle uroku poetycznego, że i zimny protestantyzm zatrzcć nie zdołał wpływu jego na lud prosty.

Stanęliśmy w Lushafie; pytam się o bryg hamburski Arethusa i znajduję go nareszcie tuż brzy brzegu bulwaru. Majtkowie zatrudnieni wykładaniem ładunku na brzeg, aby

później kalfatrować uszkodzony okręt, powiedzieli mi, że pruski doktor już nie mieszka w okręcie i że się przeniósł do domu, który mi wskazano. Spieszę do niego, otwieram drzwi i poznaję w prześladowanym burzą medyku—dawnego kolegę uniwersyteckiego, Dra W... Wielkie było nasze zadziwienie, a radość bardzo ciekawego charakteru. Dr. W. był jednym z téj liczby ludzi, którzy nie potrafia uskarbić sobie przyjaźni nawet u własnego brata lub ojca; na wysokich obcasach, małych nóżkach, nosił sztywny kadłubek i twarz regularną i piękną, ale tak cierpką, tak nieprzystępną, że trudno było oprzeć się nieprzyjaznemu wrażeniu. Chirurgiem był z urodzenia, bo nie zaniedbywał żadnej okazji krajania i zszywania ludzkości; nieprzyjacielem zaś owych niewinnych pojedyneków, kończących się rozlewem krwi—pod postacią wina i piwa; lękał się jednak bardzo po ludzku o własną skórę; pełen zdatności, umiał, co się rzadko pomiędzy Niemcami zdarza, zwrócić ją więcej na praktyczne, jak na teoryczne nauki; słowem Dr. W. kochał siebie samego z całego serca, a zawód swój tylko dlatego, że mu obiecywał robić dobrze własnej jego osobie; samolubstwo tak w nim wzięło górę, że nawet zaniedbywał udawać, iż ceni coś innego prócz siebie samego (czego się, jak wiemy, samolub doświadczony, egoista dobrego tonu, nigdy nie dopuści, chociaż tém zadaje kłamstwo własnej teorii życia, zmuszającej go do ciągłej hipokryzyi, a więc do bardzo niewygodnej roli). Ale jakimże sposobem los kapryśny złączył dwie tak nieodpowiednie sobie osoby, jak ja i nowy kolega, w jednym porcie? pomiędzy nami dwoma nie istniała nigdy siła przyciągająca, dostateczna na wytłómaczenie tego zjawiska fizycznego. Pozwolimy doktorowi być opowiadaczem własnej epepei:

„Wiesz może, mówił mi, że nigdy nie był bogatym, i że miał rozum kochać się w młodej panie nie skrzywdzonej ubóstwem; zostawszy doktorem, prosiłem ojca o jej rękę, a ten mi odpowiada z niskim ukłonem: że jak sobie wybiorę miejsce i potrafię wyżyć z własnej pracy, natenczas sobie będzie miał za zaszczyt nazwać mnie swym zięciem.«—»Ja nie na tom się kochał w pańskiej córce, że bym miał czekać gdzieś na miejsce, tylko na to, żeby je sobie wybrać, gdzie mi się spodoba,« odpowiedziałem, i wyszedłem z domu, zapomniawszy nawet rzucić miłosnym okiem na kochankę, która z bijącym sercem czekała rezultatu méj ro-

zmowy. Opuściłem Królewiec z mocnym zamiarem niepowrócenia nigdy do tego kraju poetycznych profesorów medycyny i prozaicznych ojców bogatych córek. Udałem się najprzód do Berlina, gdzie starałem się wpaść w oko profesorowi D..., który, jak wiesz, wynajduje ciągle nowe operacje, sposoby budowania nosów, prostowania ocz i nóg. Nadstawiałem mu się gdzieś tylko mógł, i nareszcie zwróciłem jego na siebie uwagę. Widząc we mnie gorliwość, a według mego zdania i zdolność, brał mnie pan D... do chorych swych prywatnych i dawał mi przez to sposobność wywiedzenia się w operacjach. Nabrawszy już dość wprawy, rzekłem do profesora z uniesieniem: że zdziwiony rezultatem szczęśliwym jego odkryć chirurgicznych, radbym stać się apostołem ich w Ameryce. Zreznym pochlebstwem ujęty p. D., dał mi instrumenta, rekomendacje i pieniądze na drogę i wyprawił do Hamburga; tutaj nająłem sobie miejsce na Arethuzie, która płynęła do Nowego-Yorku, i zapłaciłem za nie 100 talarów z góry. Dotąd wszystko szło pomyślnie, ale od chwili wstąpienia na morze zmieniła się postać rzeczy. Oprócz mnie było jeszcze kilkunastu passażerów: sami rzemieślnicy, ludzie pośledni. Kilku z nich miało pretensję mówienia zemną; dałem im poznać przestrzeń jaka nas oddziela, i że obejdę się bez ich towarzystwa. Od tego czasu stałem się—okropne wspomnienie!—stałem się, mówię, przedmiotem żartów wszystkich passażerów i całego ekwipażu: nie mogłem zrobić kroku lub poruszenia bez rozśmieszenia wszystkich; przytém dokuczala mi nielitościwie choroba morska, co jeszcze powiększało zadowolenie mych towarzyszków podróży. Skarżyłem się przed kapitanem, ale ten brutal odpowiedział mi, że to własna moja wina, że mi tak zawsze będzie, bo nie umiem żyć z ludźmi. Na domiar nieszczęścia, burza gwałtowna spotkała nas w kanale Manszy;—teraz już straciłem głowę, przeklinałem los mój i ojczyznę, która mnie nie umiała przywiązać do siebie. Mieliśmy kiku rannych, ale nie do mnie udali się o pomoc, tylko do jakiegoś golibrody francuzkiego, który od tego czasu pozwalał sobie nazywać mnie kolegą; wystaw sobie, mnie, doktora medycyny i chirurgii, praktycznego lekarza w państwie Pruskim. Nie! nigdy nie zgoją się te rany, zadane méj miłości własnej; życzyłem sobie śmierci! Nareszcie potraciwszy maszty, uciekliśmy z przedziurawionym okrętem do tego mizernego portu—

tu zostanie Bóg wie jak długo. Kapitan nie skończy reperacyi okrętu przed trzema miesiącami, i nie chce ani mnie żywić, ani zatrzymać na okręcie przez ten czas. Siedzę zatem w bezczynności, biję się z myślami złowróżbnymi i tracę pieniądze, co mi miały służyć do rozpoczęcia świetnej kariery w Ameryce. Ach! położenie moje jest okropne!«—

»Czemuż masz żyć w bezczynności? pracuj, buduj nosy ludzkości i prostuj jej oczy,« mówiłem zmartwionemu koledze.—»Alboż w tym zimnym nieucywilizowanym kraju kogo stać na utratę nosa? czyż rybie oczy córek Norwegii, owe mdłe zwierciadła nieruchomej duszy, mogą patrzeć zyzem? Przecież oni tu uważają za piękność zyzowatą kobietę. Przeszłej niedzieli w kościele Fahrsundskim odkryłem młodą wieśniaczkę z pysznym zyzem na oba oczy; uradowany przybliżyłem się do niej, tłómacząc jak tylko moge najwyraźniej, że jestem zdolny wyleczyć ją z tej słabości; nie wiem czy mnie zrozumiała, ale to wiem, że mnie złapał za ramiona pedel kościelny z jakimś innym brutallem i że mnie wyprowadzili za drzwi. Czekałem na cmentarzu na koniec uroczystości kościelnej; zbliżyłem się znowu do wieśniaczki wychodzącej z ojcem i ofiaruję mu wyleczyć córkę. Obstąpili mnie wszyscy, a z spojrzeń litościwych całego zgromadzenia poznałem, że mnie wzięto za waryata. Tak tedy uchodzę między dzikimi ludźmi, u jednych za złośnika, u drugich za waryata, u innych jeszcze za głupca.«

»A to wszystko dlatego, dodałem, że jesteś egoistą i dumnym; że raz wyskoczywszy z ciasnych karbów, w których się twe życie obracało, nie umiesz się zastosować ani do położenia, ani do ludzi, od których teraz los twój zawisł. Rzucasz ojczyznę, stajesz się kosmopolitą, a zatrzymujesz ciasne wyobrażenie o godności człowieka, jakieś wyssał w swym kraju. Ale los, co nas tak dziwnie połączył, wskazuje mi powinność poprawienia i ratowania ciebie; służąc sobie samemu, możesz nie raz zrobić innym wiele dobrego (*). Biorę cię tedy pod moją protekcję, a teraz

(*) Dr. W. jest teraz w Baltimore profesorem Chirurgii przy Uniwersytecie, redaktorem dziennika lekarskiego i najwięcej wziętym operatorem. Dochody jego wynoszą do 70,000 talarów rocznie.

ubieraj się i chodźmy do Fährsund odwiedzić tamtejszego medyka, także nie bardzo słynącego z swój ludzkości.^a

Trudne jest w tym kraju położenie lekarzy. Rozsiani rzadko pomiędzy rozrzuconymi mieszkańcami skalistych brzegów, muszą w pełnieniu obowiązków waleczyć nie tylko z chorobą pacjentów, ale jeszcze z ostrością klimatu i niewygodami podróży morskiej; biedny rybak lub pilota rzadko kiedy może ocenić przykrości i niewygody, do których sam jest przyzwyczajonym, a jeszcze rzadziej wywdzięczyć się lekarzowi za stratę czasu i spokoju. Otaczający chorego zapominają nie raz w własnym zmartwieniu, że i lekarz jest ojcem rodziny, że przeto ciągle narażanie się na niebezpieczeństwo nie może mu być nazbyt przyjemne. Może też doktor Fährsundski, już nie młody i jedyny na przestrzeni sześciomilowej wybrzeża, zanadto pilnował swego zdrowia; nie słyszał przynajmniej ani z swój ludzkości, ani z wiadomości lekarskich. Chcąc się przekonać, czy go nie krzywdziła opinia, zrobiłem mu z kolegą mym wizytę. Przyjął nas doktor uprzejmie, ale na nieszczęście nie można się było z nim dogadać. Obce mu były języki, któreśmy znali; nawet łacina, ten powszechny organ uczonych, zarzucił od dwudziestu lat, to jest od swojej doktoryzacji. Mówił tylko po duńsku, i, jak utrzymywał, po norweskku; dzika pretensya! jak gdyby języki te różniły się od siebie więcej, niż naprzykład język angielski od tego, którym mówią w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Mowa pisana Norwegów jest identycznie ta sama co duńska, język zaś potoczny zbliża się cokolwiek do szwedzkiego akcentuacją twardą i kilkunastu przyjętymi słowami. W głębi Norwegii, a szczególnie w północnych jej częściach, używają dyalektów jeszcze więcej zbliżających się do szwedzkiego.—Matką tych wszystkich idiomów, któremi teraz mówią w tych krajach, jest starożytna mowa Skandy-nawii.

Byliśmy tedy wszyscy powarzeni, i wino nawet dobre, którego nam pani doktorowa hojnie dolewała, nie mogło uzdolnić naszych języków do wytłómaczenia się i porozumienia wzajemnego. Na szczęście, młody jakiś kupiec przybył nam w pomoc; tłómaczył on mi po włosku, co mu doktor norweskki powiedział po duńsku, a ja to oddawałem po niemiecku memu koledze pruskiemu. Takim skomplikowanym sposobem dowiedzieliśmy się prawie czwartej części

tego, cośmy sobie życzyli wiedzieć o charakterze epidemicznym chorób tego kraju, o metodach leczenia, o wysokości doz lekarskich. Pomiędzy innymi rzeczami usłyszałem, że cholera grassowała tutaj okropnie roku 1835. i że leczono chorych wielkimi dozami opium po 4 grany na raz. Chorzy żyli póki mogli, a potem umierali spokojnie.

Tymczasem rozeszła się pogłoska między mieszkańcami, że doktor polski znajduje się w mieście; znaczniejsi obywatele zebrali się i wysłali do mnie deputacyę z prośbą, abym przyjął wieczór w sali ratuszowej; przystałem na to pod warunkiem, żeby mi było wolno przyprowadzić kolegę mego i kapitana, na co zezwolono z chęcią.

Zjawił się kapitan Arethusy w mieście; korzystam z tej okoliczności i staram się nakłonić go do zwrócenia choć połowy ceny passażu doktorowi, który w zamian chciał go skwitować z obowiązku zawiezienia go do Nowego-Yorku. Chytry Hamburgczyk był tak uniżonym i płaszcącym się na lądzie, żem łatwo zgadł, ile musi być brutalem na morzu, bo ten kontrast istnieje bez wyjątku w podobnych ludziach. Ani chciał słyszeć o zwrocie pieniędzy lub żywieniu passażera podczas naprawy okrętu. »Innych passażerów będę żywił chętnie, ale nie pana W., który nam swą dumą i złośliwą miną odbiera humor; żal mi, że nie mogę nic zrobić dla pańskiego przyjaciela; dla pana to co innego: jeżeli pan chce jechać bezpłatnie do Ameryki, to proszę z całego serca.« — »Dziękuję kapitanie, i tak już jestem za daleko od kraju, którego byłbym chciał nigdy nie opuszczać.«

Około godziny szóstej udaliśmy się do sali ratuszowej, ubranej w chorągwie różnych narodów, którym sprzyjano. Dam nie było; starodawne zwyczaje Germanów i Skandynawów są tutaj jeszcze za nadto w używaniu: kobiety, przypuszczane jak najmniej tylko można do zabaw, muszą siedzieć w domu i pracować. Towarzystwo składało się z kilku urzędników miejskich i portowych, z pastora, doktora, adwokata, kapitana pilotów i kilkunastu kupców, z których prawie każdy był konsulem jakiegoś potentatyziemi. Przyjęci zostaliśmy grzecznie i prezentowani kilku jegomościom mówiącym obcemi językami; inni co ich nie znali, przypatrywali się nam, a poznawszy zapewne, że jesteśmy ludzie jak inni, zasiedli do bostona. Nastąpiła wkrótce wieczera. Sąsiadem moim był P. Rein..., konsul angielski, ale rodowity Niemiec;

łączył w osobie swojej szczerą grzeczności przyjemność dobrze wychowanego Niemca, z godnością i wolnomyslnością Anglika; w ciągu mej znajomości poznałem, że serce jego zgadzało się z ujmującą powierzchownością.

Rozmowa pomiędzy mną a gospodarzami toczyła się we wszystkich językach europejskich.

Proszono mnie, abym opowiadał przygody me morskie; włożyłem na kapitana mego obowiązek ich historyka, bo sam, dla nieznamości wyrażen technicznych, niedostatecznie tylko mógłbym być odmalować sceny okropne, jakich byłem świadkiem. Towarzysz mej Odyssei, nie mówiący jeszcze nigdy przed tak świetnym i licznym zgromadzeniem, mieszał się z początku, ale powoli wprawił się w dostateczny entuzjazm: huczały burze, trzaskały maszty, świszczały liny, przerywały się żagle jak za dobrych czasów, kiedy jeszcze »Twende Brödere« pruł fale, pod któremi teraz pogrążony leży. Ukończył nareszcie, wynosząc aż pod niebo mą cierpliwość w niewygodach i niebezpieczeństwie. Ja zaś dodałem: »Pozwólcie panowie, abym przy tej sposobności oddał sprawiedliwość memu kapitanowi; jego przytomności winniśmy ocalenie życia, a w nieustraszonem mężstwie i nigdy go nie odstępującej łagodności czerpaliśmy wszyscy odwagę na śmierć lub życie. Proszę tedy, abyście panowie pomogli mi wywdzięgnąć się kapitanowi i wypili zemną jego zdrowie.« »Brawo! brawo! niech żyje marynarz duński i niech się długo z tego cieszy, że go odważni walecznym nazwali.« Wypito z ukontentowaniem zdrowie kapitana, który się tym zaszczytem aż do łez rzewnych rozczulił, a chcąc czémkolwiek ulżyć wdzięcznemu sercu, ofiarował mi młodszą swą siostrę w małżeństwo, z czego nigdy nie mogłem korzystać. Zwabiono nareszcie muzykę jakąś, złożoną z kilku zakatarzonych trąb i dwóch hektycznych klarnetów; przy ich wielitościwym odgłosie zaczęto śpiewać piosnki narodowe. Uroczystość zakończyła się marszem tryumfalnym około stołu; porozbierało chorągwie i marsz zamykał Dr. W., a że nie było chorągwi jego, wsadził szlafmycę jakąś na kij i z nią paradował około stołu. Po dziesiątej rozproszyło się towarzystwo; jedni drapali się na skały, drudzy schodzili w doliny, ale wszyscy ostrożnie i za pomocą ludzi trzeźwych, najętych umyślnie na ten koniec przez poczciwe żony, znające z doświadczenia skutki radości norwęgkiej.

Tylko kapitan Jensen nam towarzyszył.

Na czystym błękitnie nieba błyszczały wesoło gwiazdy; mróz był silny, ale tak sucho, tak cicho w powietrzu, że wyszedłszy z gorącej atmosfery, nie można było żądać dobroczynniejszego balsamu dla rozgrzanych głów, jak owo powietrze.

Chcąc dłużej używać przyjemności pogody, wsiedliśmy z kapitanem do łodzi odwożącej Dra W. do Lushafu. Droga prowadzi, jak już wiemy, około języka skalistego, wdzierającego się do zatoki i dzielącego się na dwie przystanie.

Nie żałowaliśmy naszej wycieczki. Natura dała nam reprezentację, jakiej żaden teatr świata, Wezuwiusz nawet, nie przedstawił nigdy.

Któż jest zdolny wystawić sobie, czém jest zorza północna, jeżeli jej w Norwegii nie widział?

Jakie pióro dość śmiałe, jakież wystowienie dość silne do odmalowania tej boskiej dekoracji nieba?

A jednak przejęty do żywego majestatycznym obrazem, rozrzewniającym dziś jeszcze duszę mą religijném zachwyceniem, skreślię tu choć słaby szkic jego.

Ukazał się nagle na niebie obłoczek świecący, biały, zawieszony w północnej stronie firmamentu. Nie widziałem jeszcze meteoru podobnego i z zadziwieniem wpatrywałem się w ową gazę srebrną; pływającą wysoko w powietrzu. Ale nie zostawałem długo w zawieszeniu: ognisko światłem rażące ukazało się w środku obłoczka, rzuciło niezmierne promienie na przestrzeń nieba, i od razu całe jego sklepienie pokryło się olbrzymiami, najrozmaitsze kształty przybierającymi widmami. Ogniste snopy piorunów, długie pałające miecze zabłyśły; wulkany zalewające żarem i lawą świat całe, race szybsze jak myśl, przebijały powietrze. W czystym eterze niebios grały najbogatsze kolory: tu walczy purpura z jaskrawym fioletem, tam szmaragdy igrają z czarnymi dyamentami; w jednej chwili wszystko przybiera postać szerokiej, opasującej niebieską hemisferę tęczy, z której pryska na kulę ziemską deszcz ognisty. Nikt nie zdoła opisać uroku, pod jakim zostawaliśmy wszyscy, niemi i zaledwie oddychający. Boże odwieczny! czy Ty nam zstąpienie Twe na ziemię zwiastujesz? myślałem, lub czyś otworzył bramy wiecznego raju?

Nieustające zmiany kształtów i kolorów następowały jedne za drugimi; wszystko znikało czasem w mgnieniu oka, zostawując po sobie najczarniejszą ciemność, nieprzejrzaną dla gwiazd nawet. Wszystko się znów zapalało razem nieskończoną łuną, jak gdyby gorzał świat cały, gorzało niebo, woda morska w purpurę zamieniona rubinami toczyła, a skały śniegiem pokryte zalał amarant i osypały brylanty. Wszystko żyło, wszystko się poruszało, ale w zupełnej cisłości trwożącej kontrastem. Zdaje się, że natura, własnem dziełem zdumiała—mleczy.

A może też mleczy, bo nie wydała jeszcze żadnego głosu godnego wtórować majestatowi zorzy północnej.

Trwały te cuda więcej jak dwie godziny; przyciągani pomimowolnie ku nim, wypłynęliśmy z przystani na otwarte morze. Majtkowie nawet w zachwyceniu zapomnieli robić wiosłami. Dopiero kiedy zorza przestała oświetać widokrag i zniknąwszy pograżyła świat cały w grubą ciemność, poznaliśmy, że nie widać ani brzegów, ani masztów, i że odpływ zaniósł nas za daleko w głąb morza.

Błyskała tylko latarnia fahrsundska i wskazywała nam dyrekcyę, jakiej się mamy trzymać w odwrocie. Wiosłami walczyliśmy prawie dwie godziny z odpływem i powiewem od łądu. Stanęliśmy nareszcie znękani pracą w porcie, wylądowali doktora, i sami dalej do miasta płynęli. Stawamy tutaj po trzeciej już godzinie, wysiadamy na brzeg i szturmujemy do hotelu; ani sposób dopukać się, wszyscy śpią, jak gdyby w wiecznym śnie pograżeni. Przejęci zimnem i znużeni, szturmujemy ciągle; wtém wypada na nas całe stado kosmatych jakichś upiórów: była to warta nocna, ubrana od stóp do głów w wywrócone niedźwiedzie. Oświadczają nam ci panowie, że jesteśmy włóczęgi, że nie mamy prawa domagać się, aby nam o tak późnej godzinie otworzono do porządnego domu, i że zaprowadzeni będziemy na odwach, jeżeli nie odstępimy od robienia hałasu. Z stróżami nocnymi w Norwegii nie ma co żartować, są to urzędnicy bardzo poważni i uzbrojeni w owe sławne laski, zwane *ju-trzenkami* (morning-star), których Lord Waterford (*) po-

(*) Lord Waterford, sławny bokser i sportsman Angielski, siostrzeniec biskupa Londyńskiego, przybył roku 1837 na wła-

znał wpływ dobroczynny na resztę swego mózgu. — »Prowadźcie nas tedy na odwach,« rzecze kapitan; »ciekawym, co powie jutro rano Europa, jak się dowie, że cudzoziemiec, oczarowany cudami waszej przyrody, zapomniał, iż istnieją stróże nocni obdarzeni władzą więzienia spokojnych ludzi.«

To odwołanie się do szlachetności policyi noenėj norweskiej pomogło cudownie.

Znalazł się klucz od hotelu w kieszeni naczelnego stróża;—otworzył on nam drzwi, zapalił świecę i życzył dobrej nocy.

Tak się skończył ostatni dzień pierwszego roku wędrówki, którą tutaj opisuję.

snym okręcie do Norwegii dla szukania awantur i polowania na niedźwiedzie. Stanąwszy nocą w Bergen, rozpoczął zaraz na ulicy polowanie od ścigania kobiet Norweskich, które nie przyzwyczajone do karesów angielskich, przywołały w pomoc wartę noeną. Stróż ujął się za wstydliwemi rodaczkami i poczęstował jutrzrenką nacierającego Anglika w głowę. Gruba czaszka para Brytanii oparła się ciosowi, po kilkomiesięcznej chorobie wstał z porządniejszą głową, jak ją miał przed tém. Nie wiem, czy parowie angielscy korzystali z téj nowo odkrytej metody leczenia się z dziwactw, ale to wiem dobrze, że jój wielu potrzebuje.

ROZDZIAŁ IV.

WYCIECZKA W SĄSIEDZTWO FAHRSUNDU.—WYCIECZKA DO NORGEDAL.—NIEWYGODY PODRÓŻY.—WOZY NORWEGSKIE.—WIDOK OKOLIC GÓRZYSTYCH.—KONIE.—FENOMENA METEOROLOGICZNE.—FATA-MORGANA PÓLNOCY.—PRZESTRACH DOKTORA.—ZABOBON WOŹNICY.—ZABYTKI MITOLOGII SKANDYNAWSKIEJ.—NORGEDAL.—PRZYJĘCIE.—CIEKAWOŚĆ MIESZKAŃCÓW DOLINY.—ALDERMAN.—NIEMIEC SZUKAJĄCY SZCZĘŚCIA ZA GRANICĄ.—HISTORIA KOLONII ZAŁOŻONEJ I ZAŁUDNIONEJ PRZEZ ALDERMANA.

Znudzony widokiem skał i masztów, wody i rybaków, pragnąłem choć raz znowu oddychać powietrzem wiejskiem i oglądać ziemię i drzewa, których obraz zacierał mi się już w pamięci. Wyszedłem więc w pole, rozciągające się za miastem ze strony północnej, i szukałem jakiej wioski; ale próżne były me usiłowania. Znalazłem tylko na szczupłym widokregu, ograniczonym górami skalistemi i brzegami morza, tu i owdzie rozsiane gaardy, czyli grupy złożone z niewielu małych i niemalowniczych chatek, a oprócz kilku gdzie-niegdzie rzuconych jodeł i sosien, żadnego innego znaku wegetacyi. Włóścianie są bardzo ubodzy w pobliżności Fahrsundu; ziemia niewdzięczna, za ledwie kilkudziesięciu na milę kwadratową wyżywić zdoła. Pola zasiewają po największej części owsem, z którego tutaj pieką chleb kaleczący język, a mało pożywny dla żołądka. Niezadowolniony z méj wycieczki, wróciłem do miasta i pobiegłem do konsula Angielskiego. Ten mnie dopiero oświecił, że dalej w głębi kraju, po za pasem gór przegradzających je, znajdują się piękne doliny dobrze uprawione i zabudowane; chwalił mi szczególnie jedną z nich zwaną Norgedal, położoną w bliskości precudnej kaskady, i nakłonił, abym ją zwiedził i użył do téj wycieczki jego koni i wózka. Przyjąłem z radością tę ofiarę. Kapitan, zatrudniony, nie mógł mi towarzyszyć; doktor nie lubił zdrowej natury, ledwom go do wycieczki mógł zwa-

bić nadzieją znalezienia na wsi chromych lub zyzowatych.

Udaliśmy się przeto jednego pięknego poranku w podróż; znosiłem cierpliwie jej niewypowiedziane utrudzenia; ciągła zmiana widoków i nadzieja nieznanego wrażeń wynagradzała mi hojnie niewygodę jazdy. Nie tak memu towarzyszowi; ujechawszy zaledwie pół mili, tak się wystraszył zimnem i przepaściami, nad których brzegami pędziliśmy jak szaleni, że gotów był wrócić natychmiast i zkwitować z nadziei odkrycia pożądanych kalek. Prawda, że wózek nasz nie był najwygodniejszy, ani myśleć o siedzeniu lub leżeniu w nim; trzeba było ciągle stojący szukać we wszystkich komicznych i tragicznych postawach środka ciężkości i pasować się z własnego ciała ciężarem. Droga zasiana kamieniami wznosiła się i spadała ustawicznie. Konie nasze, kosmate jak niedźwiedzie, małe ale niezmiernie krepce, wymijały bez pomocy woźnicy każdą przeszkodę, drapały się jak koty na skałę, i korzystały z każdej okoliczności ułatwiającej im podróż; istotnie nie mogłem się wydziwić rozumowi tych poczciwych zwierząt. Z góry lecieliśmy bez hamulca z piekielną szybkością, wózek skakał jak skoczek po kamieniach, trzaskały we wszystkich stawach nasze kości, a doktor wrzeszczał jak opętany pod siedzeniem, pod które upadał co moment. Ale gorzej jeszcze było przy wjeżdżaniu na górę: cały ciężar naszego ciała padał wtenczas na tył wózka i unosił przodek w powietrze; zdarzyło się nawet raz, że sworzeń wypadł, wyleciał w górę, i o mało co nie złamaliśmy karku w przepaści. To wrażenie, choć zupełnie nowe, nie znalazło i we mnie wielkiego wielbiciela, byłbym może sam narzekał, gdybym się nie musiał śmiać z narzekań mego nieszczęsnego kolegi.

Pogoda sprzyjała nam prawie ciągle; niebo obłokami zasłonięone tworzy z ciemną zielonością sosien i jodeł, i z szaremi skałami gdzie niegdzie pokrytymi śniegiem, ową smętną i spokojną harmonię, której nie zbywa na pewnym melancholicznym uroku. Deszcz i mgły wyradzają w górach dziwne zjawiska, trudne do porównania z czémkolwiek! W oddaleniu skała unosi na wysokim śpiczastym szczycie ogromny czarny obłok i wygląda jak niezmierny olbrzymi atlas, dźwigający kulę ziemską. Tam znów mgła

unoszą się nad doliną, wleczą się powoli u stóp gór, spocznie sobie na ich wierzchołku, i od jednego razu ani się spostrzeżesz, kiedy cię otoczy swą grubą powłoką i nic już wtenczas nie widać. Wtém wiatr jak wściekły wpada na mgłę, porywa ją, rozbija i unosi w niezmiernych tumanach częścią w obłoki, częścią toczy w wąwozy; przedarła się zasłona, z bliska i z daleka powstają widoki: tam uśmiecha się łąka, tu promień słońca wykradający się z pod obłoku wskazuje chatkę, tam znów wysoki szczyt opoki wystaje z pośrodku mgły pędzonej wiatrem na około stóp jego, a szybki strumień, skakając z skały na skałę, spieszy w dolinę i tu w szerokie rozciąga się jezioro.

Ale w ogólności widok tego kraju nie jest urozmaicony polem, łąką, lasem i wsią jak Szwajcarya; charakter mu nadają góry po największej części nagie i skaliste, które albo rozciągają się długimi łańcuchami aż do morza, albo też wznoszą wielkimi massami, wzbijając w obłoki niebotyczne szczyty. Podróż idzie wolno, a dzień w Norwegii zimą tak krótki; słońce znikło już o godzinie trzeciej za obłoki, i nimeśmy spostrzegli, zaszło sobie za górami tak skromnie i bez przepychu, zupełnie bez okazałości. Księżyc świecił nam jak mógł wprawdzie, ale obłoki ciągle mu przeszkadzały w jego dobrych zamiarach; czasem tylko wyszedł cały na chwilowo wypogodzone niebo, a promienie spadające na massy, które, ożywione magiczną jakąś siłą, wyradzały dziwne łudzące nas zjawiska, i przejmowały nas przestraczem. Już rozeznawaliśmy szczyty błyszczące wież, ogromne dachy domów, już dochodził nas gwar głośny Tytanów w nich mieszkających, kiedy na raz potyka się koń, znikają widma i widać tylko nagie skały, że mi serce pukało gwałtownie, choć tchórzem nie jestem. Nie dowierzałem własnym oczom, byłbym dał wiele, gdybym mógł wiedzieć, czy doktor i woźnica tegoż samego złudzenia doświadczyli, alem się nie śmiał pytać, bom się obawiał wystawić na ich pośmiewisko. Słyszałem jednak, że i woźnicy i doktorowi pukały serca jak dwa grube staroświeckie zegarki; ostatni nawet zawiął głowę w wysoki kołnierz od płaszcza i zamknął oczy. Intrygowało mnie to niezmiernie, nie przerywałem jednak uroczystego milczenia, które zdaje mi się ogarnęło i konie, bo postępowały wolno, ostrożnie, jak gdyby w ocze-

kiwaniu ważnych jakich wypadków. Wtém, w środek otaczających nas głązów, wpadł znów promień księżyca i ożywił nieruchome przedmioty. Oko zaczarowane widziało miasta i okopy, cudne minarety i długie linie budynków oryentalnych, tam gdzie przed chwilą dopiero były tylko głązy i drzewa pokryte śniegiem. Serca zaczęły znów grać żywiej; tą razą nie mogłem wytrzymać. »Czy widzisz, krzyknąłem na doktora, czy widzisz co się około nas dzieje?«— »Widzę i wątpię że widzę, i nie wierzę w co wątpię«—odpowiedział, a ja dodałem: »A boisz się, choć wątpisz i nie wierzysz.«—»Kto ci to powiedział?« spyta.—»Twoje serce, co gada jak grzechotka.«—Zaszedł księżyc i widma znikły. »Zart na stronę, rzeknę do woźnicy, który umiał cokolwiek po niemiecku, co to jest cośiny dopiero widzieli?«— »Nauczyciel naszej szkoły w Fahrsund powiada, że to są jakieś *fata morgana*, lub coś podobnego, i że to powstaje każdą razą, kiedy promienie księżyca przechodzą przez nierówno rozgrzane lub oziębione warstwy powietrza i padają na płaszczyzny odbijające i w różnych kierunkach pochylone. Lud nasz inaczej sobie tłómaczy te zjawiska, a ja trzymam z ludem, chociaż służę u konsula Angielskiego, i chociaż pieczętuję wszystkie jego listy do rządu Wielkiej Brytanii. Coś pan widział, są to duchy dawnych bogów Skandynawii i cienie ich dawnych zamków strąconych i zniszczonych przez innych bogów, którzy także chrześcijaństwu musieli ustąpić.«

Nie mogłem pojąć, jak człowiek umiejący czytać, pisać i zdać sobie wyraźny rachunek zjawiska meteorologicznego fizyką wytłómaczonego, nie mogłem mówić pojąć, jak chrześcianin w protestantyzmie religijnie i moralnie wychowany, był w stanie rozprawiać jak uczony, a wierzyć jak stara baba. Później dopiero pojąłem te dwie razem istniejące strony w ludzie północnym: potrzeba poezyi i zabobonu jest w nich tak silną, a pamięć dawnych tradycyji tak upowszechnioną i mocną, że wyobraźnia ich nie uległa wpływowi chrystyanizmu, chociaż rozum i uczucie przejęły tak głęboko przeświadczenie jego prawdy. Nazwisko Thora, boga siły, i Loki, boga chytrości, wiecznie istnieć będą w pamięci ludu Skandynawskiego, pomimo kazań i zakazywania księży. Te dwie straszliwe osoby stariej mitologii, straciły wprawdzie blask majestatyczny bóstwa

władzącego, zstąpiły jak detronizowani monarchowie do ludu i przyjęły jego zwyczaje. Thor zapomina tak dalece swój godności, że się upija piwem i boksuje jak Anglik, a Loki także nie lepszy, trawi czas na płataniu figlów wieśniakom i na durzeniu wieśniaczek.

Stajemy nareszcie na szczycie ostatniej góry przegradzającej nas od Norgedal; wielka ztąd dla nas i koni radość, zgadły widać i zwierzęta, dokąd się udajemy. Pędzimy piorunem z góry na dół w szeroką dolinę, która się pod nami rozwijała, i zasłana śniegiem, wyglądała jak jezioro mleczne, a czasem tylko dopadło nas światło księżyca i ukazało zdaleka ograniczające widnokrąg lasy i skały; spostrzegliśmy kilkanaście grup zabudowań, rozsianych w stronie północnej doliny, tam gdzie dotykała lasu; każda grupa składała się z kilku chatek; z lasu wyglądała strzała kościoła drewnianego i czerwone dachy kilku znaczniejszych budowli. Wszystkie grupy chatek odległe były jedne od drugich o kilkaset kroków, wszystkie obstawione były pięknymi świerkami i jodłami; w każdej grupie była tylko jedna chatka, w której się świeciło; duża i czysta szyba przepuszczała wesołe światło potężnego ognia, około którego siedziały w liczne koło zgromadzone rodziny wieśniaków, zajętych słuchaniem gadek i pracą ręczną. Zajeżdżamy nareszcie do jednej z tych siedzib najwięcej zbliżonej do kościoła i prawie najporządniejszej, zbieramy nasze obolałe członki. Zsiadamy z wózka i wchodzimy do dużej i chędogiej izby, oświetlonej sutym ogniem; liczni jej mieszkańcy, uderzeni niezwykłym tententem koni, zdziwili się jeszcze więcej, widząc nas wchodzących i zgrzytających od zimna. Przywitałem jak mogłem najlepiej mych gospodarzy i prosiłem o schronienie na noc. Zrobiono nam zaraz miejsce przy kominie i podano każdemu kubek wrzącego mleka, które w kotle miedzianym gotowało się nad ogniem. Zimno zaczęło z nas ustępować, ale ciepło nie rozwiązało jeszcze języka; widzieliśmy, że osoby nasze są zagadką i przedmiotem ciekawości dla spoglądającego w milczeniu towarzystwa; ale cóż było robić? nieznajomość duńskiego języka nie dała nam zaspokoić tej ciekawości. Czekałem w milczeniu dalszych wypadków, bawiłem się z poczciwym psem morskim, który przyszedł witać mnie kręceniem ogona, i śmiałem się w duchu z doktora za wy-

cieczkę, do której go namówiłem. Gospodarstwo trzymali nas ciągle pod strażą piętnastu par ocz i mniej więcej niebieskich i niewymownych; towarzysz mój nie odkrył w nich ani jednego zyzowatego i jeszcze w większą wpadł złość. Nareszcie jeden z grona, uderzony nagle myślą nową, krzyknął: »De gamle Olderman sznake tiwske« (stary alderman mówi po niemiecku). Wszyscy z radością odpowiedzieli: ya, ya! Wysłano tedy kogoś po aldermana, a my tymczasem zgłodnieli prosiliśmy, by nam dano jeść. Gastronomom odbywającym podróże w głębi Norwegii; raz opuściwszy porty morskie nie można tu dostać jak jaj i mleka, czarnego owsianego chleba i plaacka żytniego, małych mizernych ryb, wody słodkiej i nie bardzo aromatycznej słoniny. Nakryto stół czystą bielizną, postawiono na nim kaganiec rzucający migające światło i zaproszono do wieczerzy; gospodarze już byli zjedli swoją przed naszym przybyciem. Zgłodnieli zjadaliśmy z apetytem co nam dano. Otworzyły się znów drzwi i wszedł do izby alderman. Był to sobie starzec bardzo podeszły i sędziwy, ale czerstwy jeszcze i dość żwawy, odziany zwyczajem wieśniaków Norweskich, ale porządnie i czysto. Nosił coś nakształt surduta, zbliżonego krojem do fraka staroświeckiego i peleryny od płaszcza, z brunatnego Wadmelu, świeciły się na nim metalowe duże jak talary guziki, spodnie krótkie z skóry haftowanej, pończochy grube wełniane i trzewiki z srebrnymi sprzączkami dużymi jak ramy małego obrazu. Z pod kapelusza z szerokimi skrzydłami wykradały się długie loki srebrnych włosów; twarz czerstwa, choć chuda, wyrażała dobroć i rozmyślność, a oko siwe, szeroką brwią zasłonięte, bystrość i przezorność.

Norwegianie, tak jak wszyscy pierwotni ludzie, odznaczają się naiwną ciekawością, możnaby ją wziąć zrazu za niedyskretność, ale wkrótce przekonałem się, że źródłem jej jest owa dobrodusznosc, która nie mając nic do ukrycia przed drugimi, nie przypuszcza, żeby inni mieli tajemnice dla niej.

Podczas skromnej naszej wieczerzy, towarzysz mój, poszukawszy w słowniku duńskim wyrazu mięso i wino, zażądał jednego i drugiego. Zdziwieni mieszkańcy odpowiedzieli, że wino piją tylko raz w rok na Wielkanoc i to jeszcze małemi łyżeczkami w kościele, a mięso znają

tylko w nieszczęśliwych czasach, to jest wtenczas, kiedy niedostatek paszy zniewala ich do zabicia bydła, lub kiedy przecięte komunikacye nie pozwalają odesłać ubitej zwierzyny do miasta. Zbliżył się alderman obserwujący nas zdaleka, zajrzał nam badawczo w oczy i znów odszedł, mierząc izbę wielkimi krokami i rzucając na nas ciekawe spojrzenia każdą razą kiedy przechodził około stolika. Ale nakoniec nie mógł się wstrzymać dłużej: stawa przed nami oparty na kiju i bez ogródki zapytuje nas po niemiecku: »Kto jesteście?«

Zadziwieni tém zapytaniem, udaliśmy jakbyśmy wąpili czy do nas było zwrócone i odpowiedziliśmy milezeniem. Alderman zniecierpliwiony, kiwa na nas głową na znak, że do nas przemawia i powtarza zapytanie.

»Jesteśmy podróżni, jak widzicie« — odpowiedziałem. Ciekawy starzec zaczął znów obiegać izbę, ale nie zadowolony z tego co się dowiedział, znów zapytał: »Czemuż podróżujecie po tym kraju zimnym, którego piękność nie opłaci wam niewygód podróży?«

»Nie z własnej woli przybyliśmy do was, burza nas do Norwegii rzuciła.« — »Ah, ah! to co innego; ale czemuż opuściliście wasz kraj?«

Gdy mu Dr. W. objaśnił przyczynę, mówił dalej: »Mieliśmy w naszej wiosce cudzoziemca z tego samego co i ty kraju, strawił on ostatnie lata swego życia pomiędzy nami i teraz leży na naszym cmentarzu, szczęśliwy, bo go już tęsknota nie trapi. Przebaczenie nam naszą nieufność« rzecze dalej alderman, zdejmując kapelusz i ścisnąc mi rękę.

»Opowiem ci historię twego rodaka, ale wprzód pozwól, bym tu sprowadził całą mą rodzinę, rada będzie poznać cię.«

Powrócił w towarzystwie całej gromady mężczyzn i kobiet różnego wieku; pomiędzy nimi znajdował się pastor i lekarz wiejski.

Zasiedliśmy do długiego stołu, na którym się zjawił ogromny kocioł ponczu i wyborna szynka niedźwiedzia. Na czele stołu mnie posadzono, po prawej stronie alderman tak przemawiać zaczął:

»Opowiadając psnu historię rodaka pańskiego, muszę zarazem dotknąć i mojej dla jasności. Urodziłem się lat

temu 84 na wsi odległej ztąd tylko o dwie mile, służyłem aż do 28. roku na okręcie wojennym duńskim i zwiedziłem dużo świata. Powróciwszy na łono familii, nie chciałem porzucić mych rodziców bardzo już podeszłych, pielegnowałem ich aż do śmierci. W służbie wojskowej, później w gospodarstwie uzbierałem sobie do tysiąca talarów, kupiłem za nie od rządu tę prawie wtenczas nieznaną dolinę; częścią zarosła drzewami, częścią otoczona bagnami, była tylko zamieszkaną przez dzikie zwierzęta. Drzewa, choć piękne, nie miały żadnej wartości, bo zbywało zupełnie na komunikacyach z portami. Czułem w sobie ducha przedsiębiorczego, przedsięwziąłem wydrzeć pierwotnemu chaosowi część dotąd nie wydającą kraju; najmując tedy kilku tęgich chłopów, pałę i rudoję lasy, zabijam i łapię wilki i niedźwiedzie, kopię kanały i osuszam bagna, sprowadzam wody w jedno koryto. Za posag méj żony kupuję kilka krów i koni, a za jęj także pomocą zaludniam własnymi dziećmi stworzoną posiadłość. Bóg mi odmówił córek, i to co było dla méj żony zmartwieniem, stało się dla kolonii przyczyną wzrostu i szczęścia synów, których tu pan widzisz obecnych 8. Wysłałem ich, jak wyrosli, w świat, kazałem im, aby pozostali pracowici i cnotliwi, i aby nie wracali bez żon dobrych i bez kilkuset talarów pieniędzy.

»Každy z nich wrócił, dzięki wielkiemu Bogu, jeden za trzy, drugi za cztery, inny za sześć lat; jeden służąc w wojsku, został felczerem i leczy nas teraz; drugi podróżując w Islandyi i Laponii z poczciwym misyonarzem, nauczył się od niego po grecku i po łacinie, i tyle historii świętej i innych rzeczy, że potrafił, popracowawszy jeszcze parę lat w seminaryum w Krystyanii, wyświęcić się na księdza i oto jest naszym pastorem; ten nauczył się ciesiołki, inny kowalstwa; wszyscy słowem, wrócili usposobieni do służenia światu, każdy z żoną i małą sumką pieniędzy. Tylko jeden wrócił bez żony, pieniędzy i sposobu do życia; był to właśnie geniusz familii, pieszczoszek méj żony, na które gośmy najwięcej liczyli. Nauczył się wprawdzie opiewać pięknym wierszem naturę i miłość, i widać jak idealnie pojmował jedną i drugę, bo wrócił z małutką córeczką, której matkę znał, Bóg wie jak i gdzie. Przyjąłem bez gniewu marnotrawnego syna i niewinną wnuczkę. Poeta

uczy teraz dzieci abecadła, maluje ściany kościółka, dzwoni w niedzielę na nabożeństwo, gra na organach i bawi nas gawędami o duchach złych i dobrych, kiedy zima sprowadzi długie wieczory; a córka poety i miłości wyrosła tymczasem ładnie, poszła prawnie za męża i jest dobrą matką. Kolonia nasza wzmagała się własną jej synów pracą, cnotą i braterstwem; nie jeden już obcy znalazł w niej przytułek i szczęście, pojął za żonę jedną z mych licznych wnuczek i stał się członkiem patryarchalnej rodziny. Nie pozostałem ja ciągle w mej dolinie, ale widząc jej byt zabezpieczony pracą mych dzieci, poszedłem służyć jako korsarz krajowi memu zagrożonemu wojną na wodzie i lądzie. Razu pewnego, było to kilka lat przed końcem uszłego wieku, stałem w przystani gdańskiej z małym brygiem korsarskim, którego byłem kapitanem: przyszedł do mnie tajemniczo jakiś wojskowy, ranny i już nie młody, i prosił, abym go zawiózł do Kopenhagi, dokąd właśnie wy pływałem.

»Z nagrody wielkiej, jaką mi ofiarował, i z innych znaków poznałem, że cudzoziemiec unika ucieczką prześladowań. Nie myliłem się — był to major ranny w walce, unikający dalszych następstw. Przechowałem go tak dobrze na okręcie moim, że władze rewidujące przed wyjściem statek, nie znalazły.

»Burze zatrzymały nas kilka tygodni na morzu Bałtyckim, miałem tedy sposobność poznać bliżej mego passażera i znalazłem w nim człowieka szlachetnego, bogobojnego i bardzo światłego; o uprawie roli, o hodowaniu bydła rozprawiał jak profesor agronomii. Takiby się zdał do mej kolonii, myślałem sobie, za jego pomocą moglibyśmy potroić jej wartość. Stanęliśmy nareszcie w Kopenhadze; tu chciał mnie opuścić cudzoziemiec. »Majorze, rzekłem mu z żalem, czemuż ludzie jak my mamy się rozstawać? dokąd się udajesz i co myślisz począć z sobą?« — »Jadę do Londynu, odpowiedział mi z smutkiem, tam spodziewam się zastać przyjaciół i wyleczyć me rany.« — »Majorze, rzeknę mu, przyjaciela masz już we mnie, nie znajdziesz ich wszędzie, bo nie wszędzie cnoty bez pieniędzy popłacają. Jesteś rannym i jeszcze bardzo słabym, umysł twój cierpi pod ciosem okropnych nieszczęść, to rzecz łatwa do rozpoznania. Ludzie tylko dobrzy i serdeczni potrafią wyleczyć ta-

kie rany, a widok pięknej natury uspokoi skołatany twój umysł, bogactwa jej dadzą ci zapomnieć z czasem utratę dóbr ziemskich, których potrzebę nieodzowną uczuwałbyś tak przykro w kosztownej Anglii. Jedź ze mną do kolonii, której jestem ojcem i właścicielem, znajdziesz w niej piękne pole służenia ludzkości radami twemi i przykładem.«—Czułem naleganiem, prośbą i namową skłoniłem szanownego majora. »Jadę z tobą«, odpowiedział mi nareszcie, ale zaiste była to jedna z najpiękniejszych chwil życia; dumnym byłem z mego szczęścia! Sprowadziwszy przyjaciela mego do Fahrsund, dałem mu wypocząć w wygodnej stancyi, a sam zatrudniłem się wybudowaniem lektyki stosownej do podróży po spadzistych skałach, przegradzających nas od Norgedal. Bo niech sobie panowie nie wystawiają, żeby drogą prowadzącą ztąd do Fahrsundu można było dawniej jechać końmi; tę drogę winniśmy staraniom majora i sześćioletniej mozolnej pracy;— przedtém była to droga tak trudna do przebycia, że najsilniejsi i najzręczniejsi ludzie ledwo we dwa dni ją przebywali, i to jeszcze za pomocą lin, haków i drabin. Kazałem dać znać synom moim, aby wybudowali szałas wygodny co trzecią część drogi i żeby potem przybyli wszyscy do Fahrsund opatrzeni w liny, haki, drabiny. Stało się wszystko stosownie do mych rozporządzeń. We trzech dobach sprowadziliśmy rannego majora do naszych siedzib; część drogi przebył pieszo, drugą na naszych barkach, a częścią także windowany na linach w powietrzu. Była to wielka radość dla nas, kiedyśmy go nareszcie ujrzeli pomiędzy nami; z wiosną zaczął powracać do sił i zdrowia, a my wszyscy współubiegaliśmy się o jego szacunek i przywiązanie. Stanąwszy raz silnie na nogach, nie chciał pozostać w bezczynności; nauczył się wkrótce po duńsku, i zajął się zaraz organizacją prac w kolonii. Jemu winniśmy ładny nasz kościółek, który trwa aż do dzisiaj; on wysuszył nam resztę bagien i trzęsawisk; on podał sposoby poprawienia roli, tak, że w niektórych miejscach możemy siać pszenicę, co jest prawie niesłychanem w Norwegii; polepszył także rasę koni i bydła, wybudował młyn wodny, sprowadziwszy wszystkie ramiona rzeki do kaskady; wytępił wilki do reszty w naszym lesie; słowem, jego bystrość i niezmordowana czynność powiększyła w czwórnasób wartość kolonii; za jego przybyciem mogła

wyżywić ledwo 40 dusz, a dzisiaj masz ich oto pan do dwustu, i wszyscy żyjemy swobodnie.

»Ale największém dziełem jego, dziełem wiekopomnej pamięci, jest droga do Fahrsundu. W niej przewyższył wszystkie nasze nadzieje, wszystko co nam tylko wyobraźnia wogła dać pojąć; w niej zwalczył naturę i to stosunkowo tak małym kosztem, że tego pan sam nie pojmiesz. Ale posłuchajno pan, jakim sposobem potrafił nas nakłonić do przedsięwzięcia tego olbrzymiego dzieła: bo chociażśmy go szanowali wszyscy jak wyrocznie, pojmował bardzo dobrze, żebyśmy mu nie uwierzyli, gdyby nam był powiedział tak odrazu, że kiedykolwiek można będzie zjechać kołmi ztąd do Fahrsundu. Nie mówiąc nic nikomu, sprowadził własnym kosztem z Anglii cztery świdy różnej wielkości, potem wybrał sobie miejsce o małą milę ztąd położone, bardzo trudne do przebycia;— powracając, niechno pan na nie zwróci uwagę. Była przedtém na samym grzbiecie skały, której żadnym sposobem wyminać nie można było, ogromna ściana skalista, gruba na ośm stóp, szeroka i wysoka na trzydzieści; ten gład właśnie przegradzał drogę całą, a tuż prawie za nim z drugiej strony przepaść niezmiernie głęboka i na 20 stóp szeroka. Kto chciał przebyć tę drogę, musiał wejść po drabinie na wierzchołek ściany, zejść po drabinie na drugą stronę, dopiero przełożyć drabinę na oba brzegi przepaści, i przeczłgać się po niej jak płaz na drugą stronę.

»Tak tedy nasz major wybrał sobie tę skałę, kazał ją wiercić do pewnej głębokości w wielu miejscach, ale zawsze w jednej poziomej linii tuż nad miejscem, gdzie wznosiła się w opokę; trwała ta praca miesiąc cały podczas lata, kiedy mamy do dwudziestu godzin dnia, to jest tyle ile teraz nocy.

»Wywierciwszy dziury, nabił je prochem, który także sam sporządził, i teraz dopiero sprowadził nas wszystkich do swój pracy. Widzieliśmy, że skała stoi na opoce groźnie i mocno jak zawsze, jak gdyby Tytanów zaniesiona była ręką; odprowadził nas znów major opodal i pochował w jaskiniach; siedzimy w ciemności i czekamy końca, aż tu naraż okropny grzmot, jak gdyby niebo się zawałało, przeraził nas wszystkich; drżała ziemia, jak gdyby się rozpadła w drobne kawałki— echa tysiączne zaryczały przeraźliwie—

i znów cisza. »Wylaście z waszych kryjówek i szukajcie skały« krzyknął major; — wylazimy, patrzemy, a gdzie nasza skała? znikła jak kamfora; dopadamy miejsca gdzie dopiero co sterczała, a tu, Panie Boże! skała moja leży wyciągnięta jak długa na obu brzegach przepaści, a major na niej wywija kijem jak pałaszem; bębni marsza i przechodzi na drugą stronę przepaści jak po moście. Myśleliśmy, że nas paraliż ruszy z zadziwienia, staliśmy z otwartymi gębami i nie wiedzieli, czy mamy płakać, czy śmiać się »A cóż? czy można przebyć koniami do Fahrsund?« zapytał nas major. »Panie, gdybyś powiedział, że można łyżwami zajechać na księżyc, tobyśmy ci teraz może uwierzyli« — odpowiedział mu nasz poeta. Od tego czasu miejsce to zowie się: »De Pollakers Bruk« — lubo obywatele Fahrsundscy pozwalają sobie nazywać je »De Kobolds Bruk« (mostem djabła), co przecież nie zupełnie jedno.

»Ate gość nasz nie przestawał na walce z głazami i naturą: wypowiedział on inną jeszcze zaciętszą nałogom ludzkim. Pan znasz przywiązanie ludów północy do napojów upajających; nieszczęściem i naszej doliny mieszkańcy nie stanowili w tym względzie wyjątku; upijali się moi szanowni synowie, kiedy i czém tylko mogli; pastor nawet pozwolił sobie czasem upić się winem; poeta przewyższył w tym względzie wszystkich. Tego major znieść nie mógł, ani chciał gadać z człowiekiem pijanym, wyganiał kijem z karczmy pijących, i wypchnął raz za drzwi z własnego domu wierszokletę, któremu się zdawało, że był w ekstazy poetycznej, a był istotnie pijanym jak bursz niemiecki. Własnym przykładem, namową i prośbą tyle zrobił, żeśmy się tylko przy weselach upijali, i to jeszcze nie bardzo.

»Inną jeszcze wadę przyganiał nam mentor: była nią podległość, w jakiej trzymamy nasze kobiety, i nieuszanowanie im okazywane; zabraniał nakrywać głowy w ich obecności i radził, abyśmy je wciągali do rozmów i rad naszych. Prawda, że sam był przykładem prawdziwego rycerza; imponujący z mężczyznami, łagodny i wesoły z dziećmi, które lubił niezmiernie, pełen uszanowania z kobietami choć najniższego stanu; ale w tym względzie nie mógł sobie dać rady z nami. Widzi pan, Skandynawskie i Germańskie plemie podobne sobie i w tym względzie; jedno i drugie nie ma daru znajdywania w kobiecie równej sobie istoty: dum-

ni z własnego naturalnego rozsądku, ani im się śni, żeby kobieta, nie posiadająca go w równej sile, miała inny jaki zastępujący go przymiot; ani wiedzą, że dowcip żywy i przenikający kobiety, i ta łatwość przeskakiwania z jednej myśli na drugą, jest jak iskra ożywiająca gruntowny ale często ociężały i leniwy rozum mężczyzny; słowem, nie przypuszczają, żeby kobieta była uzupełnieniem mężczyzny, a nie będąc w stanie ocenić jej, zrobiliśmy z pięknej połowy nas samych, cierpliwą i głupią niewolnicę. Próżne tedy były i przykład i napominania rycerskiego cudzoziemca; nasze gbury zdierały sobie czapki z głowy, jak weszły w towarzystwo kobiet, ale z jaką niezgrabnością i złą chęcią? aż przykro było patrzeć na to. Bo też i nasze niewiasty przyzwyczały się do niewoli, i zatraciły z wiedzą własnej godności, znajomość względów im przynależnych; przytém oprócz serca, kształtnej budowy, zdrowia i czynności, kobiety nasze nie odznaczają się innemi wielkimi zaletami; martwa ryba ma więcej żywości jak wieśniaczka norwęgiska, a dowcipu prawie tyle. We względzie dobrych manier i galanteryi, wszystko prawie zostało przy starém.

»W towarzystwie zacnego majora uchodziły miesiące i lata szybko, przyjemnie i użytecznie; był on dla nas więcej, niż człowiek może być dla człowieka: był prawdziwą wyrocznią. Poważny, prawie zawsze pogodnego czoła, ale ustawicznie dobry i ludzki, czuł brał udział w naszych kłopotach i troskach.

»Czasem jednakowoż smutek i jego dzielne serce ogarniał; była to tęsknota za rodziną; w tych chwilach szukał samotności; żądał na wielką boleść od wielkiej natury pomocy.

»Z ostatnim rokiem zeszłego wieku stan zdrowia naszego gościa pogorszał się widocznie, czuł on sam zbliżający się koniec i walczył z grożącą mu śmiercią. »Chcę żyć jeszcze, mówił mi, uśmiechając się gorzko, lękam się śmierci: ona pozbawi mnie ostatniego dobra, słodkiej nadziei spoczywania w rodzinnej ziemi.« Te słowa w jego ustach nie wyjawiały bojaźni śmierci, ale najwznioślejszą duszę i najszlachetniejsze serce.

»Niepogody jesienne już nie pozwalały wychodzić majorowi ze stancyi. Pielęgowaliśmy go jak własnego ojca, ja i syn mój pastor, spędzaliśmy każdy wieczór u niego.

Jednego wieczora mówił nam z rozjaśnioném czołem i niezwykłą radością:

»Słuchajcie moi przyjaciele! Czuję, że się zbliża szybkim krokiem ostatnia ma chwila; — czas jest pożegnać się z wami, podziękować za statecznie podczas lat ośmiu okazaną mi przyjaźń, i prosić, abyscie wykonali ostatnie życzenia starego żołnierza umierającego zdaleka od kraju.«

»I tu nam polecił list do swój rodziny, z prośbą, abyśmy go dopiero po jego śmierci do miejsca przeznaczenia przesłali.

»Umarł w dni kilka potém stary mój przyjaciel i pogrzyżił całą osadę na czas bardzo długi w nieutulonym żalu.«

Skończył alderman z westchnieniem — dwie łzy wykradły się z drżących powiek starca i wolno staczały po zwiędłej zoranėj twarzy.

ROZDZIAŁ V.

OPERACYA.—OPIS DOLINY.—KASKADA.—MLYN.—ZBOŻE.—WEGETACYA.—TEORYA NAZNACZAJĄCA GRANICE WEGETACYI.—DRZEWA.—CHLEB Z KORY.—ZWIERZYNA.—WILKI.—HISTORIA O NIEDŹWIEDZIU I PASTERZU.—PSY.—BOBRY.—PTASTWO DZIKIE.—PORZĄDEK I CZYSTOŚĆ W DOMACH NORWEGSKICH.—WPLYW MIESZKANIA NA MORALNOŚĆ LUDU.—UROCZYSTOŚĆ WILII.—WIEŚNIACY W ŚWIĄTECZNYM STROJU.—KOŚCIÓŁ.—OBRAZ.—NABOŻEŃSTWO.—UCZTA.—WESOŁOŚĆ.—POMNIK GROBOWY.—ALDERMAN.—ZAPROSINY NA CMENTARZ.—POWRÓT DO FAHRSUNDU.—OSTATNIE CHWILE ŻYCIA STERNIKA.—ŚMIERĆ JEHO.—POBYT W LUSHAFIE.—DR. W.—ROZPORZĄDZENIA GOSPODARSTWA.—PAN SCHIR...—PANNA ANNA I MAJOR DOMUS CESARZOWÉJ BRAZYLIJSKIÉJ.—LISBONA.—PAN MEYER PROFESSOR I DZIENNIKARZ.—ZIMA NORWEGSKA.—WYJAZD Z LUSHAFU.—ANTYPATYA NARODOWA.—POŁÓW ŚLEDZI.—RYBOŁOWSTWO NA BRZEGACH NORWEGII.—WIELORYBY.—BLIŻSZA ZNAJOMOŚĆ Z TYM POTWOREM.—GOLF BERGEŃSKI.

Postanowiliśmy pozostać dni kilka w dolinie. Doktor mój wynalazł szczęśliwie chłopaka, który się urodził z tak nazwaną końską nogą; deformacya, która tutaj, jak przed kilku latami w całym świecie, była uważana za niepodobną do wyleczenia.—Towarzysz mój nie pytał się wiele, czy rodzice pozwolą lub nie pozwolą, i zrobił w oka mgnieniu z największą zręcznością operacyę, która sama z siebie małoznaczna, najpiękniejsze i nieochybne wydaje rezultaty. Wyłożył chirurgowi wiejskiemu, jak ma opatrywać nogę, i zadowolony wybaczył mi, że go zmusił do wycieczki. Ja zaś zatrudniłem się tymczasem postawieniem skromnego pomnika rodakowi memu, spoczywającemu w grobie.

Dolina nasza rozciągała się w kształcie oka niezmiernego lub też, jeżeli to porównanie jest za śmiałe, w kształcie owalu, kątami ostreми zakończonego od wschodu na zachód. Długości mogła mieć trzy ćwierci mili, a szerokości w naj-

odleglejszych punktach do pół mili. Od wschodu, południa i zachodu szereg spadzistych i wysokich skał odgraniczał ją, jakby niezmiernym wałem, od dalszego widokregu; od północy zaś, a szczególnie w zachodniej jego części, odwieczne lasy, porastające na stopach nie bardzo spadzistych gór, zasłaniały dolinę od gwałtowności Boreasza.—Bystry strumień spadał z hukiem ze strony wschodu w dolinę, dzielił ją swym biegiem na dwie prawie równe części, zapadał jęcząc w wąwozy i przepaści strony zachodniej i śpieszył do morza. Natura cienkiej warstwy ziemi roślinnej, spadzistość ścian skały opasującej go, dowodziła, że Norgedal musiał być w dawnych czasach jeziorem, nim woda wypełniająca niegdyś łożę, teraz próżne, przedarła się przez skały do morza. Kaskada Norgedalska jest pewno jedną z najpyszniejszych w świecie, lubo nie tak olbrzymia jak kaskada w Szafhuzie, zrobiła jednak na mnie większe wrażenie. Proszę sobie wystawić ścianę skały, wyniesioną pod kątem mniej jak prostym na 70 stóp nad powierzchnią doliny, a na tej ścianie kwareu, inną ścianę wody, grubą na 10 stóp, szeroką na 30, spadającą z hukiem i grzmotem w szumiącą i wrzącą paskocinami przepaść;—drży ziemia pod ciężarem tej ogromnej warstwy wody, zdającej się przebijać ją aż do samego rdzenia. Ale to nie dosyć. W pochylonej ścianie opoki, z której skacze strumień, znajduje się mała jaskinia, do której można zejść za pomocą wyrąbanych stopni i liny mocnej, przytwierdzonej na ten koniec do skały; ztąd dopiero przedstawia się struchlałemu oku obraz dziwnie majestatyczny. Spodem widać niezmierną warstwę kryształu żywego, toczącego w falach swych tratwy z stuletnich dębów, ogromne głazy i bryły lodu. Promienie słońca zachodzącego przebijając tę grubą ale przezroczystą zasłonę, łamią się we wszystkich kształtach i kolorach, i przedstawiają dziwny chaos tęczy, przerywanych jedne drugimi, prawdziwą walką kolorów.

Przed przybyciem Majora kaskada ta nie miała ani połowy terazniejszej piękności; woda spadała w różnych miejscach w dolinę; on dopiero umiał sprowadzić wszystkie strugi w jedno koryto i utworzyć piękność, którą się szczyci dzisiaj.

Nie prostszego jak urządzenie młynów, których teraz jest kilka w dolinie. Drewniane rury sprowadzają wodę na koło, opatrzone na obwodzie małemi wiaderkami, chwytają-

cemi tę wodę. Walec tego koła opatrzony jest inném mniejszém kółkiem, chwytającym zębami trzecie, u którego środka znajduje się przytwierdzony szpindel wertykalny; koniec drugi tej tyczki przechodzi wolno przez dziurę spodniego kamienia młyńskiego, a jest przytwierdzonym do środka wyższego kamienia wklęsłego, który się razem z tyczką obraca. Koła te z bardzo twardego gnejsu mielą doskonale i wydają nawet z owsa cienką mękę.

Żniwa w dolinie nie bywają zbyt obfite, bo zboże dojrzewa za prędko pod wpływem promieni słonecznych, odbijanych od skał. Już w lipcu zaczynają się sprzęty; wielka część kłosów bywa czcza, lubo zupełnie dojrzała. Za pomocą wielkich starań i irygacyi, udaje się atoli około dwudziestu korcy pszenicy, kiedy rok jest dobry; jęczmień zaś najlepiej się udaje, zwłaszcza gatunek, który tu Himelaga nazywają.

Kartofle nie obradzają się w Norwegii, ale za to len, konopie i chmiel. Drzewa owocowe są karłowate i nieplodne. Miałem tu często sposobność przekonania się, jak niedoskonałemi są jeszcze wszystkie teorye, tłómaczące skutki ciepłika na wegetacyę roślin. W Romsdal pod $62^{\circ} 47'$ s. i., bergamoty i inne gatunki gruszek dojrzewają doskonale, nawet nie raz i orzechy włoskie. Leszczyna i wiązy znajdują się tutaj w obfitości; jodły zaś, świerki niszczejają zupełnie, chociaż rosną znów w inném miejscu, pod tym samym stopniem szerokości (Romsdal), i na wysokości 1000 stóp po nad powierzchnią morza, a nawet w Laponii pod 69° szerokości północnej. W Romsdal nadaremnie starano się aklimatyzować świerki, a jednakże topola kanadyjska i balsamiczna, dzikie kasztany, modrzew, głóg, cis, róże wszelkich gatunków, lewenda, bukszpan, bez zwyczajny i bluszcz, udają się bardzo dobrze. W Norgedal znowu karłowacieją wiśnie, choć je przewożą zdrowe i silne razem z ziemią aż z za Drontheimu, to jest z miejsca o 8 i pół stopnia wyżej ku północy położonego. Wszystko to dowodzi, że nie można ufać ogólnie przyjętej teorii o granicach, wśród których różne gatunki drzewa rosną lub nie rosną; zdaje się, że na wegetacyę roślin wpływa oprócz ciepłika słonecznego, oprócz pozycyi zasłaniającej ją od wpływu pewnych wiatrów i oprócz gatunku wody, jeszcze inna jakaś siła; może siła magnetyczna zie-

mi, której praw działania dotychczas nie zgłębiła jeszcze fizyka.

Las, na brzegach którego rozrzucone były mieszkania naszych kolonistów, składał się po największej części z sosien, jodeł, z wiązów i z brzoź. Nieurodzaje zmuszają czasem Norwegczyków do pieczenia chleba z wewnętrznej części korysosien i jodeł, zmieszanej z mąką jęczmienną lub owsianą. Pokarm taki kosztuje wiele pracy, a nie jest pożywnym. W Norgedal ubezpieczyli się mieszkańcy od podobnych przypadków założeniem śpichlerza wspólnego, do którego każdy właściciel winien złożyć corocznie 40stą część zboża zebranego. W Tryffild jednakże i górzystej części Oesterdalum mieszkańcy uciekają się często po pokarm do kory, i pozbawiają przez to życia pięknych drzew, których sprzedaż mogłaby ich zabezpieczyć od głodu, gdyby komunikacye z portami morskimi nie były tak trudne. W Norgedalskim lesie sosny są przepyszne; widziałem nieraz w nim belki mające 80 stóp długości na 3 stopy grubości; z takich drzew można stawiać budynki wielkie i okazałe, choć kamień i wapno nie wchodzi w konstrukcyę; szkoda tylko, że paczenie się drzewa w lecie odbiera budynkom takim regularność w detaliach; przekonać się o tém można na gmachu gubernatora w Drontheim, który przy całej swój okazałości wygląda, jak gdyby był z kart zbudowany.

W lesie pokrywającym na mil parę górzyste pochyłości, znajduje się jeszcze dotąd wiele zwierzyny; spotykają się nawet łosie, jelenie zaś daleko częściej; nie braknie także niedźwiedzi i wilków. Nie są one wprawdzie tak niebezpieczne i drapieżne jak u nas, bo mając pod dostatkiem zwierzyny w lesie, nie rzucają się na ludzi, kobiety, nawet i dzieci nie lękają się ich wcale; ale też za to w daleko większej liczbie pokazują się podróżnym, i wydają otwartą wojnę psom, których znieść nie mogą, nie lękając się żadnego niebezpieczeństwa. Zaręczano mi, że kupcowi z Lewanger porwał wilk z sanek psa, który się pod nogi swego pana schował; inną razą wilk wyrwał chłopakowi siedzącemu na koniu psa, którego wziął dla ostrożności z sobą na siodło. Porywa on tu także wiele owiec, krów i cieląt; wpadłszy między stado morduje i zagryza wszystko bez litości, a pomimo szkód, które zrządza, rzadko się kiedy uda ubić którego, fuzyi bowiem chroni się jak wrona, chytry jest i ostrożny jak lis,

i nie daje się uwieść w sidła lub jamy. Major wytepił ich tu wiele psami zatrutemi wroniém okiem.

Niedźwiedzie nie są tu tak szkodliwe jak wilki; zabijają ludzi tylko wtenczas, kiedy je głód przymusi. W Drontheim zaręczono mi prawdziwość następującej historii: Niedźwiedź spotkał raz w górach śpiącego pastucha, który spostrzegłszy nieprzyjaciela, kiedy tuż był przy nim, nie mógł się ratować ucieczką, a nie ufając własnej sile, udał że nie żyje. Niedźwiedź obwąchał go z ostrożnością, trącał go łapą, z razu lekko, potem coraz silniej, a upewniwszy się, że to trup, zabrał się do kopania dołu, w którym bez wątpienia chciał przechować na inny czas swą zdobycz, bo teraz nie miał widać apetytu. Postrzegł pastuch co się dzieje, a nie chcąc być żywcem pochowany, wydobyl w cichości nóż i ugodził nim niedźwiedzia w serce. Powtarzam raz jeszcze, że historia ta opowiadana mi była przez osoby wiarogodne.

Bóbr utrzymał się w niektórych okolicach Norwegii, ale żyje sobie samotnie, a nie w towarzystwie jak amerykański. Futra, które tutaj zazwyczaj noszą, są piękniejsze od wilczych i niedźwiedzych, a daleko tańsze; pochodzą one z psów temu krajowi właściwych i na ten cel chowanych, których sierć jest ciemno brunatna, nadzwyczajnie piękna, miękka i gładka. Jestem pewnym, że wiele elegantek paryskich nosi psy, mając je Bóg wie za jak rzadkie syberyjskie zwierzątka.

Nie brakuje tu i ptastwa dzikiego różnego rodzaju; chroni się ono podczas zimy w dolinę. Głuszece zdarzają się dość często; samiec jest wielkości indyka, samica zaś daleko mniejsza i tak odmienna od samca, że ją tutaj inném nazywają nazwiskiem. Sniegóły są duże, ale żywiąc się prawie wyłącznie gałązkami jodeł i świerków, nabywają smaku terpentynowego.—Jarzabki znajdują się w wielkiej ilości w lasach brzozowych.

Mieszkańcy doliny, tak jak w ogólności Norwegowie, umieją korzystać z obfitości drzewa, i stawiać sobie wygodne, obszerne domy. Każdy gaard należy do jednej rodziny, i składa się z grupy przyległych budynków, połączonych z sobą.

Tylko izba gościnna należy do ogółu, a zresztą gospodarz z żoną ma osobną komnatę, dzieci, dziewczki, mężczyźni także osobną. Wszystkie odznaczają się ochędóstwami czysto-

ścią. Obszerne i dobrze oświecone izby, pozwalają mieszkańcom, a szczególnie kobietom, pilnować tej czystości i porządku, ścisła zaś separacya płci nie wystawia młodzieży na niebezpieczeństwo.

Tymczasem nadeszło święto Trzech Króli, wielka dla norweskiego kraju uroczystość. Wszyscy przywdziali świąteczne suknie, chowane czasem przez więcej jak sto lat w familiach. Wymyte i wybielone izby ustrojono w zielone gałęzie jałowcu. Mieszkańcy pobliskich okolic, w których nie było kościoła, zjechali się do naszej doliny. Mężczyźni nosili suknie z szarobrunatnego wandalu (grubego sukna z wełny owczej i sierci koziej), wyszywanego czerwonymi sznurczkami; spodnie opięte haftowane, pończochy wełniane, ciżmy dochodzące do połowy nogi i sznurowane na boku, pasy niby krakowskie, ozdobione guzikami, u których wisiał nóż albo puginał. Największa ich część jeździła na żwawych konikach. Siodła, munsztuki ozdobione w sposób średnich wieków, pełne grzywy i ogony koni, czerwone baretu jeźdźców, przypominały wiek XVIII. Kobiety także wystrojone siedziały na siodłach opatrzonych niskimi poręczami jak w krzesłach, nogi miały wsparte na stopniu; niektóre z tych siodel były gustownie, nawet dość bogato przystrojone. Pomiedzy młodemi wieśniaczkami było kilka weale ładnych; wesołość dnia tego rozlała choć raz pewien wyraz duszy po ich twarzach. Kościółek także przybrany został staraniem marnotrawnego syna (już teraz blisko 60 lat liczącego), w świerki i obrazy, które sam niegdyś na własnoręcznie utkaném, własnoręcznie pokostowaném wymalował płótnie. Jeden z nich wystawiał świętego Jana w stroju chłopca norweskigo, Pannę Maryę w ładnym stroju wieśniaczki norweskigoj, malutkie Dzieciatko Jezus leżące w obórcie śród reniferów; pomiedzy ludźmi, którzy przyszli hołd mu złożyć, był król duński, król szwedzki, byli Norwegianie, Duńczycy, Irlandczycy, Lapończyki, Fińczyki i Szwedzi. Nie brakło temu obrazowi myśli poetycznej, a samój malaturze talentu.

Uroczystość zachwycała prostotą, a rozczulenie święte malowało się we wszystkich twarzach; tkliwym chórom dzievic odpowiadały poważne chóry mężczyzn, a tym znów wesoły, religijny śpiew dzieci. Wtórował marnotrawny syn na organach. Zadowoleni z własnych uczuć poszliśmy z kościoła do izby obszernej szkolnej, gdzie przyszykowano ban-

kiet piknikowy. Znalazła się łąka i zwierzyzna, ryby i poncz i wino; znalazła się nawet muzyka i tańce. Doktor mój i ja, zarażeni ogólną radością, braliśmy szczerzy udział w weselości naszych gospodarzy. Doktor pokochał się w ładnej wieśniaczce, z którą dogadać się nie mógł; ja zwyczajem moim we wszystkich ładnych. Dzień mi zszedł tak wesoło, jak gdybym w własnej był ojczyźnie, jak gdybym nie wiedział, że rodzice moi otoczeni w tejże samej chwili mają rodziną, mogli zapomnieć, że nie ma pomiędzy nią najstarszego dziecka. Nie, nie! pomimo mej wesołości, ta myśl mnie nigdy nie opuściła.

Zabawiliśmy jeszcze parę dni z naszymi gospodarzami, ale nakoniec staraniem i pracą kilku poczciwych współpracowników stanął pomnik, który wygotować kazałem dla mego rodaka.

Oddawszy cześć jego pamiętce, pożegnałem czule kolonię. Alderman mówił mi przy wsiadaniu do wozu: »Słuchaj pan, ja już pana nie zobaczę, ale jak się zestarzejesz i, czego Bóże uchwaj, do własnej ziemi nie będziesz mógł powrócić, wtenczas przypomnij sobie — przerwałem mu: że jest na waszej dobroczynnej ziemi miejsce, gdzie cudzoziemiec w godnym towarzystwie wiecznym snem spocząć może. Niezapomnę!« Wróciliśmy bez przypadku do Fahrsund, gdzie mnie kapitan z okropną czekał nowiną.

»Wystaw sobie pan,« krzyknął, skoro mnie tylko zobaczył; »sternik mój już nie żyje!« — »Jakto, jakto?« zapytałem, »czy umarł w skutek rany?« — »Ale gdzież tam — umarł w skutek przegranej party z djabłem.«

»Nie rozumiem cię.« — »Zrozumiesz pan zaraz. — Po wyjeździe naszym z Sölö, pan Oscar zdawał się wychodzić z apatyi, w jakiej był pogrążony. Wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł z domu piloty, który go do siebie przyjął. Cieszył się gospodarz z tego pozornego polepszenia. Każdy dzień zdawał się dodawać siły i zdrowia panu Oscar, gdy jednego rana, właśnie kiedy burza niezmiernie huczała na morzu, sternik mój znikł gdzieś i nie powrócił. Niespokojni gospodarze szukali go wszędzie bezskutecznie; znaleziono tylko pod poduszką łóżka pakiet zapieczętowany i adressowany do mnie. Przesłano mi go natychmiast. Był w nim list następującej osnowy: Kapitanie! W walce z losem i z namiętnościami wrodzonymi straciłem wszystko, co człowiek honoro-

wy stracić może, straciłem majątek, nazwisko, spokojność sumienia, odwagę do życia, bo straciłem wiarę potrzebną koniecznie do zniesienia życia. W stanie, w którym jestem, nie mógłbym uszczęśliwić twój siostry. Przedsięwziąłem zapytać się losu, czy jest w sile kierującej nim choćnajmniejsza wola umyślna, niezależna od domniemywań usłużnego rozumu naszego; najmniejsza siła objawiająca prawdziwość religii. Chcę się zapytać losu, czy mam ginąć jako grzesznik, lub zacząć żyć jak chrześcianin. Z pary pistoletów nabijam jeden, losem wybieram z obudwóch, nie wiedząc czy wybrany śmierć moją lub życie mieści w sobie, i idę z nim po nad przepaść skały, wznoszącej się nad portem. Tam dostanę odpowiedź na zapytanie moje. Ciała mego nie szukaj, będzie ono w chwili, kiedy list odbierzesz, w odmętach morskich. Zostawiam cokolwiek pieniędzy, rozdaj je pomiędzy ekwipaż naszego okrętu. Zegarek wstrzymałem w chwili udania się na brzeg przepaści, racz go oddać twój siostrze; los nie pozwolił mi wywdzięczyć się za jej zaufanie. Niech mi przebaczy!»

Tak skończył pan Oscar, u którego namiętność gry doszła stopnia monomanii, który poprawę swą i wiarę chciał być winien przypadkowi. Życie jego jest ciekawym zadaniem dla psychologa.

Kapitan mój nie odebrał jeszcze odpowiedzi od swego armatora i nie spodziewał się jej przed trzema tygodniami. Ekwipaż zaczął się rozchodzić i przyjmować służbę na różnych okrętach, którym burze potopiły majtków; burze te sprowadzały ciągle do portów nowe okręty i nie dozwalały wyjść żadnemu. Kapitan sprowadził się do Fahrsundu, a ja obrałem sobie za miejsce pobytu Lushaf. Przyczyną mego oddalenia się była chęć korzystania z biblioteki i towarzystwa mego kolegi. Pomimo wielkiej różnicy naszych charakterów, niedozwalających nam zapatrywać się na najmniejszy przedmiot z tego samego stanowiska, pomimo cierpkości i dumi nigdy nie opuszczającej Dra W., towarzystwo jego miało dla mnie wiele powabu. Najprzód uczyłem się przez nie przestać bez potakiwania z ludźmi, z którymi się zgodzić trudno, a zaledwie poznawszy małą część świata przewidywałem, że to jest jeden z talentów najwięcej potrzebnych podróżnym, a szczególnie Polakom. Potem ciągła opozycya, którąśmy sobie wydawali, wyradzała w rozumowaniach naszych i my-

ślach energii, jaką trudno znaleźć w towarzystwie z samym z sobą, z książką lub z ludźmi równych zdań i usposobień. Kto umie korzystać z konwersacyi, ten się więcej z niej nauczy jak w książkach; tu tylko ta myśl jest dobrze zrozumianą, którą sami wyłożył jesteśmy w stanie mowa; a myśl w toku mowy powstała dziesięć razy większe na mnie robi wrażenie, jak ta sama myśl na martwym papierze wyczytana. Ale dla tego nie zniechęcam czytelników mych do czytania; téj szkody nie chciałbym sobie samemu wyrządzić.

Najęliśmy wygodne pomieszkanie u jednej młodej wdowy, czy też jeszcze mężatki, sama bowiem nie wiedziała czém jest; mąż jój puścił się na morze i od 8 lat nie dał znać o sobie.—Za salon bardzo porządny i obszerny i dwa pokoiki sypialne, płaciłmy 9 złotych na tydzień.—Czytanie, dysputy, konsultacye i wizyty zatrudniały nas aż do obiadu, to jest aż do godziny trzeciej; na obiad czasem chodziliśmy do obywateli Fahrsundskich, obsypujących nas inwitacyami, ale woleliśmy stołować się u siebie. Ryby i raki najdoskonalsze są tu bardzo tanie, mięso dość drogie, ale zwierzyzna morska, łabędzie, gęsi, kaczk i cyranki za bezcen; prawda, że nie bardzo dobre, bo tranem przesiąkłe.—Nie brakło nam także wina; jeden z moich pacjentów, kapitan portugalski, darował mi pół beczki doskonałego Larradio, drugi znów przysłał Drwj. W... kilkadziesiąt cukru i innych towarów kolonialnych.—Żyliśmy istotnie bardzo wygodnie i wesoło. Wieczory przepędzaliśmy przy ogromnej wazie palącego się wina z cukrem, w towarzystwie naszego kapitana i kilku innych, godnych tego zaszczytu; trzeba bowiem wiedzieć, żeśmy się umieli wysoko postawić w opinii naszej małej publiczności; Dr. W... stracił wkrótce reputacyę dziwaka, głupca i waryata, jaką mu zrobili towarzysze podróży na Aretuzie i własne jego dziwactwo, a zyskał reputacyę dobrego operatora. — Pomiędzy kapitanami odwiedzającymi nas był jeden, którego pamięć i teraz jeszcze wzbudza we mnie serdeczną radość. Był to Pan Schirman z Piławy. Młody, żywy, zwinnie, przytém elegant a nawet i fanfaron, rzadkim bardzo był egzemplarzem marynarza tracącego bardzo łatwo w ciężkim i surowym rzemiośle całą wykwinność form i estetyczność gustów. Pan Schirman nigdy nie puszczał się w drogę bez biblioteczki sformowanej z najnowszych książek, bez swój gitary, bez kilku pięknych fuzyj,—

bez beczułki dobrego Bordeaux i licznej osady drobiu. Anibym się spodziewał, że w tak wykwintnym marynarzu może tkwić dzielna dusza, cierpliwość i wytrwałość.

Ale tak było istotnie. Pan Schirman, na przemian sentymentalny, zabawny, figlarz nawet najniepoprawniejszy,—odważnym był jak lew w niebezpieczeństwie, zwinnym jak wiewiórka, a mewy morskie strzelał kulą o 150 kroków. Piękne miał oblicze bardzo, choć dość szczupłego wzrostu. Zawarliśmy z nim dobrą przyjaźń; kapitan Jens Jensen patrzył się na niego jak na ósmy cud świata.

Jeszcze inną równie interesującą zabraliśmy znajomość. W tym szczupłym Lushafie, zaledwie 40 domów liczącym, żyła najpiękniejsza kobieta, jaką mi się zdarzyło widzieć w Norwegii. Piękność to prawdziwie skandynawska; wysoka, wysmukła panna Anna Tomson, twarz miała regularną, pogodną, oczy wielkie niebieskie i spokojne, bogate blond włosy cudownego połysku. Dary te natury uszlachetniała jeszcze wyborna edukacya i skromność.—Panna ta była córką ubogiej wdowy po oficerze marynarki, i cała oddana pielęgnowaniu już podeszłej i ciągle chorującej matki, nie wychodziła prawie nigdy z domu, położonego na ustroniu między skałami. Zawołany jako lekarz, uszczęśliwiony byłem odkryciem tej perły w skalistej skorupie zamkniętej. Odwiedzałem odtąd pacjentkę częściej, niż stan jej wymagał, ale nigdy jeszcze tak często, jakbym sobie był życzył. Panna Anna bowiem była narzeczoną i pełniła z wielką skrupulatnością obowiązki tego stanu.—Człowiek, którego miała uszczęśliwić, był jej kuzyn, P. Edgar Tomson. Urodzony w Lushafie, chował się razem z P. Anną aż do wieku, w którym przyjaźń dziecinna zamieniać się zaczęła w inne, czulsze uczucie. Z miłością wstąpiła ambicya w serce młodzieńca; poznawał on, że przymioty kochanki na większym jaśnieć powinny teatrze. Puścił się tedy w świat, szukać losu; w Sztokholmie uzyskał od następczyni tronu rekomendacyę do rodziny książąt Leuchtenbergów; później udał się z księżniczką Leuchtenberską zaślubioną Cesarzowi Brazylii do Rio Janeiro, a w chwili mego pobytu w Norwegii był Majorem Domus dworu wdowy Don Pedra w Lisbonie.—Młodzieniec ten nie zapomniał w oddaleniu swęj kochanki; łożył na jej edukacyę w Kopenhadze i pisywał często. Tymczasem 25. rok nadszedł dla Panny Anny; jest to czas, w którym na całej kuli

ziemskiej serce każdej panny tęskni mocno za mężem; ale P. Edgar pisze, że nie może jeszcze opuścić służby u Cesarzowej, i że nie odważa się sprowadzać do Lisbony swęj kochanki, bo piękność jęj, obudzając zazdrość córek Luzytanii, mogłaby wystawić jęj życie na niebezpieczeństwo. «Czy Pani wierzysz temu?» zapytałem pięknej Norwegianki. Rumieńcem dumnym odpowiedziała mi na to niedyskretne pytanie, które mi dyktowało przeczucie.—Dla zakończenia tęj historyi, muszę czytelnika jednym rzutem przenieść z brzegów Norwegii na złote brzegi Tagu.—W półtora roku po rozstaniu się z P. Anną przybywam do Lisbony i stawam w hotelu, w którym mieszkał niejaki Pan Meyer, żyjący dotychczas w Lisbonie, artykuły bowiem jego często napotykam w gazecie Powszechnej Augsburskiej. Byłto Niemiec bardzo oryginalny i dowcipny; najprzód chodził w Bonn na prawo, ale po kilkuletnich studiach uniwersyteckich poznał, że się nauczył za mało pandektów, a za wiele filozofii, historyi i encyklopedyi. Opuścił tedy karyerę uczoną i przyjechał w interesach kupieckich do Lisbony; tu znów tak zasmakował w klimacie, a szczególnie w winie krajowém, że się oderwać nie mógł. Straciwszy co miał majątku, dawanien lekcyj w językach utworzył sobie pozycję weale wygodną.—Poznałem się tedy bardzo łatwo z Panem Meyerem. Razu pewnego, w tydzień po mojem przybyciu, widzę go wychodzącego z domu ustrojonego z wszelką wykwintnością, na jaką się tylko uczony niemiecki zdobyć może. «A gdzież to Pan idziesz w tym fraku przedpotopowym?» — «Idę na wesele jednego z mych przyjaciół do dworu Cesarzowej.» — «Do dworu? — a może Pan znasz Majora Domus Cesarzowej?» — «Znam, albo co?» — «Mam do niego list rekomendacyjny, który mi jego narzeczona w Norwegii dała przed półtora rokiem.» — «Dobrze! To niech Pan ten list spali i nikomu nic o nim nie mówi.» Za godzinę będę świadkiem ślubu Pana Tomson z trzynastoletnią Portugalką, przynoszącą mu w posagu 60 milionów *reissów* (100,000 talarów)!

Biedna Panna Anna; pomyślałem sobie! tyle doskonałości, tyle piękności, tyle miłości przepada bez użytku dla świata;—a mała, brzydka, śniada, głupia bigotka portugalska tryumfuje nad sercem i uczciwością młodego człowieka dlatego, że posiada 100,000 talarów.— O cnoty ludz-

kie! o święte uczucie miłości, uszlachetniające człowieka!— teraz znam waszą cenę; kosztujecie 100,000, bardzo często i mniej nawet, wedle kraju i kursu cnót!

Ale wróćmy znów do Norwegii.— W środku stycznia burze zaczęły ustawać; wiatr ustalał się ze strony północy i zima Norwęgiska dawała się nam we znaki. Mrozy doszły do wysokiego, bo do 29go, a nawet 33. stopnia R. Jednakże termometr nie zamarzał nigdy, lubo bardzo łatwo było go można zamrozić, wstawiwszy w śnieg zmieszany z zwyczajną solą. Jeziora wszystkie, golfy i zatoki pozamarzały i okręty miały biedę niezmierną: lód ściskający groził im strzaskaniem. W stancyi mieliśmy wprawdzie ciepło, bo domy drewniane norwęgskie więcej daleko chronią od zimna jak murowane; ale nam często wypadało odwiedzać w łodziach chorych daleko mieszkających, i wtenczas trzeba było robić wiosłem, żeby nie zmarznąć. Dr. W... wściekał się ze złości, szczególniejszej kiedy mu zaręczano, że zima ostra jest prawdziwem dobrodziejstwem dla Norwegii, bo zamrażając wody jezior i tworząc sanne, ułatwia komunikacye i transport produktów. Kozuch nie wystarcza wtenczas na oparcie się zimnu; pod nim noszą tu zwyczajnie jeszcze surduty ze skór kozich, bardzo dobrze wyprawnych. Suknia taka jest lekka i giętka jak wełniana, a lepiej chroni od wilgoci i mrozu.

Z końcem stycznia mrozy zaczęły słabnąć, a burze nie powracały. Kapitan nareszcie odebrał rozkaz, powierzający mu dowództwo okrętu stojącego w Bergen i zmierzającego do Drontheim. Dr. W. wyjechał na początku lutego do Londynu. P. Rein.... dał mu listy rekomendacyjne, a pieniędzmi zarobionemi potrafił pokryć prawie całą dawniej poniesioną stratę.—I ja także przez dwa miesiące zarobiłem blisko 200 talarów; mogłem za nie sprawić najpotrzebniejszą część straconej garderoby; ale książki moje lekarskie, owoce czteroletnich starań, te mi się nie wróciły nigdy.

Port nasz wypróżniał się szybko; codziennie opuszczało nas kilka okrętów; pożegnałem się z znajomymi w Fahrsund, bo i na nas kolej nadchodziła. — Na fregacie norwęgskiej płynącej do Bergen najął kapitan miejsce dla siebie, dla mnie i dla kilku majtków, których chciał zatrzymać przy sobie. — Dnia 3. lutego, we dwa miesiące po przybyciu mojem, wsiadłem na fregatkę zwaną *Almagten* (opatrność),

podniesiono kotwicę i zatknięto banderę.—Maszty wszystkich okrętów pozatykały flagi, żegnając nasz statek.

Na bulwarze portu stała wysoka postać kobiety żegnająca nas białą chustką. Była to Panna Anna. Nieboraczka! ludzi się jeszcze nadzieją szczęścia, którego nigdy nie posiadzie?

Dalej tedy znów na morze, na którego wzburzone fale miło patrzeć się z brzegu, ale od którego kaprysów zależeć nie tak przyjemnie.—Okrążywszy nos Norwegii i skierowawszy w stronę północy, znaleźliśmy wiatr prosto przeciw naszemu kierunkowi; trzeba było lawirować; wlekliśmy się przez 4 dni powoli, ale bez przypadku. Piątego dnia rano ujrzeliśmy się w bliskości wysep i skał, zamykających wejście do golfu, na których brzegu leży Bergen.—Wszystkie odnogi, golfy, cieśniny, były zaludnione tysiącem małych i większych statków. Rozpoczął się połów ogromny ryb, a szczególnie śledzi. W lutym spływają tu ryby, dla składania ikry z oceanu i gromadzą się na mieliznach zatok i golfów, leżących pomiędzy długim łańcuchem wysp, a brzegiem stałego lądu. Potrzeba schronienia się przed gwałtownością fali morskiej, żywność znajdująca się na mieliznach, a może i stan jakiś szczególny temperatury, spędzają ryby w takiej ogromnej ilości w te miejsca, że sonda nawet wstrzymywaną bywa od nich; samiśmy tego doświadczyli. — Rybacy dzielą się na kompanie; każda ma dwie łodzie i do ośm sieci długich na 20 sążni, z których jedna przypina się do drugiej. Przytém łowią jeszcze ryby na liny, z których każda ma 1200 haków w oddaleniu 5 stóp jeden od drugiego. Sieci te i liny zarzucają się na wieczór, a podnoszą rano. Każda kompania ma miejsce sobie wyznaczone na morzu, równo odległe od innego miejsca na lądzie, na którym znajdują się szopy do solenia ryb i rusztowania do suszenia. W każdej stacji rybackiej jest dozorca policyjny, strzegący, aby rybacy na znak dany wyciągali razem liny i sieci z morza, aby nie łowiono ryb podczas nocy, aby ich nie kradziono. — Dwaściecia pięć kompanij rybackich posiadają statek większy o jednym maszcie nazwany *Yachtem*, który zawiera sprzęty rybackie i żywność. Oprócz śledzi łowią się tu także dorsze, kabliony, pomuchły i bielaki w trudnej do uwierzenia ilości. W r. 1837. złowiono na brzegach Norwegii 17 milio-

nów ryb, które 9,000 beczek ryb solonych, 22,000 fasek oleju wątrobianego i 6000 fasek ikry.

Za tak nazwanemi górami śledzi przybywają bardzo często młode wieloryby, stare bowiem doświadczeńsze nie opuszczają swych stanowisk pod biegunami.—Od chwili przybycia mego do Norwegii pałałem żądzą poznania bliżej tych potworów morskich, tych wielkich mass, życiem obdarzonych. Życzenie to zostało nareszcie spełnionem. Kapitan mój zoczył coś w wielkiem oddaleniu na samym krańcu widokregu. Zawołał mnie, dał perspektywę w rękę, ustawił ją i kazał patrzeć; patrzałem tedy i spostrzegłem jakieś massy czarne poruszające się, z których wytryskały w powietrze jakieś fontanny. »To są wieloryby!« zawołałem z bijącym sercem, spoglądając na kapitana. Uśmiechnął się pocieszenie, kontent, że mi radość sprawił. Nie mogłem się nasycić widokiem; wtém niespodzianie, najwięcej o 2000 kroków od okrętu, wznosi się ponad powierzchnią morza jakaś góra, a po niej spływają jakieś srebrne świecące się gwiazdy. Był to wieloryb, który natrafił właśnie na liczną familię śledzi i wyniósł ją na swym grzbiecie w powietrze. Na usilne me nalegania i prośby, kapitan fregaty pozwolił wysadzić łódź małą okrętową i podwieść mnie ku tym potworom. Podpłynęliśmy jak tylko było można najbliżej bez wystawienia się na oczewiste niebezpieczeństwo, o 100 kroków.—Przypuszczam że każdy z mych czytelników wie, iż wieloryb nie jest rybą, lecz że należy do zwierząt ssących, tak jak my wszyscy. Leżał ów potwór nieporuszony; czasem tylko parskał w powietrze grubemi promieniami wody, a z nią wyrzucał biedne małe śledzie, które tą podróżą przez gębę i nos potwora życie traciły i martwe padały z powietrza na powierzchnię morza. Łeb miał prawie tak długi jak resztę ciała, zdawał się składać tylko z łba i ogona. Oko ma wieloryb bardzo małe w stosunku wielkości ciała; nie wiem co w tém oku upatrzył Wiktor Hugo patetycznego; musiał na nie spoglądać przez szkło powiększające niezmierniej swój muzy, która mu czasem daje spostrzegać i opisywać historye rzeczy wcale nie istniejących. Kret ma patetyczniejsze oko od wieloryba! Cała długość tego zwierzęcia dochodziła 55 stóp. Był on, jak już wspomniałem, młody jeszcze, dlatego nań polować nie było można, bo sadło miałkie, które otacza muszkuły, nie wstrzymałoby w sobie harpuni. Spostrzegł nas nareszcie

potwór i przestraszony wskoczył łbem w odmet, wychylił w powietrze niezmierny ogon, trzasnął nim w wodę i zapieścił morze. Aż na nas przysła piana. Za pół minuty znów się ukazał na powierzchni morza, ale gdzieś bardzo daleko, — o dwa staje.

Nieskończenie zadowoleni z nowo zabranéj znajomości, spieszyliśmy ku *Almagten*. Właśnie pomyślnym wiatrem trafiona nasza fregata, z rozpiętymi żaglami wpływała w ów labirynt wysp i wysepek poprzedzający miejscę, w którém morze wkraeża w ląd stały Norwegii i tworzy Fiord czyli zatokę Bergeńską. Długa na siedm mil geograficznych, szeroka i głęboka, jest ona ważnym bardzo dla miasta Bergen kanałem szczęścia i bogactwa.

Wiatrem ciągle pomyślnym i przyptywem morza pędzeni, stajemy w trzy godziny pod miastem, niegdyś stołeczném, a dziś jeszcze tak handlowém Norwegii. Na jednym z licznych statków stojących w przystani powiewa bandera żałobna. To „schmucke Pige“, fregata na nas czekająca, której kapitan długą złożony chorobą, nareszcie Bogu ducha oddał. Spieszymy na pokład tego okrętu z majtkami przez pana Jensen zatrzymanemi.

ROZDZIAŁ VI.

POŁOŻENIE MIASTA BERGEN. — FIORD BERGEŃSKI. — ARCHIPEL. — LIGA HANZEATYCKA. — DZIELNICA NIEMIECKA. — ZAKON KUPIECKI. — PORT. — CYTADELA. — GRÓD OLAF. — BASTYON. — SALA KRÓLEWSKA. — PARADA. — WOJSKO. — STRZELCY LYŻWOWI. — MARYNARKA. — KOŚCIÓŁ NIEMIECKI. — OLTARZ. — OBRZĄDKI. — PASTOR. — STRÓŻE. — STRAND-GADEN. — CHARAKTER MIESZKAŃCÓW. — HOLBERG. — LUD NORWEGSKI. — WIEŚNIAK I GÓRAL. — NASZA FREGATA. — STERNIK. — CHOROBA KAPITANA JENSEN.

Bergen położone jest w środku doliny, dosyć wysokimi górami otoczonej, a połączonej z wnętrzem kraju dalszym ciągiem Fiordu Bergeńskiego. Takie położenie usposabia to miejsce do handlu zewnętrznego i wewnętrznego. Podobno król Olaf Kyrre założył to miasto jeszcze w r. 1070. Krystyania, posiadająca dziś przeszło 30,000 mieszkańców, przeskrzydliła, jako stolica sądownictwa i nauk, miasto Bergen liczące 25,000 ludności, ale jako punkt handlowy, Bergen ważniejsze zajmuje stanowisko.

Już za króla Hakona Hakousona, Anglia, pierwsza z mocarstw zagranicznych, weszła z Bergenem w stosunki handlowe. Później Hanzeatycka liga spostrzegła się na wartości tego punktu i założyła tutaj jedną z swych czterech najcenniejszych faktoryj. Trzema innemi były miasta: Antwerpia, Londyn i Nowogród. Wiemy, że ta potężna liga, początkowo zawiązana dla wzajemnej obrony przeciw piratom morza północne niepokojącym, później w XIV. i XV. stuleciu stała się panią a nawet tyranką prawie całego handlu europejskiego, bo nawet i do Śródziemnego wkroczyła mórza. Powstała w Hamburgu i Lubece, siedmdziesiąt dwa miast największych w Europie umiała dla siebie zyskać, wojska swe i floty utrzymywała, i nieraz to zuchwałe towarzystwo kupców monarchom prawa dyktowało. Przeciw Waldemarowi III. królowi Danii, liga hanzeatycka wypro-

wadziła 250 okrętów i 12,000 wojska. Norwegię prawie całą posiadała i silny garnizon w Bergen utrzymywała, i nareszcie opanowawszy Nordlandyę i Finmark, wystąpić śmiała jako potęga samowładna.

Dopiero koniec XVI. wieku świadkiem był poczynającego się upadku tego stowarzyszenia, ciężącego z tyrańską potęgą na handlu. Hollandya odzyskawszy swą niezależność, ciosy zadawała bolesne Hanzie, a królowa Anglii Elżbieta sześćdziesiąt zabrała jej okrętów na Tagu, niosących w sobie wojenną kontrabandę. Teraz dopiero rozwijać się zaczął handel Wielkiej Brytanii, pomimo wszelkich intryg ligi, i zawierać z placami handlowemi świata do dziś dnia trwające a tak zyskowne stosunki.

Korzystając z osłabienia ligi kupców, Walkendorf, kanclerz Norwegii, wyparł garnizon hanzeatycki z miasta Bergen w końcu wieku XVI., i wzniosłszy silną cytadelę, umiał opanować miasto sprzyjające Hanzie. Z monopolu swego wyzuta liga, słabła ciągle, aż też w drugiej połowie XVIII. wieku sprzedać musiała ostatnie swe posiadłości i znikła z pocztu potęg politycznych.

Za dobrych czasów liga posiadała w Bergen osobną dzielnicę po za mniejszą odnogą Fiordu, a dziś jeszcze *Deutsch Quartier* przezwaną. Długie szeregi niezmiernych składów i magazynów, pozostałe z owych czasów, ciągną się tutaj wzdłuż głębokich kanałów i świadczą o dawnym bogactwie kupieckiej ligi. W tej samej dzielnicy znajduje się kościół niemiecki; piękny to weale budynek. Osobny dworzec obronny i ogromnych rozmiarów, strzegł tutaj towarów, w nim pracowała faktorya do 3,000 ludzi w swój służbie licząca. Organizacya faktoryi zupełnie była wojskową. Kupczyki aż do wyzwolenia siedm różnych stopni przebiegać musieli. Żenić im się nie było wolno. Zakon ten kupiecki dziwnego rodzaju, rekrutował się w sposób dosyć barbarzyński. Ktokolwiek chciał do niego wstąpić, musiał dać dowody mężstwa i wytrwałości. Najprzód zawieszano kandydata nad dymem palącego się stosu drzew; potem wrzucało go z różnych wysokości w morze, nareszcie smagano różgami aż do krwi; przebywszy wszystkie trzy chrzty, walecznie bez jęczenia i pisku, kandydat mianowany został kupczykiem.

Szkoda wielka, że tym sposobem nie nominowano kupców w Polsce; handel zapewne nie byłby przeszedł w ręce dzieci Izraela.

Teraz do portu bergeńskiego wszystkich narodów okręta przystęp mają. Leży ich tu niemało angielskich, rossyjskich, pruskich, szwedzkich, hollenderskich, belgijskich, francuzkich, hiszpańskich i neapolitańskich; bywa ich czasem do 500, a nawet do 600, w przecięciu o 80 beczkach ładunku, dla skupowania ryb, których rok rocznie Norwegia wysyła za 50 milionów złotych polskich.

Także i wiele srebra, miedzi, żelaza, niklu, kobaltu, drzewa, tranu, wychodzi z kraju;—ale za to ani soli, ani węgla kamiennego nie zawierają kopalnie norweskic.

Cytadela bergeńska najnieregularnej jest budowy i składa się z kilku bastyonów, których działa poczęści z lawet stracone panują nad miastem i portem. Ale za to wały i plantacye naokoło cytadeli wspaniały przedstawiają widok. Wewnątrz ich pozostała jeszcze część starodawnego grodu króla Olafa, założyciela miasta. Bastyon Wälkendorfa jest jednym z największych świata. Podobny z budowy do bastyonu bramy w Sandomierzu, wyniesiony jest na 175 stóp i tworzy na szczycie platformę czworoboczną szerokości 40 i 60 stóp. Schody znajdują się w samym wnętrzu potężnych murów. Siedm jest wielkich sal w tej zdumiewającej budowli, napiętrzonych jedna nad drugą. Służą za arsenał i zarazem za muzeum broni najdawniejszych czasów. Działa wyzieraają z strzelnic.

Sala królewska, w innéj części budynku zawarta, ma 130 stóp długości. Piękne gotyckie zdobią ją okna, tron stoi w jednym końcu pod baldachinem, a reszta sali najpocziwiej użyta na magazyn żywności dla garnizonu. Parę baterij śpiżowych dział wybornego wyrobu szwedzkiego wieńczy esplanadę zamkową, a bomb i granatów nowego wynalazku a la Fridrichson leży kilka tysięcy pod sklepieniem potężnych rozmiarów. Widoki z cytadeli na wszystkie strony przecudowne.

Byłem świadkiem parady wojskowej, odbywającej się w dziedzińcu zamkowym przed generałem Boch. Wojsko norweskic granatowe ma mundury z ponsowemi wyłogami, spodnie szaraczkowe z wypustką czerwoną, nosi hełmy na sposób burgundzki, mosiężnym grotem ozdobione

i z tyłu nisko schodzące. Na szerokiej przepasce wisi z boku bagnet, z tyłu ładownica mogąca być przesuniętą na brzuch. Broń ich doskonała. Wcale nie źle wymustrowany żołnierz, wiele ma swobody w ruchach i zdrowo wygląda. Oficerowie wszyscy bez wyjątku winni odbyć dwa lata nauki w szkole kadetów w Krystyanii, dokąd wchodzić mając najmniej lat 18, a najwięcej 20, i gdzie prócz nauk teoretycznych uczą się mustry szeregowej i polowej. Rok rocznie przepędzają dwa miesiące w obozie pod namiotami. Jest tych kadetów ośmdziesiąt. Na tegich i umiejętnościach z tej szkoły wychodzą oficerów. Żołnierz bierze najmniej 30 groszy dziennie, podporucznik pięć złotych. Wojsko to prawdziwie narodowe służy lat pięć pod bronią, potem zaś przechodzi do landwery; składa się zaś z 10,000 piechoty, z 2,000 artylerzystów i tylko z tysiąca kawaleryi; przytém 10,000 landwery. Koszta utrzymania armii wynoszą do siedmiu milionów zł. pol.

Batalion strzelców celnych norweskich tém się odznacza od innych tego rodzaju broni, że w razie potrzeby przypina owe długie listwy do nóg i na nich z szybkością błyskawicy pędzi po powierzchni śniegu pod górę i z góry. Nic ciekawszego jak ewolucye tej broni, której ani zwyczajna piechota ani kawalerya ścigać nie może.

Marynarka wojenna Norwegii składa się obecnie z jednej fregaty, z dwóch szalup, dwóch brygów, trzech skunerów, 140 łodzi kanonierskich o dwóch 64 funtowych działach. Siedmdziesiąt siedm oficerów należy do floty; składa się ten korpus z jednego admirała, jednego kommodora, trzech kapitan-kommodorów, 12 kapitanów, 12 kapitan-poruczników, 24 poruczników i 24 podporuczników. Wrazie potrzeby rząd ma prawo powołać do służby wojennej marynarskiej wszystkich majtków służących na okrętach norweskich kupieckich, a tych jest 20,000.

Kilka statków parowych marynarki wojennej pełni służbę przewozową pomiędzy Krystyanią, Trawemundą, Bergenem, Drontheimem, a nawet Hammerfestem, leżącym tuż pod Kapem północnym. Wielkie to dobrodziejstwo dla obywateli, mogących tanim kosztem stykać się z rodakami najodleglejszych części kraju.

Idźmy do tak nazwanego kościoła niemieckiego. Wybudowany już w XIV. wieku, dziś jeszcze jest pięknym. Dwie

wysokie wieże wieńczą świetną facyatę. Wnętrze zawiera przedmioty bardzo ciekawe. Ołtarz wzniesiony na stopniach, ozdobiony obrazami dwunastu apostołów, przytém św. Olafa, św. Katarzyny i św. Antoniego, obstawiony wielkimi świecznikami, a nad wszystkiém panuje ogromny krucyfiks, 30 stóp wysoki. Któżby powiedział, że to ołtarz kościoła luterskiego! Ambona także cała z hebanu, ozdobiona prawdziwie pięknymi rzeźbami; cudne organy pełne śpiewających i grających aniołków, a wotów jakie mnóstwo zawieszonych po ścianach, modeli okrętów, złotych nosów, srebrnych rąk i nóg, malowideł szkoły holenderskiej i flamandzkiej; ciekawym, co by na to powiedział s. p. Luther, którym się przecież świadczą świątyni tej kapłani, zapominający, jak widać, że ewangelickie wyznanie wyklucza obrazy z swych domów pacierzy. Ale taką jest Norwegia, i później w ciągu tego dziełka lepiej to jeszcze znać zdołamy; nigdy nie była Papistokatoliczką, nigdy nie chciała być zupełnie lutersko-ewangeliczną. Potrzeba rozumu i poezji czepiała się tutaj każdego wyznania, i żadna wiara wykluczyć się nie potrafiła jednej przez drugą, choć w tak odmiennych sposobach do umysłu przemawiała. Duchowni nawet norwegscy zupełnie inaczej ubierają się odprawiając obrządki religijne, jak inni protestancy. Nie noszą togi Doktorskiej luterskiej, lecz sutannę obcisłą i na mnóstwo guzików z przodu zapinaną, na to kładą muślinową komżę, a podczas komunii przyodziewają się w ornat,—tak jest, w ornat zawsze purpurowy, z krzyżem wyhaftowanym na piersiach i plecach, złotem i srebrem. Do każdego z komunikantów kapłan mówi, kładąc mu w usta poświęcony opłatek i przybliżając do jego warg kielich z winem: *„Dette er Jesu sande legem, dette er Jesu sande blod“* (To jest Jezusa prawdziwe ciało, to jest Jezusa prawdziwa krew). Chór ciągle śpiewał zachwycające hymny podczas tego obrządku i uciekł, gdy kapłan skończył i sam kłęcząc komunikował, zdjawszy wprzódy za pomocą zakrystyana swój ornat; a potém wstał pastor, na nowo przywdział suknię, obrócił się do publiczności i ręką prawą robiąc znak krzyża, błogosławił obecnych w Imie Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Chór odpowiedział, Amen!

Teraz dopiero zabrzmiały dzwony i lud wyszedł.

Taki jest rytuał kościoła luterskiego w Norwegii, i nigdzie podobnego nie był świadkiem.

Katedra Bergeńska i cztery innych kościołów stoi na drugiej stronie odnogi. W roku 1488. zgorzało 11 kościołów i większa część miasta, bo była z drzewa tak jak i teraz wybudowaną. Stróże nocni ogłaszają co godzina stan powietrza i następującą odspiewują zwrotkę:

Jeśli Bóg nie strzeże miasta,

To i stróże nie pomogą.

Lecz choć tak szczerze wyznają tę nie bardzo pocieszającą prawdę, stróże nocni Norwescy nie przestają pilnować,—wprowadzają do kordegardy każdego hałasującego podczas nocy i biją jutrzenkami w głowę tych, którzy im opór stawiają, choćby byli parami Irlandyi, jak tego doświadczał na nieszczęście Lord Waterford.

Ulica Strand-Gaden najwięcej przedstawia ruchu i życia. Piękne w niej sklepy i domy z ozdóbnymi gankami i oknami, a pełno wszędzie kwiatów w lecie i w zimie, bo Bergenki smak mają bardzo wykwintny i ubierają się z wielką elegancją. Lud prosty zachował strój narodowy, tak malowniczy i ozdobny, mnóstwo bowiem na nim szkarłatu i srebrnych guzików i pętlic.

Charakterem ogólnym mieszkańców jest, że lubią reprezentacye teatralne. Oprócz trupy dramatycznej, znajduje się tutaj towarzystwo amatorskie komiczne i drugie towarzystwo tragiczne, ze wszech miar godne swego nazwiska, bo proszę sobie wystawić kupczyka Bergeńskiego, jeszcze świeżo śledziem i stokfiszem pachnącego, w roli Hippolita, Brutusa lub Cyda; jest nad czém płakać! Amatorowie komiczni mniej mają zasługi w wystawianiu się publiczném na sąd publiczności, bo daleko lepiej grają, szczególnie w narodowych sztukach Holberga, w których tyle jest życia, ruchu i prawdziwego dowcipu, że i najniezgrabniejszy aktor popsuć ich nie zdoła. Ale amatorowie komiczni nie kontentują się Holbergiem i uciekają się najczęściej do owych sztuczek brukowych, które pod nazwiskiem wodewillów pana Scribe drą kulisy świata całego. Nie pojmuję, jak cudzoziemców, nieobznajmionych z duchem Paryża i francuzczyzny, mogą interesować tak nadzwyczajnie lokalne te sztuczki, nie mające żadne-

go uroku historycznego, przeznaczone do życia efemerycznego przez samego autora. Nie odmawiam im dowcipu, ale jest go tam tak mało, że tylko w lekki strój francuzkiego języka przybrany, może zabawić i rozśmieszyć; w ciężkie zaś szaty germańskich języków obleczony, trafia do celu jak kula karabinowa wystrzelona z mózdzierza. Z tém wszystkiém entuzjazm dramatyczny Norwegczyków jest pozaszanowania godnym, dowodzi bowiem, że lud musi być szczęśliwy, kiedy może kilka godzin codziennie poświęcać zabawie.

Bergen jest ojczyzną Holberga, tego wesołego, dowcipnego dramaturga, którego życie jest jedną z najśmieszniejszych komedyj, jaką kiedykolwiek człowiek miał szczęście odegrać. Urodzony synem ubogiego człowieka, bez majątku, bez skończonej edukacji, zaczął karierę swoją od kaprała, a skończył ją uczonym professorem metafizyki uniwer. Kopenhagskiego, bogatym baronem Danii, geniuszem słynącym już za życia pod nazwiskiem Norweskim Molliera. W bibliotece miejskiej w Bergen znajduje się pomiędzy manuskryptami własnoręczny dyaryusz podróży Holberga, który w całości nigdy nie mógł być drukowanym, zawiera bowiem niektóre wesołe choć bardzo naturalne epizody życia młodego człowieka, które i bez druku powszechnie są znane. Autor wyznaje z naiwnością, że nauczywszy się po francuzku w Hadze, dawał przez dwa lata lekcye tego języka w Bergen, i że przybywszy później do Francyi, ani on Francuzów, ani Francuzi jego zrozumieć nie mogli. Dodaje nawet, że mu córka gospodarza hotelu powiedziała: pan mówisz po francuzku jak koń niemiecki. Trapiiony ciągłą i nieprzewycięzoną żądzą podróży, puszczał się do Anglii, do Francyi, do Włoch, do Hiszpanii; żył jak tylko mógł najskromniej, starał się wszystko widzieć, zwidzieć i poznać; a kiedy pieniędzy brakło, wracał piechotą z skrzypcami pod pachą do ojczyzny, uczył języków, i zarobiwszy cokolwiek pieniędzy, znów puszczał się w świat nieznany. Tak żył Holberg do 30. roku, nie przeczuwając nawet swego poetycznego powołania, nie znając satyrycznej muzy, która mu zabezpieczyła długotrwałą sławę.

Lud Norweskimi można podzielić, ze względu na sposób utrzymania i zatrudnienia, na trzy różne klasy. Najprzód

lud trudniący się żegluga, piloteryą i rybołówstwem, zamieszkuje wyspy, całe dystrykta Nordlandyi i Finmarku, brzegi wszystkich buchtów, golfów i zatok. Po największej części każdy z nich posiada, lub trzyma dzierżawą mały kawałeczek gruntu, wystarczający na wyżywienie kilku krów, kóz i owiec, i na wydanie cokolwiek jarzyny i kilku korey zboża.

Powtóre, lud trudniący się wyłącznie rolnictwem, zamieszkuje kraj zawarty pomiędzy brzegami morza i stopami gór, i wszystkie na nich znajdujące się doliny, które jeszcze zboże wydają. Piękny to i silny lud; nie stara się o wywożenie produktów z kraju, ale raczej o wyżywienie się niemi, a pracą mierną wygodnie utrzymać się może. Buduje sobie sam domy, sam sobie robi swe sprzęty gospodarskie i wszystko co potrzebuje, oprócz szyb i towarów lanych z żelaza. Chłopi posiadają tutaj czasem do 40 morgów pola, i są najważniejszą klasą w kraju, którego miast mieszkańcy stanowią zaledwie dwunastą część całkowitej ludności. Chłop norwegijski nie jest tak nietrzeźwy, jak chłopi bogaci wielu krajów, i dlatego daleko czuje się szczęśliwszym.

Trzecią klasę ludu stanowią górale. I ci mają pola i domy, choć małe, ale czyste i wygodne; mieszkają tylko na górach i w dolinach już nieurodzajnych. Zatrudnienia ich są zatem rozmaite; żyją z chowu bydła, z ścinania i spławiania drzewa do tartaków, z polowania, z połowu pstrągów; prowadzą życie daleko czynniejsze i uciążliwsze od mieszkańców płaszczyzn; zima nawet nie jest dla nich czasem wypoczynku, bo właściwie wtedy dopiero, kiedy się ziemia pokryje grubą i twardą skorupą śniegu, mogą po skałach sprowadzać z gór ścięte drzewa na brzegi rzek.

Górale są najmniej ucywilizowanemi, ale ztémwszystkiem można ich nazwać najinteresowniejszemi mieszkańcami Norwegii. Nie miesząc się wcale z innymi klasami ludu, dochowali w całości ubiór, dyalekt, zwyczaj, a nawet i wyraz twarzy starodawnych czasów. W dalekich, prawie niedostępnych dolinach, znajdują się jeszcze familie, wywodzące ród swój z czasów Haralda, szczygające się nawet pochodzeniem od Ralfa, pradziada Wilhel-

ma Zwycięzcy (*), którego potomkowie, siedzący teraz na tronach europejskich, ani wiedzą, że mają w Norwegii krewnych, chodzących w siermięgach, a szczęśliwszych może od nich. Szlachta ta chłopska dumna jest z swego pochodzenia, choć im ono żadnej nie przynosi korzyści. W Bergen przechodząc się po mieście z malarzem jednym niemieckim, spostrzegłem górala już nie młodego, którego kolosalna postawa wyjawiała tyle przyrodzonej dumy, ile twarz regularna wyrażała szlachetności. Wstrzymaliśmy go prosząc, żeby pozwolił malarzowi zrobić swój portret. Nie wiele go ta prośba zdziwiła, zapytał jednakże: »Kto panu powiedział, że jestem potomkiem jednego z najpotężniejszych Yarlów (Hrabiów) Króla Haralda?« — »Nikt, odpowiedziałem, ale to odgadł patrząc na ciebie!« — »To pan masz dowcip,« odpowiedział z zadowoleniem, przez które przebijała się dobra poręca pogłaskanej miłości własnej. Trzeba było widzieć, z jaką godnością i wyrazem dumy cokolwiek affektowanym siedział malarzowi: »Niech mnie pan zrobi z mieczem w rękę, ot tak!« mówił, poprawiając się na krześle. Nie jedna wieśniaczka zdumiałaby swą urodą i dowcipem świat cały, żeby nie była wystawioną na niewygody i powietrze niszczące piękność, żeby nie musiała zwracać wszystkich swych myśli, całego swego umysłu, na zaspokojenie potrzeb powszednich.

Poznajmy się z nową nawą, której powierzemy losy nasze na całe kilka miesięcy. Fregata nazywała się *Sel-mucke Pige*, to jest piękna dziewczyna, ale mało na tę zasługiwała nazwę, bo i ciężko była zbudowana, źle utrzymana i największego pijaka, jakiego mi się w Norwegii zoczyć zdarzyło, nosiła w sobie. Jowialnym sobie był wprawdzie człowiekiem i utrzymywał, że śmierć kapitana, a wprzód jego choroba, przyczyną była tego zalewania się wódką; ale ztémwszystkiem nie bardzo było bezpieczne puszczać się z człowiekiem takim w podróż daleką,

(*) Rolf, Yarl Norweskii, wygnanym zotul za rozboje morskie przez Króla Haralda z Norwegii. Zmuszony z swemi okrętami do ucieczki, wpłynął r. 896. do Sekwany i zdobył Normandyę, Potomek jego Wilhelm Zwycięzca opanował Anglię.

mianowicie w podobnej porze. Uznał to sam kapitan i nie mogąc odpędzić sternika prawie pięćdziesięcioletniego z statku, którego sam jeszcze nie znał chodów i właściwości do indywiduum przywiązanych, umyślił odzwyczaić go od wódki nałożeniem całej załodze najściślejszej blokady; przytém przymieszano pokryjomu znaczną dosis emetyku i kolokwinty do nektaru kartofflanego, rozdawanego codziennie majtkom; sternik miał klucz od spiżarni i naturalnie mógł do niej schodzić tak często jak mu się podobowało, i pewno nie żałował sobie. Majtkowie pijący na dzień tylko po dwa kieliszki, nie spostrzegli się wiele, że wódka zawierała obce jakieś części, zresztą dawano im po kilka kropli laudanum jako antydot. Sternik pijący po 30 kieliszków na dzień, tyle się natykał emetyku i kolokwinty, że nareszcie zachorował i niezwalczonego nabrał wstrętu do wódki. Zeszła mu téż czerwona maska z twarzy wraz z zapaleniem ócz dotychczas chroniczném. Pierwszy to raz w mém życiu byłem świadkiem tak dobrze przeprowadzonej i skutecznej kuracji.

Ale kapitan Jens Jensen także zachorował, w skutku ciągłej pracy na pokładzie około naprawy okrętu, bardzo mocno na zapalenie płuc i o mało co nie wyzionął ducha w témże samém miejscu, w którym jego poprzednik przed dwoma umarł tygodniami. Nie opuszczałem go przez dni kilka ani na chwilę. Takim sposobem ścieśnił się jeszcze węzeł przyjacielski, łączący lekarza z pacjentem.

ROZDZIAŁ VII.

OLE BULL.—WYJAZD Z BERGEN. — PRAWO RÓWNEGO DZIEDZICTWA I ROZDROBNIENIE MAJĄTKU.—ZWIĄZEK POLITYCZNY POMIĘDZY SZWECYĄ I NORWEGIĄ. — GODNOŚĆ POLITYCZNA. — LITERATURA W NORWEGII.—DZIENNIKARSTWO. — KORONA. — PRZYWIĄZANIE SIĘ DO WŁASNOŚCI. — FEODALNOŚĆ. — NIE BYŁO ZAMKÓW W NORWEGII. — KRÓLOWIE MORSCY. — DRZEWO JEDYNYM MATERIAŁEM BUDULCOWYM.—DRONTHEIM DAWNIEJ NIDAROS.—GOLF.—TWIERDZA MUNKHOLM.—SCHUMACHER HRABIA GRIFENFELD—MUNKGADE.—KOŚCIÓŁ KATEDRALNY.—HISTORIA ZAPROWADZENIA RELIGII CHRZEŚCIAŃSKIEJ DO NORWEGII.—ŚW. OLAF.—ŚMIERĆ JEGO.—LUD.—MIEJSCE PIELGRZYMKI.—POŻARY.—REFORMACJA.—SPUSTOSZENIE KOŚCIOŁA.—STORTING KAZAŁ GO RESTAUROWAĆ.—PALAC GUBERNATORA.

Nie opuszczajmy Bergenu bez poznania się z jedną z jego znakomitości, z jednym z jego synów, którym, się miasto istotnie ma prawo szczycić, bo nie tylko życia jest kolebką, ale także talentu, który temu życiu tak wysoką dał wartość.

Mówię tu o panu Ole Bull, o świetnym skrzypku, który odgadł bez nauczyciela, bez żadnej pomocy, talentu swego istność i instrumentu swego dotychczas nieznanę, a tak bogate zasoby.

Poznałem go na wieczorze u generała Boch, do którego miałem list rekomendacyjny od pana Reinert, konsula angielskiego w Fahrsundzie. Pan Ole Bull, wysoki, dobrej tuszy, mądrego i dostojnie pogodnego oblicza, a jasnego włosa człowiek, miał za żonę młodą, bardzo drobną, żywą i czarnooką kobietkę. Kontrast wpadał tu gwałtem w oko, ale widać, że wzrost harmonii w niczem nie psuje, kiedy się tyczy ludzkich istot. W kilka minut byłem z panem Ole Bull w najlepszej zażyłości; wirtuoz ten bowiem nie przybierał żadnych dziwacznych manier dla nadania sobie oryginalności u ludzi, żadnego prawdziwego talentu cenić nie umiejących.

Winienem mej rozmowie z panem Ole Bull wiele zajmujących szczegółów o jego przeszłym życiu. Nigdy on nie miał nauczyciela i do roku 17. życia swego nigdy nie słyszał mistrza swęj sztuki, a jednak już wówczas każdą najtrudniejszą spisaną muzykę w stanie był wykonać. Mając lat 18 poszedł dla wyższego wykształcenia się do Krystyanii. Spozstrzegł się na jego talencie dyrektor tamtejszėj opery i poruczył mu, najmłodszemu z całej orkiestry, jej dyrekcję podczas swęj choroby, która trwała rok cały. Ale młody artysta tęsknił do wyższego wykształcenia, chciał koniecznie zwiedzić jądro Europy i nowe czerpać zasoby w sztuce wielkich mistrzów. Wielką i długą pracą zdobywa sobie środki podróży, jedzie do Niemiec, słyszy Spohra, Karola Müllera i Maurera, ale jest odczarowanym, nie odpowiada ideałowi, który w duszy swęj był przeczuł. Wraca tedy zasmucony do swego kraju i dręczony znów tęsknotą, jedzie znów ubogi i walcząc z najdotkliwszą potrzebą do Paryża. Tam wegetuje rok cały, nareszcie zjawia się Paganini. Ole Bull słyszy muzykę tego zadziwiającego człowieka, który włosiem ze strun wydobywa cuda zdumiewające świat cały. Młodzieniec spisuje co słyszał, w kilka dni oddaje co słyszał z taką precyzją, że sam Paganini zapłakał z radości i z bólu, widząc się tak długo pracującego, w tak krótkim czasie pojętym i przewyższonym. Sam Paganini staje się filarem sławy swego młodego rywala, ułatwia mu koncert dający środki do dalszego wykształcenia we Włoszech. Ole Bull uznany w całym świecie, zdobywa ogromny majątek, wraca do swęj ojczyzny i zakupiwszy pyszne dobra, staje się dobroczyńcą wielu rodzin i ważnym swęj ojczyzny obywatelem.

Oto życiorys człowieka zdobywającego sobie, współobywatelom i krajowi szlachetnej sztuki uprawianiem, sławę i szczęście.

Ale już ucichły burze i ocean odpoczywać zaczyna.—Już »selmucke Pige« naprawiona, oczyszczona, dumnie wznosi swe maszty i świeżemi zdobi się żaglami.

Kapitan zdrów, sternik nawrócony do godniejszego życia. Wy pływamy z przystani bergeńskiej i z głębokiego Fiordu na ocean Północny i dążymy ku północy—do Drontheim. Żadnych nie doświadczamy przygód, możemy tedy spisać, czegośmy się z rozmów, pism peryodycznych i z książek dowiedzieli o stanie politycznym i socyalnym interesującego kraju Norwegii.

Norwegia jest krajem, pod względem ekonomii politycznej, jedynym w Europie, gdzie od najdawniejszych czasów majątek spadał w równych działach na wszystkie dzieci. Feudalność nigdy nie zdołała opanować Norwegii; to więc w tym dalekim zakątku Europy możemy przypatrzeć się skutkom, jakie rozdrobnienie majątku wywiera na towarzystwo ludzkie, i zobaczyć w małej skali, do jakiego rezultatu muszą przyjść nieodzownie narody, które później od Norwegii przyjęły prawo równego dziedzictwa.

Kiedy Dania starała się zatrzymać pod swém berłem Norwegię, którą odstąpiła wprzód Szwecyi traktatem w Kiel, a ta domagała się dotrzymania traktatu, naród norweskii powołał swych reprezentantów do Eidswold (10. kwietnia 1814. r.). Byli to księża, kupcy, urzędnicy cywilni i wojskowi, lekarze i wieśniacy; mało pomiędzy nimi było talentów oratorskich i prawniczych, ale wiele głów rozsądnych. Posłowie ci wybrali komisyję z 18 członków i powierzyli redakcyę konstytucyi. Komisyja zredagowała stosownie do potrzeb miejscowych projekt prawa fundamentalnego norweskiego. W sześć tygodni projekt ten został przedyskutowanym, zmodyfikowanym, przyjętym i zatwierdzonym. Kongres wiedeński, zatrudniony ważniejszymi sprawami, mało zwracał uwagi na Norwegię i gwarantował jęj konstytucyę.

Literatura romantyczna i liryczna nie kwitnie w Krystyanii; płeć piękna broni jęj wprawdzie jako pola zasłanego kwiatami, w którém wyobrażenie jęj błąkać się lubi, ale męzczyźni zajęci są prawie wyłącznie zatrudnieniami korzyść materyalną przynoszącemi, i lekko ją wazą. Posiedzenie stortingu więcej ma dla nich powabu, jak najpiękniejsza tragedia; gazeta hamburska ogłaszająca kurs giełdy, miłej brzmi dla ich ucha jak najczulsze rymy, a maszyna parowa ma dla nich więcej rozumu jak Shakespear, Göthe i Chateaubriand.

Dziennikarstwo w Norwegii uważane być może za zwierciadło, w którém się wiernie odbijają życie, dążności, usposobienia i zwyczaje ludu. W roku 1840. wychodziło 24 dzienników politycznych. Ludność Norwegii zbliżała się już wtenczas do 1,200,000, wypada zatem jeden dziennik na 50,000 ludzi. Żaden podatek nie ciąży na pismach peryodycznych politycznej lub literackiej treści, a porto jest bardzo niskie. Zwyczajna cena roczna pisma codziennie wychodzą-

cego wynosi talarów 6, na prowincyi talarów 7 i pół. *Morgenbladet* najwięcej był upowszechnionym w roku 1837., redakcyę miał wtedy bardzo starowną, druk i papier wyborny. Drobne obwieszczenia, zapełniające część każdego numeru, dowodzą, że dzienniki są czytane nie tylko przez osoby wyższego stanu, ale i przez całą masę ludu. W jednym numerze znalazłem następujące doniesienie: »Ktoby sobie życzył nabyć starego ale dobrze tuczonego indyka, niech się zgłosi do redaktora.« Nie należy jednak sądzić, aby podobne drobnostki stanowić miały całą treść dziennika; większą część jego kolumn zapełniają artykuły bardzo ważne, wglądające bardzo głęboko w stan polityczny kraju, rozbiegające bardzo roztropnie najzawikłańsze pytania socyalne. Podczas obrad stortingu, dotyczących się reformy banku narodowego, można się było przekonać, jaki wpływ wywierają dzienniki na reprezentacyę kraju, i jak są od niej szanowane. W jednym numerze *Constitutionnela* norweskiego wyszedł początek artykułu, oceniający bardzo głęboko i umiejętnie stan banku i potrzebę jego reformy. Storting przeczytał na posiedzeniu ten artykuł i postanowił zawiesić dyskusyę o banku, czekać końca artykułu, i zostawić deputowanym czas do zapatrzenia się na kwestyę banku z nowego punktu widzenia, z jakiego ją traktuje bezimienny autor. Sami Anglicy przyznają, że *Morgenbladet* i norweskimi *Constitutionnel*, dokładniejsze dają sprawozdanie z obrad parlamentu W. Brytanii i z zawikłanych interesów Hiszpanii i Ameryki południowej, niż większa część dzienników angielskich. Z dzienników literackich ma największy odbyt *Magazyn Szelągowy*, założony przez pana Dzwonkowskiego. Znalazłem to tanie, mnóstwo interesujących szczegółów zawierające pismo, w rękach nujuboższych mieszkańców.

Podróżujący po Norwegii zadziwi się nieraz, że w kraju tym rzadko napotkać można ruiny starych zamków, lub inne zabytki feudalnych czasów, które w reszcie Europy, nie wyjmując nawet Szwecyi i Danii, świadczą o potędze dawnych panów ziemi. Dziwna rzecz! boć przecie i Norwegii nie zbywało na potężnych i bogatych królach, na szlachcie bitnej, znoszącej kosztowną zdobycz ze wszystkich stron Europy, nie brakowało temu krajowi niegdyś ani złota ani przepychu. Ztém wszystkiem arystokracya Norwegii nie posiadała prócz okrętów żadnego innego przytułku, w którymby się

uchronić mogła, kiedy przemoc zmuszała ją do opuszczenia własnych stanowisk. Magnaci wygnani z Norwegii przez Króla Haralda wsiedli na okręta, stali się tak nazwanymi królami morskimi i roznosili postrach i spustoszenie po świecie. Eryk syn Haralda musiał chronić się ucieczką przed zbuntowanym ludem. Święty Olaf, król Norwegii, stracił swą koronę razem z miłością ludu, nie chcąc dać się namówić mieczem i ogniem do chrześcijaństwa. Cemuż więc szlachta i królowie nie zakładali silnych zamków i twierdz, do którychby się mogli chronić z zbrojnym orszakiem w czasie wojny? Zkąd groziłyby mogli zbuntowanym wasalom lub zawistnym sąsiadom? Podział równy majątku pomiędzy wszystkie dzieci jednego ojca, prawo to dziedziczne od najdawniejszych czasów uważane za święte w Norwegii, było tego niezowodną przyczyną. Podział ten majątku nie pozwalał nawet zamożnej szlachcie wznosić zamków z kamienia. Skały, chociaż w obfitości znajdują się w Norwegii, wymagają dla nadzwyczajnej twardości i nieregularnego odłomu, nie tylko niezmiernych kosztów, ale i wielu rąk pomocy, jeżeli mają być na budowie użyte. Lud, rozsiany rzadko na wielkiej przestrzeni górzystego kraju, nie dał się łatwo nakłonić do ich stawiania. Zresztą kosztowne gmachy budowane na gruncie, który musiał być podzielonym po śmierci właściciela, nie odpowiadały potrzebom chwilowej; drzewo było tutaj zawsze zwyczajnym materiałem budulcowym, z którego klejono nie tylko chatkę ubogiego, ale i pałace królewskie dźwigano. Ta drobna na pozór okoliczność zabezpieczyła Norwegię od wojen i rozterek domowych, które w średnich wiekach rozdzierały resztę Europy.

Hierarchia kościelna nie zdołała nigdy osiąść władzy politycznej w Norwegii. Wkroczeniem duchowieństwa w rządy państwa zapobieżono tu bardzo wcześnie odpowiednimi ustawami. Na końcu wieku XII., biskupi wyjednali sobie przywilej pierwszego głosu przy elekcji króla, ale w XIII. wieku stracili ten przywilej (Norwegia była aż do zawojowania ją przez Danię państwem elekcyjnym, choć lud z własnej woli ustępował potomkom Haralda niejakiego pierwszeństwa). Władza papieżka nie zdołała nigdy opanować duszy Norwega, jak opanowała resztę Europy. Dowodem tego są łagodne prawa przeciw kacerstwu Waldencyków w XIII. wieku. Odbierano wprawdzie kacerzom prawo

cywilne, ale nie odbierano życia, nie prześladowano ich nigdy z taką srogością i okrucieństwem jak w Niemczech i Francji. Dowodem rozsądku Norwegczyków, nieugiętego żadnym wpływem potęgi duchownej, jest opór stawiany wykonywaniu bulli papieżkiej, zakazującej duchownym małżeństwa. Prawa krajowe uznawały pośrednio ważność takich małżeństw, a papieże nawet zmuszeni byli patrzeć przez szpary na konkubinat księży, tak powszechny w tym kraju ziemnym, że nie raził oczu ani ludzi, ani rządu. Hakon uwolnił osobnym edyktem księży i ich żony od podatku wojennego; winni byli jednak płacić biskupowi 12 talarów kary za każdą w konkubinacie spółdzoną córkę, a ośm tylko za syna.

Davempton, jeden z najświętszych kapłanów Norwegii, zapłacił 188 talarów kary, nim sam został biskupem. Nie wiadomo, ile sobie potem zapłacił, dodaje naiwny kronikarz. Pieniądze w ten sposób zbierane, obracane były na budowę katedry w Drontheim; nie dziw więc, że niegdyś była tak świętą. Jak mało podobne naturalne grzechy szkodziły świętości i powadze katolicyzmu w Norwegii, dowiemy się później.

Szóstego dnia po wyjeździe naszym z Bergen, wpłynęliśmy w labirynt zamykający wyjście do wielkiego ramienia morskiego, wrzynającego się w stały ląd Norwegii. Prawie w połowie swjej długości (sześć mil geograficznych od ujścia do morza), ramie to rozwija się wobszerny golf. Na wschodnim brzegu golfu, tam gdzie rzeka Nid do niego wpada, leży ścieńniona massa domów z czerwonymi dachami, nad którymi panują: czarna kopuła, ruina niegdyś wysokiej wieży, i wysmukłe strzały starego poważnego kościoła. Jest to Drontheim i jego starożytna historyczna katedra. Nad miastem, w wielkiem, śnieżną płaszczyzną przegrodzonym oddaleniu, wznosi się niebieskawe pasmo gór Hole, których wysokie, spiczaste i filgranowe szczyty wyglądają jak flerony diademu. Dwa niebotyczne ogromy skał podobne do ulbrzymich bastyonów wdzierają się z każdej strony miasta w przezroczyście wody golfu. Zaga mówi, że krwawy Hakon-Yarl, ostatni pogański monarcha norwesk, ofiarował na jednej z tych skał własnego swego syna Odnowi. Nie mógł sobie wybrać miejsca stosowniejszego do téj okropnej ofiary. Morze jest tu smutnym oceanem północnym, ziemia skalista, prawie ogołociona z wegetacyi, niebo pokryte czarnym kirem żałoby, a po wietrze zasłonięte nieprzejrzaną mgłą.

W środku portu, w oddaleniu strzału armatniego od brzegu, kąpie się w ryczących falach morskich samotna twierdza Munkholm: ponure więzienie męża wsławionego blaskiem swego szczęścia, nagłym upadkiem z świetnej wysokości i długimi męczarniami. Schumacher, dziecko ludu, wznosił się, więć talentami nadzwyczajnymi jak intrygą, do najwyższych dostojności w kraju. Wielki kanclerz Danii i Norwegii, pełnomocny minister króla, komandor orderu słonia, hrabia i narzeczony udzielnej księżniczki augustenburskiej, został odartym ręką kata na rusztowaniu z swych dostojności i wtrącony na wieczne więzienie do najodleglejszej fortecy europejskiej. Intrydze i zawiści własnych kreatur winien był swój upadek; ale mógłże się uskarżać na niewdzięczność ludzi, widząc łańcuchy się pod jego nogami szelebić, które dlatego tylko wznosił tak wysoko, żeby sam wzbicić się mógł jeszcze wyżej.

Drontheim był dawniej znanym i w zagach opiewanym pod nazwiskiem Nidaros (od rzeki Nid). Niegdyś było to miejsce uświęcone zwłokami męczennika, celem pielgrzymki wiernych i bogobojnych. Fanatyzm jednak protestancki, który wkradł się tutaj razem ze światłem reformacji, odarł miejsce to z cudownego uroku religijnego, zwałił klasztor, sprofanował kościół i zrobił z poetyckiego Nidaros kupiecki Drontheim. Dawna stolica królów i patriarchy, przeistoczona w skład towarów, straciła w krótkim czasie ślady dawnej wielkości. Katedra jest jedynym zabytkiem starożytnych czasów. Drontheim ma dziś 13,000 ludności; po licznych pogorzelnach wybudowanym został na nowo od niebardzo dawnego czasu. Placze publiczne i ulice są regularne, dobrze brukowane i szerokie. Drewniane domy, obrzucone zewnątrz sztukiem, ozdobione perystylem, frontonem, kolumnadą, wyglądająby jak wspaniałe kamienice, gdyby działanie wilgoci i gorąca nie odkrywało pokrywy malującej drzewo. Wielkie magazyny wznoszą się ponad brzegiem golfu i rzeki Nid; połową stoją na lądzie, połową na palach wbitych w grunt podwodny, tak że statki mogą dotrzeć budynków i ładować towary bardzo wygodnie. W niektórych miejscach wdzierają się pomiędzy magazyny mniejsze ramiona morskie, noszące na swych falach łodzie i rybaków z pobliskich wysp.

Munkgade (ulica mnichów) jest jedna z najokazalszych, najwięcej wspomnień nasuwających ulic. Ze strony wschodu wznosi się pod katedrą stojącą w środku licznych grobowców, z drugiej strony spuszcza się do golfu ginącego pod stopami gór, i pokazuje w perspektywie wieże Munkholmu na skale pławionej morzem. Król Kanut wybudował tu najprzód klasztor, fortyfikowany w roku 1028. Ołtarz nienaruszony wściekłością nawałnicy, strąciła reformacya i zrobiła z klasztoru więzienie. Tam to Schumacher, hrabia Grifenfeld, opłakiwał stratę skarbów, potęgi i wolności, przez lat 18 (od 1680.—1698.); tam to pocieszał się poezją i religią, temi wiernemi bóstwami nieszczęścia. Mury katedry przetrwały dzieje, rewolucye i zniszczenia ośmiu wieków. Ani myślę wchodzić w szczegóły wszystkich cudów architektonicznych tego poważnego budynku zadziwiającego dziś jeszcze swym ogromem; ani myślę opisywać owych 3360 kolumn, 316 okien, 18 ołtarzy, którego niegdyś zdobyli, ani zastanawiać się nad śmiałością ogromnego sklepienia, pięknnością marmuru, delikatnością snycerstwa i gustem arabskim. Nie wystarczyłyby na to wiadomości me architektoniczne, ani cierpliwość czytelników. Powiem tylko, że okazały ten pomnik leży częścią w ruinach, częścią jest przeistoczony na magazyn drzewa, częścią służy jeszcze ku chwale Boga. Przytoczę jednak niektóre szczegóły historyczne tej pięknej ruiny, związek mające z dziejami całej Norwegii.

Olaf II. zaprowadził w Norwegii religię chrześcijańską, ale po swojemu: tłukąc łby bożkom pogańskim, odbierając dobra poddanym niechęcącym uznać świętości Chrystusa i ścinając upartych pogan. Takie nawracanie oburzyło naród przeciw królowi: powstał lud, zwalczył pana i wygnał go z kraju. Błąkał się Olaf długo, nie wiedząc co ma robić; chciał już wstąpieniem do klasztoru skończyć karierę, kiedy we śnie pokazuje mu się dziadek jego i radzi, żeby wrócił do Norwegii i odzyskał straconą koronę. Ustuchał Olaf, zebrał 4000 wojska i śpieszył ku stolicy. Ale 10,000 wieśniaków spotyka go z bronią w rękę na płaszczynach Stiklestad (r. 1030.), zwalczą i zabijają Olafa. Jeden z wiernych nieszczęśliwego Olafa przyjaciół, uniósł ciało jego z placu boju i pochował w kaplicy św. Klemensa w Drontheim. W rok potem, kiedy syn Olafa, któremu lud oddał koronę, kazał wydobyć ciało ojca z grobu, aby je z okazałością po-

grzebać, jakież było zadziwienie wszystkich patrzących na trupa królewskiego, kiedy go znaleziono nie tylko nienaruszonego zniszczeniem, ale nawet zupełnie świeżego, broda i paznogie były mu urosły, a z ziemi trysnął strumień wody, posiadający moc cudownego leczenia wszystkich chorób. Lud, który zabił Olafa, uznał go świętym za jego pogrobowecuda. Papież skorzystał z tego usposobienia umysłów i instalował z wszelkimi formalnościami nowego świętego w poczet wybranych w niebie, a lud norwegijski nie opierał się dłużej prawdzie cudami popieraną, i śpieszył do grobu świętego Olafa błagać przebaczenia i składać modlitwy i ofiary. Magnus, przewany Dobrym, wznosił nad grobem ojca kaplicę najprzód drewnianą, a później kamienną. Wielkie mnóstwo pielgrzymów przybywało codziennie z hojnemi ofiarami, i takim sposobem dzikie brzegi golfu Drontheimskiego stały się bulwarem religii na północy. Roku 1152. biskup drontheimski został mianowany arcybiskupem, prymasem państwa i legatem papieżkim. Pierwsze fundamenta katedry położył arcybiskup Eystein r. 1183. Kaplica zawierająca grób Olafa, stanowiła jedno skrzydło tego niezmiernego budynku, mającego 346 stóp długości a 140 stóp szerokości. Kościół cały z dwoma bocznemi skrzydłami ma postać krzyża. Śmiałość architektury zadziwia, ale piękność jej najwięcej czarujew chórze, który w najmniejszych nawet szczegółach tak jest ozdobnym, że zdaje się jakoby go sylfy budowały.

Całe społeczeństwo chrześcijańskie Skandynawii współubięgało się o zaszczyt przyczynienia się do upiększenia kościoła. Piraci nawet nieśli mu w ofierze część zdobyczy. Jeden z nich darował ogromny krzyż srebrny. W procesjach trzech ludzi niosło ten krzyż na czele, potem następowała niezmierna trumna świętego Olafa, cała z srebra złoczonego, wysadzana drogiemi kamieniami, i tak ciężka, że ją 60 ludzi za ledwie dźwignąć zdołało. Chorzy leczyli się dotykaniem tej trumny, a królowie przysięgali podczas koronacji, kładąc na nią rękę. Epoka ta tryumfu katolicyzmu trwała przez trzy wieki. W roku 1328. spalił się kościół, ale został odbudowanym. W sto lat potem uległ temu samemu losowi i znowu został odbudowanym. Ale w sto lat później spalił się trzeci raz i już gorliwość wiernych nie wystarczyła na przywrócenie mu dawniej świetności. Wyobrażenia reforma-

cyi zaczęły się przedzierać do Norwegii, zaczęto nie wierzyć w odpusty i cuda, chorzy nawet zaczęli więcej wierzyć lekarzom, jak trumnie męczennika. Później zaś, kiedy trzy narody skandynawskie przyjęły dogmata Lutra, fanatyzm zaślepił wielu nowonawróconych, niszczyli wszystkie ślady dawnego wyznania, w mniemaniu, że działają pobożnie. Jedni gruchotali posągi świętych, drudzy darli małowidła, byli i tacy co się targnęli na książki kapituły i palili je. Dania protestancka nie straciła jednak szacunku dla złota i srebra katolickiego, i posłała po trumnę świętego, po cymboryum, po krzyże, lichtarze i kielichy. Okręt z temi bogactwami rozbił się i utonął. W roku 1554. Szwedzi zrobili z katedry stajnię i zabrali z sobą zbroję świętego Olafa. Z bogatej niegdyś świątyni pozostała jeszcze wieża, lecz i tę piorun zwałił w r. 1684. Przez takie koleje przechodziła ta cudowna katedra.

Woda i wiatr wdzierając się do niezmiernej nawy bez dachu, rozwały jej ściany; popodpierano wprawdzie później walące się mury, ale nie wzniesiono dachu, ani posągów, nie ponaprawiano uszkodzonych gzymsów i rzeźb, Nawa kościoła leży prawie do połowy w gruzach, kaplica ze strony zachodniej służy za magazyn drzewa, a kaplica świętego Olafa za muzeum i bibliotekę. Chór tylko utrzymał się jako tako i dziś jeszcze odprawia się w nim nabożeństwo. Ale na nieszczęście, dotknęła go ręka restauratorów barbarzyńskich i zakryła co jeszcze zniszczenie zostawiło w nim pięknego. Grunt chóru kamienny wymalowano niebieskim kolorem, a kolumny, filary, gzymsy i rzeźby, słowem wszystko co jest z marmuru, pokryto białym pokostem. Przytém zwyczajem protestantów, którzy wygodnie lubią chwalić Pana Boga, wzniesiono tu wysokie ławy i trybuny z czerwonymi firankami. Wszystko to zakrywa część prawdziwej struktury tego budynku i daje mu pozor tak teatralny, żem uderzony niespodziewanym widokiem, zapytał przewodnika: czy tu opery, czy komedye grają?

W takim tedy opłakanym stanie znalazłem katedrę drontheimską, wstawioną tyłu pięknymi zagami, świadka tyłu scen historycznych.

Zdumiewa ona dziś jeszcze ogromem, choć ledwie cień w niej pozostał dawniej wspaniałości. Wrażenie, jakiem z niej uniósł, towarzyszyło mi długo; można sobie zatém

wyobrazić, jaką radością przejęła mnie wiadomość wyczytana niedawno w gazetach: »Storthing norwegski wziął pod swą szczególną opiekę gruzy stariej katedry i przeznaczył 300,000 talarów na jej restauracyę podług planu p. Schirmer z Lipska.«

Wracam na chwilę do ulicy Mnichów. Na niej znajduje się największy budynek drewniany, jaki w Europie widzieć można. Jest to pałac gubernatora. Proszę sobie wystawić gmach czteropiętrowy, z skrzydłami bocznymi, bramą ogromną, kolumnami, przysionkiem, balkonami, gzymsami, statuami i arabeskami; wszystko to z drzewa, ale wszystko powleczone warstwą stuku, naśladowającego wybornie marmur. Gmach ten robi wielkie wrażenie na tych, którzy nie wiedzą, że w godzinę spalić się może.

ROZDZIAŁ VIII.

PRZYJĘCIE W DRONTHEIM. — DR. DRYVERSON. — OPERA AMATORSKA. — HOTEL, W KTÓRYM NIEGDYŚ MIESZKAŁ LUDWIK FILIP. — DWAJ TULACZE DOSTOJNI. — OBRAZY HISTORYCZNE. — OBRAZ ZAGADKOWY. — PAROSTATEK KSIĄŻĘ GUSTAW. — KOMMUNIKACYA POMIĘDZY DRONTHEIMEM I KAPEM PÓLNOCNYM. — WYCIECZKA DO LAPOŃCZYKÓW. — STOERDAL. — PUŁKOWNIK SINCLAIR. — LEWANGER. — LUDNOŚĆ, HANDEL I TEATR TEGO MIASTA. — FAMILIA LAPOŃSKA. — OSTATNI GAARD GÓRALA. — TABOR LAPOŃCZYKÓW. — UBÓSTWO ICH, CHARAKTER, ZWYCZAJE, RELIGIA I JĘZYK. — MIŁOŚĆ OJCZYZNY. — ŚRODKI PRZEDSIĘWZIĘTE PRZEZ STORTING DLA UCYWILIZOWANIA LAPOŃCZYKÓW. — POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA. — ZDOBYCZ. — POWRÓT DO LEWANGER. — JĘZYK ANGIELSKI I FRANCUSKI. — UCZTA. — PRZESTRASZENIE. — NIEZWYKŁA POTRAWA. — POWRÓT DO DRONTHEIMU. — NIEDŹWIADEK.

Statek nasz nie był dostatecznie wyporządzonym na dalszą podróż, a ładunek jeszcze nieprzygotowany. Miesiąc cały mieliśmy pozostać w Drontheim. Urządziłem się tedy na ten pobyt, sprawiłem najpotrzebniejsze rzeczy i poszedłem złożyć wizytę kilku obywatelom, do których miałem listy rekomendancyjne z Fahrsund i Bergen. Przyjęto mnie wszędzie z wielką uprzejmością, lekarze szczególniej rywalizowali w dowodach prawdziwego koleżeństwa, tak rzadkiego między doktorami innych krajów. Dr. Dryverson, dyrektor szpitala wojskowego, niegdyś lekarz marynarki, nie odstępował mnie prawie. Choć już nie w pierwszej młodości, ciągle był gorliwym w nabywaniu wiadomości; postanowił na wiosnę zwiedzić zakłady lekarskie w Paryżu, i dlatego korzystał ile tylko mógł z szczerpłej mej znajomości języka francuzkiego. Kupcy Drontheimscy nie odznaczają się także tą cieżmnotą umysłu i serca negocyantów wielkich miejsc handlowych, których ciągła konkurencyja zmusza do bezustannej czynności, zabijającej w nich wesołość i te małe cnoty, które z nas robią dobrych towarzyszków. W Drontheim, każdy rad

zabawą zabijać owe nieskończone wieczory północy; tańce, bale i ucztynie ustają, a ze względu gastronomicznego i Anglik nie wzgardziłby temi ucztami, bo tu jedzą wiele a piją jeszcze więcej. Na domiar przyjemności, istnieje tu także opera złożona z amatorów. Nic pociesniejszego w świecie, jak ta parodya opery.

Bądź co bądź, śmieliśmy się wszyscy, aktorowie i widzowie, a tego właśnie było potrzeba.

Cheąc uniknąć nieprzyjemności wracania z zabaw wieczornych nocą na okręt, sprowadziłem się do miasta i nająłem sobie w najskromniejszym hoteliku za 4 talary na miesiąc stancję prawdziwie królewską. Trzeba bowiem wiedzieć, że hotel mój był niegdyś najpierwszym w mieście, jedynym, gdzie podróżny mógł znaleźć wygody europejskie. Zdarzyło się razu pewnego przed czterdziestu laty, że do właścicielki jego zgłosił się młody cudzoziemiec, proszący głosem nieśmiałym o stancję dla siebie i dla towarzysza już dość podeszłego. Gospodyni wzięła ich za podróżujących artystów i wskazała im małą izdebkę na pierwszym piętrze. Młody człowiek spał w łóżku, starszy zaś na materacu na ziemi. Ale wkrótce poznano, że pierwszy był czemsis więcej jak artystą lub studentem, bo drugi nie zwracał do niego mowy bez zdejmowania kapelusza. Raz nawet weszła niespodzianie służąca do stancyi wojażerów i zobaczyła w kufierku otwartym frak jakiś bogato złotem haftowany i świecący gwiazdami. W ten sam dzień opuścili hotel, zapłacili nie mniej i nie więcej jak każdy inny i udali się dalej ku północy.

W parę miesięcy później dowiedziano się, że starszym był hrabia Monjoye, a młodszym Ludwik Filip Książę Orleanu; obaj wygnani z kraju błakali się po świecie. Nie będę się unosił fałszywym wstydem i przyznam, że wiedział o tych szczegółach, udając się z majtkami do hotelu, którego gospodyni dawna jeszcze żyła. Przedstawiam się jej w czterdziści kilka lat po Ludwiku Filipie, i proszę o mieszkanie. Poznała z mowy mojej, że jestem cudzoziemcem, zmierzyla okiem i poprowadziła na pierwsze piętro do małego pokoiku, którego ściany żółtym wylepione papierem kontrastowały nieco z łóżkiem, niebieską koryną zastoniętą, i z czterema taburetkami wypłowiałym zielonym aksamitem powleczone. — »To podobno w pani domu stawał niegdyś

król Francuzki?« zapytałem.—»Tak jest panie, a co więcej, że w téjże saméj stancyi.« Przekonała mnie ta odpowiedź, iż gospodyni podobne o fortunę nas obudwóch powzięła wyobrażenie. — »Pani się zapewne nie spodziewała, że skromny lokator téj stancyi będzie kiedyś siedział na najpiękniejszym tronie świata?« mówilem dalej.— »Pewno że nie,« odpowiedziała pani H..., »ale któż też mógł przewidzieć, aby młodzieniec, kryjący wtedy nazwisko swe dla ubóstwa, był później, zostawszy starcem i królem, przymuszony ukrywać się przed ludem, który go wyniósł do tak świetnej potęgi.« — »Ale czyjaż w tém wina? Czy wszystko w téj stancyi pozostało jak dawniej?« zapytałem dalej. — »Wszystko, prócz tych obrazów, które młody jeden malarz francuzki zrobił przeszłego roku i prosił, abym je na pamiątkę zawiesiła w tym pokoju,« odpowiedziała gospodyni i wyszła, a ja nie mając nic lepszego do roboty, korzystałem z reszty dnia i przebiegałem kolejno obrazy. Przedstawiały one sceny historyczne z awanturczego życia Filipa. W najpierwszym występował Filip z ojcem Egalité w klubie patriotycznym z ogromnemi kokardami trójkolorowemi, potem jako oficer rzezypospolitéj francuzkiej, potem jako nauczyciel rachunków w Szwajcaryi pod nazwiskiem Chabot, jako podróżny w Laponii, jako książę in partibus na dworze Ludwika XVIII. w Hofy-Rood, dalej Filip podczas restauracyi z Lafayetteem i Lafitte, Filip wysiadający z całą swą familią z omnibusa przed Palais-Royal. Ostatni obraz wystawiał karetę jakąś dworską sześćcio-konną, poprzedzoną i otoczoną ze wszech stron licznym orszakiem adjutantów z kawaleryi. W karetce nikogo nie było widać. Nie mogłem odgadnąć, co ten obraz przedstawia. W cztery lata później widziałem w Paryżu podobną na pozór próżną karetę, przebiegającą w galopie pola Elizejskie.— »Co to było?« zapytałem przebudzającego się jegomości. — »To był król,« odpowiedziano mi. Teraz dopiero pojąłem, że obraz francuzkiego malarza w Drontheim i zdanie staréj gospodyni, były wyobrażeniem jednéj i téj saméj smutnéj prawdy.

Drontheim komunikuje z Hamersted i Kapem północnym za pomocą statku parowego, przechodzącego pomiędzy wyspami Nordlandyi i Finmarku, a zatrzymującego się dzień jeden w Santors, a dwa w Tromsoe. Nie jest ten statek dziełem spekulacyi handlowéj, ale raczéj dobrodziejstwem ze

strony rządu, który go własnym utrzymuje kosztem: cena przewozu nie wystarcza bowiem nawet na zapłacenie węgla. Nieskończone korzyści spływają jednak z tego sposobu komunikacyjnego dla ludności północnej Norwegii. Archipel północny, złożony z mnóstwa rozproszonych wysp i przylądków, z ludnością bardzo rzadko na nich rozsiadną, nie miał przedtém, prócz słabych łodzi rybackich, żadnego innego sposobu komunikacyjnego. Nieobecność rybaków, mgły i nawałnice zatrzymywały podróżnego dni kilka, a czasem i tyleż tygodni, na jednym miejscu; podróż z Drontheim do Kapu trwała przynajmniej dni pięćdziesiąt, i pomimo niewypowiedzianych niewygód kosztowała do 140 talarów. Teraz w ośm dni za piątą część téj ceny najwygodniej można dojechać z starej stolicy Norwegii do ostatniego punktu stałego lądu Europy, tam gdzie słońce w lecie przez piętnaście dni nigdy nie zachodzi. Uroczysty był to dzień dla mieszkańców Norwegii, kiedy »Książę Gustaw« po pierwszy raz zawiąnął do golfu. Pomimo wiatru przeciwnego, pomimo nawałnicy, pruf dzielny parostatek fale morskie i zbliżał się nieustraszony do celu swego. Leżał on i teraz w porcie i gotował się do nocnej podróży. Zazdrośném spoglądałem na passażerów okiem; pałałem żądzą zwiedzenia tych okolic biegunowych tak nieodstępnych, ale przypominałem sobie, że podróż taka nie zubożyłaby wiadomości mych o tyle, o ileby nadwężyła kasę; zresztą mówiłem sobie: »Nie wielka to zasługa jeździć do bieguna w wykwintnym salonie, w wygodnym łóżku, przy stole zastawionym dobrami winami, to każdy potrafi kto ma pieniądze; chowajmy się na niebezpieczniejsze wyprawy. Wzgardziłem tedy biegunem północnym, jak lis winogronami, i postanowiłem wynagrodzić sobie tę wstrzeźliwość wycieczką w siedziby Lapończyków. Widziałem wprowadzić już i w Bergen kilku Lapończyków przyswojonych i chowanych w domach jako ciekawość, tak jak w Londynie i Paryżu chowają Negrów; ale indywidua te straciły już znaczną część charakteru narodowego i nie zaspokoili mej ciekawości. Dr. Dryverson posiadał parę doskonałych koników góralskich, i dał się łatwo namówić do téj wycieczki, zaręczając mi, że od dawna pragnął przedsięwziąć coś podobnego. Przygotowania trwały dwa dni. Doktor wystarał się o dostateczną ilość fuzyj, futer i psów. Przytém nie zapomniano wina i chleba, a szcze-

gólniej wódki, tytoniu i zabawek małej wartości, któremi najłatwiej można okupić sobie względy Laponczyków. Dwóch innych młodych ludzi, oficer od strzelców i kupiec, przyłączyli się w osobnych sankach do naszego towarzystwa.

Wyruszyliśmy w drogę dnia 21. lutego. Dążyliśmy najprzód do Lewanger, miasta leżącego o 10 mil na północ, prawie na końcu golfu, łąmiącego się pod kątem prostym w porcie Drontheimskim. Droga prowadzi najprzód przez most drewniany rzucony na rzece Nid, która przegradza miasto od przedmieścia dość znacznego, potem przez pole zabudowane pięknymi willami, dalej ciągnie się wzdłuż skalistych brzegów golfu. Od prawej strony odgraniczały widokramy ponure góry, z których niektóre wyskakiwały z swego pasma i spuszczały się w wody zatoki. Wdrapaliśmy się na niektóre z tych gór ścigając za zwierzyną; widok z nich jest prawie przerażający smętnością: skały pokryte grubą warstwą śniegu, drzewa chylące się pod ciężarem gałęzi wyglądających jak ramiona kościo-trupa; mgły wlejące się ociężałe po dolinach; jedna tylko zatoka lśniła się jak zwierciadło pomiędzy wysokimi brzegami; mnóstwo mniejszych ramion tej zatoki wkracza tu i owdzie w skały i formują mniejsze lub większe jeziora, z których każde ma swego właściciela, swą chatkę i łódkę; tu rybak nie potrzebuje się lękać ani burzy, ani fali, pod zasłoną skał łowi sobie ryby i nie traci z oka dymu chatki swojej.

Szczególne zjawiska, owe długie i wąskie ramiona wkraczające w stały ląd Norwegii, Gwałtowność fali morskiej nie mogła utorować im drogi w twardą skałę, wszystkie bowiem łąmią się pod kątem prostym. Nie mogą także pochodzić z przedarcia się rzek do morza, bo góry norwesknie nie mogły nigdy wydać tyle wody i strumieni, ileby potrzeba było na stworzenie podobnych przerw w skale. Teorya wulkaniczna prędzej wytlómaczyłaby zdołała formację tych golfów.

Wieczorem stanęliśmy w dolinie Stoerdal, która niegdyś była świadkiem bardzo pamiętnych czynów bohaterskich. Jeden z nich szczególnie wart wspomnienia. W wojnie przeciw Krystyanowi IV. Gustaw Adolf, król szwedzki, wysłał generała swego Munk-horen do Szkocyi dla werbunku żołnierza; wrócił on r. 1612. z trzema tysiącami Szkotów, i wylądował z nich 900 pod dowództwem pułkownika

Sinclair, w Roemsdal, dając mu rozkaz złączenia się z Szwedami, a sam ciągnął dalej ku północy i wylądował w Stoerdal. Sinclair zmierzał ku Gulbrandsdal, niszczył i pustoszył kraj, a zaniedbywał brać z sobą zakładników z okolic, które przebiegał. To go zgubiło; chłopci bowiem oburzeni uzbroili się i przysięgli w liczbie 300 na jego zgubę. Szkoci musieli przechodzić z jednej doliny do drugiej przez cieśninę, ciągnącą się pomiędzy szeregiem głębokich przepaści a spadzistym wałem wysokich skał. Tam na szczycie tych skał ukryci w jaskiniach i za głazami, oczekiwali chłopci norwegscy Sinclaira, który nie obawiając się niczego, wpadł w zasadzkę i dopiero smutną prawdę poznał, kiedy głazy, stoczone z szczytu skał, całe kolumny hufca jego zgruchotały. Próżną była obrona, rzeź trwała dwie godziny, i tylko dwóch Szkotów uszło z porażki. Zaraz na początku legł Sinclair. Wieśniaczka jedna wiedziała, że mu towarzyszy na koniu młoda i piękna żona; tknięta litością chciała ratować życie i posłała na miejsce zasadzki swego narzeczonego, zapewniając go, że życie młodej kobiety będzie ceną jej ręki. Poszedł ów wieśniak i już nie wrócił: legł z ręki żony Sinclaira, która nie wiedząc, w jakim celu do niej się zbliża, wzięta go za nieprzyjaciela i zabiła wystrzałem z pistoletu; sama zaś w przepaść się rzuciła. Wieśniacy wzniesli na placu boju grobowy pomnik i wryli na nim następujące słowa: „Tu leży pułkownik Jerzy Sinclair z swemi 900 Szkotami, zgruchotani jak próżne garnki przez 300 norweskich wieśniaków pod dowództwem Bendona Segelstad, dnia 16. czerwca 1612. r.“

Szczegóły te opowiadał nam wieśniak, właściciel gaardu w którym stanęliśmy, z taką dumą, jak gdyby sam brał udział w tej akcji. Oficer młody zaręczał sam z żalem, że nawet świątli ludzie w Norwegii polegają w obronie kraju za nadto na duchu ludu i na pozycyi naturą obronnej, i że nie oddają sprawiedliwości wyższej taktyce żołnierza uczonego.

Drugiego dnia rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Tenże sam nawet widok skał nagich i szarego nieba towarzyszył nam jeszcze kilka godzin, ale po południu zmieniły się sceny. Skały ustępowały, niebo się rozjaśniło, a porządne gaardy i budynki gospodarskie, stajnie napełnione bydłem, ogrody, wygodne drogi krzyżujące gościniec, mosty i ko-

ściołki dowodziły, że kraj ten musi być żyznym i dobrze uprawnym. Istotnie znajdowaliśmy się w jednej z najszczęśliwszych okolic Norwegii, obfitującej we wszelkie urodzaje, w tak nazwaną spizarni Drontheimu. Wieczorem stanęliśmy w Lewanger. Miasto to, 700 mieszkańców mające, zabudowane na kształt wsi wielkiej: każdy dom stoi w pośrodku ogrodu i pola, ulice nie są brukowane, dwa kościołki, jeden z drzewa a drugi murywany, stoją na dwóch końcach miasta. Lewanger leży nad jedną odnogą golfu Drontheimskiego i jest miastem dość handlowym; tu bowiem Szwedzi zamieniają własne produkty, to jest żelazo, miedź, łój, skóry, zwierzynę, na towary kolonialne przychodzące z Drontheim i rozwożą je później po całej północnej Szwecyi. Handel i rolnictwo zwały nadto do miasteczka dobry byt i wesołość, nawet pewien rodzaj wykwińności. Spoczęliśmy tu dzień jeden; odwiedzaliśmy znajomych obywateli, którzy nas przyjmowali z tą szczerą radością i gościnnością, o jakiej nawet wyobrażenia nie mają mieszkańcy tak zwanego ucywilizowanego świata. W domach największa czystość i wygoda, salony ciepłe, całe podłogi wyłożone skórą renów, a czasem i niedźwiedzi; wszędzie mała biblioteczka, kilka dobrych fuzyj, piękne szkła, porcelany i srebra. I tu znów musieliśmy być na reprezentacyi w teatrze amatorskim, gdzie etykieta dozwala palić tytuń i zmusza do picia ponczu, który tutaj za tak niezbędnie potrzebnym do zachowania życia jest uważany, że wazy nigdy nie znikają ze stołów. Lapończycy przybywają tutaj bardzo często na owych długich łyżwach, które *skie* nazywają. Widziałem ich całą rodzinę zjeżdżającą z szczytów zmarzłych gór z szybkością błyskawicy; ojciec ciągnął za sobą dzieci i towary na małych sankach, a kobiety szorowały po śniegu jako widma jakie; zapytane od nas: po co przybywają do miasta? odpowiedziały z dobroduszną melancholią: »sprzedać skóry i zamarzę ćwiartki renów, kupić wódki i tytoniu, żebrać i upić się.«

Towarzystwo nasze powiększyło się w Lewanger dwoma osobami: deputowanym panem Gelson i kapitanem jedynym w odstawce. Zabraliśmy z sobą namiot z skór renów, konie wierzchowe i wyruszyli w dalszą podróż ku góróm. Droga była okropna! sanie już staczały się nad

przepaściami, już to darły się na spadziste góry. Zimno, śnieg i wiatr dokuczały nam pomimo futer i psów, któreśmy jako kaloryfery z sobą na nogach wozili, pomimo ponczu ciepłego, który każdy miał z sobą w małej beczuszeczce. Co chwila trzeba było wysiadać i przytwierdziwszy liny do sanek, przytrzymywać je z tyłu, żeby nie wpadły w przepaść; aż nareszcie wieczorem stanęliśmy w gaardzie ostatniego górala, mieszkającego na samej granicy kraju wzgardzonego od ludzi, kraju, w którym człowiek żyć nie może, a Lapończyk żyć musi. Zastaliśmy górala z swą rodziną przy czytaniu biblii; widząc nas wchodzących, skończył rozdział, wstał i prosił, abyśmy usiedli koło ogniska. Prosiłszy go, aby nam przewodniczył w wyszukaniu Lapończyków; rzecz ta nie zawsze łatwa, ponieważ koczujący ten naród zbiera swe mizerne szałas, opuszcza stanowiska, skoro tylko reny spożyją mech, a potem idzie szukać innego stanowiska. Gospodarz obiecał nam towarzyszyć, a my tymczasem ogrzawszy się, zajęli się rozbiciem namiotu nad sankami, i posiliwszy się pieczenią renu, usnęliśmy w sankach. Psy obudziły nas w nocy, z jęku ich poznaliśmy, że wilki muszą być w bliskości; zrywamy się i bierzemy do broni, wtém wystrzał dał się słyszeć tuż około nas. Góral przewidywał, że obecność nasza sprowadzi w nocy wilków, zaczął się tedy nie mówiąc nikomu za namiotem i sprzątnął z świata jednego z nieproszonych gości. Resztę nocy spędziliśmy spokojnie i zabrawszy namiot, naładowawszy go na dwa konie, posiliwszy się ciepłym mlekiem renów, puszczaamy się konno w dalszą podróż. Woźnice zostali przy sankach w gaardzie. Po niewypowiedzianych trudach, przebiegłszy dwie mile najbrzydszego kraju, spuszczaamy się nareszcie z grzbietu gór, odgraniczających dwa królestwa, w dolinę całą śniegiem zasypaną. Dochodzi nas gwar daleki wielu głosów, skręcamy na prawo i spostrzegamy w oddaleniu nie wielkie mrowisko jakieś, w którym się ruszały reny z rozłożystemi rogami, psy spędzające je do kupy i stworzenia jakieś małe dość do ludzi podobne. Był to istotnie ród Lapończyków, którzy spostrzegłszy nas, wyruszyli na nasze spotkanie z krzykiem i gwarem. Lapończyk, szef swego trybu, starzec, którego rzadka biała broda dziwnie odbijała od brunatnej brudnej twarzy, zbliżył się ku nam,

i nieznanym jakimś językiem i gestami wymównemi zapraszał do swego szałas wyniesionego nad inne. Weszliśmy do niego; nie okropniejszego jak owe nory, w których gnieźdzą się te biedne istoty ludzkie. Szałas, zbudowany z chrustu, pokryty grubym płótnem i grubą warstwą grubego zmarzłego śniegu, był tak niskim, że tylko siedzący zostać w nim można było. Na kamieniu w środku palił się ogień, nad nim wisiał kocioł żelazny, dym wydierał się przez wejście i dziurę w dachu. Przy ogniu siedziało kilka kobiet kręcących nici z żył renów, w jednym kącie stały naczynia służące do roboty sera i masła, w innym kącie leżała jakaś nieforemna kupa czegoś co się ruszało. Były to psy leżące na pół tuzinie dzieci różnego wieku i ogrzewające je swym ciałem. Nagie, trzęsące się od zimna, brudne i wychudłe te dzieci wyciągały ku nam ręce, nie opuszczając swęj pościeli. Okropny widok! ścisnąć serce i najtwardszego człowieka; potrzebaż Boże, żeby istoty, na twój obraz i podobieństwo stworzone, w takim zostawały poniżeniu? Ale można powiedzieć, że Laponczyk stworzony na obraz Boga? Czoło niskie, oczy małe żółto-czarniawe, zaledwie wyglądające z po za powiek przelupanych ukosem i nie porośniętych rzęsami, wysokie kości malaria, szerokie usta, broda i wargi zaledwie kilkunastu pojedynczymi włosami obrosłe, skóra brunatno-śniada, wyczuwająca nie miły bardzo zapach, pół piątej stopy wzrostu, nogi koślawe, oto obraz Laponczyka. Ubiór noszą zastosowany do piękności ciała: skóry renów obrócone szerścią do gołego ciała, przepaska z jaskrawej krajki nad biodrami, długie czarne włosy spadają jak postronki z pod pstręj krymki na barki, spodnie z niewyprawnych skór ubierają nogi, a sandały, czasem i buty odziewają stopy. Na piersiach noszą worek płócienny, a w ten worek kładą wszystkie ruchomości, to jest: pieniądze, tytuń, łyżkę, igły, nici, krzesiwo, wódkę i żywność. Kobiety ubierają się jak mężczyźni, z tą tylko różnicą, że spodnie ich dochodzą tylko do kolan, zostawiając resztę nogi nagą (co nie bardzo wodzi w pokuszenie), a zamiast krymki noszą na głowie rodzaj czepka z fontaziem czerwonym, wyglądającym jak grzebień koguci. W budzie, którą zwiedziliśmy, znajdowała się młoda Laponka, najpiękniej-

sza w całym rodzie. Skoro nas zobaczyła, wyciągnęła szmatkę jakąś z worka, i z pośpiechem okręciła nią szyję. Była to chusteczka, pstra i jaskrawych kolorów, wyglądająca przy reszcie skórzannego ubioru jak kwiatek na kozuchu. »Proszę, i tu w Laponii kokieterya!« mówię do siebie, i chcąc się czémśiśkolwiek wywdzięczyć za wzbudzone uczucia i dobre intencje, podałem młodej damie butelkę z gorzałką. Trzeba było widzieć serdeczny uśmiech od ucha do ucha, jaki mnie wynagrodził za me znalezienie się stosowne, trzeba było widzieć, z jaką lubością lub usta połykały kartoflany nektar. Ale ojciec rzuca się na córkę, pasuje z nią jak wściekły i wyrwa jej butelkę, w żołądek zaś własny ojcowski chłonie całe półkwarty i mruczając z roskoszy, jak kot w grzbiet głaskany, zasypia.

Z tego zaśnieńcia naszego gospodarza umiał natychmiast korzystać inny jakiś obywatel Lapoński, młodszy wiekiem, prosząc nas z niewypowiedzianą uprzejmością, abyśmy jego szalas zwiedzili. Wylazimy tedy z naszego noru, pożegnawszy się z gospodarzami, a mianowicie z młodą Laponką, która się do nas czy też może tylko do naszych butelek ani na chwilę umizgać nie przestała, i przedarłszy się przez stado liczne reniferów i przez las rogów zdobiących głowy tak samea jak samicy, stajemy przecież obok siedziby naszego nowego gospodarza, wystającej po nad powierzchnią ziemi na półtora łokcia najwięcej, tak jak kopiec kartofli. Pakujemy się tedy do mieszkania uszczęśliwionego Lapończyka: jeden z nas wchodzi głową naprzód, drugi zaś włazi nogami.

Bardzo było ciemno w tym norze, adym gryzący w oczy jeszcze więcej oślepiął. Jednak spostrzegam obok ogniska jakąś Laponkę niepodeszłą z dziecięciem wielkiem jak kocie przy piersiach, spostrzegam także dość wielki garnek, w którym się coś czarnego gotuje, ale to coś się rusza, coby to być mogło? Przybliżam się, oczy wytrzymuję i rozeznaję, Boże wielki! zlituj się! rozeznaję żywe dziecko gotujące się w owym garnku. Zgrozą przejęty wyciągam te żywą sztukę mięsa za uszy z wody już prawie gorącej, ale dzieciak w bek, koniecznie chce wrócić do garnka, gdzie mu tak wygodnie było, i o to też proszą czuli rodzice, utrzymując, że nie masz nic lepszego dla zdrowia a smaczniej-

szego na rosół, jak taka ciepła kąpiel w garnku, w którym jednocześnie gotował się kawał renifera.

Zwinne było młode Laponiátko, choć nadzwyczaj drobne; podczas swéj wycieczki z rosółu w powietrze wykradło panu Dryverson butelkę wódki z kieszeni. Trzeba było widzieć, jak nasz czarny aniołek chętnie wrócił do kąpeli, jak tam odkorkował butelkę i do niej się przyczepił! Ani mu jéj można było oderwać od czarnego buziaka, nurka dał wrosół, ale butelki od gęby nie popuścił. Laponiátko to liczyło już blisko trzy lata, a małe było jak u nas niemowlę, ważyło najwięcej funtów 16. Ta karłowatość Lapończyków jest rzeczą bardzo dziwną, zdaje się bowiem, że pierwotnie pokolenie to, dziś wzgardzone i upadłe, wyrównywało wzrostem wszystkim innym rasom ludzkim. Ópieram to moje zdanie zresztą na zjawisku dziwniejszem jeszcze jak karłowatość Lapończyków, oto na olbrzymach, którzy się czasem pomiędzy niemi wyradzają i nadzwyczaj wysokiego dochodzą wzrostu. Kat bergeński (trzeba bowiem wiedzieć, że wszyscy mistrze szubienicznych obrzędów są Lapończykami w Norwegii), kat bergeński, mówię, wzrostem góruje nad wszystkich delikwentów i słynie z siły. W Drontheim pokazywano za pieniądze osmnastoletnią Laponkę z szwedzkiej Laponii, olbrzymim wzrostem przechodzącą siedm stóp i półtora cali. We Francyi nie widziałem nigdy tak wysokiego Tambur-Mażora; kaprysy te przyrody może się dlatego tylko tak często pomiędzy Lapończykami wydarzają, że natura zawsze pragnie odzyskać swe dawne prawa i powracać do pierwotnych typów.

Ale pomimo karłowatości wzrostu, Lapończycy siłę mają nadwyzajnie wielką: noszą tak wielkie ciężary, jakie nawet Norman dźwignąć nie potrafi; wytrwali są na wszystkie niesłychane niedogodności, z któremi ciągle walczyć muszą z zimnem, słotami i gorącem, które w północnych nawet strefach Norwegii podczas letniej pory tak śniesłychanie dokucza ludziom i bydłu, jak podczas zimy najcięższe mrozy i śloty. Owszem śmiertelność zawsze jest większą w lecie, jak w zimie. Podczas zimy Lapończycy oddają krajowi ważne usługi. Oni to prowadzą kupców z Tromsøe, Hammerfestu i z całej północnej Norwegii i Szwecyi przez Kantahaino aż do Tornea, i zamarzłym golfem Botnijskim wiozą ich aż do Sztokolmu. Tylko Lapończyk umie się oryentować

na tych łańach śnieżnych bez granic, na których mi drogi wskazać nie może, bo całe lasy leżą pogrążone pod śniegiem, i szybki renifer, ubiegający do 18 mil geograficznych na dobę, ciągnie sanki po nad szczytami najwyższych sosien śniegiem zasypanych. Tylko jeden Lapończyk w stanie jest opanować renifera; zwierzę to bowiem, choć na pozór łagodne i w gruncie serca bardzo szlachetne, nie jest bez kaprysów. Nie raz i ono, widząc się tyrańsko traktowanem, zwróci się na woźnicę, wspina na tylne racie, a przednimi nielitościwie młóci po głowie swego pana. I najlepiej żadnego wtenczas nie stawiać oporu, tylko głowę zanurzyć w futrzanej czapce i znieść cały gniew renifera, który wywarłszy go w ten dość oryginalny sposób, zapomina dawniej krzywdy i wraca w świecie do porządku. Gwiazdami się kierując Lapończyk, znajduje drogę w tej śnieżnej Saharze, którą nazywają Laponią. Lecz gdy zawierucha śnieżna zaśnie niebo, wówczas i Lapończyk nie pomoże, wówczas trzeba zakopać się w śniegu i przeczekać złą porę. I reny zakopują się także; nikt wystawić sobie nie może, jak wygodnie w tém białem czystem łożu, w którym od zimna łatwo uchronić się można futrami.

Dla Lapończyka renifer jest wszystkiem we wszystkiem. On mu nie jednego zarobi bitego talara, wożąc kupców do Sztokolmu; on go karmi swym nabiałem i mięsem, skóry służą mu za ubranie, ścięgi za nici, kości i nogi za materiał do wyrabiania tysiąca potrzebnych rzeczy, fajek, piszczałek, okładzin do noży, zaś skóra z racie służy mu za tanią i bardzo praktyczną pończochę.

Tak jak Laponia dzieli się na górną i leśną, tak też i Lapończyków jest dwa rodzaje: górni i leśni. Ostatni więcej posiadają oświaty, stale osiadają na gruncie z swemi renami, doją je w lecie i wyrabiają sery. Renifery pozostają wówczas w kupie, potrzebują wówczas pomocy człowieka: w lecie bowiem komary, muchy, bąki, kleszcze i podobne owady, tak okropnie tym zwierzętom dokuczają, że tylko pomoc ludzka mianowicie dym palącego są torfu, ochronić je może od téj plagi. Ale w sierpniu, gdy w zimniejszym powietrzu pozdychają owady, renifery zaczynają czuć potrzebę wolności i rozchodzą się w puszcze. Ale za sześć tygodni wracają do swych panów, ani jednego nie braknie, i wówczas Lapończyk z swemi renami chroni się na zimę w głę-

bie lasów pokrywających stopy gór i tam się spotyka z swym bratem górnym Lapończykiem, który z szczytu gór zstępuje do lasów, by tu przezimować. W czasie kiedy reny wolno się pasą po błoniach, górach i puszczech, leśny Lapończyk zatrudnia się polowaniem i rybołówstwem. Raz łodzią przebiega jeziora i zatoki i sieci zapuszcza, drugi raz strzela i łapie ptaki na lep i na sidła i na łapki. Doskonale strzela Lapończyk z swęj nędznej rusznicy, małe zabija ptaszki kulą w lot. A tysiąc mają sposobów łapania ptaków. I tak na przykład: owe kaczki zwane drzewnemi, które na drzewach w wydrążeniach jajka składają, aktórych jest miliony letnią porą w Laponii, Lapończyk łapie tuzinami na dzień w pniu umyślnie nasadzone a tak urządzone, że rękę w wydrążenie włożyć może. Dropiów także mnóstwo nałapie Lapończyk podczas parzenia się na sidła. Lapończyk leśny jest i nieskończenie szczęśliwszym i nieskończenie oświećszym, i bez żadnego porównania ochędoźniejszym od Lapończyka górnego. Lapończyk leśny podczas lata przedziwnie się bawi i nikomu nie potrzebuje zazdrościć, żywi się wybornemi rybami, jarząbkami, kwiczołami, dropiami, derkaczami, głuszcami, a co nie zje, to sprzedać każe, i za takowe pieniądze kupuje sobie miedziane kotły, srebrne łyżki i puhary, porządne naczynia do fabrykacyi serów, i, tegoby nikt nie zgadł, tak wykwintne i dobrze zrobione suknie, jak rzadko gdzie na świecie zobaczysz, chyba w Andaluzyi lub u nas w Krakowskiem. I starannie się umywa i czesze Lapończyk leśny, czego Lapończyk górny nigdy nie robi. Laponki leśne cerę mają zdrową i gdyby nie spłaszczony nos, wystające kości policzkowe, ukosem wycięte oczki, i buziak od ucha do ucha, toby dalibóg wcale nie źle wyglądały.

Ale to wszystko nie stosuje się do biednego Lapończyka górnego, do tego w najokropniejszej nędzy i w poniżeniu zwierzęcém zostającego, w brudzie bezprzykładnym wegetującego rubactwem—jedzonego człowieka.

Pijaństwo i niczém nieprzewycięzone próżniactwo jest charakterem ogólnym Lapończyków górnych, ale przytém posiadają jednakowoż cnoty, jakich zazwyczaj pijacy i próżniacy nie posiadają. Lapończyk żony swęj nie bije, nigdy nie skłamię dla oszukania, zawsze jest łagodnym i wdzięcznym za każdą wyświadczoną łaskę, a usłużnym do tego stopnia, że wtenczas własnej zapomina gnuśności. Bogoboj-

nym nawet jest i nabożnym bardzo, chociaż chrystyanizm przez niego niedoskonale pojęty, nie zapomina jednakże w zewnętrznych przynajmniej obrządkach dopełniać powinności dobrowolnie zaciągniętych. Ale choć czci Chrystusa nie odmawia także części dawnym swym bożkom, szczególnie bożkowi piorunu i łowów, bogini śmierci,—a co najlepsza jakiejś bogini największe składają hołdy, i to ceremoniami nie bardzo się zgadzają z duchem chrystyanizmu, i z skromnością protestancką. Obecny byłem ceremonii chrztu odbytej w chatce lapońskiej: odbyła się cała częścią na kłęczkach, częścią leżący, bo stać nie można było, przytém psy pogryzły się z panem kantorem assystującym pastorowi.

Biedny pastor lapoński, to pewno najnieszczęśliwsza istota w całej Laponii. Mieszka odosobniony od świata ucywillizowanego, jak w oazie jakiej w pośród puszczy, w Kantokaino. Żadnego tam drzewa, żadnego krzaku, nie jak nagie skały, sapy, trzęsawiska i otchłanie; przytém proszę sobie wystawić zimno, które czasem do 40 stopni dochodzi. To też i wszyscy pastory wysyłani przez rząd szwedzki do Kantokaino za lat kilka rozum tracą i w obłąd wpadają. Prócz stałego pastora, jest jeszcze jeden objeżdżający, a obowiązki tego z własnej woli i bezpłatnie przyjął człowiek bardzo znamienity i wysokiego szacunku godzien. Baron Niels Stokfleth, niegdyś kapitan gwardyi duńskiej i kawaler Dannebrogga, a od lat już kilkunastu pastor, całkiem oddany pięknej missyi nawracania gratis Lapończyków do chrystyanizmu. Mówią, że poświęcenia nie masz u protestantów: pan Stokfleth zadaje kłamstwo takiemu twierdzeniu.

Przedtém Lapończycy słynęli u prostego ludu jako czaroksięźnicy, umieli fabrykować dobre i złe pogody, a żeglarze nabywali u nich dobrego wiatru. Nie jeden z tych czarowników lapońskich został ściętym lub spalonym za handlowanie wiatrem i pogodą, jeszcze w połowie tamtego stulecia, kiedy tak chętnie wytaczano processa przeciw czaroksięźnikom. Do dziś dnia zabobonni ludzie utrzymują, że Lapończyk potrafi urzec jeżeli zechce i sprowadzi choroby na ludzi i na bydło. Sami także Lapończycy noszą amulety przeciw czarom, tak jak Portugalczycy lub Włosi. Pogański bałwochwalczy obrządek odbywał się u Lapończyków na skalistych puszczech, w obec szumiącej kaskady, zastępującej głos organów przy ich śpiewie. Wiele się zajmujemy Lapończy-

kami, bo to ród, kraj swój zimny, niewdzięczny serdecznie kochający, bo to resztki plemienia dziś zwyciężonego, ale niegdyś potężnego, i teraz jeszcze z ważnych i pięknych cnót nie odartego.

Lapończyk zaprawdę nie jest jeszcze niezdolnym do przyjęcia wyższego stopnia cywilizacji. Niektórzy porzucili życie koczujące, wzięli się do rzemiosł i zostali do bremini cieślami okrętowymi i majtkami. Ale największa część ma wstręt do dolin i życia stałego, i koczuje w nieurodzajnych górach, trudni się chowem renów, żywi się nimi i ich produktami. Liczba ich ogólna zmniejsza się wprawdzie, ale dochodzi zawsze do 12 tysięcy, z których mniejsza połowa należy do Norwegii, a reszta do Szwecyi i Rossyi. Język Lapończyków różni się zupełnie od Norweskiego i Szwedzkiego, a nawet bardzo mało ma styczności z językiem Fińczyków, z którym to rodem Lapończycy wcale nie są spokrewnieni. Językiem Lapończyków nie można jeszcze pisać, nie masz bowiem liter oddających pewne głosy im tylko właściwe. Mniemanie jest historyków, że ród ten jest znikczemniałym szczątkiem jednej z tych azyatyckich hord, które przeszły razem z Attylą i Hunnami do Europy; podlegają także chorobom noszącym charakter wschodni, a szczególnie zapaleniu ócz egipskiemu i leprze azyatyckiej. Kretynizm nie zdarza się pomiędzy nimi.

Lapończyk umierający z nędzy w swych górach, mógłby się wyżywić łatwo, gdyby chciał sprzedać swe reny i osiedlić się w dolinie. Każdy ojciec rodziny posiada przynajmniej 300 reniferów, to jest wartości 900 talarów; cztery familie norwesknie żyjące wygodnie nie posiadają często tyle. Ale Lapończyk woli ginąć z nędzy i w brudzie w swych ukochanych siedzibach, niż korzystać z darów cywilizacji; nie odwiedza dolin, tylko dwa razy do roku, i upiwszy się i wytrzeźwiwszy, wraca znów czém prędzej tém lepiej do swych nagich gór, pędząc w swobodzie życie zwierzęce od dnia do dnia. Tylko ubogi Lapończyk taki, który żadnego nie posiada stada renów, osiada w dolinach, pracuje póki nie zarobi kilkuset talarów, a zarobiwszy je, najczęściej wraca w góry. Zkąd pochodzi to przywiązanie do gór niepojęte? czy jest ono skutkiem odrazy, jaką Lapończyk wzbudza w ludziach do swego ro-

du nienależących? odraza ta wprawdzie istnieje, w wysokim nawet stopniu na nieszczęście: nikt z tym poniżonym ludem nie chce wchodzić w styczności, a jednakże zdaje się, że zamięłowanie Lapończyka w nędznym ale swobodnym bycie pochodzi z innych przyczyn, bo zdarzały się przypadki, że Lapończycy, mieszkający w krajach dalekich, gdzie przesąd ten przeciwko nim nie doszedł, jednakże wracali do ojczyzny. W r. 1792. pan Vivrette, prezydent parlamentu w Dijon, wziął z sobą młodą Laponkę do Francji i wydał ją za zamożnego rzemieślnika, z którym bardzo szczęśliwie żyła; po śmierci jednakże tegoż, zamieniwszy majątek na pieniądze, powróciła do Laponii doić renifery i żuć tytuń. Toż samo zrobili z bogaciwszy się młodzi Lapończycy, których pan Bullok wziął z sobą do Anglii. Zwolennicy teorii przyczyn finalnych utrzymują, że przywiązanie nadzwyczajne Lapończyka do ojczyzny jest koniecznym potrzebnie do zadosyćuczynienia woli opatrności, która dlatego stworzyła Lapończyka i renifera, żeby szczyty gór norweskich, któremi inni ludzie gardzą, od nich były zaludnione. Objaśnienie podobne nie zadowolni nikogo, człowiek bowiem nie jest stworzony, żeby był owadem ziemi, tylko ziemia jest stworzoną, żeby była mieszkaniem ludzi.

Deputowany norwegi będący w naszym towarzystwie zaręczał mi, że storting zajmuje się bardzo często losem tej poniżonej części ludu norweskiego, ale upartość Lapończyków niweczy wszystkie zamiary. Posyłano do nich ludzi znanych z światła i poświęcenia, aby ich uczyli stawiać chatki porządniejsze, przyzwyczajali do ochędostwa i pracy i nauczali czytać i pisać. Lapończycy, ażeby się pozbyć reformatorów, zwijali obozy i uciekali w góry należące do Szwecji. Tym samym manewrem uwalniają się od płacenia podatku. Storting nie śmie uciekać się do energicznych środków w propagowaniu cywilizacji, bo się obawia rządu szwedzkiego, który korzystając z sposobności dogodzenia swój zawiści, niezawodnieby krzychał: »Ot widzicie republikanów, jak szanują wolność człowieka, patrzcie jak cywilizują świat baguetem.« Słowem krzychanoby tak jak krzyczą Anglicy na Francję za to, że chce oddać cywilizacji kraj niezmierny, wydarty jej przez dzikie hordy fanatycznych Arabów.

Obdarzyliśmy tak hojnie obóz cały wódką, tytuniem i zabawkami, że Lapończycy, chcąc się pokazać wdzięcznymi, powierzyli nam tajemnicę, która nas największą przejęła radością. Szło tu o nic innego, jak o polowanie na niedźwiedzie. Wiadomo, że niedźwiedź w zimie wpada w odrętwienie i że wtenczas pozostaje w swęj jaskini nie jedząc przez kilka miesięcy. Pomimo przeczności, z jaką niedźwiedzie wybierają sobie kryjówki, udało się Lapończykom wysledzić jaskinię, w której leżał niedźwiedź i samica, ale nie śmieli jeszcze wypowiedzieć im wojny i czekali końca marca i większego osłabienia tych zwierząt. Góral nasz przewidywał coś podobnego i spoiwszy kilku Lapończyków, wybadał z nich tajemnicę; nareszcie wszyscy widząc, ile nam tém zrobią radości, obiecali nazajutrz rano wskazać miejsce i wziąć udział w polowaniu. Góral nasz przygotował wszystko co było potrzeba. Noc przepędziliśmy pod namiotem z naszymi psami; poczciwy Boston tulił się do mnie z przyjaźnią i lizał mnie po twarzy, może przeczuwał, że to ostatnia noc jego życia. Nazajutrz równo z świtem wstajemy i, każdy z fuzją i smyczą od psa w rękę, zmierzamy ku jaskini odległej o małą milę, ale w tak niedostępnej dolinie, że tylko za pomocą lin, haków i drabin można się było do niej dobrać. Zeszliśmy nareszcie wszyscy i psy spuścili po smyczach. Jaskinia wydrążona była w jednej z skał najwięcej niedostępnych, otwór znajdował się w szczelinie i był prawie całkowicie przykryty ogromnym głazem, który widać ostrożni mieszkańcy czworo-nożni sami tam zawlekli, żeby tém lepiej ukryć się przed oczyma niedyskretnych gości. Obstawiono trzy boki doliny strzelcami, czwarty był zagrodzony tak spadzistemi skałami, że niedźwiedź nawet wdrapać się na nie nie mógł.

Góral odwaliwszy za pomocą kilku odważniejszych Lapończyków kamień z otworu jaskini, wprowadził w nią petardę na długiej żerdzi, która weszła w jaskinię na głębokość trzech łokci przynajmniej, a potem, odgarnąwszy śnieg, zapalił końce dwóch nitek siarkowych komunikację mających z petardą. Teraz oddalił się na swe stanowisko, a my czekaliśmy w milczeniu minut kilka. Grzmot okropny, a wkrótce potem ryk przeraźliwy dał się słyszeć, wypada z jaskini czarna jakaś niewyraźna postać, ryczy, trzęsie się, przeciera łapami oczy, pada na ziemię, znów suwa naprzód,

zostawiając na śniegu ślady krwi lejącej się ze łba, ranionego skorupą petardy. Była to niedźwiedzica zaślepiona wściekłością. Wpada na górala, który ją raz wystrzałem i zasłania się piką, cofa się zwierz i otrzymuje drugą ranę z broni oficera; wtem wysuwa się drugi niedźwiedź: zamiast ratować się ucieczką, biegnie bronić swój połowicy, którą tym czasem mdlejącą psy trzymają w obrotach. Biedne pieski, choć waleczne i zacięte, nie mogą się oprzeć siłom nieprzyjaciela rozjuszonego wystrzałami, wyją i skowyczą pod jego pazurami i martwe padają na śniegu. Tu nasz deputowany, chcąc koniec położyć walce, wypada ze swego stanowiska, zbliża się do zwierzka o 50 kroków, strzela do niego i powala na ziemię; ale niedźwiedź dobywa ostatnich sił, podnosi się i wpada na wroga już tryumfującego; puszczone znów nową sforę psów, żeby wstrzymać grożący impet; góral przypada z piką, niedźwiedź podnosi się i bieży ku wyniesionej broni, wspina się na tylne łapy i wbija na pikę, a ja tymczasem z doktorem dobiegamy i zwyczajem lekarzy jednomyślni w celach, choć nie w sposobach, przytykamy jeden fuzyę do serca, drugi do łba, i kurujemy niedźwiedzia z wszystkich chorób, jakie miał i mógł mieć na przyszłość. Samica legła wkrótce potem pod ciosami drugiej partyi. Czterech psów przypląciło życiem naszą krwawą zabawę, a pomiędzy nimi i mój biedny Boston. W jaskini, do której posłaliśmy małego Laponczyka, leżał młody niedźwiadek zaduszony prochem, drugi, skaleczony nieco skorupą od petardy, dowlóknął się do otworu i to mu życie uratowało; wziąłem go czule w mą opiekę, opatrzyłem ranę, zawinałem w futro i postanowiłem zastąpić wykurowanego ojca. Na placu boju święciliśmy nasz tryumf: zrobiono z gałęzi ogień ogromny i upieczono przy nim połędwice jednej z naszych ofiar, które choć nie z największego rodzaju i nie bardzo już tłuste, ważyły każda do 300 funtów. Nie brakło naszej uczcie wesołości, którą tylko tłumiała obawa, żeby konie czekające nas na drodze do gaardu nie zmarzły.

Wieczorem stanęliśmy u górala naszego, a nazajutrz po południu w Lewanger, gdzie nam było bardzo przyjemnie wyspać się w wygodnym łóżku po tyłu wycierpianych znojach. Deputowany zatrzymał nas drugiego dnia gwałtem prawie na objad, który wydał *in gratiam* nowo-

przybyłej guwernantki angielskiej. W Norwegii język angielski należy tyle do edukacyi młodzieży, ile na starym kontynencie francuzki; ale mniej na tém cierpi ojezysty język jak w pewnych krajach, gdzie znajomość języka francuzkiego służy często za barometr dobrej edukacyi, a częściej jeszcze za wygodny płaszczyk dla miernej. Norwegczycy przenoszą język angielski nad francuzki; przyczyna tego leży w samym charakterze Norwegczyków: prości, otwarci, dobroduszni, ale cokolwiek ociężałej wyobraźni, nie znają jeszcze potrzeby tego nieporównanego giętkiego języka, którym nie tylko można dobitnie wystowić co się czuje i myśli, ale nawet wygodnie i bez wszelkich ogródek wymyślonych można wyrazić więcej, niż się śmie powiedzieć, zaręczyć więcej niż się chce dotrzymać, i uniknąć tego prozaicznego zwyczaju być łapanym za słówko, nieznośnego ludziom dobrego tonu, zakochanym, a nawet i ludziom traktującym konwersacyę salonową, nie jako ciężką dysputę naukową, ale jako miłą zabawę, odbijającą jak w zwierciadle przechodnia wrażenia, natchnienia i myśli chwilowe. Przytém duński ma tyle powinowactwa z angielskim językiem, że duch pierwszego nie traci na przywłaszczeniu sobie niektórych słów i zwrotów angielskich, pochodzących z źródła germańskiego i skandynawskiego; nie jest to pożyczka, ale raczej przywrócenie sobie dawniej własności. Ale wróćmy do naszego objadu. Towarzystwo było liczne; oprócz Angielki nie było innej damy; żona i dwie córki gospodarza nie siadły nawet do stołu, ale zwyczajem norweskim krzątały się około biesiadujących, wpadały z butelkami, gdzie się tylko próżna pokazała szklanka, i nagliły do jedzenia z taką serdeczną gościnnością, iż mi żal było, żem zapomniał przywieźć z sobą żołądków wszystkich mych krewnych i przyjaciół. Mnie posadzono tuż przy Angielce, która mi z wielką grzecznością zaręczała, że daleko lepiej będę mówił po angielsku jak przepędzę z pół roku w Anglii; komplement, którego spodziewam się nie można bez zarumienienia przyjąć. Prócz win najwyborniejszych, była tu i zupa żółwia, i pieczeń z renifera, i ostrzygi, raki, ptastwo dzikie, ryby, ananasy, sosy z Indyów Wschodnich, słowem wszystko, co dowcip człowieka znalazł i wymyślił dobrego dla języka swego. „Nie spodziewałem się,“ mówię do go-

spodarza, „znaleźć u trybuna skromnej Norwegii, stół godny Lukulla.«—»Dziękuję za komplement,« odpowie mi gospodarz, „ale pochlebiam sobie, że Lukullus nigdy tego nie miał na stole, co pan dzisiaj u mnie zobaczysz. Chociaż zdaje się, że królestwo zwierzęce wysłało nam tutaj reprezentantów z wszystkich klas, jakie posiada, miałeś pan tutaj insekta (sos indyjski robi się z pewnego gatunku mrówek), krustacee, molluski, amfibie, ryby, ptaki i zwierzęta czworo-nożne. Ale jeszcze czegoś brakuje, zgadnij pan!«—»To chyba kwadrumanów, małp?« rzekłem zdziwiony. „Ale gdzie tam! któżby jadł małpy? to za chude,« odpowie gospodarz, i dał znak służącej, która stawia na stół półmisek, a na nim, okropny widok! ośm rąk ludzkich ściskających się nawzajem z największą serdecznością, w żółtym jakimś sosie. Zbladłem, zimny pot mnie oblał, Angielka krzyknęła jęklwym głosem i zemdlała, a całe towarzystwo parsknęło szatańskim śmiechem i śmiało się do rozpuku. Podstępni! Dawno już rachowali na nasz przestrah i cieszyli się z sprawionego na nas wrażenia. »O the cannibals,« krzyknęła nareszcie dotrzeźwiona octem i wódką kolońską Angielka; »they will eat me also, I am sure.« Miała rację obawiać się biedna osoba, bo choć sama chuda, rączki miała apetyczne, nie chude i nie małe. Owe ręce ludzkie, były to łapy ubitych przez nas niedźwiedzi, ale tak podobne do rąk ludzkich z koloru i postaci, że sam Buffon mógłby się być omylić, szerególniej, że żartobliwy gospodarz kazał ozdobić pierścionkami straszłą tę potrawę. Łapy niedźwiedzia pieką się w gorącym popiele razem ze skórą, którą po upieczeniu można ściągnąć wraz z paznogciami jak rękawiczkę, zostaje wtenczas mała łapa z palcami prawie tak długimi jak ludzkie. Ambicya przezwyziężyła u mnie wstyd: wziąłem się do potrawy, a skosztowawszy żałowałem, że niedźwiedź ma tylko cztery tak dobrych łap. Nie tak biedna Angielka; żart ten był za mocny na jej słabe nerwy i żołądek sentymentalny.

Powracając do Drontheim, zboczyliśmy ku wschodowi dla zwiedzenia pola bitwy pod Stiklerstad, wławionej zgonem św. Olafa. Dnia 31. sierpnia r. 1130. o godzinie 3. z południa, w chwili, kiedy wieśniacy ze wszech stron otoczyli hufiec najezdników, św. Olaf rachując więcej na niebo, niż na świętość swęj sprawy, usiłował cudem się wy-

bawić z przykrego położenia. Słońce się zaćmiło nagle i pograżyło plac boju w nieprzejrzaną ciemność. Ale wieśniacy nie dali się tém zaćmieniem ustraszyć i pilnowali wejścia, czekając spokojnie końca cudu. Ciemność ustąpiła nareszcie, lud uderzył na króla i śmiercią jego zakończył krwawą walkę. Pamiętne to miejsce oznaczono w bardzo dawnym czasie skromnym pomnikiem, który dziś jeszcze oglądać można. Żaden na nim napis nie wpływa na przekonanie. Mileżenia tego nie umieli ani pojąć, ani naśladować nowo-cześni dziejopisarze. Towarzystwo starożytności Kopenhąskie postawiło tu jemu pomnik i na nim kazało wyryć następujące słowa: »Bogobojny król Olaf, nawracający przez 17 lat naród swój do chrześcijaństwa, legł na tém miejscu z ręki swego zbuntowanego ludu.« Pobjowisko Stiklestadu odwiedził w r. 1835. (dnia 31. sierpnia), zmarły niedawno król Szwecyi i Norwegii Karol-Jan. Towarzyszył mu liczny orszak wieśniaków i wieśniaczek, witający go serdecznemi okrzyki. Król postępował w tłoku i prosił stojących mu w drodze: »aby ustąpili ojcu.« Stał na małym wzgórzu, otoczony potomkami tych samych bohaterów, którzy właśnie w tym samym czasie, lecz przed ośmiu wiekami, zwalczyli jego poprzednika.

Król miał głęboko uczuć solenność tej wielkiej chwili. Z rozrzewnioną twarzą prosił miejscowego pastora, starszka ośmdziesięcio-letniego, o błogosławieństwo, a potem zwrócił się ku zgromadzonemu ludowi i zawołał wyciągając ku niemu ramiona: »Niech żyją waleczne moje dzieci norweskic!« Wrażenie było ogólne, lud się aż do łez rzewnych poruszył. Pomiedzy licznemi świadkami rozczulającej tej sceny nie było może ani jednego, któryby się był zasmucił inném wspomnieniem, czepiającem się jak wampir pamięci Karola-Jana.

Król Karol-Jan umiał sobie zyskać miłość u Norwegów w wyższym stopniu jak u Szwedów, którzy go częściej widzieli.

Cnoty prywatne Karola-Jana i wdzięczność, jaką mu nieszkodliwość jego polityczna u ludu zjednała, nie tłumażą jeszcze uniesienia, z którym go w Norwegii przyjmowano. Gdzież szukać jego przyczyn? oto w wspólnej wszystkim ludom ciekawości, we wdzięczności za każdą reprezentacyę bezpłatną, w wrodzonej szczególniejszemu ludom pro-

testanckim potrzebie tworzenia sobie efemerycznych bóstw z ludzi.

W krajach katolickich, przyrodzone wszystkim ludziom usposobienie do adoracyi zwróciło się prawie wyłącznie na religię; tu lud w rzewnej, a częstokroć do najwyższej egzaltacyi serca i giestu posuniętej czci Boga, pozbywa się naturalnie tego zbytku tkliwości, która ciąży na nim niewiedomie, jak płyn elektryczny; ale też z drugiej strony, pomimo swęj żywości, rzadko wychodzi w cześci, królom, bohaterom, lub nawet swym oswobodzicielom oddawanęj, z granic pewnego godnego umiarkowania. W krajach protestanckich lud nie posiada tego samego ściągacza (konduktora) tkliwości; tu człowiek nie korzy się przed Bogiem w prochu, żadnym zewnętrznym hołdem nie wyjawia głębokiej skruchy serca i modli się zwykłą sobie poważną flegmą. Ale też niechno się w Anglii, Holandyi i Niemczech zjawia jaki nadzwyczajny człowiek, naprzykład jaki śpiewak, pianista, baletnik, ekwilibrzysta, brzuchomówca, potentat lub szermierz, długo tłumiona potrzeba ubóstwiania wyjawia się wtenczas w kształcie szału; massy się elektryzują, mężczyźni zaprzęgają do wozów tryumfalnych, starcy skaczą z radości, a kobiety rzewne łzy wylewają i mdleją z tkliwości. Biada wtenczas cudzoziemcowi nie dzielącemu ogólnego wzruszenia!

Dwunastego dnia podróży wróciliśmy w mury, a raczej pomiędzy belki Drontheimu, gdzie kapitan mnie z utęsknieniem wyglądał. Wszyscy byliśmy zadowolnieni z wycieczki i z nowych zobopólnych związków przyjaźni, tak łatwo się kojarzącej pomiędzy ludźmi otwartemi; a ja szczególnie uradowany byłem nowo zdobytym towarzyszem podróży, który się prawie zupełnie z ran wylizał. Mówię o niedźwiedziu... Ulokowałem go u siebie za piecem, gdzie w bezustannym prawie letargu pogrążony, wypoczywał sobie po okropnej katastrofie, której był winien zamianę życia dzikiego na życie godne stulecia, w jakim przyszedł na świat. Na nieszczęście, mój towarzysz nie posiadał daru podobania się méj gospodyni; przedstawiłem go w domu pod nazwiskiem przybraném jako psa, ufając w słabość wzroku pani Homberg, ale wąż go zdradził i w bardzo złą wprawił reputacyę. Skoro się tylko utwierdziła w swęj opinii za pomocą staręj jakiejs panny,

znającą się doskonale na historii naturalnej, przyszła z krzykiem i gniewem protestować przeciwko memu nadużyciu praw gościnności, i oświadczyć mi wręcz, że nie pojmuje, jak śmiałem sprofanować przytułek nieszczęśliwego księcia zakładaniem w nim menażeryi.

Próżne były me reklamacye i przedstawienia: musiałem oddalić nieszczęsnego towarzysza na okręt i dalsze jego wychowanie powierzyć sternikowi; gospodyni zaś, chcąc zapewne przywrócić dawną świętość méj stancyi, wykadziła ją królewskiem pachnidłem tak mocno, że, nieprzyzwyczajony do podobnej atmosfery, mocnego dostał bólu głowy. W cztery lata później, także w miesiącu marcu, w pożarze, który pochłonął większą część miasta, zgorzał i dom pani Homberg. Nieboraczka, nie miała pociechy skończyć życia pod dachem, z którego tyle była dumną.

ROZDZIAŁ IX.

BISKUP DRONTHEIMSKI.—RZEŹBIARZ WŁOSKI.—ŻONA JEGO.—
PUSTELNIK.—PRZYTUŁEK JEGO.—KRAJOBRAZ WZBUDZAJĄCY
TĘSKNE WSPOMNIENIA.—KAPLICA.—OBLĄKANIE.—MONOMA-
NIA.—KURACYE.—WYCIECZKI.—FORTEL.—ŻYJĄCA NIEBOSZ-
CZKA.—LIMFATYCZKA.—GALATEA ZNAJDUJE SWEGO PYGMALIO-
NA.—KURACYA DOKONANA.

Pomiędzy pacyentami mojemu w Drontheim znajdował się jeden zasługujący na bliższe poznanie się z nim.

Pewnego poranku zaprosił mnie biskup drontheimski do siebie. W salonie obszernym, czystym, gustownie i wygodnie ale bez przepychu przybranym, zastałem prałata, człowieka w średnim wieku. Twarz jego pogodna, pełna roztropności i zdrowia, witała mnie przyjacielskim uśmiechem z po za olbrzymiej wazy ponczu, i wyglądała jak słońce wschodzące na gładkie morza zwierciadło. Pani biskupowa, żwawa i ładna jeszcze, piła kawę i cerowała ogromną pończochę jedwabną fioletowego koloru; panna biskupówna przygrywała sobie na harfie i topiła niebieskie oczy w wielkim pięknym obrazie, przedstawiającym Rebekę z dzbankiem w ręku, i przed nią Jakóba. Na podłodze, ciepłym kobiercem okrytej, igrało z pół tuzina biskupiątek i wywracało sobie kozły, ale z pewną uroczystością, jak przystoi na biskupie dzieci. Taki obraz szczęścia familijnego znalazłem u prymasa kościoła Norwegii. Najprzewielebniejszy ksiądz prosił abym usiadł, i kazał mi wypić ze trzy szklanki ponczu, wypytyjąc mnie tymczasem o to i owo, nareszcie rzekł: »Im więcej jestem przejętym przykrością pańskiego położenia, tém więcej mam nadziei, że się litować będziesz nad bliźniami w podobnej tobie znajdującymi się sytuacji. Otóż mamy w naszym mieście Włocha rzeźbiarza bardzo zdanego, a zarazem stawiacza pieców. Zarabia so-

bie on na bardzo dobre utrzymanie, a dobrém sprawowaniem się ujął sobie serca wszystkich obywateli. Pośepny i ponury, choć zawsze łagodny i usłużny, rzadko tylko dawał znaki owęj południowcom przyrodzonej żywości, która ich tyle od nas różni. Jedyną prawie osobą mogącą go zająć żywiej była młoda dziewczyna, córka ubogich rodziców. Pokochał się w niej i łożywszy z wielką szcudroblivością na wykształcenie jej przez rok cały, poślubił nareszcie. Zadwoleństwo zdawało się wstępować w zboliałe serce cudzoziemca i pośepność ustępować wyrazowi szczęścia.

»Ale niestety! przemijającym był ów blask radości; nieporozumienia wdaryły się w życie domowe, a potem i rozterki. Młoda żona, ciągle łagodna, dobra i roztropna, cierpiała wiele na zmianie humoru męża, który zrazu wpadł w zwykłą mu przed ślubem pośepność, a potem stał się drażliwym i zupełnie dziwnym. Smutek jego przybierał często gwałtowność niczem nieukojonęj rozpacz, jak gdyby był wzniecany ciągle zgryzotami sumienia i przypomnieniem wielkiej jakiejś winy. W tej walce zapamiętałej, którą wzburzone uczucia wydawały rozumowi, słabnąc zaczęły szybko jego siły; biedny cudzoziemiec wpadł w obłąkanie momentalne, które coraz częstsze i głębsze, zatrulo nareszcie jedyne źródło nadziei, która mu pozostała: miłość tak czysta i pełna poświęcenia, przemieniła się w niepojęty wstręt ku żonie, kobiecie pełnej anielskiej łagodności, charakteru i spokojności umysłu. Wstręt ten doszedł nadzwyczajnego stopnia; trwoga brała męża na widok żony, padał na kolana kiedy ją niespodzianie zobaczył, błagał, aby się na jego duszy nie mściła, i uciekał przed nią, jak przed upiorem. Z urodzeniem syna znikły ostatnie iskry rozumu ojca. Opuścił dom i obrał sobie mieszkanie w spustoszałej kaplicy, stojącej za miastem; tam, zdaleka od żony, odzyskał znów część spokojności i oddał się pracy, ale często jeszcze całe dni trawi na modłach i płaczu. Tknięty smutnym położeniem żony, wcale nie wiedzącej jak sobie ma wytłómaczyć wstręt, który ogarnął męża, dokładałem wszelkiego starania, aby pogodzić z nią biednego grzesznika i zwrócić go na drogę powinności, ale usiłowania moje daremne; Włoch zdaje się już zapominał naszego języka, odpowiadał mi w niezrozumiałym dla mnie włoskim języku, a na wspomnienie żony zrywa się jak wściekły i wpada w szal i trwogę.

W tój chwili do cierpień duszy przyłączyły się jeszcze cierpienia ciała, skutki niewygód i zimna, na jakie w spustoszałym wystawiony jest mieszkaniu. Pan nam tu przybyłes jak gdybyś z nieba spadł umyślnie. Mówisz po włosku, jesteś lekarzem, będziesz umiał niezawodnie zyskać zaufanie biednego Gerutti, przejąć się położeniem jego, wejść w tegoż ukryte powody, a może nawet wzniecić ostatnie iskry znikającego rozumu.« Tak mówił prałat, a ja, choć mało miałem nadziei w ciemnym tym labiryncie wynaleźć nitkę wiodącą do prawdy, nie śmiałem jednakże odmówić żadnej pomocy, pomny, że lekarza powinnością nie tylko jest działać dobroczynnie na konstytucyę ciała, ale także i poskromić burze duszy.

Zaprowadzono mnie do przytułku pustelnika, do stariej kaplicy, leżącej z pół mili za południową częścią miasta, tam gdzie zaga mówi, iż Hakon Yarl z własnego syna krwawą przyniósł ofiarę Odino wi. Miejsce odpowiadało dzikiemu czynowi: było to skaliste wzgórze, wystawione zewsząd na tumany śniegów i gradów, pędzone od wyjących północy wiatrów. Ale katolicyzm, chcąc miejsce to przekłete pogodzić z Bogiem, wznosił na niem pięć wieków temu ołtarz i zabezpieczył go od burz i wichrów piękną, silnie zbudowaną kaplicą. Tu się dawniej katolicy schodzili, aby przebłagać niebo za występki swych przodków. Protestantom nie było wygodnie drapać się po skałach dla modlenia się za siebie samych, opuścili kaplicę, potłukwszy posągom ręce i nosy i wyniosłszy z niej naczynia święte. Mury, dotąd jeszcze silne, oparły się wpływowi powietrza i zniszczeniu ludzi; kształt zewnętrzny pozostał w pierwotnej swiej czystości i przedstawiał pięknie zaokrągloną kopułę, wspartą czterema w kwadrat ustawionemi ścianami; z południa wejście ozdobne kolumnadą. Struktura ta miała dla mnie wdzięk niepojęty; przypomniła mi dawny cel częstych spacerów do kaplicy ś. Anny pod Pinczowem, wzniesionej w podobnym guście na podobnej górze, przedzielonej także głębokim wąwozem od innej wznoszącej się od zachodu. I ztąd także widok na snującą się wężem rzekę, której przypadkiem tylko końcowej zgłoski brakowało, aby się nazywała Nidą. Raz wzruszona temi przypadkowemi podobieństwami wyobraźnia, rozpięta swe skrzydło i biegła szybkością u czuć niedościgłych myślami ku przeszłości, a mą du-

sze unosila w krainę słodkich marzeń, i przeobrażała otaczający mię świat w kształty zacierające się już w mej pamięci, choć dawniej tak dobrze znane. Tak imaginacja nie raz przenika niewierną człowieka skołatanego pamięć, wskrzesza ją jak cudem i wydiera zapomnieniu sceny, do których wierniejsze od pamięci uczucie tak chętnie się zwraca. Wstrzymał się nieubłagany czas w swym biegu i cofnął o lat sześć, a ja się ujrzałem raz jeszcze w kraju rodzinnym; znikło mi z oczu morze bielące się gęstą szumowiną, a jego miejsce zajęły piaski odgraniczające widokrag mego miasteczka od strony Krakowa; gruzy katedry drontheimskiej i cmentarz otaczający go, przemieniły się w klasztor Norbertanek i w ogród klasztorny, do którego, swawolne dziecko, tak często przekradałem się, aby zerwać jaki kwiatek i podrażnić się z jaką zakonnicką; tam w owym budynku poznałem szkołę wojewódzką i usłyszałem nawet dźwięk dzwonka, zwołującego nas z objęć Morfeusza na ławki szkolne; a ów stary spróchniały dąb odżył jeszcze raz w mej wyobraźni w kształcie powabnym owej pięknej gruszy, z pod której oko troskliwe matki ścigało mnie przebiegającego góry. A nawet, o nieba! te biedne drzewa, śniegiem i szronem okryte, wystrzeliły nagle w górę, pokryły się świeżem jak łzy rosy liście, niebieskim jak błękit nieba kwiatem; a zapach jego czarujący owionął mnie słodkimi wspomnieniami i wyrwał jeszcze raz łzę pożegnania dla ciebie o pierwsza i jedyna bogini mych gorących, choć nieśmiałych hołdów, któraś raju tego była aniołem. I was zoczyłem wszystkich, towarzysze wesołych zabaw, widziałem was wszystkich zgromadzonych razem.

Kto wie, jak długo jeszcze ciało byłoby pozwoliło duszy błąkać się w krainie marzeń, kiedy nareszcie szmer jakiś i głos ludzki wyrwały mnie z dumań.

Słowa: »Anch'egli non e felice,« wydobywające się z westchnieniem jak gdyby z głębi serca, przekonały mnie, że od pewnego czasu miałem świadka mych dumań. Obracam się i postrzegam, nie mogłem wątpić o tém, w osobie obserwującej mnie, Włocha, do którego zmierzałem. Twarz jego blada, wywiedła, porośla czarną brodą, wyrażała głęboki smutek i zmartwienie; w oczach dużych ciemnosiwych malował się ból, trwoga i obłąkanie. Spuścił je, skorom na niego wejrzał. »Nie bój się, przyjaciela masz

przed sobą, « rzekłem mu po włosku. Pewnoby nie potrafił nigdy opisać wrażenia, jakie słowa te sprawiły na nowym mym znajomym, prawdziwie lękałem się o jego skutki. Gerutti posiąść się nie mógł z radości; odwykły od słyszenia mowy włoskiej, wziął mnie za swego rodaka, a ja pierwszy raz przez litość dla pacyenta zrobiłem chwilowe poświęcenie z dumy mej narodowej i nie wywiódłem go z błędu. Staralem się wszelkimi sposobami zyskać zaufanie pustelnika, kierowałem rozmowę jak mogłem najzręczniejsz i najostrożniejsz; poznałem wkrótce, że uczucie tęsknoty do ojczyzny było w nim bardzo żywe; do niego zwracając myśl cudzoziemca, w tkiwe, solenne, lubo spokojne wprawiłem go rozrzewnienie. Przed śniegiem schroniliśmy się do kaplicy (do której pierwszy raz pozwolił wejść od czasu, jak ją sobie wyporządził). Był to przybytek dziwnego ródzaju: szczeliny murów rozpekniętych pozatykane słomą; na podłodze kilka pomników grobowych w robocie, widać że obstalowane były u rzeźbiarza; mury poubierane w trupie główki i kosteczki, kurtyna jakaś czarna zasłaniała ołtarz; zresztą sprzęty najpotrzebniejsze, łóżko i piec bardzo zręcznie postawiony, wyobrażający urnę grobową. «Kiedyż masz nadzieję ujrzania znów ojczyzny?» zapytałem Włocha. — «Nigdy, nie jestem tego godzien, jestem zbrodniarzem i już za życia pokutować powinienbym w grobie,» odpowiedział błędąc i potrząsając głową, jak gdyby resztki snu od siebie odganiał, i natychmiast zerwał się, ukląkł przed wspomnianą zastoną i modlił się w wielkiem uniesieniu. Ostrożnie i zwolna usiłowałem wymódcz na grzeszniku wyznanie winy, za którą tak srodze postanowił sam siebie karać, ale napróżno; unikał téj rozmowy z oczywistym wstrętem, i dawał odpowiedzi, nie mające żadnego sensu. Na końcu wizyty zagadnałem go niby nawiasowo, czy jest żonatym? spojrzał mi bystro, chytrze i trwożliwie w oczy, zadrział i bełkocząc mówił, nie spuszcżając mnie z oka: «Kto mówi że ja żonaty? przecież moja żona nie żyje, nigdy nie żyła.» Potém trudno było ścigać w dalszych słowach myśli, gadał trzy po trzy, raz się uśmiechał, drugi raz płakał prawie; nareszcie jak gdyby się spostrzegł, że prawi od rzeczy, zapłonił się wstydem i uciekł za kurtynę, tam znów rzewnie się modlił. Poznałem, że w myśli o żonie

koncentrują się przyczyny obłąkania jego, i że to należy do gatunku chorób rozumu zwanego monomanią, gdzie jedna idea lub uczucie przekręcone, pociąga za sobą przekręcenie idei logicznie z nich wypływających lub uczuć im podwładnych. Szaleństwo Włocha nie zdawało mi się być trudnym do wyleczenia, choć dotąd o głębokości prawdziwych przyczyn domysły tylko robić mogłem; niefad jego duszy nie zatruł bowiem jeszcze serca, zostawił mu szlachetne uczucia, nie pozbawił go wstydu, a zatem pewnego stopnia wiedzy swego stanu. Przy tyłu nie potarganych jeszcze węzłach pomiędzy rozumem a uczuciem, udaje się bardzo często przywrócić zdrowie kompletne duszy cierpiącej.

Pożegnałem pacyenta, obiecawszy przysłać mu jeszcze tego wieczora lekarstwo uspokajające na kaszel i powrócić nazajutrz.

Oszczędzę czytelnikowi wywodnego opisu fortelów, któremi starałem sobie zjednać zaufanie pacyenta i wyłudzić z niego wyznanie owej winy trapiącej go tyle, owej idei skołowrociałej, którą ciągle tał przedemną, a której wpływ nieszczęsny ciążył mu na myśli i wprawiał w dość częste, ale nie gwałtowne paroksyzmy obłąkania, kończące się zawsze modlitwą bardzo rzewną. W kilka dni stan pacyenta polepszył się jednakże bardzo znacznie. Kaszel ustał, siły i odwaga zaczęły wracać, cień nawet rumieńca na zwiędłe wystąpił policzki. Namówiłem go do małych wycieczek i codziennie bliżej dochodziliśmy do miasta. Zaufanie wzbudzone w chorym doszło jednakże do pewnego tylko punktu, po za który dalej posunąć się nie chciało. Postanowiłem wydrzeć, czego dobrowolnie pozyskać nie mogłem. Postrzegłszy, że Gerutti drżał każdą razą, kiedym się zbliżał do kurtyny przedzielającej nawę kaplicy od jej chóru, umyśliłem zwiedzić tenże, pomimo woli i wiedzy Włocha, przy pierwszej sposobności, którą przyspieszyłem podstępem. Kazałem mu wziąć jednego poranka trzy razy większą dozis ulepkę usypiającego, znękałem go spacerem, a potem wróciwszy z nim do kaplicy, zapytałem się bez najmniejszej ogródki: kiedy wróci do domu, do swój żony? Włoch mój patrzył na mnie z trwogą, zaczął pleść głupstwa, narzekać na siebie, oskarżać się o najczarniejszą zbrodnię, a potem spostrzegłszy, w jakim jest stanie, uciekł za zasłonę i modlił się w niebogłoty. Ale egzaltacya nie do-

szła tą razą tak wysokiego stopnia jak zwykle, ani trwała długo, lekarstwo skutkowało: duszę pod niebo wzniesioną sen niezadługo ukołysał. Włoch usnął, a ja odchyliwszy zasłonę pocichutku, ujrzałem najprzód ołtarz z krucyfiksem, zupełnie odnowiony i ładnie ozdobiony, a przy nim grobowiec kamienny, na którym w włoskim języku wryte były następujące słowa: »Poświęcam pamięci Anny Małgorzaty Gamleman, żony Benedetego Gerutti.« Napis ten, otoczony należyłą liczbą trupich główek, pieszczeli na krzyż położonych, aniołków płaczących nad urnami i tym podobnemi godłami śmierci i żalu, zasłoniętym był w połowie draperyą z krepy czarnej. Pod grobowcem na stopniach ołtarza chrapał mąż oplakujący śmierć żyjącej swej żony.

»Masz tam tedy!« rzekłem sobie w duszy; »otoż, zamiast rozwiązania zagadki, w nagrodę za me trudy i niedyskretności, znalazłem tylko nowe zawikłanie. Oto małżonek stawiający mauzoleum żonie, o której życiu i zdrowiu przekonać się może każdej chwili; to niesłychane! Czy istotnie wierzy, że nie żyje? czy też gorące życzenie widzenia ją na tamtym świecie wpaja mu chęć wierzenia, że nie żyje? Otóż pytanie. Ale postępujmy ostrożnie i logicznie, jak wypada w podobnym razie. Może ona istotnie nie żyje? Idźmy najprzód sprawdzić istność zakwestyonowanej osoby.«

Taki powziąwszy zamiar, spuściłem kurtynę, wyszedłem z kaplicy, zawarłszy za sobą jej wrota, i pobiegłem ku miastu, odszukać mieszkanie pani Gerutti.

Wskazano mi mieszkanie. Wchodzę, nie wiele się pytając, czy mnie nieboszcza przyjmie lub nie przyjmie.

Znajduję młodą kobietę, miłą z twarzy i z ustroju, choć bladą i niezmiernie powolną, a karmiącą swe dziecko nie ambrozyą, tylko zwyczajnie po ludzku pierśią. Ale istotnie kolor jej włosów tyle miał w sobie lnianej płowoci, oczy wielkie, niebieski tyle szklanej martwości, usta otwierające się i zamykające jak pięknie wykrojona klapka tyle zimnego mechanizmu, poruszenia zaś wszystkie tyle automatyczne, że wszystko razem okropnie mroziło i żem w pierwszej chwili, nabitą jeszcze mając wyobraźnię widokiem nagrobka, prawie wątpił, czy nie mam przed sobą jednego z utworów mechanicznej sztuki Spalanzanego, których opisem fantastyczny Hoffmann tyłu nastraszył Niemców.

»Jestem Doktorem, nazywam się tak a tak, może pani Jego Przewielebność Biskup o mnie wspominał.«

»Ah—tak ska di ta, for bro gode will.«

»Ah dzięki niech panu będą za jego dobre chęci,« odrzekł automat, nie wzniosłszy nawet oczu z ciekawości.—
»I cóż pana do mnie sprowadza?« dodał dalej, ani wstając, ani mnie okiem mierząc, tylko najspokojniej dziecko karmiąc.

»Stan męża pani« odpowiedziałem; »pani przecież wie, jaki rodzaj obłąkania cierpi, pani wie, że to *monomania*, którąby wyleczyć można, żeby tylko pani chciała zdobyć się na środki, żeby pani....«

»Mój panie, ja wszystko w świecie robiłam co tylko można, dla zniszczenia jego szafu, dla zwalczenia niedorzeczności czepiających się jego umysłu; ale dalibóg wszystko na próżno. Podawałam mu biblię, kiedy go widziałam miotanego rozpaczą, ale nadaremnie; śpiewaniem psalmów żal jego kołłam, ale nadaremnie. On sobie ubrdał, że ja nie żywa, i modlił się całymi godzinami przed mém łóżkiem gdy w niem spała, nawet się modlił gdy nie spała, lub nawet siedział na krześle. Nie wiedziałam z razu, co to znaczą takie hołdy mi oddawane, aż tu na raz jeden Gerutti żegna się krzyżem, gdy mnie zobaczy, i wodą mnie święconą bardzo hojnie pokrapia, nareszcie trumnę jakąś sprawia i mnie do niej kłaść chce koniecznie; ale tym razem ja na to nie zezwoliłam wcale i po mego ojca posłałam, który po dłuższej rozmowie z panem Gerutti poznał, że mnie mój mąż uważa za nieboszczkę. Bardzo mi niemiłe były takie objawienia, ale pomyślałam sobie, że mąż mój w bałwochwalstwie zrodzony, nigdy dobrego użytku z rozumu swego zrobić nie umiał i że ja jestem wybraną na jego ofiarę. Stan tymczasem jego ciągle się pogorszał. Jednego razu ujrzałam się obstawioną świecami gdy m się ze snu zbudziła; drugim razem kadził mnie trybularzem. Nareszcie znikł zupełnie i gdzieś poszedł do starożytniej kaplicy. Dwa czy trzy razy udałam się do niego, by go wrócić przecież do lepszych uczuć, ale on uciekał w góry lub wpadał w konwulsyę, tak, że ja uznałam, że lepiej będzie pędzić opodal od niego dni moje w nędzy i w zmartwieniu, i już mych wizyt nie powtarzałam.«

Oto dosłownie prawie co mi opowiadała Signora Gerutti, i ja już niczego więcej dowiedzieć się nie mogłem, choć w wszystkie najczulsze pukałem strony, jakie zdrzyć potrafią w sercu kobiety, choć powoływałem się do miłości, do wdzięczności, do litości nawet, jaką żona winna mężowi,—ale nadaremnie. Choć w rażących barwach wystawiałem jego położenie, aby tylko jedno wywołać wzruszenie, wszystko napróżno; prędzejby krzemień uderzony w pierzynę dał ognia, niżby dusza ta zatętniała rozczuleniem. W tej kobiecie serce tepe było jak otów, a dusza mdła jak mgła północy, ale zresztą cnotliwa, wierna, pełna anielskiej rezygnacyi, bogobojnością przesiąknięta od czepeca aż do pończochy, była owym ideałem dobroci, jak i sobie tworzą kwakrowie i metodyści, dywinizujący bezczucie i ową egzaltację religijną, która najczęściej jego jest podstawą.

Teraz zacząłem pojmować, dlaczego namiętny Włoch, szukający już na tej ziemi przedsmaku nieba, uważał żonę swą, która mu je dać mogła, a dać go nie chciała, raczej za anioła śmierci jak za życiodawczego geniusza.

Gdy tak dumiałem i nad-losem biednego pacjenta mego ubolewać musiałem, pani Gerutti spytała, czy już żadnego innego do niej nie mam interesu. Nie miałem innego interesu, ale to zimne zapytanie, wszczepiając w mój umysł jakąś dziwną żądę satysfakcyi, wzbudziło w nim nagle nowy pomysł, w chwili spółdzony, a do dobra najwięcej interesowanej osoby dążący.

„Ot tak, jeszcze inny mam interes,» odpowiedziałem; „chciałem się spytać, czybyś pani, mająca dosyć lokalu, nie przyjęła na kwaterę i stół człowieka w konwalescencyi będącego, opieki potrzebującego, a dobrze wychowanego i postawionego w możliwości pokazania się wdzięcznym.“

Nakłoniłem panią Gerutti do tego dobrego uczynku, i spieszę do portu, gdzie właśnie od dwóch dni stał okręt pana Schirmann, owego eleganckiego kapitana morskiego, który w porcie Lushaf'tyle nam przyjemnych chwil sprawił.

„Kapitanie Schirmann, musisz być lekarstwem w rękę lekarza, leczącego według starego systematu Hippokratesa *contraria contrariis*. Masz dwa tygodnie czasu do dokonania kuracyi: trupa zgalwanizuj i Włocha waryata wzbudź

do największej jaką Włoch uczuć może zazdrości.« Schirmannowi tylko właśnie tego brakło. Czasu miał dosyć, bo ładunek dopiero za trzy tygodnie mógł być sprowadzonym, a figlów się zachciewało zawsze. Stałe tedy, jako konwalescent, w domu bogobojnej pani Gerutti, karmi się kleikiem i psalmami przez pierwszy tydzień, przez drugi zaś pacierzem i spojrzzeniami, przez trzeci muzyką i modłami zmięcza i porywa w sfery nieznaną dumną limfatyczkę.

Gerutti z kądźcis się dowiaduje, co się w domu z nieboszczką żoną dzieje. Wpada jak szalony, gitarę tłucze na głowie rywala i sam na kolanach żebrze przebaczenia u swjej żony, rozwiniętej tymczasem do uznania, ważności uczuć ziemskich, wywołanej z płonnej flegmy do bardzo romantycznego usposobienia; a że zresztą pan Gerutti był bardzo przystojnym człowiekiem, więc się dało zlać uczucia, wskrzeszone przez kochanka, na męża.

Biskup strategii mej wyraźnie nie pochwalał; ale że był uszczęśliwionym jej dobrym wynikiem, to zaręczyć mogę sumiennie.

ROZDZIAŁ X.

PRYMAS NORWEGII.—UNIWERSYTET KRYSTYANII.—EGZAMINA.—
PLAN NAUK.—WYDZIAŁY.—SZKOŁA AGRONOMICZNA.—DUCH
NAUKOWY UCZNIÓW.—KSIĄŻKI.—PASTOROWIE.—FOLWARKI DLA
WDÓW.—ZAKŁAD DYAKONEK.—PODRÓŻ DO WIOSKI BISKUPA.—
SCENERYA.—PORÓWNANIE JEJ ZE SZWAJCARSKĄ.—ŁOSKOT.—
KATARAKTA WETTA.—WARTEL.—DALESCIDA.—JEDYNY BARON
NORWEGII.—DOM STAREGO PASTORA.—PRZYJĘCIE.—KOŚCIOŁEK
WIEJSKI.—ARCHITECTURA NORWEGSKA.—KUPNO KOŚCIOŁA.—
PAMIĄTKI NARODOWE.—FERDELSONEN.—GOSPODARSTWO WIEJ-
SKIE.

Częste me styczności z najprzewielebniejszym Janem Nordahl Bruun, biskupem Drontheimu i prymasem królestwa Norwegii (taki bowiem dostojny tytuł do miejsca tego przywiązany), rozmowy z uczonym tym i wielce doświadczoneym mężem, postawiły mnie w możności ocenienia charakteru najważniejszych korporacyj wchodzących w skład narodu, i osądzenia bezstronnego nie jednej instytucji rozumnego narodu Norwęgów. Podaję tu w krótkości najważniejsze wiadomości przyłożyć się mogące do poznania kraju tego.

Jedyny uniwersytet norwegijski, córka wszechniczy Kopenhagskiej, założonym został w Krystyanii w roku 1811. przez zmarłego w roku 1838. króla Danii (ówczesnego króla Danii i Norwegii) Fryderyka VI., pośród trudnych bardzo okoliczności, bo i wojna i bieda kraj nękały. Zaprowadzono w nim system francuzki inskrypcyj kwartalnych, kursów bezpłatnych i częstych egzaminacyj. Do wyższych inskrypcyj przypuszczeni jedynie uczniowie, którzy w egzaminach dowiedli, że z poprzedniej korzystali w sposób zadawalający. Uczeń ukończywszy gimnazyum i pragnący być wpisany w poczet obywateli rzeczypospolitej literackiej, winien złożyć próbę dojrzałości umysłowej przed tak nazwaną *examinatio artium*; wtenczas dopiero uzyskuje prawo uczęszczania na fakultet filozoficzny, w którym, jeżeli później chce sobie obrać zawód lekarski, prawny lub teologiczny, winien pozostać rok cały i złożyć egzamen na magistra filozofii. W wy-

dziale tym przygotowawczym wykładają retorykę, logikę, psychologię, ogólne zasady filozofii wraz z ich historią. Tak przysposobiony uczeń pojmie później w szczegółach nauk, wyższym wykładzie; przewodniczący duch filozoficzny teologii, prawodawstwa i nauce lekarskiej. Professorowie rzeczywiście mianowani po odbytych konkursie z pośród profesorów nadzwyczajnych lub honorowych a nie płatnych, otrzymują piękną płacę bo najmniej 8000 złp. rocznie, i wysoką używają powagi w towarzystwie. Storthing, chociaż po największej części z wieśniaków złożony i do skąpstwa w szafowaniu groszem publicznym skłonny, umie jednakże ocenić błogi wpływ zlewający się na kraj cały wychowaniem wyższem i takim szlachetnym postępowaniem odpowiada na zarzuty robione przez Anglię temu *chłopskiemu parlamentowi*, przewodniczącemu losom kraju. Ale uniwersytet posiada przytęm dobra ziemskie bardzo znaczne, zapisane mu, częścią przez dobrego króla Fryderyka VI. przez naród i przez obywateli prywatnych; temi dobrami opiekuje się senat uniwersytecki przez profesorów szkoły agronomicznej, z których każdy winien zwiedzić je raz w rok przynajmniej swym własnym kosztem i złożyć raport z swych odwiedzin objętości arkusza druku. Raport ten drukowany jest kosztem rządu w rocznikach szkoły agronomicznej i podany w osobnych odbitkach sądowi profesorów wyższych i wiejskich, i wszystkim sołtysom całego kraju. Uwielbiać tu należy duch mądrości przewodniczący działaniom tego narodu, tak ubogiego w środki a tak bogatego w pomysły.

Studenci nie mieszkają w osobnych gmachach czyli kolegiach, jak w Anglii, lecz zwyczajem studentów kontynentu w prywatnych domach, jak komu dogodniej. Władze zatem uniwersyteckie sprawowania ich moralnego kontrolować nie są w stanie; pomimo tego, instytucya kwartalnych inskrypcyj i bojaźń stracenia czasu, wstrzymuje uczniów od zaniedbywania się w naukach. W naukowości także uczniowie norwegscy dość wysoko stoją; ale, przymuszeni do ciągłej i codziennie zadawanej pracy, rzadziej dalekojak owa *mała część wybranych z pośród uczniów niemieckich i francuzkich*, wznoszą się do wyższych sfer uzdolnienia umysłowego, któremu przewodniczy raczej *genialność* i własnej woli wybór; jak przymus. Uczeń norwęski *tem* się najwięcej różni od uczniów uniwersyteckich całego kontynentu, że nie szuka

żadnej chwały z zwalczenia wstydu, na którym się opierają od początku świata aż do dnia dzisiejszego pojęcia o moralności.

Uczniów w uniwersytecie Krystyanii jest przeszło 600, z których 160 na lekarzy się sposobiających. Za 1200 złp. uczeń może się cały rok bardzo dobrze utrzymać w uniwersytecie. Koszta inskrypcyj i egzaminów wynoszą w przecięciu 180 złp. rocznie, mieszkanie i stół kosztuje 600 złp. na dziesięć miesięcy; książki są nadzwyczaj tanie w tym poczytnym kraju, w którym ludzie piszą jeszcze dla zaszczytu posiadania tytułu autora, zagrzani nadzieją, że tym tytułem zdobędą prawo do wdzięczności narodu. Biblioteka uniwersytecka zawiera już 150,000 tomów i ciągle się powiększa. Teolog uzyskawszy tytuł kandydata, uzyskuje z łatwością posadę nauczyciela prywatnego, lub urząd nauczyciela wiejskiego, nawet wikarego w parafii, której pastor stary lub słabowity. Gdy się gdzie otworzy miejsce na pastora, wówczas zjeżdżają się kandydaci i przedstawiają w kościele na ambonie parafianom i ci decydują, a nie rząd, ani kollator;— tych ani zna Norwegia. Gdy pastor jaki wybrany zostanie na reprezentanta, a to się często zdarza, wówczas udając się do stortingu musi osadzić w miejsce swe kandydata jako zastępcę i płacić go z własnej kieszeni.

W ogólności pastorowie dobrze są płatni, nigdy nie otrzymują mniej jak 300 talarów bitych Norwegii (taki talar wynosi 9 złp.). Każda parafia posiada swój folwarczek, służący za przytułek wdowie po pastarze i jego sierotom.

W trzech głównych miastach Norwegii: w Drontheim, Bergen i Krystyanii, znajdują się zakłady zwane *diakoniczne* dla osierociałych córek pastorskich. Utrzymywane są te zakłady funduszem zbieranym małym podatkiem rozłożonym na pastorów, składkami dobrowolnemi pobieranemi raz w rok w Zielone Świątki w kościołach, wsparciami od rządu udzielanemi czasem, nareszcie zapisami zostawionemi przez dobroczynne osoby. Do tych zakładów, urządzonych na sposób klasztorny, wstęp mają wszystkie sieroty pastorów od roku 15go; w nich pobierają nauki udzielane przez starsze siostry (tym bowiem nazywają się tytułem), ztąd wychodzą na gubernantki, w razie gdy ich zapotrzebują familie jakie zacne, lub też idą za mąż, co się najczęściej zdarza.

W domu Dyakonek w Drontheim było takich panien 38. Najstarsza miała lat pięćdziesiąt kilka, najmłodsza piętnaście. Komitet rządzący składał się z siedmiu panien, z których jedna niekoniecznie najstarsza, ale przez komitet wybrana, zasiadała jako ksieni z fioletową wstążką i z kosztownym złotym krzyżem na piersiach. Ksienią tym razem była osoba, zaledwie dwudziesto-dwu-letnia, ale tak anielska, spokojna i tak nadobnie poważna, że nie można było patrzeć na nią bez zachwycenia i poszanowania. Panna Mary Hardam Genson, przełożona Dyakonatu, pójdzie za dobrego mego przyjaciela Dra Dryverson, jak się tylko rok jej urzędowania zakończy.

Dygnitarze kościoła Norwegii nie są płatni w stosunku wysokich tytułów, które posiadają Biskup Drontheimski, prymas Norwegii, pobiera zaledwie 11.000 złp. rocznego dochodu. Ale mu to zupełnie wystarcza na bardzo dobre utrzymanie, na wychowanie dzieci i na świadczenie wielu dobrodziejstw; o los bowiem wdowy swój i dzieci nie potrzebuje się troszczyć; nie widzi się zmuszonym oszczędzać grosz i składać go do skarbony. Przymć jeden z dalekich krewnych zapisał biskupowi w Drontheim mały folwarczek leżący o pięć mil od Drontheim, na drodze do Roeras, jeszcze o siedm mil oddalonego od folwarku. Wiemy, że w Roeras, miasteczku 3000 ludności liczącem, a w najgórzystszej dzikiej okolicy wzniesionem, znajdują się owe sławne kopalnie miedzi, które wraz z rybami brzegów stanowią jedno z najbogatszych źródeł dochodów kraju.

Folwark ten, korzystając z grubej warstwy zmarzłego śniegu, pokrywającego ziemię, zwiedziliśmy w towarzystwie bardzo licznem, do którego należała cała rodzina biskupa, doktor Dryverson, a nawet jego narzeczona z kilku koleżankami.

Góry w tej średniej strefie Norwegii nie dochodzą do wysokości śnieżnych olbrzymów południowych, z których jeden pomiędzy ramieniem południowem zatoki Harden a zachodniem wznosi się wyżej jak na 6000 stóp z północy ku południowi na mil geograficznych dwanaście i wiecznym jest pokryty śniegiem. Na górach dzielących Roeras topnieją śniegi latem i dlatego też służyć mogą za przytułek ludziom nie wiele żądającym od ziemi pożywienia. Najwyższa nie ma 3000 stóp wysokości, stromą nie jest i sankami na szczyt jej

wjechać można, ale tam zimno dochodzi do 30 stopni a czasem i wyżej. Zimno to zmusza podróżnych do użycia wielu środków ostrożności, nie raz się bowiem zdarza, że ręce, nogi, nos i uszy odmrażają.

Suniemy jednak wesoło po tej zmarzłej a świecącej jak brylantowane srebro skorupie, biegniemy w zawody z góralami, znikającymi jak widma w dolinach i przepaściach i znów pędem błyskawicy wkraczającymi łamanym biegiem na grzbiety gór. Tego co oni dokazać nie możemy; bo to nie łatwo jeździć na tych długich drewnianych łyżwach, od małego dziecka trzeba się ćwiczyć i nieraz szwankiem życia przypłacić bieg tak szalony. Pyszne krajobrazy wszędzie, ale już nie tej groźnej, nad wszelkie opisy przerażającej przyrody, jak tam dalej ku południowi, gdzie nie raz strzała kryształowa na 7000 stóp wysokości, wyskakuje pośród zwierciadła zatoki lub jeziora, na którym wesoło bujają pełne gondole, lub warczą, tumaniąc fosforyczny żywiół, koła parostatku.

I tym się też różnią szwajcarskie widoki tak powabne, choć podobnym żywiółom piękność swą zawdzięczające, jak dzika scenerya Norwęgiska. Z szwajcarskich wód toni powstają pagórki, góry coraz wyższe a zielone, piętrzą się jedne nad drugimi, jak głowy panien w kwiaty ubrane; aż się wszystko kończy na dalekim widokręgu śnieżnymi sterców skroniami, pławiących się w złotej jutrzence. A tu w Norwegii ogromny Tytan w stalową zbroję odziany wyrwa się z ciemnych nurtów odmetu, pnie się ku niebu, ztrąca z niego obłoki i czaszką swą zuchwałą grozi słońcu, co swemi promieniami chce mu zerwać twardą zbroję.

Tu już około Drontheim, scenerya mniej dziki ma charakter. Lasy jodłowe, raz uwieńczone milionem srebrnych festonów, drugi raz ciemno zielone, jak do położenia i dykcji wiatru, pną się po stopach gór, wygodna przerzyna je droga, dno przepaści dojrzeć można; i zobczysz tam kościołki, zabudowania, młyny; wszystko cię przekonuje, że w tej dalekiej od nas strefie mieszkają ludzie modlący się i pracujący jak my, ścinają drzewa, uprawiają grunta, mielą zboże i hodują bydło.

Ale co to za łoskot przeraźliwy, ciągle się wzmagający za każdym stajem, które ubiegamy pędzeni wiatrem mroźnym i świszczącym? Ciągłe sroższe wycie, ciągle okropniej-

szy łoskot, ja się pytam: «co to jest? na Boga! czy to młyn Tyfanów, w którym się miała nakamienie brukowe głazy norweskic?» Odpowiedzi dosłyszeć już nie mogę, tylko z śmiejących się oczu pańien dyakonek wyczytuję, że mnie czeka jakaś niespodzianka. Istotnie przewodniczące nam sanki skręcają z drogi na prawo w dolinę, w głęboką dolinę, drugie za niemi, my pędzimy za drugimi, za nami inne jeszcze. Już jesteśmy w dole, łoskot jeszcze większy, uszy zatykam, bo mi chcą pęknąć. Po za opoką jeszcze raz na prawo, ha! teraz widzę! i tak się przestraszam, że sanki stoją w miejscu jak wryte. Nad mą głową potok, szumiący, kipiący i wrzący, strąca się z wysokości dwóchset stóp w dolinę, ale woda tam u góry kipiąca, przybywa w kształcie ogromnych potarganych warstw lodu na ziemię i rozstrącając się tworzy ten łoskot niesłychany, zagłuszający.

Całe towarzystwo spoziera na mnie, zdumiałego tym widokiem, z niewypowiedzianem zadowoleniem; cieszyli się poczciwi Normany wrażeniem sprawionem ojczystym cudem, cieszyły się i Normanki wykwitające jak róże z pod futrzanych czepców. Doktor Dryverson krzyczy mi w ucho: »To nasz Gejzer Drontheimski, to Wette Wartel, który dopiero zamarza na 33 stopnie zimna i jak wiatr wieje z północnego wschodu.

I tak jest istotnie. Wody te, tam na górze, tak się wydzieją gorące z łona ziemi, że w nich ręki utrzymać nie można i dopiero wtenczas w samym biegu strącając się stygną i zamarzają, jak je skrzepi dotkliwy wiatr zimno w tym kraju nawet niezczęste. Czasem cała zima przejdzie nie ukazawszy tego zjawiska; jeden Anglik czekał na to całe dwa lata, i nie mogąc się doczekać, odebrał sobie życie z rozpacz.

Ale już—już łoskot słabnąć zaczyna, już bryły lodu spadające z kaskady coraz mniejsze, bo wiatr cichnie, a słońce z po za gór i obłoków wybrnęło, ogrzewa biedny Wette-Wartel, jak niegdyś Ikara skrzydła ogrzało. Ja aż do końca cudu czekać chciałem, i prawie gwałtem wprowadzić mnie musiano z tego miejsca tak dziwnego.

Dalej w drogę, dalej! woła dobry biskup; »pojutrze wracamy i jeszcze raz Wette-Wartel odwiedzimy jeżeli nas swym łoskotem do siebie zaprosi.

Niestety za mym powrotem z Ferdalsonu, z folwarku biskupiego, Wette-Wartel mileżał, nie miał się czém chwalić

ani na co zapraszać:—w nagrodę za tę niezwykłą nie jednej rozumnej istocie skromność, chciałem zobaczyć kaskadę, choć mokrą, ale mi nie pozwolono; spieszono się, bo śniegi topnieć zaczęły, lękano się zagrzejnąć; taka zmienność w klimacie Norwegii.

Wracamy tedy na drogę, i po niej pniemy się znów w górę, potem zbaczamy, zjeżdżamy i stawamy w pięknej wiosce należącej do barona Somnanger, jedyne go barona, jakiego ma zaszczyt posiadać biedna Norwegia. Ale nie stawamy w dworze pana barona, bo go nie ma we wsi, jest w Sztokolmie, z czego zresztą całe towarzystwo zdawało mi się nie być za nadto zmartwione. Baronowie jakoś nigdzie nie słyną z gościnności,—a jednakby wypadało biskupowi i jego towarzystwu złożyć w przelocie hołdy tej ciekawości heraldycznej.

Nie stawamy także w karczmie, tylko przed domem drewnianym, ale nadobnym i gankiem piętrowym otoczonym,—tak jak domek szwajcarski, a z tej miłej oku, i duży przyjemnej siedziby, spieszy na nasze powitanie starzec z siwą głową, rumianem licem, oczami mądrymi a tak poczciwymi, iż znać zaraz, że do dobrego, zacnego człowieka należy.

I tego starca dostojny prymas Norwegii w ramie pocałował, potem z wzruszającą uściskał rzewnością.—To jego ojciec! Tak, stary pastor tej osady był ojcem prymasa Norwegii, i szczęśliwym ojcem, bo własnego syna miał za zwierzchnika, bo syn jego własnej, poczciwej pracy, nie intrydze, zawdzięczał to wysokie stanowisko. Starzec uściskawszy syna z łzą boskiej radości, wszystkich nas uściskał po kolei, znanych mu i nieznanym, tak jak robią ludzie uznający w gościu swego krewnego.

Było nas wszystkich czternaście osób; wszyscy wstępujemy do obszernej izby, stanowiącej połowę całego pierwszego piętra. W niej piec ogromny, komin jeszcze większy; psów kudłatych kilka, tyleż starych portretów z świecącymi jak karmin twarzami przy blasku ognia, i w czarnych ubiorach: widać przodkowie tych dobrych księży. A i półek z książkami kilka, ogromny foliał, w którym się spisywały urodzenia, śluby i śmierci, krucyfiks z Odkupicielem, który niezawodnie przebywał i w sercach tych ludzi, bo jakiś powiew dobroci wszędzie przejmował błogą wiarą i serdecznością.

Teraz biskup i biskupowa wzięli mnie za ręce i przedstawili pastorowi Daleseidy, tak się bowiem wioska nazywała. Coś mu powiedzieli, czego oddać tu nie mogę, bom nie dosłyszał. On jakoś na chwilę ochłonął z swej radości, rękę położył na mej głowie, uściskał raz jeszcze i w niebo spojrział! Tak mnie wszyscy dobrzy ludzie przyjmowali, gdziekolwiek byłem, — nie stronili odemnie, ale też mnie nie szukali. Zaczęto się krzątać około kawy, herbaty, ponczu, szynki i pieczeni. Ja cichutko się wykradam z izby, futro me wyszukuję z pod stosu innych i spieszę ku kościółkowi, który mi już wpadł w oko z bardzo daleka. Mimowolnie, i to wszędzie gdzie jestem, przyjaźń mą z ludźmi zawieram od obejrzenia ich kościoła, tak jak gdybym w kształcie tego przybytku Bogu poświęconego badał stopnia zacności pokoleń, które go stawiły.

Kościółek nie wielki, drewniany, ale dobrze utrzymany i osobliwej staro-norwęgskiej struktury. Już to rzecz niewątpliwa dzisiaj, że Norwegia posiadała kiedyś swój własny architektoniczny styl, i że znaczna liczba jej kościołów na bardzo wielką zasługuje uwagę i poszanowania godnej jest starożytności. Prawie wszystkie stawiane w kształcie krzyża, z wieżą w środku stojącą i rodzajem kopuły uwieńczoną. Dachy są wysokie, kończące się w bardzo ostrym kącie, pokryte gontami w łuskę wykrojonemi, a te dachy piętrzą się jedne na drugich prawie jak domy z kart stawiane. Szczegóły wypracowane z wielką starannością, mnóstwo galeryj, galeryjek misternie wyrzynanych, filigranowe jakieś ozdoby na kształt flaronów, wieżyczek i krzyżów w wielkiej ilości, przytém okna wązkie a bardzo wysokie, ostrołuczne, w framugach wklęsło w ściany wszczepionych, rynnę zdobione głowami smoczek. Jasne te budowle, pokryte ciemno czerwonym, niezmiernie trwałym pokostem, wyglądają dobrze, nie straszą ową ideą wątlności, którą każdy inny drewniany budynek przejmuje widza. A wiele z tych kościołów drewnianych pochodzi z XII. nawet XI. wieku i wygląda tak zdrowo, w najmniejszych, najdelikatniejszych szczegółach, tak dziwnie mocno i foremnie, że to każdego architekta zadziwi, i niejednego dziś zawstydić może, bo nasze nowożytnie budowle rzadko coś podobnego przedstawiają. Z wewnątrz wieża spoczywa na okazałych kolumnach z owych

sosien odwiecznych, jakimi Norwegia jeszcze tylko poszczycić się może, bo te drzewa grubsze i wyższe jak maszty okrętów admirałskich dumnej Anglii.

Blisko Bergen znajdował się jeden z tych nadzwyczaj interesujących kościołków w stanie zupełnego upadku. Król Pruski obecnie panujący kupić go kazał przez p. Kohn konsula Pruskiego w Bergen, rozebrać, przewieźć do Prus, zrestaurować w pierwotnym kształcie, i postawić gdzieś w Szląsku. Za otrzymaną sumę parafianie postawili sobie nowy kościół z plebanią i szkołą wiejską, i mają się za bardzo szczęśliwych z tego handlu kościołem. A ja wybaczyć nie mogę tego lekceważenia pamiątek narodowych: kto je sprzedaje, ten jeszcze gorzej robi, jak ten co je wydziera.

Jeśli książka ta wpadnie w ręce architekcie, interesującemu się przypadkiem częścią naukową swego zawodu, to mu zalecam przeczytać, co professor Dall napisał o starożytnych kościołach Norwegii.

„Kościołek Daleseidy jest jednym z tych, któreby król Pruski chętnie nabył” mówię do biskupa Drontheimu, który nie widząc mnie w plebanii, a znając me zamiłowanie do kościołów, przyszedł mnie tu odszukać.

„Jego królewska Mość nauczyła nas szanować nasze pomniki. Kupno kościoła było powodem do bardzo żywej polemiki w gazetach i w storthingu.—Ostre, trafnie wymierzone i głęboko uczute wyrzuty trafiły naszych deputowanych ze wsi i zmusiły ich do nałożenia nowego podatku na utrzymanie pomników narodowych. Ale skapi wieśniacy sami się nie obciążyli tym podatkiem, tylko nim obłożyli patenta adwokatów, lekarzy, aptekarzy i rzemieślników, a wkrótce nawet znieśli podatek gruntowy dotychczas istniejący, dość że chłop norweskki, żeby był najbogatszy, jednego szeląga podatku bezpośredniego nie wnosi do rządu, a pośredniego bardzo też mało: unika bowiem z wielką troskliwością wszystkich pokarmów, na których ciąży cło jakieś, mianowicie kawy, cukru, wina; mięsa się strzeże nawet w mieście, tylko kapustą i wędlinami przywiezionemi w beczkach ze wsi żyje, i najcieńszym cienkuszem popija swój bigosik;—a jak chce sobie sprawić większą przyjemność, to sobie podchmieli wódką, którą przezornie sam dystylował na wsi.—Pieniądze wieśniak lubi niestychanie, ale ich nie zakopuje, tylko zakupuje grunta i bydło, osusza bagna, użyźnia łąki;—a tak koniec koń-

cem, kraj produkując rok rocznie coraz więcej zboża, o tyle zyskuje pracą, mozołem i skąpstwem wieśniaka, że coraz mniej wydaje pieniędzy na zakup zboża.

Wieśniak Norwesk, chociaż skąpy i chciwy, nie odznaczający się ani wielką trzeźwością ani też szalonem zamiłowaniem do pracy,—rzetelnym i moralnym jest przecież, bogobojnym, kraj swój namiętnie i z gotowością poświęcenia się za jego byt i sławę kochającym:—tego dał świetne dowody, zaprzeczyc nie można.

Ale jedźmy dalej do Ferdalsonu—Opuszczamy plebanię, starego pastora, około pół do drugiej:—mamy jeszcze dwie opętane mile przed sobą, słońce zachodzi o w pół do czwartej (działo się to 6go lutego), księżyc nie widać jeszcze, pozostaje jednakże światło gwiazd, blask śniegu i jakaś luna, prawie ciągle w zimowej porze od północy jaśniejąca. Scenery najrozmaitsza: fantasmagorye a mosfery ludzające nie dają nam czuć ziarna, zresztą rozmowa toczy się żywo, bo nas pan pastor nie puścił na sucho; i te młode damy, choć Dyakonki, musiały kosztować grzanego wina z korzeniami, zniewołone namowami dygnitarza kościoła.— Wtém na dole głęboko zbaczamy znów z drogi, wjeżdżamy na jakieś ogromne białe prześcieradło, w którego środku sterczy wysoki kręgiel. Było to zamrznęte jezioro, a tym kręglem kawał skały, upadłej zapewne jeszcze przed potopem ze szczytu otaczających gór. Po za jeziorem kilka dość wielkich zabudowań, w jednym tylko świeci się potężnie, przed tém stawamy.

Nowe wzruszenie:—wypada na szczydle brat biskupa, dawny oficer marynarki, który stracił nogę mając lat 20, dziś liczy 50.—od czterech lat gospodaruje tu na folwarku, książki czyta, ptaki śpiewać uczy i grok pije. Już nas oczekiwał; stół już nakryty, i różny z wielkimi ptakami kręcą się na kolinie.

Z drugiej strony sieni salonik, w nim harfa i książki dla kobiet, cygara i karty dla mężczyzn. Na pierwszym piętrze pokoje sypialne.

Ferdalsonu jest folwarkiem, zajmującym 300 akrów angielskich uprawnej ziemi, 200 nieuprawnej; posiada lasek wystarczający na wszystkie potrzeby, jeziora tyle ile się podoba, i młynek—Obok 15 ludzi, żyje z tego gruntu 40 krów używanych do pługa i na mleko, 10 koni, reniferów 18 i owiec 200, a wieprzy nie wiem wiele. Sieją pszenicę, ale w ma-

łej ilości, zbierają jej 20 korcy, żyta 40, jęczmienia zeszlęgo roku mieli 194 korce z 11 wysiewu; istotnie zdumiewający urodzaj, owsa jeszcze więcej zbierają. Posiadłość ta z budynkami nowo postawionemi warta jest 18,000 dollarów, to jest 150,000 złp.; kapitan Nordahl Brusen płaci swemu bratu 4500 złp. dzierżawy, inny musiałby dać 6000. Opis tej całej włości najlepiej nas obznajomi ze stanem gospodarstwa wiejskiego w Norwegii. Dodam jeszcze, że statystyczne obrachowanie dokonane w r. 1840 wykazało, że w całej Norwegii wówczas żyło 183,163 koni, 664,414 krów i wołów, 1,128,945 owiec, 194,513 kóz, 89,311 świń, 86,225 reniferów (te ostatnie w prowincjach Drontheim, w Finmarku, i w Nordlandyi).

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się jeszcze przed obiadem; — ale proszą do stołu. Norwegowie wyższych klas nie żałują sobie dobrych rzeczy, które obficie znajdują w morzu, na ziemi i w powietrzu. Do Bordeaux bliżej z Drontheim jak do Krystyanii, wina zatem nie brakuje. — Po obiedzie starsi panowie zasiedli do bostona, damy grały i śpiewały; a młodzi unosili się nad pięknymi głosami, nad wyborną metodą i nad ładnymi rączkami przebiegającemi strony harfy, ściskali nawet te rączki prosząc o więcej. Ja należałem wówczas do młodszych; i dziś jeszcze wolę się bawić rozmową, jak stępieć umysł nad kartami.

ROZDZIAŁ XI.

POTWÓR MORSKI ZWANY KRAKEN. — KOMMODOR BRUUN. — KAPITAN BROOK. — OPOWIADANIE KOMMODORA. — PODRÓŻ DO HAMMERFESTU. — KWIATY NA DZIKICH SKALACH PÓLNOCY. — WYSPA ALSTEN. — PASMO SIEDMIU SIOSTR. — WYSPA TRAEENEN. — LOFODY. — BODŒE STOLICA NORDLANDYI. — KAGŒE. — RYBOŁÓWSTWO. — WEST-FIORD. — FINMARK. — OSTATNIE LODOGÓRY. — TROMSŒE. — ALTENFIORD. — KAAFIORD. — KOPALNIE. — LAPONCZYK I RENIFER. — WYSPA QUALŒE. — HAMMERFEST. — STATKI WRACAJĄCE Z SPITZBERGEN. — KROWY MORSKIE. — ZABAWY. — SZCZEGŒŁY ASTRONOMICZNE. — KONTRADANS. — SYNOWICA KOMMODORA. — POWRÓT DO DRONTHEIM. — ZABYTKI STAROŻYTNOŚCI. — DUCH LUDNOŚCI. — LUDZIE I FAKULTETY. — PAN DEKOURT NOWY TOWARZYSZ.

Wracamy do Drontheim. — Kommodor Gotfried Nordahl Bruun towarzyszy nam. Rzecz zastanawiająca. Oficer to bardzo ukształcony, rozsądny i roztropny, a przecieŒ wierzy w *Krakena* z równą siłą, jak brat jego w ewangelię. Ale kto jest *Kraken*? to ów potwór morski, ów wąż na pół mili długi, a gruby jak najcieńszy bastyon, z głową zdolną połknąć łódź z armatami i kanonierami, a ozdobioną dwoma pięknymi od srebra i szmaragdów błyszczącemi kitami, w sposób pawiów, a tak wielkimi jak najwyższe palmy. To ów wąż mitologiczny głębie oceanów zamieszkujący, który, jak utrzymują Norwegowie, od kilku wieków miał się ukazywać li tylko na brzegach Norwegii, i to nadzwyczajnie rzadko, czasem dziesięć lat minie, i nie ukaże się *Kraken*, czasem tylko swe srebrne, szmaragdowe anteny wychyli z pod wody. Ale raz — rzecz okropna! było to za biskupa Deinbolda, potwór wszedł do portu Drontheim i swém ogromném ciałem zapełnił całą zatokę, i tak zapowietrzył miasto, Œe choroby w niem wybuchły i wiele ludzi wymarło.

Bajeczném się to wszystko wydaje, i bajką jest niezawodnie, ale wiele ludzi, naturalistów nawet ze wszech miar godnych szacunku, wierzy w *Krakena*, z wiarą wszelkie

granice rozumu przechodzącą, nie tylko wierzy, ale wpiera swą wiarę niewierzącym i gniewa się okropnie, gdy tego dokazać nie mogą. Wiara w olbrzymi potwór tak się zakorzeniła w umysły i rozpowszechniła, nie tylko w Norwegii ale pomiędzy marynarzami i w krajach przyległych, że rząd angielski proszony o to przez towarzystwo zoologiczne i fakultety, wysłał dla sprawdzenia egzystencji potworu korwetę wojenną pod dowództwem kapitana Brook, z rozkazem, aby tenże przez całe trzy lata krążył około brzegów Norwegii, i śledził na morzu i na lądzie śladów istności interesującego potworu.

Kapitan Brook krążył lat cztery, patrzył i wywiadywał się bez ustanku, nareszcie rozum stracił, nie doświadczywszy nawet przyjemności wierzenia w istność Krakena.

Dziwna to rzecz z tym Krakenem! zdaje się, że umyślnie wynaleziony dla Norwegów, aby służył jako niewinny konduktor tej porcyi łatwowierności, jaka istnieje w każdym, żeby najmędrszym człowieku, a koncentruje się częstokroć na najśmieszniejsze, z zdrowym rozsądkiem najmniej się zgadzające przedmioty. Tak jak jedne narody wierzyły w Francuzów, tak drugie wierzą w Krakena. Jedni ciągle przed oczyma swęj wyobraźni mieli aniołów, i dlatego upadli, a drudzy widzieli straszzydła, i dlatego istnieją i w siły rosną potężne.

Nasz kommodor wierzył tedy zapalczywie w Krakena, choć go nigdy nie widział; — ale raz pod Lofodami o mało co go nieobaczył, a nad Tromsen widział istotnie na powierzchni morza dwa blisko siebie stojące drzewa palmowe, które na raz znikły: — to były bez żadnej wątpliwości owe anteny zdobiące głowę potworu; a pod Hammerfest raz nocną porą (która, jak wiemy, trwa tutaj całe pół roku) kapitan ujrzał nagle całą górę potężną wychylającą się nad zwierciadło oceanu, a potem ta góra ruszająca się tu i owdzie nagle znikła, całe morze zadrżało, i okręt o mało co nie zatonął. »To było — nie masz żadnej wątpliwości« rzecze kapitan, »kilka kłębów tego Krakena, który raz swém cielskiem zawałił cały golf Drontheimu, mający pół mili szerokości, milę długości, a głębokości ze staję.« — »To byłś w Hammerfest kapitanie?« krzyknąłem uradowany; opowiedz mi, co się tam dzieje na tym zimnym kawale ziemi, przez Europę wyrzuconym w ciemności biegunu.

»Poëtycznie się pan wysłowiasz, mój doktorze« — odpowie mi p. Nordahl Bruun wcale seryo;—»ale z mych ust niczego się nie dowiesz o Hammerfest, póki nie uwierzysz że Kraken istnieje.«—Widząc że to kwestya witalna, że to artykuł wiary Norwęczyka, że to nawet część własności narodowej owa istność morskiego potworu, rzekłem, że z całego serca zezwalam na uwierzenie w węża morskiego imieniem Kraken, nazwiska nieznajomego, że w zamian za tę koncessyę, upraszam szanownego kolegę Norwęckiego, aby mi raczył opowiedzieć, co się dzieje w Hamerfest w dzień i w nocy, to jest, latem i zimą.

Uspokojony kommodor tak zaczął opowiadać, nie zważając na serdeczne śmiechy Dyakonek, z których dwie siedziało w naszych sankach i urągały się z łatwowierności starego żołnierza.

»Dobrze, teraz panu opowiem. — Byłem tam lat temu cztery, bo choć z ustrzeloną nogą, służyłem ciągle ojczyźnie; co oficerowi marynarki po rękach, nogach, oczach? kiedy ma serce i głowę, język dobrze zawieszony i choć jedno oko, to może tyle dokazać, i więcej jeszcze jak sam Nelson. Przed czterema laty, mówię, byłem po raz ostatni w Hamerfest, po raz pierwszy zaś dowodziłem wówczas statkiem parowym. Wysłano nas dla zgłębienia wszystkich, choćby najmniejszych, przystani Nordlandyi i Finmarku; trzymaliśmy się tedy jak najbliżej brzegów, i bardzo wolno posuwaliśmy się naprzód, a do każdej zatoki i zatoczki i ramienia i pika morskiego, wkraczać musieliśmy łodzią, by obrachować głębieć wód. Przed nami w tymże samym roku dwa inne statki też samą skuteczniały powinność; — aleśmy nie znali rezultatów przeszłych dociekań, bo je w tajemnicy trzymano, musieliśmy tedy weryfikować na ślepo. Takie jest u nas w całym kraju przysłowie, że po za Drontheimem żaden człowiek wykształconego umysłu mieszkać nie może, chyba tylko cheiwy kupiec, lub dobrze płatny urzędnik,—i to niestety prawda! W Nordlandyi, w Finmarku, kupiec opiekunem jest, życiodawcą, aniołem pocieszycielem, ale też czasem i pijawką kraju. Po największej części kupcy mają się dobrze, niektórzy nawet są bogaci, nie jeden z nich na tych dzikich, nagich skałach, o które wiecznie się rozbija huczący ocean, zarobił 100,000 i więcej dollarów (do miliona złp.). Tak dziką tu jest i ostrą przy-

roda, i człowiek tu żyjący walczyć musi bezustannie z jej nieubłaganą srogością; a jednak do pewnego stopnia musiał ją podbić przedsiębiorczy, wszystkich wrażeń pragnący syn Tellury; nieraz goście przybywający na pokład mego statku, dla powitania obrońcy kraju, dawno już znanego ze swej sławy, przynosili mi wielkie pęki najmiłszych dzieci natury, snopy całe kwiatów, tu na tych skałach wypielęgnowanych, a były między nimi goździki, rezeda, astry, lewkonie, delfinie, laki i róże. Jeszcze po za kołem biegunowym północy, poczciwe ziomki, jak gdyby się były namówiły, niosły sławnemu żołnierzowi kwiaty w prezencie. Cóż mu mogły dać droższego, jak to, co z największym trudem z ziemi wyprosiły.

Statek mój w ogólności przedstawiał widok bardzo ciekawy: znajdowali się na nim nieraz, obok ludzi, których suknie o 400 mil ztąd zrobionemi były, pastorowie i dzierżawcy w sutych skórzanych surdutach, lub też surowi wyspiarze i mieszkańcy fiordów, w niewyprawne skóry krów morskich przyodziani i żujący przytęm nieznośnie tytu! Eleganckie damy z Krystyanii i Bergen, ubrane w nowomodne kapelusze z woalami i piórami—żony przeniesionych tu urzędników, siedziały obok kościstych, wysokich córek nordlandzkiej arystokracji, odzianych w starodawne szuby, do czamarek podobne, z wylotami na rękawach, ubranych w czapki futrzane dziwnego staroświeckiego kształtu. W niższych warstwach towarzystwa ta sama pstrocizna, taż sama oczy rażąca niejednostajność. Nordlandscy rybacy, choć już silni i mocni, wyglądali w swych szerokich spencerach jak dzieci obok naszego tęgiego majtka z Stawangru, a ogromny Kweńczyk z swém złośliwém ślepiem wyglądał jak Tytan obok biednego struchlałego Lapończyka. Do tego dodajmy jeszcze truppę duńskich aktorów i parę sfór włoskich żydów z katarzynkami, udających się przez Nordlandę do Archangelu, a będziemy mieli obraz prawdziwy tego, co się na naszym odbywało statku. Ale już jesteśmy daleko po za kołem biegunowym, już widzimy, jak z łona wyspy Alsten wznosi się ku niebu owe dziwne pasmo gór, które przezwano *siedmioma siostrami*. Nic dzikszego i dziwaczniejszego w kształtach! siedm skał niezmiernych, na 3000 stóp wysokich, sterczy tu nad zwierciadłem morza ciągle rozhukanego. Teraz wstępujemy w nierozgmatwany labirynt skał,

fiorłów i wysep, jészcze dziwaczniejszych form i kształtów. Jedna sterczy jak grot dzidy nad morzem, ta znów wygląda zupełnie jak kobieta z rękami na piersiach założonemi, dalej sterczy ogromna ściana skalista z dziurą na wylot wydrążoną,—wszyscy ją nazywają kapeluszem przedziurawionym. Ale królową tych wszystkich skał formy żyjących osób, lub naśladujących inne przedmioty, jest rycerz na koniu siedzący z ręką wyciągniętą; doskonale rozpoznasz uderzające podobieństwo: nos, oczy, uszy rycerza; a ten olbrzym na koniu ma wysokości stóp 1500. Wszystko to są dawni bogowie Skandynawii skamienieli. Tak wierzą wyspiarze tych krain

Najludniejszą z tych wysp jest wyspa Traenen, ale ludna w niezliczone chimary płastwa morskiego, mianowicie w kaczki erdretonowe; a najwięcej interesującą dla geologa jest wyspa Luroe, gdzie po dziś dzień zdarzają się trzęsienia ziemi. Teraz od wschodu ze strony stałego lądu zaczynają wyzierać owe ogromne zmarzłe góry, o których szczyty rozbija się słońce w tysiączne promienie. To lodogóry Nordlandu, mrożące powietrze swemi przeszywającemi powiewy; a na lewo liczny archipelag większych wysp, to Lofody. Seylly i Charybdy głoś i strachy niczem są w porównaniu z niebezpieczeństwami jakie tu grożą. Prąd morza okropny—woda napływem tu zaszła wydziera się z niepohamowaną gwałtownością z pomiędzy ciasnych bram skalistych, oddzielających wyspę od wyspy, porywa z sobą najsilniejsze okręta; często nawet na swęj powierzchni unosi głazy na sto centnarów ciężkie, od owych bram urwane. Każdy z tych prądów ma swe osobne nazwisko i osobne niebezpieczeństwa. W chwili najwyższego przypływu i najniższego stanu odpływu, zupełna tu jednakże spokojność panuje; rybacy lubią łowić w wodach prądu i obfity znajdują połów, ryby bowiem gromadzą się tutaj, poznoszone ze wszech stron bystrym prądem.

Na południe Lofodów, na stałym lądzie Norwegii, leży Bodøe, dawna stolica Nordlandyi, i dziś jeszcze główne miejsce tej prowincyi; liczy mieszkańców 500. Skałami zasłonięta od burz i nawałnic przystań, wkracza daleko w ląd stały, pokryty w miesiącu wrześniu kwitnącemi kartoflami, murawą, laskami bukowemi i piękną brzezina. Szeroka droga prowadzi z Bodøe do kościoła na pagórku wzniesio-

nego, a ztamtąd spieszy ku nam liczne towarzystwo nabożnych, właśnie z kościoła wychodzących. W tém towarzystwie były i elegancko wyglądające damy w karyolkach, i młodzi kawalerowie na koniach.

Ztąd płyniemy zatoką zachodnią pomiędzy stałym lądem Nordlandyi, a wyższym arhipelagiem Lofodów, zdających się być ułamkami jakich okropnych katastrof wulkanicznych, tak są potargane dziwacznie w najnieforemniejsze kształty. Jedne do rogów jeleni podobne, inne do zamków, wież, minaretów; a wszystko w olbrzymich rozmiarach. Śnieg je tylko pokrywa gdzie niegdzie, a zresztą nagie, żadnego śladu wegetacyi nie przedstawiają.

Na Vaagöe, największej z Lofodów, na brzegach wygodnego buchtu, leży mała osada kupiecka. Ważne to miejsce dla rybołówstwa. W zimie zbiera się tutaj do 700 łodzi, każda mieści pięciu ludzi, i ze sto yachtów dla zabrania połowu. Około całego archipelagu Lofodów krąży przeszło 4000 statków w czasie połowu stokfiszu, który tutaj obfitszy niż gdziekolwiek w Europie. Do 30 milionów funtów ryb łowi się tutaj rok rocznie. W ogóle wartość ryb, tranu, raków, ostryg, wyłowionych w jednym roku na brzegach Norwegii, dochodzi do 27 milionów złotych polskich.

Takie przedstawiają dzikie sceny i źródła bogactw owe skaliste nieurodzajne Lofody, nie mające więcej jak dwa tysiące mieszkańców. Ale kto raz zakosztował pyszności wielkiego Westfiordu, kto raz podziwiał owe niezmiernie masy skaliste pnące się ku niebu w tysiącznych najrozmaitszych kształtach; kto je widział w złotej purpurze słońca pławione, drżące w magiczném świetle księżyca, lub też targane błyskawicznym ogniem zorzy północnej; ten nie zapomni uroków téj czarodziejskiej strefy, w której leży zaklęta wielka mitologia Odina.

Wy płynąwszy z West-fiordu, już nie spotkasz nic podobnego. Pod stopniem 70. szerokości północnej leży Tromsöe, małe miasteczko-na wysepce tegoż samego nazwiska. Często dopiero w środku miesiąca lipca znikają śniegi z tego miejsca, a nie raz w początku sierpnia już na nowo spadają. A jednak w sześć lub siedm tygodni lat, ziemia wydaje kartofle, jęczmień, a nawet i żyta cokolwiek, i piękne kwiaty w ogródkach się ukazują. Tromsöe jest stolicą biskupa Nordlandyi i Finmarku, posiadaszkołą realną bardzo odwiedzaną.

Do doliny pod Tromsøe, schodzi każdego lata rodzina Lapończyków, posiadająca 1,100 reniferów i opatrująca miasto szynkami i ozorami tych zwierząt.

W brzegi Finmarku wstępuje wielka ilość zatok. Z jednej z nich, zwanój Loppe, widać ostatnie lodogóry Europy. Tutaj Północny ocean rozwija cały majestat swych ogromnych odmetów, bałwanami wysokimi jak góry i ciągle zapienionemi. Płyniemy przez Stjernösund i stajemy w Altenfiord. To ostatni punkt w Europie, gdzie ludzkiej woli i staraniom uda się wyprowadzić z ziemi jakie takie żniwo. A jednak dość ludne to miejsce, od czasu jak Anglicy założyli niedaleko w Kaafiord kopalnię miedzi, lat temu kilka. Towarzystwo to daje kilkuset ludziom sposób utrzymania, nadto założyło ono dwie szkoły i płaci nauczyciela, wybudowało kościół i utrzymuje lekarzy i aptekę. Powabne domki rozsiane u stóp skał i oparte o nie, dobre drogi prowadzą dosamiej kopalni, na nieszczęście nie dość obfitój, która leży 600 stóp pod powierzchnią ziemi. Jest nawet salon w resursie, w którym znajdziesz fortepian, bilard i gazety. Termometr w ziemi rzadko spada niżej stopni 30. Brzoza jeszcze tu rośnie, jodła wyrośnie wprawdzie w pień, ale już w gałęzie rozrastać się nie może, czarna, jak spalona, zwiesza swe igły ku ziemi. Smutny obraz bezsilności natury.

Tu w Kaafiord, rzecze dalej kapitan, widziałem po raz pierwszy w życiu, jak Lapończycy przeprowadzają trzody reniferów do pobliskich wysp, nie raz o pół mili geograficznej od stałego lądu oddalonych. Wybiera się czterech lub pięciu najstarszych, u reszty trzody w największym poszanowaniu będących renów, wiążą im kij do rogów i potem, wsiadłszy w łódź ciągną swe reny za sobą; stary renifer widząc, że uledez musi, rzuca się w morze i płynie, a za jego przykładem idzie cała trzoda, choćby najliczniejsza. Dziwny to bardzo i rozrzuwający widok: owa uległość szlachetnego zwierzęcia względem rasy ludzkiej tak upośledzonej.

W Kaafiord opuszczamy stały ląd Norwegii, i płynąc na północ mil nie spełna piętnaście, stawamy u brzegów wyspy Qualøe, na której leży Hammerfest, miasteczko europejskie, najwięcej na północ wysunięte. Tutaj już prawie nie ma śladu wegetacyi, prócz kilku nędznych krzaków brzeziny w szczelinach skał, i nie więcej. Wątpić nie można, że

wyspa Qualœc niegdyś na całe 40 stóp głębiej zanurzoną była w morzu; wody oceanów znikają, przestrzeń ziemi się powiększa, nigdy zatem nie zabraknie miejsca rodzaju ludzkiemu, ciągle się mnożącemu. Przyszłość rodu ludzkiego na tysiące wieków zabezpieczona. Bóg przezeń chce dokonać wielkich zamiarów! Na brzegu zatoki wznosi się Hammerfest, jeden szereg domów opartych o skały wysokie. I to ostatnia widownia handlu i europejskiego życia, zaledwie o 14 mil od ostatniego krańca Europy oddalona. Statek parowy jest dla mieszkańców Hammerfestu gołębiem zwiastującym istność lepszego świata. Przyjęto nas wystrzałami z moździerzy i krzykiem radości rzewnej; zaledwie kotwica zatonała w nurtach, a sto łodzi nas otoczyło. Panowie i damy, starce i dzieci, Kweńczyki i Lapończyki gramolili się na nasz pokład, by nas witać, ścisnąć i do siebie zapraszać. Oberży nie masz w Hammerfest, ale każdy dom rad przyjąć gościa.

W przystani leżało kilka okrętów rossyjskich, opatrzonych trzema masztami, a tak wątłych i źle zbudowanych, że pojąć trudno, jak takimi statkami puszczać się można na morze. Ale tak jest: w tych mizernych statkach puszczają się Rosssyanie przez morza najburzliwsze: przez morze Lodowate i Białe, aż do Archangela—żeglują pośród skał, burz, lodów i mgły, nie znając nawet użytku igły magesowej. Rosssyanie biało-morscy w swych długich szubach i czerwonych brodach, nie mniej posiadają odwagi, jak niegdyś Goci, którzy przez morze Czarne w krowich skórach przepływali. Kilka hamburskich i norweskich statków stało także w porcie, celem zabrania z sobą tranu, którego tu wytapiają niesłychaną ilość. Na drugi dzień po naszym przybyciu słyszymy znowu huk moździerzy i okrzyk radości. Właśnie wpływają do portu trzy wielkie szalupy, wysłane przez kupców Hammerfestu po raz pierwszy przed trzema miesiącami do Spitzbergu, na połów krów morskich; odtąd nie słyszano ani o statkach, ani o ludziach, już o ich życiu wątpiono: a otóż Bóg prowadzi zdrowych na okrętach napełnionych bogatym połowem: do sto tysięcy wartości każda szalupa zawierała w sobie. Niesłychana radość w mieście, bo na każdego z 600 mieszkańców, żyjących z sobą jak jedna rodzina, część korzyści spłynęła. I to we dwa dni wrócili z Spitzbergu do Hammerfest, kiedy czasem kil-

ka tygodni potrzeba do tój podróży; a krążyli^o około Spitzbergu dniem i nocą, ale przy ciągłym świetle słońca, trzy miesiące, nim napadli na liczną trzodę wyrosłych krów morskich śpiących na swych bryłach lodu, otaczających zewsząd Spitzberg. — Okropny stoczono bój z temi odważnemi i mądrymi zwierzętami, mającemi w swém spojrzeniu coś niezmiernie zastraszającego, bo do człowieka podobnego. Jak lwy ryczały biedne zwierzęta, zbierały się w plutony po 20 i 30, zacięty stawiały opór. Ale darmo: uleż musiały taktyce europejskiej, zakrwawiwszy morze swą posoką; w trzy godziny padło pod razami majtków przeszło 300 krów morskich i dwieście buhajów morskich, żaden mniej nie ważył jak 400 funtów, a były takie, co ważyły drugie tyle. Sławny to połów; ale zaręczyć można, że miliony tych zwierząt krąży około Spitzbergu, wyspy dwa razy większej jak cała Szwajcarya. Przywieziono także z sobą młodego niedźwiedzia białego, żywcem w niewolę pojmanego. Zła to była sztuka niezmiernie; mimo swego dzieciennego wieku, rzucała się na wszystko co jej tylko podano, nawet w szynę żelazną kły na linie głębokości utopiła.

Wielka tedy radość w Hammerfescie, — mówi dalej kapitan Nordahl Bruun zachwycony uwagą, z jaką się przysłuchiwałem jego opowiadaniu. Kupcy i inni obywatele którzy kupcami nie byli a grosze mieli, bo łatwo posiąść grosz w tém mieście, kiedy się klimat znosi i w ciemie nie jest bitym, tedy uorganizowali szumny bal *in gratiam* przybycia naszego parostatku, a więcéj pewnie jeszcze *in gratiam* powrotu yachtów z tak bogatym połowem. Piąta część ludności całego Hammerfestu obecną była na tym balu. Mężczyźni w doskonałe uszytych frakach, damy, dalibóg w paryzkich strojach. Wzięto się do tańca, i tańczono francuzkie kontredanse, czy uwierzysz pan temu?

— »Nie, nie uwierzę, kommodorze, gdzieżby tam kontredans przeskoczył z pod 49. stopnia szerokości, aż pod 72! to trudno wierzyć, niech mnie d.....

— »No, musisz pan tym razem uwierzyć, lepiej jak w istnienie Krakena, odrzecz kommodor; bo panu na to daję słowo honoru najsiarczystsze, jakie z ust moich wyszło. Wielki mi dystans z Hammerfestu do Boulogne! toć po wodzie się jedzie, a morze to miękkie łożo, a z Boulogne do Paryża to fraszka. Zresztą widziałem na własne moje nie wystrzelone

oczy, że tańczono francuzkie kontredanse z szasami, plisami, piżonami i piruetami tak wysokimi, jak skok stokfiszka po nad powierzchnię morza.

— »To przedpotopowy kontredans, Noe go tańczył w arce jak się upił węgrzynem.«

— »Co mi do tego, dość że tańczyli, zamiast norweskich gigów, francuzkiekontredanse w Hammerfescie, a tańcami dyrygował jakiś Francuz z wyszuwaksowanemi wąsami, z czerwoną wstążką w dziurce od guzika, który był i wicekonsulem Francyi, i kupcem, i metrem tańca, i professorem magii białej, i zegarmistrzem, a nazywał się monsieur Delcourt. Tańczono wiele, odegrano komedję amatorską tłomaczoną z francuzkiego na duński, a potem zasiadłszy do stołu, pito nie wiem jak długo, korzystano z nieobecności nocy i pito może ze trzy doby. Zresztą żeby skończyć opis Hammerfestu, widzę bowiem że się zbliżamy do Drontheim i wkrótce rozmowę naszą dobrą szklanką groku przerwać będziemy musieli, dodam jeszcze, że to zapomniane w lodowatych strefach miasteczko nie przedstawia nic a nic ciekawego. Kupey sprzedają tam kapitanom okrętów wszystko, czego potrzebują do naprawienia szkód przez nawałnice poczynionych; przytém szachrują futrami, koldrami, płótnem żaglowém grubém, towarem nożowym, wódką, powrozami, tranem, skórami, kłami krów morskich, fiszbinem, rybami i t. p. towarami, które wysyłają do Francyi, Anglii, Rossyi i Niemiec. Burze nigdy tu nie usną, grady biją, śnieg płatami spada, deszcz nielitościwie leje. Niestalość w atmosferze bezprzykładna. Dziś trzeszczący mróz, jutro odwilż i wilgoć przejmująca. Noc trwa całe pół roku, i wszystek objaw życia podczas niej ustaje. Ryby gdzieś się podziewają, brudny Lapończyk i rybak nordlandzki śpią w norach podziemnych, kupey uregulowawszy z skrupulatnością rachunki biorą się do gry, do butelki, do bankietów i komedyi. Noc jednakże zupełna trwa tylko trzy miesiące, ale i wtedy przyświeca niekiedy zorza północna, a częściej jeszcze łuna; świecą nawet gwiazdy. W dzień koło południa, podczas téj długiej nocy, jawi się jakaś jasność, przy której nawet, przez pół godziny jako tako czytać można. W czerwcu i lipcu słońce nigdy z horyzontu nie znika, okrąża widokrąg na około; mało się wznosząc nad poziom. Pomiędzy południowém światłem a północą żadnej prawie nie masz różnicy. Nie raz

o północy promienie słońca i upał nieznacznie dokuczają. Lecz chociaż dzień od nocy nie różni się światłością w tych dwóch miesiącach, różni się inną właściwością bardzo charakterystyczną. Podczas godzin nocnych panuje cichość zastanawiająca w atmosferze, wiatr milczy, wszystko się uspokaja jak gdyby natura chciała wskazać ludziom, że czas iść spać. Z godzinami porannymi znów się wiatr zrywa i burze huczyć zaczynają.

Zrobiłem wycieczkę w wnętrze wyspy, choć mi to z trudnością przyszło na mej drewnianej nodze. Nad samem miastem pnie się w obłoki pasmo skaliste, zębate, potargane, na 1,200 stóp przeszło wyniesione. Jedna tylko istnieje droga na całej wyspie, a ta prowadzi przez wał kamienny ku jeziorowi, obok którego wzniesiono cegielnię i może mieć trzecią część mili długości. To jedyny spacer mieszkańców Hammerfestu. Ztąd wchodzi się do labiryntu błotnego, przegrodzonego skałami; wszystko tu wygląda dziko i smutno, jak w chaosie, kilka krzaków brzeziny, kilkanaście krzaczków jeżyny dowodzi, że ten użyteczny owoc i tu rość potrafi. Zresztą po bagnistych trzęsawiskach mnóstwo kęp gęstym mchem porośłych.

A ten kraj dziki, nieurodzajny, okropny, kochają ludzie w nim zrodzeni z rzewną, głęboką czułością, i z pod nieba Włoch i Francyi tęsknią do niego z tą samą siłą z jaką Lapończyk tęskni do swego podziemnego noru, a Grenlandczyk do swych lodowatych brzegów. Otóż jest, zakończył kommodor, wierny obraz Nordlandyi, Finmarku, Lofodów, Tromsøe i Hammerfestu, tych krain niegdyś bardzo odległych, a dziś dzięki parowej żegludze, tak łatwych do zwiedzenia, jak zamki i ruiny Renu. Ale posępne to i straszące uroki, owe piękności północy; nie każda dusza jest w stanie pojąć je, ocenić, pokochać. Na to trzeba poety z jędrnym sercem i z duszą, w której brzmią harfy i śpiewy starożytnych Skaldów.

Umilkł kommodor, a ja serdecznie złożyłem mu dzięki za tak dokładne obeznanie mnie z krajami, o których dotychczas bardzo niewyraźne miałem wyobrażenie.

—»Nie mnie pan dziękuj, panie doktorze, tylko te młode damy towarzyszki naszej podróży przepros pan,— bo z pańskiej konwersacyi przez ciąg mej odysei, korzystać nie mogły.

— »Ale z pańskiego opowiadania korzystały wraz ze mną, kommodorze.

— »Oh! słyszałyśmy już dziesięć razy ten opis podróży stryjaska do Hammerfestu, nawet i odbytych do Islandyi, Grenlandyi, Labradoru, Kanady, Indyów Wschodnich i Zachodnich, Australii i Nowej Zelandyi odpowie śmiejąc się jungfrau Alberta Nordahl Bruun, córka biskupa a synowica kommodora. — »Widzi pan, jak się mści własna synowica za me żołnierskie gadulstwo, a więcej może jeszcze za to, że przez ciąg mego opowiadania sama nie mówić nie mogła.«

Jeszcze lepiej śmiała się biskupówna, i w najlepszym humorze wjeżdżamy na szczyt gór panujących nad Drontheimem ale kommodor, ujrawszy miasto swe rodzinne, zapłonął się z radości, zapomniał, że go piękna synowica wyśmiała z gadulstwa, i obróciwszy się do mnie, rzekł z trudnym do opisania zapałem:—»Oto moje kochane rodzinne miasto!—godnego większego szacunku nie masz na świecie.—Drontheim jest najdawniejszém miastem krajowém; te góry, zatoki, doliny były widownią najpierwszych dziejów narodu. Tu niegdyś mieszkał srogi Yarł Hakon, chcący dzieciobójstwem przebłagać gniew bogów; tutaj Harald przewany dobrym, rycerzom cudzoziemskim sprawiał turnieje, a nam pisał mądre prawa; tutaj Olaf Trygvesson swą rycerską siłą i śmiałością nakłonił islandzkich naczelników do przyjęcia wiary chrześcijańskiej; i tutaj krwawy Olaf II. zaczął budować największą świątynię w całej północy na chwałę chrystyanizmu. W starym grodzie tuż obok tej w zwaliskach leżącej katedry, nie jeden odbył się szumny bankiet, a tuż po nad zatoką gdzie te niezmierne głazy leżą, tam było miejsce świetnych rozpraw na ostro i tępo, konno i pieszo, w zbroi i bez zbroi. Jeszcze żyje w sercach mieszkańców Drontheimu pamiątka, co ja mówię? *wiedza* dawnej wielkości i siły; patrz pan, jak poczciwie i dumnie spoglądają, jaki mars w twarzy. Oh! dobre moje miasto rodzinne, i dobrzy tych okolic mieszkańcy.«—Sciśnąłem rękę tegoż kommodora, i przelałem w jego serce jedném uściśnieniem ocean cały uczuć wskrzeszonych w mej duszy jego tak prostemi a silnemi słowami. On zapewne pojął jakie wówczas poruszył uczucie we mnie i tęsknotę; rzekł spojrzawszy bardzo ostrożnie z ukosa na swą synowicę,—Doktorze! znajdziesz u nas ludzi co cię ocenić i pojąć potrafią; zabaw dłużej między nami, a przyznasz może, że

w tym odległym zakątku ziemi mieszkają ludzie godni być poczytanemi za twych współobywateli.«—A ja podziękowałem: — »Trzy miesiące bawię między wami i wiele już widziałem waszego kraju, a wszystko co widziałem, wsiąkło w mój umysł, jak rosa w spragniony piasek Sahary, i już nigdy się z niego nie ulotni; i gdybym tylko o me osobiste dbał szczęście, pozostałbym pewno w krainie dowodzącej światu, że postęp odbywać się może jednostajnie, jednozgodnie, równocześnie, a bez wyskoków, gwałtów. Ale przyznaj sam, panie kommodorze, czy ja na to wysłany okolicznościami od méj woli niezależnemi w świat ten obszerny, żebym zaraz na pierwszym wstępie ugrzązł w błocie trosków materialnych? Nauczyliście mnie tego, czego wszystkie uniwersytety świata nauczyć nie potrafią; aleście mnie nie nauczyli, ani nauczyć nie możecie tego co fakulteta medyczne Anglii i Francji nauczyć mnie muszą.«—Itak cokolwiek smutno wróciliśmy do Drontheim.

Ale dobre przyjęcie u księdza biskupa rozpędziło te chmury na umysłach osiadłe.

Nazajutrz, około dziesiątej, zaledwie świtać zaczęło, wpada do méj stancyi u pani Homberg kapitan Jens Jensen z jakimś jegomością, wykwintnie ubranym na tę porę roku i na ten kraj, przytém wyszuwaksowanym, wypomadowanym, wyperfumowanym, i wstążką czerwoną przy futrze, paltocie i fraku ozdobionym. Już był nie młody, miał lat od 45 do 60.—»Hurrah! panie doktorze, statek parowy z Hammerfest przybył, ładunek przywiózł a przytém i nowego passażera dla naszej fregaty, pana Delcourt, którego tutaj mam zaszczyt przedstawić panu.

— »Pana Delcourt? odrzeknę zadziwiony,« Wicekonsula Francji, przytém negocyanta, profesora tańców i magii białej, zegarmistrza?«—»Przytém ex-porucznika 127. półbrygady przezwanéj za rzeczypospolitéj *la millepède*, obok tego kawalera legii honorowéj i propagatora magnetyzmu zwierzęcego, i pańskiego najniższego służyć,« doda jednym tchem jegomość wyszuwaksowany, kłaniając się klassycznie, ale z kądkie *cré nom d'un petit bon homme* pan mnie znasz?«

— »Sława! sława! panie Delcourt, sława stugębna przez trąbę morską kommodora Gottfrieda Nordahl Bruuna rozpowszechniona.«—»Ale, sabre de bois, pistolet de paille! to mój dobry przyjaciel, nieodstępny jęgo towarzyszem byłem

w Hammerfest lat temu... poczekaj pan—moja dobrodziejka jeszcze wtenczas żyła, magnetyzerem wówczas jeszcze nie byłem, mogło to być, lat temu, ha! wiem! krowy morskie mi to przypominają, zarobiłem 7564 franków, nie wiedząc jak, ryzykując zaledwie 1257 franków i 50 centymów; było temu lat cztery właśnie, lat cztery, *que le diable m'emporte*. Ah! co to za cudny dar, ta moja niezawodna pamięć!»

— »Tak istotnie było temu lat cztery, wywijałeś pan wówczas piruety tak wysokie jak skok stokfiszka nad powierzchnią morza, przynajmniej tak się wystawił kommodor, on jest odpowiedzialnym redaktorem tej myśli.«

— »Mógł się być wystawić delikatniej, niech mnie piorun trzaśnie, piruety jak stokfisz! proszę, co mi za wystowienie; mógł być powiedzieć jak czapla, sroka, lub jak antylopa, tak jest, tak, jak antylopa.«

— »Ja na to porównanie przystaję, panie Delcourt z bardzo miłą chęcią—tak tedy opuszczamy wkrótce Drontheim i jedziemy do Edyburga?«

— »Nie zupełnie do Edyburga, ale do Londynu, jeżeli panpozwolesz,« rzecze kapitan Jens Jensen; memu ładunkowi nie wypada jechać do Edyburga, tylko do Londynu.«

— Ha! pójdźmy tym razem za zdaniem naszego ładunku ale kiedy? proszę powiedzieć?«

— Po jutrze, jeżeli wiatr dobry: ale dotrwa, bo szorstki i uparty, a tak dobrze wymierzony w jedną dyrekcyę, jak działa forteczne.«

Teraz poznajmy cokolwiczek bliżej pana Delkura, abyśmy umieli ocenić przyjemność podróżowania z tak wszechstronnie uniwersalnem zerem.

Pan Delcourt chętnie się podpisywał d'Elcourt, bo mu się zdawało, że od czasu jak posiada pieniądze, załatywać zaczyna markizem. Służył w wojsku w randze oficera i zagorzałym był bonapartystą. Po wypadkach 1815. roku nie przyjęto go do kadrów wojska i przesładować zaczęto. Pan Delcourt opuszcza tedy brzegi pięknej Loary i puszcza się w świat szeroki, uszczęśliwiać ludzkość lekcjami języków, tańców, fechtowania, naprawianiem zegarków i okularów, szlifowaniem brzytw i seczoryków, wykładaniem magii i buchalteryi, rozpowszechnianiem kąpeli parowych w szafach i propagowaniem magnetyzmu zwierzęcego, nakoniec uczeniem

klasyków i romantyków w podwójny sposób i teoretycznie i praktycznie.

Tak pan Delcourt, mając *nie jedną stronę u swego łuku*, jak się wyrażał, zawitał do Krystyanii, i zajmował się między innymi rzeczami daniem lekcyj języka francuzkiego. Pomiedzy uczennicami znajdowała się jedna wcale nie piękna, ale dość majątna, nie młoda już wprawdzie, ale za to pod każdym względem niezmiernie dojrzała. Pan Delcourt wziął się tak dobrze do uczenia języka, że najprzód zdobył serce swój uczennicy, potem jej duszę, a nareszcie i rękę. Przestał się Francuz lękać nędzy na stare lata, ale za to zaczął się bać swój własnej żony, bo to był istny szatan zazdrości, tém zazdrośniejszy im brzydszy i starszy, tém podejrzliwszy im więcej miał przyjaciółek plotkarek. Biedny Delcourt nie mógł już wytrzymać w Krystyanii: podejrzliwa żona tak mu pozostawiała ulice, że mu tylko po dwóch prowadzących do kapliczki katolickiej chodzić wolno było. Wtém,—w skutek jakiejś katastrofy bursowej, pani Delcourt traci połowę swego majątku, z reszty nie można było wyżyć porządnie Francuz uszczęśliwiony, wywozi swą połowicę do Drontheim, gdzie powietrze zimniejsze zapewne uśmierzy zapaly miłosne i napady zazdrości żony. Ale gdzie tam! i tutaj w tém zimnie szatan odzyskał równowagę i zapoznał się z plotkarkami. Biedny Delcourt do rozpacz przywiedziony, używa ostatecznego środka: sam się wyrzeka miłego każdemu Francuzowi widoku słońca, i uprowadza swą żonę do Hammerfestu, gdzie noc trwa trzy miesiące bezprzestannie; tu zostaje negocyantem, a później wicekonsulem Francyi, po 10 latach pracy bogatym właścicielem, a co najlepsza, po 13 latach niewypowiedzianych cierpień, — wdowcem. Tak pani Delcourt i jej zazdrość uległy przecie srogości klimatu Hammerfestowskiego. Pan Delcourt, ujrzawszy się wdowcem, samotnym, dzieci bowiem nie miał, zatęsknił do swego kraju, dokąd wprzód stosunki polityczne i bieda, później zazdrośna żona wrócić mu nie dały. Wyplakawszy się tedy przyzwolicie, uregulował rachunki, sprzedał dom i firmę; dymisyję swą dał jako wicekonsul, towary niektóre wielkiej wartości zabrał na statek, i teraz mając może ze 300,000 banknotów w kieszeni i towarów ze 100,000 w okęcie, śpieszy z nami razem do Londynu, gdzie mu koniecznie wypada być, zanim wróci do swój ojczyzny. Grzecznym jest pan Delcourt bar-

dzo, grzeczniejszym daleko jak nowój daty Francuzi, przyjaźielskim nawet jest dla każdego; ale grzeczność i przyjaźń wstrzymuje się *tout court* na miejscu, jak się tylko kwestya pieniężna żeby w najodleglejszej swój atmosferze zacząć. Do charakterystyki tego dobrego Francuza, facecyjnego a usłużnego do tego stopnia, że ci w każdym wypadku zawsze najlepszą da *rade*,—do charakterystyki jego należy także, że rano wstawszy z głową fularem okreconą z twarzą opuchłą i z zarostem miał lat 54, że potem gdy się ogolił, wyszuwaksował, wyszczypał i wyperuczył, miał lat 43,—a najwięcej 36, kiedy obecnością dam podżegany, rozwinął wszystkie dobrze zakonserwowane zasoby *de l'amabilité*, jaki posiadał w pamięci i nogach.

Oto mój Francuz; płynąłem z nim z Drontheim do Londynu bardzo wesoło i przyjemnie, a rozłączyłem się potem bez wielkiego zmartwienia i bez ochoty zobaczenia się drugi raz. Egoista żeby był najprzyjemniejszy, najzabawniejszy wpisać się w serce przecież nie potrafi. Był to pierwszy klasyczny samolubjakiemu w życiu miałem sposobność *studiować*; dlatego też tak długo o nim się rozwodzę.

Jeszcze jedna niestety ostatnia wycieczka do samotnej owdowiałej kaplicy, którą poświęciłem św. Annie Pinczowskiej.

Gdym stanął na szczycie góry i serdeczném spojrzeniem objął nadobne rozmiary kaplicy, tak tkliwe pamiętki w duszy mój wzbudzającej, słońce wyszło z poza chmury i wesołymnie powitało wzrokiem, a snop ogromny ciepłych promieni rzuciło na brylantowe śniegi, pokrywające te poczciwe góry i doliny Drontheimu. Widząc co się na niebie dzieje, niezliczone chmury ptastwa morskiego wzbity się z powierzchni zatok, golfów i jezior w powietrzny błękit i pławiły się w nim z rozkoszą; kozy wyskakiwały w powietrze i tupły w ziemię z zwykłą sobie śmiesznością, nie zmieniając przytém wcale cierpkiego wyrazu fizjonomii; renifer trafiony promieniem słońca, baczne nastawił ucho, nozdrze wyciągał w powietrze, aby wywahać gdzie się tam jego Lapouńczyk podziewa, a potem kopnął się w stronę południa by się złączyć z swym panem. Nawet zbudziły się drzewa i strząsać z siebie zaczęły białe festony i wyciągać skurezone snem gałęzie. Ale patrz! patrz! jak chmury pierzchają strwożone, prędko, szybko ku północy kryć się za gór wierzchołki! Czy

wy się ludzi boicie, czy przewidujecie w *nas* przyszłych waszych panów? Morze dziś nie ryczy i nie jęczy tylko szumi w jednostajnym rytmie tęskno i poważnie. Co to za zmiana w całej naturze, skoro niebo spojrzy na ziemię łaskawem swem słońcem i wita przyrodę obietnicą wiosny. Tak, to pierwsza chwila wiosny w północnej Norwegii, to dzień 21. marca w chwili południowej, to moment również uroczysty i okazały jak wiosna w Granadzie.

Doczekałem się wiosny tu na tej górze, tu pod tą kaplicą ulubioną w chwili rozstania.

Jeszcze kilka odwiedzin przyjaciółom i zakładom publicznym, mianowicie szpitalom, szkole klasycznej normalnej, instytutowi Laponczyków, i domowi dyakonek. Jeszcze jeden huczny bankiet ofiarowany mi przez licznych i serdecznych przyjaciół, których potrafiłem sobie tutaj zyskać w ciągu jednego miesiąca, kilka rzewnych łez wylanych w chwili odbicia od brzegu; i znów jestem na falach oceanu, ale zawsze jeszcze w towarzystwie wszystkich mych przyjaciół drontheimskich, męzkich czy żeńskich, wojskowych czy cywilnych.

Już wszyscy jesteśmy na pokładzie fregaty *Schmucke Pige* i tu niespodzianka przygotowana mi bardzo tajemnie i zręcznie przez kapitana Jens Jensen. Na pokładzie, między dwoma masztami, pyszny namiot ozdobiony chorągwiemi Norwegii, Danii, a pod namiotem stół, a na stole butelki wszelkich narodowości, od ciemnej pękatej butli Szambertyna aż do wysmukłej, jasnej flaszki Johannisbergera; nie brakło nawet orkiestry.

—»Żyj długo, młody przyjacielu, i dobrze mów o Norweskim kraju!« krzyknął kommodor Nordahl Brunn »a wracaj do własnego, nim sił ubytek w sobie czuć zaczniesz« dodał biskup Drontheimu ze szczerem namaszczeniem, którego wpływu już nigdy od tej chwili nie zapomniałem.

Ale już kotwica wyciągnięta, i moździerz zagrzmiały na tarasie resursy kupieckiej, działa rykły z wszystkich okrętów w porcie, nawet dalibóg z wojennych — i my odpowiadali jak mogli z naszych ośmiu moździerzy.

Żagle rozpięte! — ruszamy, unosimy z sobą przyjaciół.

Ale otoż ujście golfu drontheimskiego do oceanu. Tu rozstać się trzeba z przyjaciółmi: okropna chwila! »Tyle śmierci zostawiacie mi w tém jednym i tak już skołataném sercu«, rzekłem do Drontheimczyków; oni posepieli, a damy szlochać

zaczęły. Rzucono się do mnie, chciano mnie uprowadzić z sobą, nie puszczać mnie do téj Anglii, gdzie mnie czekało tak okrutne odczarowanie. Ale darmo! Już widać losu mego program był spisany, jakaś fatalność mnie pchała; przyjaciół porzuciłem serdecznych, dla zmierzenia mych sił z egoizmem.

Już przyjaciele moi opodal, ledwo białe chustki, któremi powiewają, zobaczyć zdołam, i jeszcze nie jestem pewny, czy to nie piany unoszące się na falach.

Żal szczery, którego pamięci wiele lat nieszczęścia nie zatarły, przejął me serce, kiedy gościnne brzegi Norwegii zniknąć zaczęły w zmroku i oddaleniu.

Tak! kocham was samotne nadbrzeża, kędy westchnienie wiatrów, szum fali, widok posępnego i okiem nieprześcignętego horyzontu, zachęcają do cichych i uroczystych dumań! Kocham was, obszerne płaszczyzny, lazurowe jeziora, góry niebotyczne, które wierzchołkami, odwiecznym śniegiem pokrytemi, chwytacie przelotne chmury, a spadzistemi ściany rozsyłacie łoskot piorunu w obszar świata! I was także lubię, nadobne chatki, rozproszone, jak uśmiechające się myśli, po piaszczystym wybrzeżu, lub po urwiskach niedostępnych skał.

Was zaś mieszkańcy, których dusza tak prosta, a spójnienie tak uczciwe, którzyście burzą skołatanego cudzoziemca z szczerą serdecznością witali, i smutne chwile tęsknoty najszczerzą gościnnością umieli mu osłodzić, i was także kocham! u was znalazłem cnoty mego własnego narodu: uprzejmość i gościnność; bo u was znalazłem przymioty, które najwięcej poważam: pracowitość, rzetelność i szczerłość.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



501

L'histoire de la France est une suite de révolutions. Elle est le résultat de la lutte constante entre le pouvoir royal et le peuple. Le roi est le chef de l'État, mais il n'est pas tout-puissant. Le peuple est le maître de son destin, mais il n'est pas toujours sage. C'est cette lutte qui a fait de la France une nation libre et grande.

Le roi est le chef de l'État, mais il n'est pas tout-puissant. Le peuple est le maître de son destin, mais il n'est pas toujours sage. C'est cette lutte qui a fait de la France une nation libre et grande.

Le roi est le chef de l'État, mais il n'est pas tout-puissant. Le peuple est le maître de son destin, mais il n'est pas toujours sage. C'est cette lutte qui a fait de la France une nation libre et grande.



20212